

# Fetysz

Bagley Desmond



calibre 0.9.27

Bagley

"FETYSZ"

Przełożył

Jerzy Żebrowski

AiB Warszawa 1993

Tytuł oryginału

Juggernaut

Copyright (c) Brockhurst Publications Ltd 1985

Redaktor

Ewa Brudzyńska

Ilustracja

Jerzy Kurczak

Opracowanie graficzne serii

Studio Q

For the Polish edition

Copyright(c) 1993

(c) by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie I

ISBN 83-85593-43-8

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1993

ark. wyd. 17, ark. druk. 16,5

Druk i oprawa:

Poproszono mnie do telefonu, gdy flirtowałem przy dużym, okrągłym basenie z dwiema młodymi Niemkami, które udało mi się oderwać od stadka. Nie miałem zbyt wielkich szans. Dziewczyny w tym wieku uważają, że mężczyzna powyżej trzydziestu pięciu lat rozłazi się w szwach. Ale co tam, ćwiczyłem przynajmniej mój niemiecki.

Spojrzawszy na opalony twarz kelnera zapytałem z niedowierzaniem:

- Telefon do mnie?

- Tak, sir. Z Londynu. - Zdaje się, że zrobiło to na nim wrażenie.

Westchnąłem biorąc do ręki płaszcz kąpielowy.

- Zaraz wrócę - obiecałem, podszedłem za kelnerem po schodach w kierunku hotelu. Przystanąłem u góry. - Odbiorę w swoim pokoju - oznajmiłem, mijając po drodze do wynajętego bungalowu fronton hotelu.

Wewnątrz było chłodno, niemal zimno, a klimatyzator wydawał cichy pomruk. Wyjść z lodówki puszkę piwa i otworzywszy ją podniosłem słuchawkę telefonu. Tak jak przypuszczałem, dzwonił Geddes.

- Co robisz w Kenii? - zapytał. Połączenie było dobre, jakby

siedział w sšsiednim pokoju.

Wypiłem łyk piwa.

- Co cię obchodzi, gdzie spędzam urlop?

- Jeste na właciwym kontynencie. Szkoda, że musisz wracać do Londynu. Jakš tam macie pogodę?

- Upalną. A czego spodziewałby się na równiku?

- U nas leje - stwierdził. -I jest trochę zimno.

Przywykłem już do Brytyjczyków. Podobnie jak Arabowie wymieniajš zawsze nieistotne uwagi, zanim przejdš do poważnych spraw, tyle że u Brytyjczyków zaczyna się zwyczajowo od pogody.

Trudno mi to czasem znieć.

- Nie zadzwonię do mnie w sprawie pogody. O co chodzi z tym Londynem?

- Obawiam się, że koniec rozrywek. Mamy dla ciebie robotę.

Chciałbym pojutrze widzieć cię w moim biurze.

Zaczšłem liczyć. Pół godziny na opuszczenie hotelu, godzina jazdy do Mombasy żeby oddać wypożyczony wóz. Po południu lot do Nairobi, a o północy samolot do Londynu. Reszta dnia na dojście do siebie.

- Może mi się uda - stwierdziłem. - Ale chciałbym znać powody.

- Za wiele trzeba by wyjaniać. Do zobaczenia w Londynie.

- W porzšdku - odparłem gderliwym tonem. - A tak przy okazji, skšd wiedziały, że tu jestem?

Geddes rozemiał się radonie.

- Mamy swoje metody, Watsonie. Mamy swoje metody.

Rozległ się trzask i na linii zapadła cisza.

Odłożyłem z niechęcią słuchawkę. To także było typowe dla Brytyjczyków: zawsze rzucali w człowieka cytatai, zwłaszcza z "Sherlocka Holmesa" i "Alicji w Krainie Czarów". Albo, do diabła, z "Kubusia Puchatka"!

Wszedłem z bungalowu i stałem na tarasie, kończąc piwo. Ocean Indyjski był spokojny, licie palm trzepotały na lekkim wietrze.

Dziewczyny pluskały się w basenie, udając, że ze sobą walczą, a ich piskliwy miech przeszywał rozgrzane powietrze. Dwaj młodzi

mężczyźni obserwowali je z zainteresowaniem. Pomylałem, że

obejdzie się bez pożegnań. Skończyłem piwo i wszedłem do pokoju, żeby się spakować.

Parę słów na temat firmy, dla której pracuję. British Electric jest spółką mniej więcej tak samo brytyjską, jak Shell Oil holenderską.

Nabrała międzynarodowego charakteru i dlatego byłem jednym z wielu zatrudnionych w niej Amerykanów. Od British Electric nie

kupuje się dwukilowatowego grzejnika elektrycznego, ani nawet lodówki o pojemności stu czterdziestu litrów, jeli jednak potrzebu-

jesz ekonomicznej wersji gigantycznego urządzenia do produkcji

prądu mierzonego w megawatach, zwróć się do nas. Zajmujemy się w branży sprawami najcięższego kalibru.

Formalnie jestem inżynierem, ale minęło już z dziesięć lat, odkąd

naprawdę co budowałem albo konstruowałem. Im wyżej człowiek awansuje w spółce takiej jak nasza, tym mniej zajmuje się czysto technicznymi problemami. Oczywiście, żargon współczesnego zarządzania sprawia, że wszędzie pełno jest fachowej terminologii i w pokojach podkomisji pobrzmiewają określenia zaczerpnięte z analizy drogi krytycznej, badań operacyjnych i dynamiki przedsiębiorstw, ale wszystkie te bzdury okazują się zbyteczne przy wielkim stole konferencyjnym, gdzie poważne decyzje podejmuje ludźmi, którzy wiedzą, że zarządzanie to o wiele więcej niż mechanika.

Takich jak ja różnie się określa. W niektórych spółkach nazwano by mnie "jednoosobowym korpusem ekspedycyjnym", w innych "specem od kłopotów". Działam w mglistym obszarze, ograniczonym od północy problemami technicznymi, od wschodu finansami, od zachodu polityką, a od południa zwykłymi dziwactwami ludzkiej natury. Gdybym musiał znaleźć określenie dla mojego zawodu, nazwałbym siebie specjalistą od inżynierii politycznej.

Geddes nie mylił się co do Londynu: było tam zimno i mokro.

Wiał silny wiatr, pędziły krople deszczu, które bębniły o szyby w jego gabinecie. W porównaniu z Afryką wyglądało to ponuro.

Wstał, kiedy wszedłem.

- Masz ładną opaleniznę - powiedział z uznaniem.

- Byłaby lepsza, gdybym mógł dokończyć urlop. O co chodzi?

- Wam, jankesom, zawsze tak się spieszy - powiedział Geddes tonem skargi. Zabrzmiało to zabawnie z dwóch powodów. Nie

zarządza się firmą takż jak British Electric siedząc na tyłku i Geddes, jak wielu Brytyjczyków na kierowniczych stanowiskach, robił złudne wrażenie człowieka powolnego, a jednak okazywał się szybszy od innych. Klasyczna definicja Węgra jako faceta, który wchodzi za tobą w obrotowe drzwi, a wychodzi pierwszy, znakomicie by do Geddesa pasowała.

Drugą zabawną sprawą był fakt, że nie potrafiłem oduczyć Anglików nazywania mnie jankesem. Nazwałem kiedy Geddesa "Liverpoolcem", a potem próbowałem mu wykazać, że z Liverpoolu jest bliżej do Londynu niż z Wyoming do Nowej Anglii, ale jako to do niego nie dotarło.

- Tędy - powiedział. - W sali konferencyjnej mam całą ekipę.

Spotkałem już większość obecnych tam osób i gdy Geddes rzekł:

"Znacie wszyscy Neila Mannixa", rozległ się potwierdzający jego słowa pomruk. W sali był tylko jeden nie znany mi chłopak, którego

Geddes przedstawił:

- To John Sutherland, nasz człowiek w terenie.

- To znaczy gdzie?

- Mówiłem ci, że był na właściwym kontynencie. Tyle że po niewłaściwej stronie. - Geddes odciśnął zasłonę, która zakrywała tablicę z mapą. - Nyala.

- Mamy tam kontrakt na budowę elektrowni - stwierdziłem.

- Zgadza się. - Geddes wziął do ręki wskanik i postukał nim

w mapę. - Mniej więcej tutaj, na północy. W miejscu zwanym Bir

Oassa.

Kto wbił igłę w skórę ziemi i ta zaczęła obficie krwawić. Stało się to zachęts do kolejnego ukłucia, po którym wypłynęła ropa, wyrzucana podcinieniem gazu ziemnego. Jego obecność, choć nie całkiem nieoczekiwana, stanowiła dodatkowś gratyfikację. Wypływ ropy powitali z wielkś radociś i zadowoleniem ludzie dzierzcy ster rzśdów w niestabilnym politycznie kraju. W obecnych czasach duże zasoby nafty oznaczajś posiadanie władzy na wiato-wś skalę i Nyala uzyskiwała szansę zaznaczenia swej obecności wród innych państw, co dotychczas wyranie się temu krajowi nie udawało. Ropa oznaczała równieź pieniśdze - duzo pieniędzy.

- To dobra nafta - mówił Geddes. - Zawiera mało siarki i dzięki odpowiedniej lepkości nadaje się bez rafinacji na paliwo dla statków. Nyalańczycy zbudowali włanie ruociśg z Bir Oassa do Port Luard, tu, na wybrzeżu. To jakie tyśiśc trzysta kilometrów. Uważajś, że będs mogli oferować taniś ropę statkom plynścym wokół Afryki do Azji. Majś teź nadzieję wejć na rynek południowoamerykański. Ale to wszystko przyszoć.

Wskanik pokazywał ponownie Bir Oassa.

- Pozostaje sprawa gazu ziemnego. Rozważano możliwoć poprowadzenia równolegle gazociśgu i ropociśgu, budowy zakładów skraplania gazu w Port Luard i przesyłania go statkami do Europy, ale z powodu odkryć na Morzu Północnym pomysł ten okazał się



nieekonomiczny.

Geddes przesunął wskaznik dalej na północ, trzymając go, na wysokości wyciągniętego ramienia.

- Tutaj, między najprawdopodobniej pustynią a obszarem lasów tropikalnych, rząd Nyali zamierza zbudować elektrownię.

Wszyscy obecni już o tym słyszeli, a jednak w sali rozległ się szmer i nerwowe poruszenie. Nie starczyłoby palców u obu rąk, żeby wyliczyć wynikające z tego oczywiste problemy. Wybrałem pierwszy z brzegu.

- Co z wodą do chłodzenia? Na Saharze panuje susza.

McCahill poruszył się.

- Nie ma problemu. Zrobilibyśmy odwierty i trafilibyśmy na duże zasoby wody na głębokości tysiąca omiuset metrów. - Skrzywił się. - Na tym poziomie jest dość ciepło, ale dodatkowe chłodnie kominowe powinny załatwić sprawę. - McCahill należał do zespołu konstruktorów.

- A przy okazji będziemy mieli wystarczającą ilość wody dla potrzeb irygacji i konsumpcji, co pozwoli nam być w dobrych stosunkach z miejscową ludnością. - To, oczywiście, głos człowieka odpowiedzialnego za kontakty firmy ze światem zewnętrznym.

- Susza na Saharze potrwa jeszcze przez długi czas - stwierdził Geddes. - Jeśli Nyalańczycy będą mogli wykorzystywać gaz do zasilania elektrowni, uzyskają więcej energii do pompowania dostępnej im wody i do irygacji. Mogą również sprzedawać

nadwyżki gazu sšsiednim krajom. Niger juŹ okazuje zainteresowanie.

Miało to pewien sens, ale zanim zacznš zarabiać fortuny na ropie i gazie, muszš najpierw rozpocząć wydobycie. Podeszedłem do mapy i przyjrzałem się jej.

- Będziecie mieli problemy z transportem. DuŹych urzšdzeń, jak kotły czy transformatory, nie da się montować na miejscu. Ile jest tych transformatorów?

- Pięć - odparł McCahill. - Po pięćset megawatów kaŹdy. Cztery do zainstalowania i jeden zapasowy.

- I kaŹdy waŹy trzysta ton - zauwaŹyłem.

- Mylę, Źe pan Milner wzišł to pod uwagę - stwierdził Geddes.

Milner był naszym głównym kwatermistrzem. Musiał dbać o to, by wszystko znajdowało się o właciwej porze we właciwym miejscu, a jego wydział blokował doć skutecznie dostęp do wszystkich komputerów. Milner podeszedł do mnie i stanšł przy mapie.

- To proste - oznajmił. - Jest tam parę dobrych dróg.

Nie ukrywałem sceptycyzmu.

- Tu, w Nyali?

Pokiwał głowš w zamyleniu.

- Oczywiście nie było tam, prawda, Neil? Zaczekaj, aż przeczytasz pełne sprawozdanie. Ale streszczę je dla ciebie i pozostałych.

Pierwszym prezydentem kraju po rzšdach kolonialnych był Maro Ofanwe. Pamiętacie go?

Kto przeciśgnął rękę po gardle i rozległ się krótki, nerwowy miech. Nikomu z rządzonych nie jest w smak przypominanie o zamachach stanu.

- Ofanwe miał typowe, złudne przekonanie o własnej wielkości.

Jednym z pierwszych jego posunięć była budowa nowoczesnej superautostrady wzdłuż wybrzeża z Port Luard do Hazi. W połowie długości, w pobliżu Lasulu, rozgałęzia się ona na północ, prowadzi do Bir Oassa, a nawet dalej - donikąd. Nie powinniśmy mieć tutaj żadnych problemów.

- Uwierzę w istnienie tej drogi, kiedy ją zobaczę.

Milner był rozdrażniony i nie ukrywał tego.

- Dokonałem osobiście jej inspekcji z szefem firmy transportowej. Spójrz na te fotografie.

Sterczał przy moim łokciu, gdy oglądałem odbitki - błyszczące, czarno-białe zdjęcia lotnicze. Faktycznie, była tam autostrada, wyglądająca tak, jakby wyrwano ją w całości z Los Angeles i rzucono w sam rodek zaroniętego krzakami pustkowia.

- Kto z niej korzysta?

- Na drodze wzdłuż wybrzeża panuje spory ruch. Odnoga prowadząca w głąb lądu jest mało używana i le utrzymana. Od południa zarastają ją lasy tropikalne, a na północy będą problemy z lotnymi piaskami. Pojawiają się wyrwy w nawierzchni. Miejscami są nadwerężone pobocza. - Było to typowe dla większości asfaltowych dróg w Afryce i wcale mnie nie zaskakiwało. Milner ciśgnął

dalej: - Parę mostów może być trochę niebezpiecznych, ale damy sobie z nimi radę.

- Czy kontrahentowi z firmy transportowej to odpowiada?

- Całkowicie.

Miałem co do tego wątpliwości. Zadowolony kontrahent jest jak zadowolony farmer: w zasadzie nie istnieje. Ale to ja wysłuchiwałem skarg, nie ludzie, którzy zatrudniali i zwalniali personel. Udobruchałem Milnera podziwiając jego fotografie, po czym skoncentrowałem znowu uwagę na Geddesie.

- Ssdzę, że pan Shelford może mieć co do powiedzenia - zachęcał Geddes.

Shelford zajmował się kontaktami politycznymi. Pracował w wydziale, który stanowił w British Electric najbliższy odpowiednik Departamentu Stanu albo brytyjskiego MSZ. Spojrzał porozumiewawczo na Geddesa.

- Rozumiem, że pan Mannix chciałby usłyszeć raport o sytuacji politycznej kraju?

- A cóż by innego? - zapytał Geddes z lekkim przekssem.

Nie bardzo lubiłem Shelforda. Był jednym z tych facetów w prszkowanych spodniach, od których roi się w Whitehall i w Waszyngtonie. Lubiš uważać się za decydentów i grube ryby, ss jednak daleko od wierzchołka drabiny i dobrze o tym wiedzš.

Ssdzšc z tonu glosu Geddesa, on takze za Shelfordem nie przepadał.

Shelford był najwyraźniej przyzwyczajony do tego, że jego osoba wzbudza rozdrażnienie i nie zwracał na to uwagi. Rozłożył ręce na stole, mówiąc dobitnie:

- Uważam, że Nyala to jeden z niewielu krajów w Afryce, które wykazują obecnie polityczną stabilność. Oczywiście, nie zawsze tak było. Po obaleniu Maro Ofanwe doszło do poważnych zamieszek i armia była zmuszona przejść władzę, co w państwie afrykańskim nie jest rzeczą niezwykłą. Nietypowe było natomiast to, że wojsko oddało dobrowolnie ster rządów, utworzonej legalnie i pochodzącej z wyboru, cywilnej administracji, która jak dotąd zdaje się zapewniać krajowi stabilny rozwój.

Niektórzy z obecnych zareagowali zniecierpliwieniem na słowa Shelforda i Geddes przerwał jego przemowę, wyglądając na wstęp do dłuższego wykładu.

- No i dobrze - stwierdził. - Nie będziemy przynajmniej narażeni na upór wojskowych.

- Tylko na przewrotność polityków - zauważyłem drwiśco.

Shelford zamierzał najwyraźniej kontynuować wykład i tym razem ja mu przerwałem.

- Czy był pan tam ostatnio, panie Shelford?

- Nie.

- A kiedykolwiek przedtem? \*

- Nie - odparł sztywno. Zauważyłem parę skrywanych umiechów.

- Rozumiem - stwierdziłem, przenosząc uwagę na Sutherlanda. - Proponuję, żebyśmy wysłuchali człowieka znającego teren.

Jak mają się tam sprawy, John?

Sutherland spojrzął na Geddesa, i widząc jego przyzwalające skinienie, zaczął mówić.

- Cóż, najogólniej biorąc pan Shelford ma rację. Sytuacja w kraju jest wyjątkowo ustabilizowana. Oczywiście, w określonych granicach.

Borykaj się z brakiem pieniędzy, niedoborem wody, starciami granicznymi, z typowymi problemami krajów afrykańskich. Ale podczas naszego pobytu nie zetknąłem się z poważniejszymi konfliktami w sferach rządowych.

Shelford unieknął się triumfująco.

- Czy sądzisz, że rząd Nyali dotrzyma gwarancji, gdyby doszło do sytuacji kryzysowej? - zapytał Geddes.

Będąc pod presją, Sutherland odparł miało i bez zbytniego wahania:

- Myślę, że tak, o ile nie zostanie obcięty fundusz dyspozycyjny.

Chciał przez to powiedzieć, że wyciągnięte po łapówki ręce należało hojnie posmarować, co nie było sytuacją wyjątkową.

- Mówiłem najogólniej, John - stwierdziłem. - A gdyby musiał przejść do konkretów?

Wydawał się teraz trochę zaniepokojony i rzuciwszy okiem na Geddesa i Shelforda odparł:

- Podobno dochodzi tam do wani plemiennych.

Po sali ponownie przeszedł szmer. Dla przeciętnego Europejczyka, który rozumie rywalizację między państwami, okręgami czy nawet miastami, wymogi lojalności wobec własnego plemienia nie mają często żadnego sensu. W swoim czasie próbowałem szukać analogii do sytuacji walczących ze sobą klubów piłkarskich i ich co bardziej agresywnych kibiców, ale ludzie nie należący do kultury plemiennej mieli najwyraźniej ogromne trudności z zrozumieniem istniejących w niej konfliktów. Widziałem nawet uniesione brwi, oznakę pełnej więtego oburzenia nietolerancji, na którą nikt z obecnych przy stole nie mógł sobie pozwolić. Shelford próbował zaprotestować.

- Bzdura - stwierdził. - Jeli widziałem kiedykolwiek zjednoczony kraj, to Nyala na pewno nim jest. Konflikty plemienne zostały tam przewyciężone.

Postanowiłem wypucić z niego trochę powietrza.

- Najwyraźniej pan jednak tego nie widział, panie Shelford.

Podobne konflikty nigdy się nie kończą. Proszę przypomnieć sobie Nigerię. Tam też miały miejsce, a to prawie sąsiedni kraj. Zdarzają się w Kenii. I w całej Afryce. Wiemy, że trudno oddzielić fakty od fikcji, ale nie możemy niczego ignorować. John, kto rządzi w Nyali, które plemię dysponuje większością?

- Kinguru.

- A więc prezydent i prawie wszyscy ministrowie są z plemienia Kinguru? Pracownicy administracji? Czołowi kupcy i biznesme-

ni? - John przytakiwał mi po każdym pytaniu. - Wojsko?

Tym razem pokręcił głową.

- To dziwne, ale chyba nie. Zdaje się, że Kinguru nie są dobrymi wojownikami. W armii rządzą ludzie z plemienia Wabi, tak czy inaczej skoligaceni jako z Kinguru. Jeli chce pan znać szczegóły, będzie panu potrzebny raport socjologa.

- Skoro Kinguru nie potrafią walczyć, może będą zmuszeni się tego nauczyć - zauważyłem. - Tak jak plemię Ibo w Nigerii albo Kikuyu w Kenii.

- Zakładasz, Neil, że dojdzie do konfliktu - stwierdził ktoś z obecnych.

Geddes poparł mnie.

- Nie brak w tym sensu. Mamy tu jeszcze pewne informacje w aktach, Neil. To zadanie dla ciebie. - Poklepał leżącą na stole pękatą teczkę i zręcznie rozładował napięcie. - Myle, że możemy odłożyć na razie na bok kwestie polityczne. Jak wygląda aktualnie postęp prac, Bob?

- Wszystko dokładnie według planu - stwierdził z satysfakcją Milner. Cierpiałby, gdyby były opóźnienia, ale z nie mniejszym bólem przyjąłby wyprzedzenie harmonogramu. Oznaczałoby to, że jego komputery nie dostarczają absolutnie optymalnych rozwiązań, co byłoby nie do pomylenia. Po chwili jednak pochylił się i z jego twarzy zniknął wyraz zadowolenia. - Możemy wszakże mieć mały problem.



W tej robocie małe problemy nie istniały. Wszystkie były wielkie, bez względu na to, jak drobne wydawały się na początku.

- Budowa jest mocno zaawansowana i możemy już w zasadzie przewozić duże ładunki - stwierdził Milner. - Analiza wskazuje, że należałoby najpierw dostarczyć jeden z dwóch kotłów, ale rzód nalega na dostawę transformatora. Oznacza to, że instalatorzy kotła będą siedzieć beczynnie na tyłkach, a transformator poleży sobie odłogiem, ponieważ elektrycy nie są jeszcze gotowi do jego montażu. - Wydawał się urażony i doskonale rozumiałem dlaczego. Marowano w ten sposób duże pieniądze.

- Czemu im na tym zależy? - zapytałem.

- Chodzi o efekt propagandowy. Transformator to największy element, jaki będziemy przewozić. Chcę nadać sprawie rozgłos, zanim ludność przywyknie do widoku toczącej się przez kraj ogromnej platformy.

Geddes umiechnął się.

- Płacę za to. Myślę, że na tyle możemy im pozwolić.

- Poniesiemy większe koszty - ostrzegł Milner.

- Wydaję na to przedsięwzięcie sto pięćdziesiąt milionów funtów - oznajmił Geddes. - Jestem pewien, że tę zmianę w planie da się wprowadzić. I będę bardzo zadowolony, jeli nie zechcę zmieniać niczego więcej. Z pewnością możesz tak przerobić harmonogram, żeby skompensować straty. - Jego głos działał kojąco jak balsam i wywarł pożądany wpływ na Milnera, który wydawał się

teraz o wiele spokojniejszy. Powiedział, co należało, a byłem przekonany, że ma przewidziane w programie rezerwy na wypadek takich awaryjnych sytuacji.

Spotkanie ciągnęło się cały ranek. Finansicy wystąpili ze sprawami płatności zaliczkowych w powiększaniu przepływu pieniądza, omawiano też oferty na zakładanie sieci energetycznej, która miała powstać po ukończeniu budowy elektrowni. W końcu Geddes zakończył zebranie, pochylił się ku mnie i powiedział cicho:

- Zjedz ze mną lunch, Neil.

Nie było to zaproszenie, lecz rozkaz.

- Z przyjemnością - odparłem. Najwyraźniej nie wszystko zostało powiedziane.

Wychodząc zaczepiłem Milnera.

- Nie poruszymy pewnej sprawy. Dlaczego mamy dokonywać wyładunku w Port Luard? Czemu nie w Lasulu? Stamtąd odchodzi odnoga autostrady w głębi kraju.

Milner pokręcił głową.

- Tylko w Port Luard jest dość głęboka woda i odpowiednie nabrzeża. W Lasulu ładunek trafia na stare galery. Chciałby przeładowywać na nie przy silnej fali trzystutonowy transformator?

- Zdecydowanie nie - odparłem i to był koniec rozmowy.

Spodziewałem się jeść lunch z Geddesem w kantynie zarządu, zaprosił mnie jednak do restauracji. Wypiliśmy drinka przy barze, gawędziliśmy o problemach Afryki, sytuacji na rynku pieniężnym

i nadchodzących wyborach uzupełniających. Dopiero gdy zasiedliśmy przy stole do posiłku, powrócił do zasadniczego tematu.

- Chcemy, żeby tam pojechał, Neil.

Wcale mnie to nie zaskoczyło, tyle że na razie nie widziałem żadnego powodu.

- Powiniennem być teraz w Leopard Rock, na południe od Mom-basy i podrywać dziewczyny - stwierdziłem. - Przypuszczam, że na zachodnim wybrzeżu słońce grzeje równie mocno. Nie wiem tylko, jak jest z panienkami.

- Powiniene się ożenić - stwierdził Geddes, nie całkiem mimochodem.

- Już to kiedy zrobiłem.

Kontynuowaliśmy posiłek. Nie miałem nic do powiedzenia i pozwoliłem mu prowadzić rozmowę.

- Więc podejmiesz się rozwiązywania problemu - stwierdził w końcu.

- Ale jakiego? Dzięki Milnerowi wszystko działa lepiej niż w szwajcarskim zegarku.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi - oznajmił po prostu Geddes. -

Ale wiem, że pojawił się jakiś problem i chcę, żeby zbadał sprawę.

- Podniósł rękę, bym mu nie przerywał. - To wszystko nie jest

takie proste, jak się wydaje i słusznie przypuszczałem, że w Nyali

tylko pozornie panuje spokój. Sir Tom dostał stamtąd cynk od

zaufanego informatora.

Geddes mówił o naszym prezesie, właścicielu spółki i naczelnym dyrektorze. W tej potrójnej roli występował sir Thomas Buckler. Nogami stępał twardo po ziemi, głowę trzymał na Olimpie, a wielkie jak u królika uszy nasłuchiwały stale, skąd może zagrażać niebezpieczeństwo jego ukochanej firmie. Ze spostrzeżeniami szefa należało zawsze się liczyć, więc moja czujność od razu wzrosła. Dotąd sprawa nie budziła mego zainteresowania. Teraz odebrałem sygnał, że może nie wszystko jest w porządku i poczułem się w swoim żywiole. Gdy kontynuowaliśmy posiłek i rozmowę, byłem już o wiele mniej rozdrażniony z powodu straconych wakacji w Kenii.

- Może to nic takiego. Ale ty masz nosa, Neil i liczę, że wszystko wyniuchasz - stwierdził Geddes, gdy wstawaliśmy od stołu. -

A tak przy okazji: wiesz, jak brzmiała dawna, kolonialna nazwa Port Luard?

- Nie mam pojęcia.

- Patelnia - powiedział z lekkim umiechem.

2

Wyruszyłem do Nyali pięć dni później, zapoznawszy się uprzednio z sytuacją w tym kraju. Przeczytałem odpowiednie fragmenty "Archiwów Keesinga", ale cenniejsze okazały się akta spółki, opracowane przez Sekcję Tajnych Informacji, głównie dlatego, że nasi chłopcy nie obawiali się zarzutów oszczerstwa tak bardzo/jak autorzy "Keesinga". ^

Wyglądało to na dość typową afrykańską historię. Nyała była brytyjską kolonią, dopóki Brytyjczycy nie pozbyli się swego Imperium i na mocy nowej konstytucji pierwszym prezydentem został Maro Ofanwe. Miał kwalifikacje, aby stać się przywódcą byłej kolonii: przesiedział jakiś czas w brytyjskim więzieniu. Kolonialne więzienia były wylęgarnią szefów państw, stanowiły Eton i Harrow czarnego kontynentu.

Ofanwe rządził początkowo dość rozsądnie, ale usadowiwszy się mocno na stołku zaczął przejawiać oznaki megalomanii i cholernie niewiele brakowało, by ogłosił się Bogiem. Jak wszyscy megalomani miał ambicje budownicze. Zburzył stare kolonialne centrum Port Luard, aby wznieść Plac Niepodległości, gdzie ogromny pusty obszar otaczały nowe gmachy rządowe w masywnym, totalitarnym stylu.

Ofanwe był gorliwym naśladowcą Mussoliniego, tak więc nowy Pałac Sprawiedliwości miał specjalnie zaprojektowany balkon, na którym zwykł się pokazywać wiwatującym na jego cześć tłumom.

Wiwaty były równie burzliwe, gdy wieszano go za nogi na jednej z bardzo nowoczesnych latarni, na Placu Niepodległości. Maro

Ofanwe żył i umarł jak Mussolini.

Po jego mierci nastąpiły trzy lata chaosu. Ofanwe pozostawił pusty skarbiec, trwały walki między rywalizującymi politykami i pozbawionym władzy krajem nie dało się już wkrótce rządzić.

W końcu inicjatywę przejęła armia, ustanawiając wojskową juntę pod dowództwem pułkownika Abrama Kigonde.

O dziwo, Kigonde okazał się umiarkowanym politykiem. Rozprawił się bezwzględnie z ekstremistami na obu skrzydłach, nałożył wysokie podatki na sfery biznesu, które poczynały sobie, jak im się podobało i wykorzystał uzyskane pieniądze na rekultywację dochodowych plantacji, zaniedbanych i zniszczonych. Miał zresztą szczęście, bo gdy na plantacjach kakao wznowiono w miarę wydajną produkcję, jego ceny poszły w górę i przez parę lat pieniądze płynęły strumieniem, dopóki nie skończyła się cykliczna koniunktura. Względny dobrobyt w Nyali doprowadził do politycznej stabilizacji. Ludzie mieli pełne żołądki i nie byli skłonni słuchać tych, którzy domagali się zmian. Stabilna sytuacja w kraju sprawiała, że zaczęli się nim interesować zagraniczni inwestorzy i Kigonde mógł zaciągnąć teraz znaczne pożyczki, służące dalszej modernizacji rolnictwa i rozwojowi przemysłu. Trudno było mieć mu za złe, że znaczną ich część przeznaczył na wyposażenie wojska.

Potem Kigonde znów wszystkich zaskoczył. Wprowadził zmiany w konstytucji i ogłosił, że odbędzie się wybory, po których ponownie władzę w kraju przejmie cywilny rząd. Po pięciu latach panowania wojskowych, zrezygnował ze stanowiska, pozostając generałem majorem Kigonde, naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Od tamtej pory istniał stabilny rząd, którego władzę umocniło znacznie odkrycie na północy pokładów ropy. Zdarzały się typowe przypadki łapówkarstwa i korupcji, choć najwyraźniej nie częstsze niż w innych krajach afrykańskich. Przyszłość Nyali rysowała się optymistycznie.

Krężyły jednak różne pogłoski.

Przejrzałem papiery, przestudiowałem mapy i liczby i na oko wyglądało to na rutynową operację. Umówiłem się z mnóstwem osób, próbując zamienić chociaż parę słów z każdym, kto miał bezprecedensowy zwińzek z kontraktem w Nyali. W większości przypadków było to łatwe, gdyż ludzie, z którymi chciałem się spotkać, prowadzili działalność w centrum miasta. Z jednym wyjątkiem, i to istotnym. Zwróciłem się z tym najpierw do Geddesa.

- Korzystacie z usług firmy przewozowej Wyvern Transport Ltd. Nie znam ich. Dlaczego akurat oni?

Geddes wyjaśnił sprawę. Spółka British Electric była po części właścicielem pewnej firmy transportowej, mającej spore doświadczenie w pracy za granicą i podlegającej w znacznym stopniu kontroli zarządu. Przedsiębiorstwo to absorbowały jednak całkowicie inne zlecenia. Ponieważ tego rodzaju działalność prowadziło niewiele brytyjskich firm, Geddes złożył oferty spółce holenderskiej i amerykańskiej, w końcu jednak kontrakt podpisano z kim, kto wyglądał niemal na nowicjusza w branży. Zapytałem, czy nie ma w tym jakiego kumoterstwa.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł Geddes. - Ci ludzie mają doświadczenie, cieszą się dobrą opinią i oferują cholernie korzystną cenę. Niewiele firm zajmujących się przewozem ciężkich ładunków jest w stanie wykonać nasze zlecenie, a ich honoraria zaczynają być zbyt wygórowane; nawet dla nas. Jestem skłonny

poprzec każdego, kto okaże się konkurencyjny.

- Ich cena może być korzystna dla nas, ale czy im odpowiada? -

zapytałem. - Nie sǳę, żeby mieli z tego duży zysk.

Należało dbać, by żadna ze współpracujących z nami firm nie ponosiła strat. Spółka British Electric musiała być dla wszystkich pożądanym partnerem. I nie zadowalały mnie bynajmniej wyliczenia proponowane przez firmę Wyvern, choć dla Milnera i Geddesa mogły wyglądać atrakcyjnie.

- Co to za ludzie?

- Znajś się na swojej robocie. Spółka Sheffield Hauliers uległa podziałowi i przypuszczamy, że jej najlepsi pracownicy przeszli do nowo powstającej firmy Wyvern. Ich szefem jest młody facet, Geoffrey Wingstead. ciǳnś za sobś na poczśtek Basila Kempa.

Oba te nazwiska nie były mi obce. O Wingsteadzie tylko słyzałem, ale z Kempem współpracowałem juź przy podobnej robocie. Z tś jedynie różnicś, że przewoziliśmy wtedy transformator z przemysłowych rejonów Anglii do Szkocji. Mimo wszystkich trudności była to pestka w porównaniu z wykonywaniem podobnego zadania w Afryce. Zastanawiałem się, czy firma Wyvern ma jakiegolwiek dowiadczenia w pracy za granicś i "postanowiłem sam to sprawdzić.

Aby spotkać się z Wingsteadem pojechałem do Leeds i byłem lekko zaskoczony tym, co tam zastałem. Zgadzam się jak najbardziej, że nowa firma powinna inwestować pieniśdze w rozwój,



zamiast zakładać eleganckie biura i dbać o fasadowy prestiż, ale widok Geoffa Wingsteada, prowadzącego swój interes w szopie z prefabrykatów, ustawionej między garażami i warsztatami, budził zaniepokojenie. Była to prymitywna buda, z której Wingstead wydawał się dumny.

On sam jednak i prowadzona przez niego dokumentacja zrobiły na mnie wrażenie i nie miałem mu nic do zarzucenia. Chciałem spotkać się ponownie z Kempem, ale usłyszałem, że jest już w Nyali z szefem transportu i całą ekipą, czekając na przybycie platformy. Wingstead zamierzał tam polecieć, kiedy platforma będzie gotowa do pierwszego przejazdu. Perspektywa ta najwyraźniej go ekscytowała: nigdy przedtem nie był w Afryce. Próbowałem podejść do sprawy w ten sposób, by z jednej strony nie przerazić go przykładami różnic w warunkach pracy na kontynencie afrykańskim i w Europie, a z drugiej nie podsycać jego pewności siebie nadmiernym entuzjazmem. Nadal miałem wstąpiwoci, ale opuściłem Leeds, a później Heathrow, z o wiele większym optymizmem niż mógłbym się spodziewać.

Na papierze wszystko wyglądało znakomicie. Nigdy nie udawało się jednak zamienić teorii na praktykę, nie gubić niczego po drodze.

W Port Luard było upalnie i duszno. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni, a wilgotność powietrza nie mniej dawała się we znaki. John Sutherland oczekiwał mnie na lotnisku, które stanowiło

kłopotliwy spadek po Ofanwe. Na pasach startowych mogły lśdować największe odrzutowce, a hala odpraw była trzy razy większa od Penn Station. Lotnisko mogłoby obsługiwać z powodzeniem miasto wielkoci Rzymu.

Samochód z kierowcą czekał obok budynku przylotów. Wsiadłem do niego z Sutherlandem i poczułem pod pachami strużki potu. Mokra koszula kleiła mi się już do pleców. Rozpiłem kołnierzyk, zdejmując marynarkę i krawat. Na Heathrow zmarzłem, a tutaj było mi za ciepło - w podróży stale się to zdarzało. W walizce miałem doskonały, lekki garnitur z tropiku od Huntsmana - przydatny do prywatnych spotkań z ministrami i tym podobnym towarzystwem - oraz dwa ubrania typu safari. Na inne okazje kupowałem odzież na miejscu i zazwyczaj pozbywałem się jej przy wyjeździe. Tanie bawełniane koszulki i spodenki zawsze łatwo było dostać.

Oparłem się wygodnie, oglądając mijane okolice. Nie byłem nigdy w Nyali, ale pejzaż nie różnił się wiele od krajobrazu Nigerii czy innych krajów zachodniej Afryki. Osobicie wolałem mniej cywilizowane widoki afrykańskiej ziemi, pokryte zarolami półpustynne obszary, wiedziałem jednak, że jeszcze sporo ich zobaczę. Znak Coca-Coli spotykało się już na całym wiecie, natomiast reklamy herbaty Brooke Bond i rowerów marki Raleigh stanowiły nadal świadectwo kolonialnej przeszłości Nyali pod rządami Brytyjczyków.

Był wczesny poranek. Spałem w samolocie i czułem się teraz

całkowicie rozbudzony i gotowy do działania, czego nie mogłem powiedzieć o Sutherlandzie. Wyglądał na wykończonego i zastanawiałem się, do jakiego stopnia ma tego wszystkiego dość.

- Dostaliśmy z firmy samolot? - zapytałem.

- Tak. I dobrego pilota. To Rodezyjczyk. - Milczał przez chwilę, po czym dodał ostrożnie: - Dziwne było to zebranie w zeszłym tygodniu. Kazano mi wrócić do Londynu w ciśgu dwunastu godzin, a wyniknęło z tego tylko tyle, że siedzieliśmy przy stole, opowiadając sobie historie, które wszyscy już znają.

Wiedziałem, że próbuje co ze mnie wyciśnąć.

- O większości spraw nie miałem pojęcia. To było dla mnie spotkanie informacyjne.

- Tak, domyliłem się.

- Jak długo pracujesz w firmie? - zapytałem.

- Siedem lat.

Nigdy dotąd go nie spotkałem, ani o nim nie słyszałem, nie było w tym jednak nic dziwnego. To duże przedsiębiorstwo i regularnie widywałem tam nowe twarze. Sutherland słyszał jednak zapewne o mnie, ponieważ z moim nazwiskiem łączyły się kłopoty. Byłem człowiekiem od trudnych zadań, jednoosobowym korpusem ekspedycyjnym, czasem ramieniem sprawiedliwoci. Gdy tylko pojawiałem się na czyim terenie, miejscowy szef miał uczucie skurczu w żołądku, zastanawiając się, co, do cholery, poszło nie tak.

- Nie przejmuj się, John - powiedziałem, aby go uspokoić. - Po

prostu Geddes ma mrówki w spodniach. Kłopot polega na tym, że sš niewidzialne. Spędzam tu tylko chwilowo przerwany urlop.

- Jasne - stwierdził Sutherland, nie wierząc w ani jedno słowo. -

Co zamierza pan najpierw zrobić?

- Myślę, że będę chciał pojechać na parę dni do Bir Oassa, skorzystać z samolotu i przelecieć się nad tš ich autostradš. Potem spotkałbym się może z kim z rzšdu. Kogo by proponował? \*

Sutherland potarł dłoniš szczękę. Wiedział, że czytałem sporo na temat tych ludzi i było bardzo prawdopodobne, iż orientowałem się w sytuacji lepiej niż on.

- Minister spraw wewnętrznych, Hamah Ousemane i minister finansów, John Chizamba. Od jednego z nich warto by zacząć.

Przypuszczam, że Daondo będzie chciał wtršcić swoje trzy grosze.

- To miejscowy Goebbels, tak?

- Owszem. Jest ministrem dezinformacji.

Umiechnšłem się drwišco i Sutherland nieco bardziej się odprężył.

- Kogo najbardziej wierzbiš ręce? A może jakim cudem żadnego z nich nie da się przekupić?

- Nie ma mowy o takich cudach. Nie potrafię powiedzieć, który z nich jest najbardziej zachłanny. Ale parę informacji można kupić właściwie od kogokolwiek.

Bylimy równie skorumpowani jak ludzie, z którymi robilimy interesy. W moim zawodzie nie brakowało miejsca na pewnš dozę uczciwoci, kwitła jednak również sztuka kręactwa i, szczerze mó-

wiść, całkiem mnie to bawiło. Stanowiło rozrywkę, a nigdy nie rozumiałem, dlaczego zarabianie na życie musi być pozbawione przyjemności.

- W porządku - stwierdziłem. - Nie mów mi tylko, że nie masz żadnych kłopotów. Nie byłby człowiekiem. Co przyprawia cię teraz o największy ból głowy?

- Firma przewozowa.

- Wyvern? Na czym dokładnie polega problem?

- Pierwszy transport powinien wyruszyć za tydzień, ale statek z platformą jeszcze nie przypłynął. Dostarczajś już specjalnym frachtowcem, a nie regularną linią i mają jakieś problemy z celnikami.

Jest tutaj szef techniczny firmy i zdrowo się poci. Jedził po autostradzie, sprawdzając współczynniki nachylenia i tolerancji i nie jest zachwycony tym, co zobaczył. Wrócił teraz do miasta, żeby dopilnować wyładunku platformy.

- A przewożony sprzęt?

- Och, z transformatorami i kotłami jest wszystko w porządku.

Szef tylko trochę za duży, żeby przewozić je Land Roverem. Chce pan zobaczyć się od razu z szefem?

- Nie, spotkam się z nim po powrocie z Bir Oassa. Nie warto rozmawiać, póki nie ma o czym. Brak platformy to żaden temat.

Powiedziałem Sutherlandowi, że nie zamierzam przeszkadzać mu w pracy i był z tego zadowolony. Jadąc szerokim bulwarem dotarlimy do ogromnego, zakurzonego placu, na rodku którego

stał wielki pomnik. Wiedziałem, że siedzący na cokole dżentelmen to Maro Ofanwe. Nie miałem pojęcia, dlaczego nie zniszczono pomnika wraz z jego pierwowzorem. Samochód przemknął między pojedynczymi pojazdami, przystając w końcu przed jednym z ostatnich ocalałych w tym rejonie kolonialnych budynków. Odpadał z niego tynk, a drewniane balkony chyliły się ku upadkowi. Nie trzeba dodawać, że był to mój hotel.

- Zdobycie dla pana pokoju kosztowało mnie trochę zachodu - stwierdził Sutherland, dając mi do zrozumienia, że ma swoje znajomości.

- Cóż tu jest takiego atrakcyjnego? To żaden raj dla turystów.

- Na Boga, oczywiście, że nie! Ludzi przyciąga nafta. W Luard znajdzie pan mnóstwo nafciarzy: Amerykanów, Francuzów, Rosjan, czy kogo tam jeszcze. Rzśd wykazał się eklektyzmem w przydzielaniu koncesji. Czy mogę co jeszcze dla pana zrobić? - dodał, zatrzymując samochód.

- Dzisiaj już nic więcej. Dziękuję, John. Zamelduję się w hotelu, przebiorę i doprowadzę do porządku, a potem zrobię zakupy i trochę się przejdę. Jutro o siódmej trzydzięci będzie mi potrzebny samochód na lotnisko. Masz czas dzi wieczorem?

Sutherland spodziewał się tego pytania i stwierdził, że faktycznie jest wolny. Umówiliśmy się na drinka i lekką kolację. Dawało mi to okazję, żeby omówić z nim wszystko, co zaobserwowałem albo nad czym zastanawiałem się w ciągu całego dnia. Należy zawsze korzy-

stać z wiedzy ludzi, którzy znajš dany teren.

Następnego ranka przed godzinš dziewięts leciałem wzdłuż wybrzeża, pokonujšc pierwszych trzysta kilometrów drogi do Lasulu, gdzie mieliśmy wylšdować dla uzupełnienia paliwa przed wyruszeniem w głšb kraju. Ruch na szosie był większy niż mogłem się spodziewać, ale o wiele mniejszy niż przewidywała konstrukcja tej klasy autostrady. Wyjšłem maš lornetkę i zacząłem obserwować drogę.

Jechało niš kilka limuzyn i pojazdów z napędem na cztery koła, jak Suzuki czy Land Rover oraz sporo starych, rozklekotanych ciężarówek. Zaskakujšco duzo było ciężkich wozów: trzydziesto-, czterdziesto to nowych. Zauważyłem, że jeden z nich wiezie ładunek rur wiertniczych. Dalej jechała cysterna, a w następnej ciężarówce, sšdzšc po zostawianych przez niš ladach, była płuczka wiertnicza. Cały ten konwój obsługiwał przemysł naftowy, zaopatrujšc z Port Luard roponone pola na północy.

- Czy mógłby pan polecieć za Lasulu? - poprosiłem pilota, pogodnego chłopaka o nazwisku Max Otterman. - Niedaleko, ze trzydzieci kilometrów. Chciałbym przyjrzeć się drodze z tamtej strony.

- Kończy się jakie półtora kilometra za miastem. Ale polecę w tamtym kierunku - odparł.

Rzeczywicie, droga znikwała w miniaturowej zabudowie otacza\*jšcej Lasulu, wyłaniajšc się znowu w głębi lšdu. Przedłużenie nadmorskiego odcinka autostrady stanowiła szosa prowadzšca dalej na

północ. Wyglądała mniej imponująco, lecz najwyraźniej nadawała się znakomicie do użytku. W niewielkim porcie panował spokój, kotwiczyły tam dwie czy trzy dość duże jednostki. Wydawało się, choć z samolotu trudno było to stwierdzić, że w Lasulu stawiano co najwyżej trzypiętrowe budynki. Nad miastem unosiła się stale mgiełka dymu z palenisk nędznych domostw.

Uzupełnianie paliwa na pasie startowym nie trwało długo, a potem skierowaliśmy się w głąb lądu. Z Lasulu do Bir Oassa było jakie tysiąc trzysta kilometrów. Lecielimy nad szerokim betonowym pasem, nie pasującym do otoczenia, który przedzierał się przez bagna, tropikalną dżunglę, sawannę i pokryty zarolami skraj pustyni. Autostradę zbudowali za pieniądze Rosjan włoscy inżynierowie pod nadzorem Japończyków i przy udziale międzynarodowych ekip drogowców. Kosztowała dwa razy drożej niż powinna, a nadwyżka pieniędzy spłynęła nielegalnie do stu różnych kieszeni i na numerowane konta w szwajcarskich bankach. Było to zaiste międzynarodowe przedsięwzięcie.

Rosjan nie martwił fakt, że w ten sposób wykorzystuje się ich pieniądze. Nie żalowali grosza i, prawdę mówiąc, bardzo się starali, żeby część finansowych nadwyżek trafiła do właściwych kieszeni. Był to tani sposób kupienia sobie przyjaciół w kraju, który znajdował się w niepewnej sytuacji i lada podmuch mógł go pchnąć ku Wschodowi lub Zachodowi. Wykonując taki ruch na szachownicy wiatowej dyplomacji uprzedzało się identyczne posunięcie ze stro-



ny innego mocarstwa.

Droga biegła przez gęsty las, a potem zaczęła podchodzić ku niebu, pnąc się po zboczach okalających centralny płaskowyż. Dalej przecinała morze traw i zarośli, docierając przez suche, pustynne obszary do Bir Oassa, gdzie wieże platform wiertniczych tworzyły nowy, metalowy las.

Spędziłem dwa dni w Bir Oassa, rozmawiając z pracownikami i z ich szefami, podpatrując przebieg robót i nadstawiając ucha na wszelkie niepokojące informacje. Nie natrafiłem na nic szczególnie godnego uwagi i nie zauważyłem, aby cokolwiek było nie w porządku. Poskarżył mi się tylko Dick Slater, główny specjalista od kotłów, któremu przekazano wiadomość o zmianie harmonogramu i wcale mu się to nie podobało.

- Moich trzydziestu instalatorów będzie grało w karty, zamiast pracować - stwierdził szorstko. - Dlaczego, do jasnej cholery, musisz wysyłać najpierw transformatory?

Wszystko mu już wyjaśniono, ale upierał się przy swoim.

- Spokojnie - powiedziałem. - Wyraził na to zgodę Geddes z Londynu.

- Londyn! Co oni wiedzą? Ten Geddes za cholere się na tym nie zna - stwierdził. Slater nie miał zwyczaju owijać niczego w bawełnę.

Uspokoilem go - no, może połowicznie - i poszedłem rozejrzeć się za innymi problemami. Odczuwałem niepokój, kiedy nie mog-

łem na nic natrafić.

Na drugi dzień zadzwonił do mnie Sutherland. Słabo słyszałem jego głos wśród trzasków płynących z pląstanki drutów.

- ... spotkanie z Ousemane i Daondo. Czy chce pan...?

- Tak, chcę tam być - krzychałem do słuchawki. - Ty i kto jeszcze?

- ...Kemp z firmy Wyvern. Jutro rano...

- Czy jest już platforma?

- ...rozładuj się... przypląnęła wczoraj...

- Na pewno się zjawię.

Spotkanie odbywało się w chłodnej sali Pałacu Sprawiedliwoci.

Najważniejszym przedstawicielem rządu był minister spraw wewnętrznych, Hamah Ousemane, który z uprzejmym umiechem przewodniczył obradom. Niewiele mówił, pozostawiając to zadanie niskiemu, szczupłemu mężczyźnie, którego przedstawiono jako Zinsou Daondo. Nie byłem pewien, czy Ousemane nie rozumie, o co chodzi; czy też rozumie, ale go to nie interesuje. Okazywał absolutną obojętność.

Zaskakiwała bardzo obecność na tego rodzaju spotkaniu generała majora Abrarna Kigonde, dowódcy armii. Chociaż nie był członkiem rządu, stanowił żywą ilustrację słów Mao, że źródłem władzy jest lufa karabinu. Żaden rząd w Nyali nie przetrwałby bez jego przyzwolenia.

Nie rozumiałem początkowo, skąd jego udział w rozmowie na temat przewożenia wielkich urządzeń dla elektrowni.

Z naszej strony byłem ja, Sutherland i Basil Kemp, szczupły

Anglik o wychudłej, brązowej twarzy, na której odcisnęły swe piętno zgryzoty i zmęczenie. Powitał mnie doć uprzejmie, pamiętając nasze ostatnie spotkanie sprzed kilku lat i nie wydawał się zaniepokojony moją obecnością. Prawdopodobnie miał już za wiele własnych problemów. Pozwoliłem Sutherlandowi poprowadzić rozmowę. Zwracał się z pytaniami do ministra, a Daondo udzielał odpowiedzi. Przypominało to do złudzenia występ bruchomówcy, trudno było mi się jednak zorientować, kto pełni rolę marionetki. Kigonde uparcie milczał.

Po krótkiej przyjacielskiej wymianie zdań (dzięki Bogu, nie na temat pogody) przeszliśmy do interesów i Sutherland, omówiwszy parę spraw porządkowych, włączył do rozmowy Kempa. \$

- Czy moglibyśmy poprosić o mapę, panie Kemp?

Kemp umieścił ją na dużym stole i wskazał istniejące na trasie wśkie gardła.

- Musimy przejeżdżać przez Port Luard i Lasulu. To duże miasta i transportowanie przez nie takiego ładunku stwarza pewne problemy. Przekonałem się w Europie, - że podobne operacje przyciągają tłumy ludzi i nie sądzę, by tutaj było inaczej. Prosilibyśmy o policyjną eskortę.

Daondo pokiwał głową.

- Z pewnością zjawi się tłumy. - Wydawał się z tego zadowolony.

- W Europie dokonujemy zwykle takich przewozów w porze

najmniejszego natężenia ruchu. Najlepiej w pónych godzinach nocnych.

Daondo zareagował na tę uwagę zmarszczeniem brwi i odniosłem wrażenie, że minister ledwo zauważalnie kręci głowš. Wzmogłem czujność.

Kigonde poruszył się i odezwał po raz pierwszy głębokim, pięknie modulowanym głosem:

- Z pewnościš dostanie pan eskortę, panie Kemp, ale nie policyjną. Przekazuję do pańskiej dyspozycji oddział wojska. - Pochylił się i nacisnął guzik. Otworzyły się drzwi i do stołu podszedł elegancko ubrany oficer. - To kapitan Ismail Sadiq, dowódca eskorty.

Kapitan Sadiq strzelił obcasami, skłaniając głowę, po czym na dany przez Kigonde znak stanął obok stołu.

- Wojsko będzie panom stale towarzyszyło - oznajmił Daondo.

- Przez całą podróż? - zapytał Sutherland.

- I wszystkie następne.

Wyczułem, że Sutherland zamierza powiedzieć co niestosownego, więc go ubiegłem.

- Jesteśmy niezwykle zaszczyceni, panie generale majorze i doceniamy, że okazał się pan tak zapobiegliwy. W swojej pracy nie spotykamy się na ogół z podobnymi honorami.

- Nasze siły policyjne nie są liczne i mają już zbyt wiele zadań.

Zapewnienie bezpieczeństwa ekspedycjom takim jak pańska uważamy za sprawę najwyższej wagi, panie Mannix. Wojsko jest do

pana dyspozycji. - Wyrażał się bardzo swobodnie i uznałem, że tę małą potyczkę zakończy remis. Nastawiłem się na dobrą zabawę.

- Proszę wyjanić, jakimi siłami pan dysponuje, kapitanie - powiedział Daondo.

Głos Sadiqa miał miękkie brzmienie i nie pasował do jego wyglądu.

- Do zadań na trasie mam cztery wozy piechoty z szecioosobowymi załogami, dwie ciężarówki dla potrzeb kwatermistrzostwa, mój własny wóz sztabowy plus motocyklistów. Osiem pojazdów, sześć motocykli i trzydziestu szeciu ludzi, łącznie ze mną. W miastach jestem upoważniony wzywać na pomoc stacjonujące na miejscu jednostki, żeby zapanować nad tłumem.

Było to wytaczanie przesadnie ciężkich dział. Nigdy nie słyszałem, by platforma potrzebowała tego rodzaju eskorty dla ochrony przed tłumem czy z jakichkolwiek innych względów bezpieczeństwa, chyba że w warunkach wojennych. Obudziło to moją ciekawość, nie odezwałem się jednak i pozwoliłem Sutherlandowi kontynuować. Wziął ze mnie przykład, wyrażając tylko swoją wdzięczność i nie wspominając o niepokojach. Stwierdził, że spodziewał się co najwyżej paru niechętnie nastawionych i nie wyszkolonych policjantów.

- W nylańskiej armii ranga kapitana jest stosunkowo wysoka, panowie - mówił Kigonde. - Nie musicie się obawiać, że ktokolwiek was zatrzyma.

- Z całą pewnością - powiedział uprzejmie Kemp. - Miło nam będzie skorzystać z pańskiej pomocy, kapitanie. Ale są jeszcze inne

sprawy. Z przykrociś stwierdzam, że w kilku miejscach stan drogi

nie jest najlepszy i moje ładunki mogś okazać się za ciężkie.

Było to delikatnie powiedziane, ale Kemp czynił wysiłki, by wyrażać się dyplomatycznie. Zastanawiał się najwyraniej, czy Sadiq ma pojęcie o zasadach przewożenia ciężkich ładunków i czy eskorta wojskowa oznacza także pomoc ze strony żołnierzy. Daondo odgadł jego myli, mówiąc swobodnym tonem:

- Kapitan Sadiq będzie upoważniony do prowadzenia pertraktacji z cywilnymi władzami wszędzie, tam gdzie mogś wyniknąć jakiegolwiek trudności. Jestem pewien, że znajdzie się dla panów odpowiednia siła robocza. I, oczywiście, niezbędne materiały.

Wszystko to wyglądało zbyt dobrze, aby było prawdziwe. Kemp przeszedł do następnej sprawy.

- Zapanowanie nad tłumami ludzi na ulicach to oczywiście tylko część problemu, panowie. Podstawowa trudność polega na przeprowadzeniu ogromnej ciężarówki przez miasto. Zaznaczyłem tutaj na mapie proponowanś trasę przejazdu przez Port Luard, z portu na peryferie. Oceniam, że zajmie to osiem do dziewięciu godzin. Czerwona linia oznacza najłatwiejsz i, prawdę mówiąc, jedynś drogę, a liczby w kółkach okrelajś przybliżony czas pokonywania każdego odcinka. Powinno to pomóc w regulowaniu ruchu, chociaż nie będziemy raczej sprawiać większych problemów, przejeżdżajśc przez centralne obszary miast głównie nocś.

Minister poruszył się nagle, kiwajśc palcem na boki. Spojrzawszy

na niego Daondo oznajmił:

- Nie będzie potrzeby przejeżdżać przez Port Luard nocš, panie

Kemp. Wolimy, żeby pan to zrobił w cišgu dnia.

- Dojdzie do poważnych zakłóceń w ruchu - odparł Kemp

z pewnym zdziwieniem.

- Nie ma o czym mówić. Poradzimy sobie z tym. - Daondo

pochylił się nad mapš. - Widzę, że pańska trasa prowadzi przez

Plac Niepodległoci.

- To naprawdę jedyna droga - bronił się Kemp. - Nie dałoby się

w żaden sposób przejechać przez labirynt wšskich uliczek obok

placu, nie powodujšc znacznych zniszczeń budynków.

- Całkowicie się zgadzam - stwierdził Daondo. - Prawdę mó-

wišc, gdyby pan tego nie zaproponował, sami poprosilibyśmy

o wyznaczenie trasy przejazdu przez plac.

To było dla Kempa co zupełnie nowego. Wyobrażał sobie na

pewno, jakiej wrzawy narobiłaby londyńska policja, gdyby wystšpił

z propozycjš przewiezienia przez Trafalgar Square w godzinach

szczytu trzystutonowego ładunku. Gdziekolwiek pracował w Euro-

pie, zawsze był straszony, nękany i odsyłany do diabła, a uzyska-

wszy w końcu zezwolenie na przejazd, musiał przemykać ulicami

potajemnie jak złodziej.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę w milczeniu, trzymajšc

nadal palec na mapie.

- Istnieje jednak jeszcze inny poważny problem. Ten wielki co-

kół na rodku alei prowadzącej na plac. Z naszego punktu widzenia stoi w fatalnym miejscu. Będziemy mieli ogromne trudności z omi-  
nięciem go. Chciałbym zaproponować...

Przerwał mu nieoczekiwanie zdławiony, dudniący miech mini-  
stra, którego twarz nie wyrażała jednak żadnych uczuć. Daondo  
również się umiechał, choć w jego oczach był chłód.

- Tak, panie Kemp, rozumiemy, o co panu chodzi. Nie sądzę, by  
musiał się pan martwić o ten cokół. Każemy go usunąć. Ułatwi to  
zresztą znacznie ruch przy wjeździe w Aleję Zwycięstwa.

Kemp i Sutherland wymienili szybkie spojrzenia.

- Ja... myślę, że to może potrwać - stwierdził Sutherland. - Cho-  
dzi o dużą bryłę kamienia.

- To zadanie dla wojska - rzekł Kigonde, zwracając się do Sadi-  
qa. - Proszę się tym zająć, kapitanie.

Sadiq skinął głową i szybko co zanotował. Debata trwała dalej.

Omówiono szczegółowo wyjazd z Port Luard, natomiast przeprawa  
przez Lasulu, choć pełna naszym zdaniem oczywistych komplikacji,  
zdaniem władz Nyali nie zasługiwała na dyskusję. Mniej więcej  
godzinę później, po wytwornym poczęstunku, byliśmy wreszcie  
wolni. Poszliśmy wszyscy do mojego pokoju w hotelu, nie mogąc  
się doczekać chwili, gdy będzie można szczegółowo przeanalizować  
przebieg tego niezwykłego spotkania. Uznaliśmy zgodnie, że przy  
żadnym z dotychczasowych kontraktów lokalne władze nie wyka-  
zywały takiej gotowości do współpracy. W upalnym słońcu Port



Luard wszelkie problemy topniały jak płatki niegu. Paradoksalne, ale właśnie fakt, że szło to tak łatwo, najbardziej nas wszystkich niepokoił, zwłaszcza Basila Kempa.

- Trudno uwierzyć - powtarzał po raz kolejny. - Oni nas po prostu kochają, prawda?

- Myślę, że trafiła w dziesiątkę, Basil - odrzekłem. - Jesteśmy im naprawdę potrzebni i staraj się to okazać. Nie mają przy tym zwyczaju liczyć się z potrzebami i życzeniami własnych obywateli, zakładając, że ci w ogóle czego sobie życzysz. Mamy przedefilować w pełnym wietle dnia przez sam rodek miasta, i do diabła z drobnymi przeszkodami.

- Takimi jak cokolwiek - powiedział Sutherland i obaj się rozemiłimy.

- Chyba nie wszystko rozumiem - stwierdził Kemp. -

Najwyraźniej o co tu chodzi. Muszę przyznać, że nie przyglądałem się zbyt dokładnie temu pomnikowi. Kogo on właściwie przedstawia, jakiego miejscowego dygnitarza?

Sutherland chrząknął znacząco.

- Myślałem, że staremu Ousemane ze miechu pęknie spodnie.

Na cokole stoi nadal pomnik Maro Ofanwe: wysoka na dziewięć metrów postać z brązu, o bardzo bohaterskim wyglądzie. Na razie ignorowano uparcie istnienie posągu, bo był trochę zbyt ciężki, żeby wysadzić go w powietrze albo zburzyć, ale teraz mają pretekst, na który czekali. Przy okazji w ten niezbyt subtelny sposób dadzą

wszystkim do zrozumienia, że nie potrzeba im tu już żadnych tyranów. Ofanwe to był straszliwy kataklizm, który nie powinien się powtórzyć.

3

W cišgu następných paru dni zajmowałem się nadal svojš pracš, co polegało głównie na tym, że próbowałem ustalić, czym mam się zająć. Rozmawiałem z wieloma członkami rzšdu i odbyłem specjalne spotkanie z ministrem finansów, z którego obaj bylimy zadowoleni. Pomówiłem też z dziennikarzami w barach, z paroma biznesmenami i kilkoma emigrantami z Wielkiej Brytanii, którzy z uporem trzymali się przeszłoci, gotowi opłakiwać minione dni chwały. Z gšszczu zebranych z mozołem i sprzecznych często informacji wyłonił się powoli obraz, niezbyt przypominajšcy ten, który namalował dla mnie w Londynie Shelford.

Zostałem przy okazji honorowym członkiem Klubu Luard, do którego w czasach kolonialnych należeli wyłącznie biali, teraz za spotykało się w nim przedstawiciele różnych ras. Bywało tam też nadal wielu ludzi dobrze znajšcych Afrykę i od paru z nich dowiedziałem się z grubsza, co złego może dziać się w Nyali.

Kemp i Sutherland zajmowali się tymczasem bardziej konkretnš robotš. Tego ranka, gdy miał wyruszyć w drogę pierwszy duży ładunek, wstałem wczynie, wypoczęty, choć niekoniecznie w sielankowym nastroju. Kiedy jechałem do portu, aby zobaczyć załadowanš platformę, weszło właśnie słońce i temperatura sięgała już

trzydziestu stopni. Nie miałem dotąd okazji porozmawiać z Kempem i choć wstąpiłem, by teraz była po temu odpowiednia chwila, w którym momencie musiałem go złapać.

W miejscu, gdzie zastałem jego i Sutherlanda, panowało spore zamieszanie. Obaj wydawali się zgnębieni. Mieli wokół siebie kilkudziesięciu ludzi, którzy biegali w kółko, wykrzykując pytania i polecenia. Pracowali tak już od dłuższego czasu i wszystko było niemal gotowe do akcji. Przyglądałem się temu zafascynowany.

Widok ogromnej platformy nie był mi obcy, a jednak zapierał dech w piersiach. Potężne wozy do holowania, a właściwie cišgniki z kompletnymi kabinami, stały po obu stronach niskiej przyczepy, na którą w cišgu ostatnich paru godzin opuszczano z wielkim trudem, centymetr po centymetrze, transformator. Wokół uwijały się małe portowe pojazdy, wózki widłowe i skutery, niby mrówki-robotnice na usługach potężnej, spoczywającej w bezruchu królowej. Fascynował mnie jednak i bawił widok niewielkiej grupy czarnych robotników portowych, którzy wdrapywali się na platformę niby stado zwinnych, hałaliwych małp, pracowicie wišżąc sznury kolorowych choršgiewek wszędzie tam, gdzie udało się je przyczepić między dwoma wystajšcymi elementami. Przeważały zielono-żółte barwy nyalańskiej flagi. Jedną z bander wcišgano właśnie na maszt, przytwierdzony do zderzaków pierwszego cišgnika. Nic dziwnego, że Kemp wyglądał jak rażony piorunem i miał dość ponurš minę.

Pospieszyłem w jego kierunku i znalazłem się przy nim równocze-

nie z panem Daondo, który wysiadł właśnie z czarnej limuzyny. Daondo oparł ręce na biodrach, przyglądając się z wielką satysfakcją ogromnej platformie, po czym odwrócił się do nas i rzekł zadowolony:

- Dzień dobry, panowie. Widzę, że wszystko idzie doprawdy znakomicie.

- Dzień dobry, panie Daondo - odparł Kemp. - Cześć, Neil. Czy mogę zapytać, co...

- Cześć, Basil. Mamy wspaniałą pogodę, prawda? Panie Daondo, proszę pozwolić nam na chwilę rozmowy. Przyniosłem ci te dane, Basil...

Mówiąc szybko, machając notatnikiem i nie dając Kempowi dojść do słowa, zdołałem odcisnąć go od Daondo, którego zabawił tymczasem John Sutherland.

- Co oni wyprawiają, do cholery? - wciekał się Kemp.

- Spokojnie. Bez nerwów. Nie widzisz? Urządzają widowisko dla ludności. Przejazd przez miasto w ciągu dnia od początku miał temu służyć. Budowa elektrowni to jedno z największych przedsięwzięć w historii Nyali i rząd chce się nim trochę poszczycić. I właściwie, dlaczego nie?

- Ale w jaki sposób? - Kemp, człowiek w zasadzie dość inteligentny, okazał się bardzo ograniczony, gdy chodziło o jego drogocenną platformę.

- Jeszcze nie zaskoczyły? Macie być główną atrakcją triumfalnego pochodu przez miasto, przez Plac Niepodległości. Rosjanie

robiš takie defilady ze swoimi raketami na Placu Czerwonym z okazji Pierwszego Maja. Ludzie przyjdš was oglšdać, będzie grała orkiestra i tak dalej.

- Mówisz poważnie? - zapytał Kemp z obrzydzeniem.

- Jak najbardziej. Rzšd musi nie tylko rzšdzić, ale i pokazywać, że to robi. Majš prawo do reklamy.

Kemp dał za wygranš, mruzc co pod nosem.

- Nie przejmuj się. Gdy tylko wyjedziesz z miasta, będziesz mógł cišgnć z włosów twojej lubej te wszystkie wstšzeczki i zabrać się jak należy do pracy. Pogadaj z kierowcami. Chciałbym ich poznać, ale nie teraz. I życz im dobrej zabawy. To uroczysta okazja.

- W porzšdku. Chyba nie mamy innego wyjcia. Ale sytuacja jest cholernie dokuczliwa. Przewozenie takiego sprzętu to wystarczajšco ciężka praca, nawet gdy nie trzeba przedzierać się przez wiatujšce i powiewajšce flagami tłumy.

- Nie będziesz musiał się przedzierać. On tego dopiluje. - Wskazałem kciukiem na Daondo. - Twój chłopcy pojedš z ładunkiem tak jak zwykle. Mylę, że powinniśmy już wracać.

Podeszliśmy z powrotem do miejsca, w którym Daondo, oparty niedbale o maskę Mercedesa, rozprawiał o czym z grupkš swoich podwładnych. Sutherland brał w tym czynny udział razem z niskim, krępy męczyznš o ogorzałej twarzy. Przedstawił mi go.

- Neil, to Ben Hammond, mój najlepszy kierowca. A to pan

Mannix z British Electric. Mylę, że Bena można by nazwać zarzšd-

cš mojego rancza.

Umiechnšłem się szeroko.

- Masz ładne stado, Ben. Chciałbym spotkać się póniej z całš załogš. Jaki jest harmonogram?

- Mówiłem włanie panu Daondo, że sš chyba gotowi do wyruszenia w kaźdej chwili. Ale to zależy, oczywicie, od pana Kempa.

- Dziękuję, panie Sutherland. Zamienię słowo z Daondo i możemy ruszać - stwierdził Kemp.

Byłem zaskoczony, że moi brytyjscy koledzy sš nadal tak bardzo przywišzani do nazwisk i tytułów. Zastanawiało mnie, czy będš przebierać się do kolacji, gdy platforma stanie na noc gdzie w buszu. Mojsz uwagę zwrócił Daondo, którego otaczała grupa dziennikarzy. Poszły w ruch kamery, aparaty fotograficzne i notatniki, nie było jednak takiego przepychania się jak w Europie. Może wpłynęła na to obecność kilku uzbrojonych żołnierzy.

- A, panie Mannix - powiedział Daondo, - Organizuję włanie krótkš konferencję prasowš. Zechce mi pan towarzyszyć?

- Będę zaszczycony, panie ministrze. Ale tak naprawdę nie ja jestem panu potrzebny, tylko pan Kemp.

Kemp posłał mi piorunujšce spojrzenie za to, że lekkš rękš zrzuciłem na niego odpowiedzialność.

- Czy mogę zabrać ze sobš pana Hammonda? - zapytał, cišgnšc za rękę Bena. - Zaprojektował tę platformę. Ma do niej wielki sentyment.

Spojrzałem na krępego mężczyznę z pewnym zaskoczeniem. Nie wiedziałem o tym fakcie i dał mi on do mylenia. Spółka Wyvern Transport była może nową firmą, ale najwyraźniej skupiała wokół siebie wielu utalentowanych ludzi. Mój szacunek dla Geoffa Wingsteada nieco wzrósł.

Konferencja prasowa już się rozpoczęła. Trzaskały cicho aparaty, fotografując ustawionych na tle platformy ludzi. Kamerzyci poruszali się w przód i w tył, kierowani przez swoich asystentów. Reporterzy schylali głowy i obchodzili plataninę lin, łańcuchów, bloków i cum, które walały się po ziemi. Zadawano nieuniknione pytania. Słuchałem uważnie, bo miałem w ten sposób okazję dowiedzieć się paru technicznych szczegółów.

- Jak duży jest właściwie ten pojazd?

Kemp wskazał, że głos ma zabrać Ben Hammond. Ben, umięchnięty jak facet z reklamy pasty do zębów, delectował się chwilą sławy, gdy podsunięto mu pod nos mikrofony.

- W swym obecnym kształcie transporter ma około trzydziestu metrów długości. Możemy dołączyć dodatkowe segmenty, długie na ponad pięć metrów, ale podczas tej wyprawy nie będą nam one potrzebne.

- Czy brany jest pod uwagę także napęd?

- Ciężniki? Nie, są liczone oddzielnie. Przy pokonywaniu górskiego terenu szepimy cztery z nich i wówczas całkowita długość pojazdu przekroczy siedemdziesiąt metrów.

- Nasi czytelnicy mogł nie być w stanie sobie tego wyobrazić -  
odezwał się kolejny głos. - Zechce pan przyrównać do czego po-  
dane wielkoci?

Hammond szukał w myślach analogii, po czym rzekł:

- Zauważyłem, że gracie tu chętnie w piłkę nożną.

- Rzeczywiście - włączył się Daondo. - Sam jestem kibicem. -

Umiechnął się skromnie, wtrącając osobistą uwagę. - W zeszłym  
roku, będąc ambasadorem w Zjednoczonym Królestwie, oglądałem  
finał mistrzostw świata na Wembley.

- No cóż - stwierdził Hammond - proszę sobie wyobrazić, że  
gdyby wjechał pan z tą platformą na boisko w Wembley, czy jakie-  
kolwiek inne boisko do piłki nożnej o standardowych wymiarach,  
wypełniłaby ona całą jego długość, wystając jeszcze z każdej strony  
na trzydzieci centymetrów. Czy to wystarczy?

Rozległy się pełne uznania głosy i Kemp stwierdził cicho:

- Dobra robota, Ben. Tak trzymaj.

- Jak ciężki jest pojazd? - padło pytanie.

- Transporter waży dziewięćdziesiąt ton, a ładunek, wielki  
transformator, trzysta ton. Dodając do tego czterdziestotonowe ciąg-  
niki otrzymujemy łącznie pięćset pięćdziesiąt ton.

Wszyscy pilnie notowali, bez wytchnienia pracowały kamery.

Hammond dodał, popisując się wiedzą zdobytą zaledwie przed  
kilkoma dniami:

- Słoń waży około sześciu ton. Odpowiada to więc wadze pra-



wie stu sioni.

Porównanie przyjęto ze sporym rozbawieniem.

- Wygląd tych ciągników nie wskazuje, by ważyły czterdzieci

ton - naciskano.

- Majś obciśnienie. Osadzone w betonie stalowe płyty. Musimy stosować przeciwwagę dla ciężaru ładunku, bo inaczej transporter będzie najeżdżał na ciągniki - zwłaszcza w górzystym terenie. Pokonywanie wzniesień jest bardzo niebezpieczne.

- Jak szybko pojedziecie?

Teraz włączył się Kemp.

- Na równinie, przy wykorzystaniu wszystkich ciągników moglibyśmy, jak sśdżę, poruszać się z prędkościś ponad trzydziestu kilometrów na godzinę, a jadśc z góry nawet szybciej. Ale nie zrobimy tego. Sunśc trzydzieci kilometrów na godzinę ciężar pięciuset pięćdziesięciu ton nie tak łatwo jest zatrzymać, a nie lubimy ryzyka. Nie przypuszczam, żebyśmy w którymkolwiek momencie przekroczyli prędkość kilkunastu kilometrów na godzinę. Na ogół będziemy jechać o wiele wolniej. Mamy zamiar posuwać się rednio osiem kilometrów na godzinę, przez dziesięć godzin dziennie. Przejazd z Port Luard do Bir Oassa zajmie dwadziecia dni.

Wywołało to niedowierzanie i zdumienie obecnych. Ciekawe, że w epoce szybkiego transportu rekordowo wolna jazda mogła fascynować tak samo, jak osiśganie najwyższych prędkoci.

- Ile kół ma pojazd?

- Dziewięćdziesiąt sześć i osiem zapasowych - odparł Hammond.

- Ile opon przebijecie?

- Mamy nadzieję, że ani jednej. - Wywołało to miech.

- Po co jest ta druga, duża ciężarówka?

- Wiecie podnośnik powietrzny i zasilający go sprzęt - wyjaśnił

Kemp. - Stosujemy to urządzenie, aby rozłożyć ciężar ładunku przy przekraczaniu mostów. Działa na zasadzie poduszkowca. Napęd stanowiś cztery silniki Rolls-Royce'a o mocy dwustu czterdziestu koni mechanicznych każdy. Sam ten pojazd waży osiem ton.

- A co jest w pozostałych?

- Części zamienne, narzędzia, żywność, rzeczy osobiste, paliwo.

Jak państwo widzicie, musimy zabierać wszystko ze sobą.

Powstało poruszenie, gdyż do Daondo podszedł jego asystent, szepejąc mu co do ucha. Daondo podniósł rękę i oznajmił głośno:

- Dziękuję państwu, to na razie Wszystko. Zapraszam teraz do tej wspaniałej, ogromnej maszyny, której funkcjonowanie zainauguruje uroczycie Jego Ekscelencja minister spraw wewnętrznych, odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego wielce czcigodny Hamah Ousemane. - Dotknął mojego ramienia. - Proszę tędy.

Kiedy szliśmy za nim, usłyszałem jak Hammond mówi do Kempa:

- Co on ma zamiar zrobić? Rozbić o platformę butelkę szampana?

- Naprawdę zaprojektowała tę konstrukcję? - zapytałem, umiechając się jowialnie.

- Owszem, opracowałem pewne udoskonalenia standardowej platformy.

- Ben także już montował - dodał Kemp.

Zrobiło to na mnie wrażenie.

- Jak na faceta niewielkiego wzrostu bawisz się dużymi zabawkami.

Hammond zeszywniał i obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem. Najwyraźniej dotknąłem jego czułego miejsca.

- Mam metr pięćdziesiąt osiem - odparł krótko. - Dokładnie tyle, co Napoleon. /

- Nie chciałem cię urazić - powiedziałem pośpiesznie. W tym momencie zatrzymaliśmy się wszyscy nagle obok platformy, aby wysłuchać przemówienia Ousemane. Mówił potocznie, dononym głosem, najpierw po angielsku, a potem przez długi czas po nylańsku. Słońce przypiekało coraz bardziej i wszyscy opadali z sił. Na koniec przecięto wstęgę i wymieniono uciski dłoni, powtarzając niektóre z nich dla prasy, po czym Ousemane odjechał wreszcie swoim Mercedesem. Kemp z ulgą otarł pot z czoła.

- Mylisz, że możemy zabierać się do roboty? - zapytał, nie zwracając się właściwie do nikogo.

Daondo podszłał znowu w naszym kierunku. W pobliżu zebrało się zaskakująco dużo wojska i narastała atmosfera wyczekiwania.

- Znakomicie, panie Kemp! Jesteśmy już wszyscy gotowi do drogi - stwierdził Daondo. - Sprzęgnie pan wszystkie ciągniki, prawda?

Kemp odwrócił się do mnie, cicho mówiąc znękanym głosem:

- Po co? Po równinie będziemy jechać najwyżej osiem kilometrów na godzinę, a do tego wystarczy nawet jeden ciągnik.

Niepoprawna ignorancja Kempa zaczynała mnie już trochę męczyć. Nie chciałem, żeby Daondo go usłyszał i wpadł w gniew.

Umiechnąłem się za plecami Kempa, mówiąc:

- Oczywiście. Wszystko odbędzie się tak, jak pan sobie życzy, panie ministrze.

- To dobrze - odparł. - Muszę zdążyć przed panami na Plac

Niepodległości. Kapitan Sadiq wszystkiego tu dopilnuje. - Oddalił się pospiesznie do samochodu.

- Chcę, żebyśmy urządzili paradę i zrobimy to - powiedziałem z naciskiem do Kempa. - Wykorzystaj wszystkie pojazdy. Ustaw je w rzędzie, nawet kuchnię polową. Dopóki nie wyjedziemy z miasta, ma to być prawdziwa defilada.

- Kto ją rozpoczyna?

- Ty. Powiedz swoim kierowcom, żeby ustawili się w kolumnę, jak tylko będą gotowi. Pozostali muszą się was trzymać. Ja pojedę z tobą w Land Roverze.

- Kupa błaznów - stwierdził Kemp wzruszając ramionami i oddalił się, by wydać instrukcje kierowcom. Przez chwilę nie miałem nic do roboty, poszedłem więc jeszcze raz rzucić okiem na platformę. mieszna sprawa: ile razy człowiek ogląda jaki samochód, machinalnie kopie nogą w oponę. Potwierdzi to każdy sprzedawca używanych wozów.

Ja nie byłem wyjściem. Dało to prawie taki sam efekt, jakbym kopnął w mur i okazało się dość bolesne. Ciężniki miały nowe, głęboko bieżnikowane opony. Cała platforma wyglądała tak, jakby nigdy jeszcze nie była używana. Zastanawiałem się, czy to dobrze, czy nie. Spojrzałem z ukosa na górniaków nade mną konstrukcją i przypomniał mi się, jak straciłem kiedyś panowanie nad holowaniem za samochodem przyczepą kempingową, pomyślałem z szacunkiem o ludziach kierujących platformami. W tej podróży miały im być potrzebne w równym stopniu umiejętności i szczęście.

Kemp podjechał po mnie Land Roverem z kierowcą. Wskoczyłem na tylne siedzenie. Wokół trwała gorączkowa krzątanina, krzyżowały się rozmowy w eterze.

- W porządku, ruszamy - powiedział Kemp do mikrofonu. -

Trzymaj się mnie, Ben. Prędkość około pięciu kilometrów na godzinę i nie siedź mi na karku. - Potem, gdy kierowcy zasiedli już w kabinach i rozległo się ogłuszające dudnienie wielu silników, powtórzył mniej więcej to samo przez radio w samochodzie. Kapitan Sadiq podjechał do nas, salutując służbicie z tylnego siedzenia odkrytego wozu sztabowego.

- Poprowadzę kolumnę, panie Kemp - oznajmił. - Zechce pan jechać za mną.

- Proszę dostosować prędkość do mojej, kapitanie - powiedział Kemp.

- Oczywiście, sir. Ale proszę także uważać. Może będę musiał

w pewnym momencie stanść. Jesteście panowie gotowi?

Kemp skinął głową i Sadiq ruszył z miejsca. Kemp pytał po kolei wszystkich kierowców, czy są gotowi i w końcu dał znak swojemu szoferowi, by ruszył w ład za Sadiqiem. Byłoby lepiej, gdybym miał platformę przed oczami, gdyż musiałem wykręcać się na tylnym siedzeniu samochodu i spoglądać za siebie. Ku mojemu zdumieniu do defilady zaczęły dołączać pojazdy, których przedtem nie widziałem. Wjeżdżały między wóz Kempa a platformę. Usłyszawszy mój głośny okrzyk Kemp odwrócił się, by zobaczyć, o co chodzi i zaklął.

Wojsko nie poprzestało na półrodkach. W paradzie brały udział zamontowane na odpowiednich pojazdach dwa bezodrzutowe działa, dwa modzierce i dwa ciężkie karabiny maszynowe, a za nimi czołg i co najmniej dwa wozy piechoty.

- Dobry Boże! - powiedział z przerażeniem Kemp i wydał pośpieszne polecenia kierowcy, który zmienił kierunek jazdy, zawracając wzdłuż kolumny wojskowych maszyn. Kemp zwrócił się przez radio do Sadiqa, mówiąc nagle tonem:

- Zajmę miejsce za pojazdami wojskowymi, kapitanie. Muszę być w pobliżu platformy!

Umiechnąłem się, słysząc jak przerywa kapitanowi w pół zdania.

- Są uzbrojeni po zęby - stwierdził ze złością. - Dlaczego on mnie nie ostrzegł, do cholery?

- Może trudniej poradzić tu sobie z tłumem niż w Anglii - odrze-

kłem, zafascynowany rozmiarami przeciśgajścej obok nas defilady.

- Dzięki nam majś okazję się pochwalić, czym dysponujś. Cholesterolnie dobrze wiedzś, że pójdzie to przez telewizję na cały wiat - powiedział Kemp.

- Korzystaj z reklamy, Basil. Masz tam wymalowane pięknymi, dużymi literami słowo: WYYERN. Szkoda, że nie pomylałem jeszcze o fladze z napisem British Electric.

Prawdę mówiąc, ten pokaz militarnej siły budził we mnie pewien niepokój, ale nie chciałem pozwolić, by Kemp to zauważył. Był już i tak wystarczająco zdenerwowany. Wydawał przez radio polecenia, dopóki nie minęły nas czołgi ze stojścymi w wieżach dowódcami.

Zajęliśmy wówczas miejsce w kolumnie za ostatnim wojskowym pojazdem i tuż przed sprzęgnięć teraz ze wszystkimi ciśgnikami platformś. Ben Hammond dał znak rękś z kabiny i platforma ruszyła za nami. Kemp skoncentrował na niej całś uwagę, inne pojazdy spółki jechały za niś. Pochód zamykał John Sutherland w drugim Land Roverze.

Kemp obserwował platformę, oglśdajśc się regularnie i próbujśc nie zwracać uwagi na zgromadzony na trasie rozkrzyczany i wiwatujścy tłum. Posuwalimy się tak wolno, że mali, zwinni chłopcy przemykali tam i z powrotem przez drogę pomiędzy defilujścymi pojazdami. Ogólny zgiełk powiększały jeszcze odgłosy policyjnych gwizdków. Wyjechawszy na prowadźcy do centrum miasta nadmorski bulwar usłyszeliśmy głońiejsze wiwaty. Ludzi było coraz

więcej.

Kemp stał się szczególnie czujny, gdy platforma skręciła za nami w Aleję Zwycięstwa. Pokonywanie zakrętu pojazdem o wadze dwustu czterdziestu ton nie jest prostą sprawą i wolał nie używać do tego dodatkowych ciągników. Ale platformę można było kierować z obu stron. Jeden z ludzi kręcił z tyłu kołem wielkości okrętowego steru, współpracując z Benem Hammondem, który siedział w kabinie na przodzie. Eskorta na motocyklach ubezpieczała kolumnę z boków, gdy platforma, ku uciesze szalejszego tłumu, wjechała w szeroką aleję.

- Kto ogłosił tu chyba święto - stwierdził Kemp.

- To opłacone oklaski - odparłem z umiechem. Kemp usiadł wygodniej, jakby nieco zrelaksowany. Pomyślałem, że może jednak zaczyna mu się podobać rola ważnej osobistości. Land Rover podskoczył na brukowanej nawierzchni i uświadomiłem sobie nagle, że mijamy miejsce, w którym parę dni wcześniej stał pomnik Ofanwe. Wjechalimy na plac, w morze czarnych twarzy i wielobarwnych szat, gestykulujących ręk i dźwięków, które odbijały się echem od widocznych wokół wielkich budynków. Pod ostrym, tropikalnym słońcem panował wszędzie ożywiony ruch i tylko flagi zwisały bezwładnie w nieruchomym powietrzu.

- Chryste! - powiedział z lękiem Kemp. - To przypomina triumfalny pochód Rzymian. Czuję, że powinienem mieć za sobą niewolnicę, szepcząc mi do ucha czule słówka. Memento mori,



pamiętaj o mierci - zacytował.

Chrzęknęłam znacząco. Przywykłam już do faktu, że Brytyjczycy rzucają w najdziwniejszych momentach cytatai, ale po Kempie się tego nie spodziewałam.

- Spójrz tylko na to towarzystwo - mówił dalej.

Balkon Pałacu Sprawiedliwoci był pełen dygnitarzy. Prezydent, premier, członkowie rządu i sztabu armii, niektórzy we współczesnych garniturach lub mundurach, ale niektórzy, jak Daondo, ubrani w regionalny strój: długie kolorowe szaty i czapkę z kitką. Mimo właściwego mi cynizmu dostrzegłam w tym barbarzyństwie cień doskonałości.

Kiedy przejechały czołgi i działa, przyszła kolej na nas.

- Mamy się kłaniać, czy co w tym rodzaju? - zapytał Kemp.

- Sied spokojnie i uważaj na platformę. Pokaż im, że przede wszystkim wypełniasz obowiązki. - Wóz sztabowy Sadiq zatrzymał się w pobliżu kolumny, a kapitan salutował, stojąc sztywno na baczność z tyłu samochodu. - Sadiq robi to, co konieczne, za nas wszystkich.

Ogromna platforma toczyła się powoli przez Plac Niepodległości, a wojsko i policja mężnie powstrzymywały napór rozochoczonego tłumu. Gdy tylko nasz samochód minął plac, zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu na platformę, a potem ruszyliśmy dalej za Sadiqiem, który znów jechał na czele. Czołgi i działa oddaliły się z łoskotem w innym kierunku, a konwój sunął powoli pod eskortą żoł-

nierzy przez węższe ulice, wśród coraz mniej licznego tłumu.

Kończyło się stopniowo miasto, aż wreszcie widzieliśmy już tylko nieliczne rudery i poczłtki terenów uprawnych. W tym miejscu pochód się zatrzymał. Oglłdały nas tam jedynie kozy i pasłcy je chłopcy.

Sadiq przyjechał z powrotem i wysiadłszy z wozu rozmówił się z Kempem, który uznał za stosowne podziękować mu i pogratulować sprawnego działania. Najwyraniej obaj odczuwali ulgę, że wszystko poszło tak dobrze i nie mogli się doczekać, kiedy przystłpiš do czekajšcej ich pracy. W parę minut póniej ludzie Kempa cišgali już proporce i flagi. Pogonił ich ostro do galopu, choć byli jeszcze w nastroju euforii po defiladzie.

Usłyszałem jak mówił:

- Wszystko jest na opak. Powiętowalicie, więc teraz zróbcie co, żeby na to zasłużyć.

- Przypuszczam, "że więtować będš wieczorem - zauważyłem.

Kemp pokręcił głowš.

- Przestrzegamy w firmie pewnej zasady. Na trasie nie pije się mocnych trunków, tylko piwo, i to pod mojš kontrolš. Tych ludzi czeka cholernie długa droga.

- Domyłam się - powiedziałem.

- Cišgle w podróży - kontynuował Kemp. - Wiele miesięcy pracy. Majš teraz przed sobš mało zachęcajšce perspektywy.

- Dysponujecie tylko tš jednš platformš?

Czułem, że nadal nie wiem o firmie Wyvern tyle, ile powinienem. Zapoznałem się już pobieżnie z ich działalnością i teraz czekałem niecierpliwie na rozmowę z Geddesem, a także na spotkanie z Wingsteadem. Przypomniawszy sobie o nim, zapytałem Kempa, kiedy ma się zjawić.

- Chyba w przyszłym tygodniu - odparł. - Przyleci samolotem i dołączy do grupy na rodkowym odcinku trasy, podczas naszego pierwszego przejazdu. Jeli chodzi o platformy, druga jest w budowie i powinna być gotowa tuż przed zakończeniem prac. To pomoże, ale nie za wiele. Poza tym, za dwa miesiące zacznie się deszcze. Czeka nas jeszcze sporo planowania.

- Możecie pracować w czasie pory deszczowej?

- Jeli tylko wytrzyma droga. A muszę przyznać, że prawie na całej długości jest w niezłym stanie. Gdyby jej nie było, nie podjęlibyśmy się tego zadania.

- Jestem właściwie szczerze zdziwiony, że złożyliście ofertę - stwierdziłem. - Dla nowej firmy to cholernie trudne zadanie. Czy na początek nie byłyby dla was lepsze jakieś typowe, europejskie trasy?

- Postanowiliśmy pójść na duże ryzyko. Najlepiej zaczynać działalność od spektakularnych sukcesów.

Pomyślałem, że to raczej Wingstead, niż konserwatywny z natury Kemp, postanowił zaryzykować i zastanawiałem się, jak zdołał przekonać moich szefów, że jest odpowiednim człowiekiem do tej

roboty.

- W porządku, Basil, tu cię opuszczę - oznajmiłem, wysiadając z Land Rovera na twarde, rozgrzany asfalt. - Będę w kontakcie i przyjadę sprawdzić, jak sobie radzicie. Tymczasem muszę załatwić parę swoich spraw, pokręcić się po "patelni".

Ucisnąwszy mu dłoń, wskoczyłem do samochodu Johna Sutherlanda i zawróciłem do Port Luard, pozostawiając Kempowi organizowanie pierwszego etapu pionierskiej wyprawy platformy.

4

Wróciliśmy do biura zgrzani, spoceni i zmęczeni. Na ulicach było nadal rojno i musieliśmy przedzierać się przez tłum. Sutherland nalał zaraz dwie porcje dzinu z tonikiem i w cztery minuty po naszym przybyciu siedziałem sobie wygodnie, trzymając w ręce szklankę, w której pobrzękiwały przyjemnie kostki lodu. Opłukawszy usta z kurzu, przyglądałem się wędrującym w górę białkom.

- Cóż, udało im się wyruszyć - stwierdził Sutherland po pierwszym łyku. - Przed nocą powinni być daleko za miastem.

Nabrałem do ust kolejną porcję dzinu, pozwalając ujść białkom, zanim je przełknąłem.

- Dobrze, że wspomniałeś o cokole - zauważyłem. - Inaczej platforma nie wjechałaby nigdy na plac.

Rozemiał się.

- Wie pan, z nadmiaru emocji całkiem o tym zapomniałem.

- Sadiq o mało nie zmiotł całego Placu Niepodległości. Wysadził

ten cholerny pomnik o północy. W hotelu poleciały chyba wszystkie szyby. Kiedy się zbudziłem, znalazłem na łóżku kawałki szkła. Nie wiem, kim są ci jego specjaliści od materiałów wybuchowych, ale użyli ich chyba odrobinę za dużo. Powiedziały, że nie będzie to zbyt subtelne pociśnięcie. No cóż, przypominało raczej kopniaka między nogi.

Sutherland ponownie napełnił szklanki.

- Jakie są dalsze plany?

- Wracam pierwszym samolotem do Londynu. Zajmij się tym, dobrze? I zatrzymaj dla mnie pokój w hotelu. Znow się tu zjawię.

- O co chodzi? Przewiduje pan jakie problemy?

- Skoro jeszcze nie wiesz, nie nadajesz się do tej roboty - powiedziałem obojętnym tonem. Przeniknął go chłód mojego głosu

i najwyraźniej przypomniał sobie w tym momencie, że jestem specjalistą od kłopotów. Mówiłem dalej: - Chcę zobaczyć awaryjne plany ewakuacji na wypadek, gdybyśmy wdepnęli w jakie gówno.

Skrzywił się i łatwo mogłem odczytać z wyrazu jego twarzy, jakie targają nim uczucia. Nie byłem wcale, jak początkowo sądził, wesołym facetem, z którym łatwo się dogadać. Wyszedłem na jeszcze jednego gburowatego, pozbawionego ogłady Amerykanina, czuł się więc urażony i zaszokowany. Ale cóż, nie przyjechałem tu po to, by zważać na jego wrażliwą duszę, lecz aby zastosować w razie potrzeby kurację wstrząsową.

- No więc masz jakiś plan? - zapytałem ostro.

- Nie przystępuję do pracy z założeniem, że być może nie uda mi się jej wykonać - stwierdził, wyrażając zdenerwowanie. - To defetyzm.

- Jeste cholernym głupcem, John. Użyłem terminu: awaryjny.

Powiniene liczyć się z każdą ewentualnością. Nie nauczyli cię tej podstawowej zasady?

Wstałem, dodając:

- Kiedy wrócę, chcę zobaczyć plany, dotyczące szybkiej ewakuacji całego personelu i jak największej ilości cenniejszego sprzętu.

Może okaże się to zbędne, ale plany muszą być gotowe. Barry

Meredith, z biura w Zambii, udzieli ci wskazówek. Ma dowiadczynie. Czy wyrażam się jasno?

Dokończyłem drinka.

- Dzięki za postawienie mnie na nogi. Wyliz bilety lotnicze do hotelu i czekaj, aż się zjawię. I uważnie wyęzaj słuch, John.

Nie zapytał mnie, czego niby ma nasłuchiwać, a ja nie czułem jeszcze potrzeby, żeby mu to wyjaniać. Kiedy go opuszczałem, był bardziej smutny niż przedtem i niewiele mędrzejszy.

Wróciłem do Londynu, spędziłem noc we własnym mieszkaniu, w którym, Bóg mi świadkiem, byłem nader rzadkim gościem i następnego ranka spotkałem się z Geddesem. Miałem wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Geddes siedział za biurkiem w tym samym, co ostatnio, garniturze, a o szyby cięgle bębnił deszcz. Potrafiłem przewidzieć nawet przebieg naszej rozmowy.

- Jeste bardzo opalony - stwierdził. - Miała dobrą pogodę?

- Nie, kupiłem sobie nową kwaterkę. Powinno kiedy spróbować. Jak tam twoje swędzenie?

- Dalej mi dokucza. Mam nadzieję, że przywiozła jakąś maść.

- Nie. - Przeszedłem przez pokój, otworzyłem ukryty dyskretnie luksusowy barek i nalałem małą porcję szkockiej.

- Nabrała złych nawyków - stwierdził Geddes. - Picie rano alkoholu nie było nigdy w twoim stylu.

- Jest prawie południe. Poza tym to nie dla mnie, tylko dla ciebie. Przyda ci się. Ale skoro zapraszasz, mogę się z tobą napić. -

Nalałem drugą porcję, zaniósłem drinki na biurko i usiadłem.

Geddes spojrzał na mnie znad szklanki.

- Złe wieści?

- Nie za dobre. A równocześnie niezbyt pewne. To jedna z tych sytuacji z wieloma niewiadomymi. Przyglądałem się operacji w Ny-

ali i z naszej strony nie widzę żadnych niedociągnięć. Wszystko

działa jak dobrze naoliwiona maszyna. Spółka Wyvern zrobiła

na mnie nie najgorsze wrażenie, choć miałbym parę uwag. Ale

oprócz tego posłuchałem, co piszczy w trawie, pogadałem z róż-

nymi ludmi i wcale nie byłem zachwycony tym, co mi mówili.

Mam ci wszystko opowiedzieć teraz, czy poczekać do zebrania zarządu?

- Lepiej teraz. Lubię być z wyprzedzeniem poinformowany.

- W porządku. Kilka lat temu, po obaleniu Ofanwe, krajem rzą-

dzili wojskowi, na których czele stał Abram Kigonde. Kiedy oddał

władzę i zezwolił na przeprowadzenie wyborów, powstały dwie główne partie. Jedną nazwano dość szumnie Ludová Partija Agrární, drugą, bardziej prozaicznie, Partija Narodová. Agrarycy wygrali pierwsze wybory i zaczęli reformować wszystko, co się dało, ale w dość umiarkowany sposób. Nie byli szczególnie radykalni w swych poglądach.

Łyknęłam odrobinę whisky. \*

- Czasy się zmieniają. Dzięki stabilnej sytuacji politycznej płynęło z zagranicy sporo pieniędzy na inwestycje, a po odkryciu ropy zaczęło ich być jeszcze więcej. Niebawem zwolennicy umiarkowanych reform zostali usunięci w cień i po kolejnych wyborach przejęli władzę nacjonaliści, których interesuje o wiele bardziej rozwój przemysłu. Oczywiście, do tego czasu Nyala stała się niezależna finansowo i można się tam było nieźle obłowić. Pozostaje pytanie: kto na tym korzystał?

- Wiemy, Neil, że nabijano kieszenie wielu ludziom. To dość powszechny proceder. Do diabła, sami też tak robiliśmy.

- Zwyczajna rzecz, jak oddychanie. Myślę jednak, że zbyt wiele tych pieniędzy trafiło do niewłaściwych kieszeni, przynajmniej z punktu widzenia jednego człowieka.

- Kogo?

- Generała majora Abrama Kigonde.

Geddes zacisnął usta i pokiwał w zamyśleniu głową.

- Co on ma z tym wszystkim wspólnego?



- Bardzo wiele. Ma kłopoty z utrzymaniem w korbach wojska.

Gdy przekazał władzę cywilnej administracji, niektórzy oficerowie okazywali niezadowolenie. Kilku starszych dowódców uważało, że wojsko powinno nadal rządzić. Poczuli smak władzy i przypadł im do gustu. Nic się jednak wówczas szczególnego nie wydarzyło, gdyż zbyt mało było do podziału i władzy, i pieniędzy. Potem nadeszło uprzemysłowienie i wreszcie, na domiar wszystkiego, odkrycie ropy. Teraz forsa płynie strumieniem, a w armii powstał rozłam. Wojskowi wiedzą, że faceci z rządu zgarniają całą mietankę i niektórzy ze starszych oficerów oblizują wargi. Twierdzą, oczywiście, że krajem, który ocalili przed złymi rządami Maro Ofanwe, kupczą teraz inni, równie li politycy, a takie opinie są tylko pożywką dla tłumu.

- Tak, brzmi to bardzo prawdopodobnie. Kto jest głównym prowadzącym?

- Podobno stoi za tym wszystkim pułkownik Sagundisi. Nie popełnia błędów, jest coraz popularniejszy wśród młodszych oficerów, głosząc potrzebę odnowy. Jeli tylko Kigonde mu pozwoli, podejmie ryzyko i wezwie do wprowadzenia znowu rządów wojskowych.

- Z jakim skutkiem?

- Może dojść do zamachu stanu.

- Hm - mruknął Geddes. - Kiedy? I jakie jest tego prawdopodobieństwo?

- Oczywiście trudno zgadnąć. Zależy to częściowo od lotnictwa.

Geddes pokiwał ze zmęczeniem głową.

- Typowe komplikacje. Wszyscy zagrywają na rodek, tak?

- W tej chwili armia podzieliła się na dwie części. Jedna połowa jest za Kigonde i utrzymaniem status quo, druga za Sagundisi i szybkim przejęciem władzy. Chodzą słuchy, że siły są wyrównane, przy czym Sagundisi zdobywa punkty, a Kigonde je traci. Ich tak zwana flota właściwie się nie liczy. Ale siły powietrzne to zupełnie co innego. Gdyby doszło do otwartego konfliktu, wygra ta strona, która będzie dysponować lotnictwem.

- Pokerowa rozgrywka.

- Dobrze powiedziane. Dowódca sił powietrznych jest chytry stary lis, niejaki Semangala. Prowadzi ostrożną grę, pozwalając obu stronom podbijać na przemian stawkę. Rząd także stara się, oczywiście, o poparcie, optując raczej za Kigonde, ale nie zdziwiłbym się, gdyby zmienili front, byle tylko pozostać przy żłobie.

- A więc twoim zdaniem Semangala może odegrać kluczową rolę. Kiedy się zdecyduje, dojdzie do konfrontacji.

- Są, oczywiście, jeszcze inne czynniki. Narasta niezadowolenie wśród studentów. Zwolennicy "czerwonych" też próbują wtrącić swoje trzy grosze. Na północy, tam gdzie jest ropa, żyją głównie muzułmanie, szukający poparcia i wzorów do naśladowania w krajach arabskich. Tak, tak. A gdyby to wszystko zawiodło, pozostają jeszcze zawsze odwieczne wanie plemienne. Wszystkie mniejsze

szczepty gotowe sš połšczyć siły przeciwko nazbyt dobrze prosperującym Kinguru i ich kuzynom z plemienia Wabi, którzy stanowią trzon armii. Wybieraj, co chcesz.

Geddes podniósł szklanę, stwierdzając z wyranym zdziwieniem, że jest już pusta.

- W porzšdku, Neil. Kiedy, twoim zdaniem, dojdzie do wybuchu?

- Za niecałe dwa miesišce zacznie się pora deszczowa, o ile nadejdzie zgodnie z kalendarzem, co nie jest takie pewne. W cišgu ostatnich paru lat opady były nieregularne. Ale jeli wystšpiš, wygaszš skutecznie wszelkie próby zamachu stanu...

Geddes umiechnšł się smętnie, słyszšc mój niezamierzony komentarz.

- Tak czy inaczej, żaden dowódca nie podjšłby takiego ryzyka.

Uważam, że jeli ma do czego dojć, zdarzy się to w cišgu najbliższego miesišca albo najwcześniej za pół roku.

- A gdyby musiał się założyć?

Postukałem palcem w blat stołu.

- Powiedziałbym, że teraz.

- A my mamy trzyletni kontrakt - oznajmił z kwanš minš

Geddes. - Co, do cholery, robił Shelford i jego wydział? Powinien o tym wszystkim wiedzieć!

- Niby skšd, skoro nie pofatygował się, żeby zdobyć informacje na miejscu? Gdyby to ode mnie zależało, wykopałbym go z roboty.

- Nie załatwiamy spraw w ten sposób - powiedział Geddes

chłodnym tonem.

Umiechnęłam się. Nie, Geddes załatwi Shelforda elegancko, w brytyjskim stylu. W "Financial Times" ukaże się artykuł, że pan Shelford robi karierę w British Electric. Zamieszczysz jego zdjęcie z wyszczerzoną w uśmiechu twarzą. Ale od tej pory będzie żywym trupem. Coraz mniej papierów na biurku, coraz mniej telefonów, aż wreszcie zrozumie, że to koniec i zrezygnuje z pracy, by zająć się hodowaniem róż. I będzie się zastanawiał, co mu, do cholery, zaszkodziło. Sztylet wbity pod trzecie zebro byłby bardziej miłosierną karą.

- Sutherland powinien jednak wiedzieć - mówił Geddes. - Powinien był nas poinformować.

Chociaż sam postraszyłem Johna Sutherlanda, nie uważałem, by zasługiwał na los, który czekał zapewne Shelforda. Musiał się jeszcze wiele nauczyć, ale stanowił dla firmy cenny nabytek i chciałem, żeby w niej został. Potraktowałem go więc łagodnie.

- Próbował ostrzec nas na zebraniu, ale Shelford go zakrzyczał.

To dobry chłopak i szybko się uczy. Tyle że za dużo pracuje.

- Ach tak? - W głosie Geddesa zabrzmiała nuta cierpkiej uprzejmoci. - Czy to możliwe?

- Z pewnością. Powinien przeznaczyć więcej czasu na życie towarzyskie. Powinien pójść między ludzi, usiść przy barze, pić i słuchać. Jak mylisz, do cholery, skąd mam te wszystkie informa-

cje? O mało nie nabawiłem się marskości wśtroby, popijając z tłumem podchmielonych, starych kolonistów, którzy wiedzą lepiej, co się dzieje w Nyali niż sam prezydent. Ci ludzie czują się zawiedzeni. Niektórzy spędzili w Nyali całe życie, zdają sobie jednak sprawę, że zawsze będą obcy, ponieważ są biali. Mieszkają tam teraz z łaskawego przyzwolenia, nie doceniani przez nowe władze, ale mają oczy i uszy szeroko otwarte. I wiedzą, co trzeba.

- Mógł to napisać Somerset Maugham - stwierdził drwiśco

Geddes. - Czy Sutherland wie o wszystkim? Zna już sytuację?

Pokręciłem głowę.

- Pomyślałem, że najpierw porozmawiam z tobą. Ale nie byłbym specjalnie zaskoczony, gdyby podczas mojej nieobecności sam się w tym zorientował. Trochę go postraszyłem, nie przypuszczam jednak, żeby łatwo wpadał w panikę.

Geddes rozważał przez chwilę moje słowa, najwyraźniej się z nimi zgadzając, po czym zapytał:

- Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć?

- Kigonde użył połowy armii, aby ubezpieczyć pierwszy przejazd platformy. Później opowiem ci to dokładniej. Dobrze się zaczęło. Poza tym przerzucił chyba brygadę piechoty do Bir Oassa.

- To całkiem naturalne, że strzeże pól naftowych. Czy spodziewa się sabotażu? >

- Rzód wykorzystuje usilnie naszą operację do celów propagandowych, o czym przekonasz się z mojego raportu. Pierwszy trans-

formator opuszczał Port Luard z tak cholerną pompą, że nigdy czego podobnego nie widziałe. Gdyby nie dotarł do Bir Oassa, albo gdyby tam co mu się przydarzyło, byłaby to kompromitacja dla rządu, biorąc pod uwagę rozgłos, jaki nadano całej sprawie. Może więc stanowić pierwszoplanowy cel dla opozycji.

- Chryste! - Geddes dopiero teraz był naprawdę skoncentrowany. - Powiedziała o tym wszystkim Kempowi?

- Nie. Na jego barkach spoczywa w tej chwili ogromny ciężar.

Miałem wrażenie, że gdyby mu co jeszcze dołożyć, mógłby się załamać. Człowiekiem, którego należy zawiadomić i który przyjmie to we właściwy sposób, jest, moim zdaniem, Geoffrey Wingstead.

- Zjawi się tu jutro, żeby wysłuchać twojego raportu dla zarządu, Neil. Potem odlatuje do Nyali.

- To dobrze. Chcę z nim pogadać. Prawdę mówisz, chciałbym, żebyśmy mogli lecieć razem. A w ogóle dlaczego, do diabła, wynajęłaś taką firmę?

- Potrafiś wietnie sobie radzić - odparł Geddes. - Geoff ma głowę na karku i znakomity zespół. W ich rachunkach wszystko się zgadza. Rzeczywiście, ograniczyli poważnie wydatki, ale jeszcze co nieco im zostało. Wiedziała o tym, że budujesz następne platformy?

- Jedną platformę. Spotkałem faceta, który projektował jej prototyp. Wygląda na niezłego fachowca, ale co będzie, jeśli nawali "numer jeden"? Diabli weźmiesz całą operację, na litość boską.

,- Wingstead wynajął od holenderskiej firmy drugą platformę,

którsz planuje wysłać do Afryki. Wspólnie z Kempem i Hammondem zajmujš się od lat przewozem ciężkich ładunków. Nie sprawiš nam zawodu.

Zastanowił się chwilę, po czym dodał:

- Załatwię, oczywiście, żeby wracał razem z Wingsteadem. Do-  
staniecie zresztš samolot firmy. Jest teraz w Stansted. Możecie od-  
lecieć jutro, po zebraniu.

Widzšc, jak błyskawicznie podejmuje decyzje, zdałem sobie spr-  
wę, że swędzenie, które odczuwał, przeszło w ostrš pokrzywkę.

5

Kiedy wróciliśmy, w Port Luard było chłodniej - o jaki jeden  
stopień, ale temperatura spadła gwałtownie, gdy wszedłem do biu-  
ra Johna Sutherlanda. Miał najwyraniej nadzieję, że zniknę w ja-  
kiej otchłani i nigdy nie wrócę. Mój widok tak go zmroził, że  
w odpowiedniej obudowie nadawałby się na lodówkę.

Uniosłem rękę w pojednawczym geście, mówiąc:

- To nie mój pomysł, żeby tak szybko wracać. Miej pretensje do  
pana Geddesa. Jeli o mnie chodzi, możesz sobie siedzieć w tym  
pieprzonym biurze sam.

- Jest pan, oczywiście, mile widziany - powiedział nieszczercze.

- Nie czarujmy się - odparłem, wyjmujšc z biurowej lodówki  
puszkę piwa. - Jestem tak samo mile widziany jak tršdzik na pierw-  
szej randce. Co nowego?

Mój przyjacielski ton niepokoił go. Nie wiedział, kiedy się mnie

spodziewać, a wraz z moim przyjazdem oczekiwał kłopotów.

- Nic się nie dzieje. Wszystko idzie gładko. - Powiedział to takim tonem, jakby za chwilę miało się co przydarzyć.

Nadszedł czas, żeby go udobruchać.

- Nawiasem mówiąc, Geddes jest bardzo zadowolony z tego, jak sobie tutaj radzisz.

Przez chwilę wydawał się niemal przerażony. Przypuszczenie, że Geddesa może cokolwiek zadowolić, było wystarczająco dziwne, by wzbudzić w człowieku strach. Tak rzadko kogo chwalił, że właściwie się to nie zdarzało. Nie powiedziałem Sutherlandowi, że przychyliłem się do opinii Geddesa na jego temat.

- Wyjeżdżając dał mi pan do zrozumienia, że sprawy wcale nie układają się za dobrze - stwierdził Sutherland..- Ale nie wyjaśnił pan, o co chodzi.

- Sam powiniene wiedzieć. Wspominałem o tym na zebraniu w Londynie.

- Naprawdę? - Widziałem, jak gorśczkowo usiłuje sobie przypomnieć, co właściwie wtedy mówił.

- Chodzi o pogłoski na temat konfliktów plemiennych - przypomniałem. - Masz szklanę? Wolę widzieć piwo, które piję.

- Oczywiście. - Podał mi szkło.

- Miała całkowitą rację. Wiemy, rzecz jasna, że nie możesz zajmować się pracą w Bir Oassa i ledzić równocześnie wszystkiego, co się tu dzieje. To było zadanie Shelforda i on nas zawiódł. Kto



musiał więc zbadać sprawę i Geddes wybrał mnie. Twoje podejrzenia okazały się jak najbardziej słuszne. - Nie dałem mu czasu, żeby nad tym za długo rozmyślał. Pochyliłem się naprzód, mówiąc najbardziej ujmującym tonem, na jaki było mnie stać: - Przepraszam, jeśli przed wyjazdem zachowałem się trochę grubiańsko. Ta cholernie napuszczona defilada zwycięstwa dała mi w kość. Nie jestem przyzwyczajony, tak jak ty, do kontaktów z tymi ludmi. Wybacz, jeżeli powiedziałem co niestosownego.

Rozbroiłem go w ten sposób zgodnie z planem.

- Wszystko w porządku. Prawdę mówiąc zastanawiałem się nad tym, co mi pan mówił... na temat awaryjnego planu. Już nad nim pracuję.

- wietnie - stwierdziłem z entuzjazmem. - Chciałbym kiedy rzucić na niego okiem. Teraz mam wiele innych spraw. Przyleciał ze mną kto, kogo powiniene poznać. To Geoff Wingstead, właściciel spółki Wyvern Transport. Możesz zjeść z nami obiad?

- Szkoda, że mi pan nie powiedział wcześniej. Trzeba będzie go gdzie zakwaterować.

- To już załatwione, John. Mieszka w hotelu. - Dałem mu delikatnie do zrozumienia, że nie tylko on ma znajomoci. - Za dzień albo dwa dołączy do ekipy przewożącej platformę. Ja zostanę jeszcze trochę w mieście, zanim złożę im wizytę. Oczekuję od ciebie pełnego sprawozdania. Idę o zakład, że masz mi wiele do powiedzenia.

- Owszem. Jest sporo niepokojących informacji, Neil.

Sutherland traktował mnie znowu jak kumpla, pałając chęć opowiedzenia mi o sprawach, o których już wiedziałem. Ale o to właśnie chodziło. Nie sędzę, żebym za bardzo go okłamywał. Prawda to ocenianie sytuacji z jednego tylko punktu widzenia. Istnieje wiele innych.

Przez następnych kilka dni otaczałem Sutherlanda troskliwą opieką. Jego plan ewakuacji był niezły, choć pozbawiony wyobrani. Zdołaliśmy go wspólnie ulepszyć. Włanie brak wyobrani był największym problemem Sutherlanda. Nie potrafił zadać sobie pytania: "a co będzie jeli...?" Nie chcę go zanadto krytykować. Był dobry w swojej robocie, ale nie potrafił poza nią wyjść, a bez tej umiejętności nie mógł osiągnąć większych sukcesów. Mam swoją teorię na temat takich ludzi jak Sutherland. Przypominają pewien rodzaj plastycznej masy. Jeli uderzyć ją młotkiem, rozpadnie się na kawałki, ale przy delikatnym postępowaniu daje się dowolnie formować. Problem w tym, że pozostawiona sama sobie wiotczeje i powraca do pierwotnego kształtu. Dlatego manipulanci mojego pokroju dostają trzy razy większą pensję niż Sutherland.

Nie uważałem się zresztą za Wielkiego Maga, bo i ja ulegałem swego czasu wpływom takich ludzi jak Geddes, arcymanipulant, Bóg więc raczy wiedzieć, jakie są jego zarobki. \*

W każdym razie zająłem się Sutherlandem bardzo troskliwie.

Zabrałem go do Klubu Luard (nigdy nie pomyślał, by się tam

zapisać) i pozostawiłem samemu sobie w tłumie starych, spoconych facetów, których upijał, aby wyciśnąć z nich cenne informacje.

Miałem pewność, że przyjdzie mi potem donieć o czym, co już wiedziałem, a ja odpowiem: "Co podobnego! To może pokrzyżować twoje plany ewakuacji, prawda?"

Umiechnie się, pewny swego, mówiąc: "Dam sobie z tym radę", i będzie miał rację. Korygowanie planu szło mu nie najgorzej. Po dziesięciu dniach doszedł z nim do ładu, przekonany, że sam na to wszystko wpadł i zorientowany o wiele lepiej w sytuacji politycznej kraju. Nabrał poza tym przewiadczenia, że ten Mannix nie jest w sumie taki zły - oczywiście, jak na Amerykanina. Nie wyprowadzałem go z błędu.

Niepokoił mnie nieco Geoff Wingstead. Pozostał przez parę dni w Port Luard, zdobywając na własną rękę informacje przed odlotem na trasę przejazdu platformy i w tym krótkim czasie zdołał zadziwiająco dokładnie zorientować się w sytuacji. Co więcej, przysięgłbym, iż przejrzał moją taktykę wobec Sutherlanda i skonstatowałem ze smutkiem, że ją pochwala. Nie przepadałem za tak bystrymi ludmi. Coraz bardziej mi imponował. Stwierdziłem, że praca sprawia mu tak samo przyjemność jak mnie, a to rzadka i cenna cecha. Był młody, przystojny i energiczny. Nie żałowałem, że pracuje w innej firmie. Stanowiłby cholernie silną konkurencję, a za bardzo go lubiłem, by z nim rywalizować.

Trudno było dowiedzieć się czego na temat platformy. Miejsco-

we linie telefoniczne często nie działały, a radia w naszych ciężarówkach miały ograniczony zasięg. Pewnego ranka John Sutherland zdołał jednak uzyskać połączenie i, gdy tylko wszedłem do biura, przekazał mi wiadomości.

- Jadę zgodnie z planem. Zaznaczyłem to na mapie. Proszę tu spojrzeć. W połowie przewidzianego czasu przebyli mniej niż połowę odległości. A teraz jeszcze bardziej zwolni, bo muszę pić się na płaskowyż. Aha, przyleci tu dzisiaj Geoff Wingstead. Musi załatwić dla nich beczkowóz z wodą. Zdaje się, że miejscowa woda jest często zbyt zanieczyszczona i nie nadaje się do picia.

Mogłem powiedzieć o tym Geoffowi zanim wyjechał i byłem nieco zdziwiony, że dopiero teraz się dowiedział. Stwierdziłem, że powinienem sam obejrzeć platformę, na wypadek, gdyby jakie inne drobiazgi uszły jego uwadze. Miałem wracać wkrótce do Londynu i wolałem przedtem rozejrzeć się jeszcze raz w terenie.

Popatrzyłem na mapę.

- To miasto, Kodowa, które leży tuż przed nimi, ma lądowisko.

Dałoby się wynajść tam samochód?

Sutherland skrzywił się.

- Nie przypuszczam. To niewielka miejscowość, ma jakie pięć tysięcy mieszkańców. Gdyby nawet dostał pan tam samochód, byłby mocno sfatygowany. Lądowisko jest w prywatnych rękach. Należy do spółdzielni plantatorów.

Obliczyłem odległości na mapie.

- Może powinniśmy mieć na miejscu samochód firmy i postarać się o zezwolenie na korzystanie z pasa startowego. Ułatwiłoby to sprawę, gdyby kto musiał szybko się tam dostać. Zajmij się tym, John, dobrze? W tej sytuacji będę teraz musiał lecieć do Lasulu, a potem jechać prawie pięćset kilometrów samochodem. Wezmę ze sobą jednego z chłopców z Wyvern jako zmiennika. - Nie byłem na tyle nierozsądny, by wyruszać samemu na takie pustkowie.

Spotkałem się z Wingsteadem po jego powrocie i odbyliśmy długą rozmowę. Był w zasadzie zadowolony z tego, jak radzili sobie jego ludzie, całość operacji przebiegała bez zarzutu, niepokoiła go jednak wybrane sytuacja polityczna. Jak wspomniałem, wyjątkowo trafnie ją oceniał. Zapytałem, czy wraca do Anglii.

W każdym razie nie teraz - odparł. - Mam tu co do załatwienia, a potem pozostanę jeszcze przy platformie. Chcę trzymać rękę na pulsie. Posłuchaj, Neil...

Potrzebujesz czego? - zapytałem, widząc jego wahanie.

- Chciałbym, żeby zapoznał Basila Kempa dokładnie z sytuacją. Nie wie o wielu sprawach, a mnie może nie uwierzyć. Bo niby dlaczego? Obaj nie znamy Afryki, ani tego kraju, więc moje obawy zlekceważy, ale z twoim zdaniem będzie się liczył. Powinien wiedzieć więcej o sytuacji politycznej.

- Nie uważam, żeby Kemp promieniował optymizmem - stwierdziłem.

- Na tym polega cały problem. Ma tyle własnych kłopotów, że

na moje nie starczy już miejsca; o ile nie uda się go przekonać, że  
są poważne. Podobno się do niego wybierasz. Wyłóż mu to, proszę.  
Zgodziłem się, nie bez uczucia ulgi. Był najwyższy czas, żeby  
Kemp zaczął orientować się dokładniej w sytuacji, a docierając do  
mnie ostatnio nowiny nie rozwiały bynajmniej moich obaw co do  
najbliższej przyszłości Nyali. Następnego ranka zabrałem ze sobą  
Ritchiego Thorpe'a, jednego z wolnych chwilowo pracowników  
spółki Wyvern, i Max Otterman poleciał z nami do Lasulu. Stamtąd  
pojechalimy w głębi lądu ową fantastyczną drogą, która przedzie-  
rała się przez dżunglę do samego serca kraju. Od czasu, gdy Ofanwe  
kazał ją zbudować, była nie wykorzystana i zaniedbana. Napierał  
na nią gęsty tropikalny las, a ogromne drzewa rozsadzały korzenia-  
mi beton. Potem odkryto ropę i teraz autostrada przeżywała ciężkie  
chwile, niszczyjąc od spodu i od góry. Nie jeździło po niej wiele  
pojazdów, ale na północ dostarczano czasem cholernie duże ładun-  
ki. Nasz transformator był po prostu największym z dotychczas  
przewożonych.

Widywaliśmy po drodze zarówno zaprzężone w woły furmanki,  
które posuwały się flegmatycznie z denerwującym skrzypieniem  
kół, pokonując kilka kilometrów na godzinę, jak i sześćdziesięcio-  
tonowe ciężarówki, a nawet większe pojazdy. W pewnym momen-  
cie napotkaliśmy zaparkowanego na poboczu prawdziwego kolosa,  
którego załoga spożywała właśnie posiłek. Wieli położonych na boku  
kompletną wieżę platformy wiertniczej i obciążony nią pojazd mu-

siał ważyć ponad sto ton.

Zatrzymałem wóz i pogawędziłem sobie z jednym z kierowców.

Był Rosjaninem, bardzo dumnym ze swej platformy. Porozumiewaliśmy się mówiąc kiepskš angielszczyznš i jeszcze gorszym francuskim. Zademonstrował możliwości platformy, które Ritchie już znał, natomiast dla mnie było to co nowego. Pojazd mógł się najwyraźniej poruszać po piaszczystym podłożu. Naciskając guziki w kabinie napompowywało się wszystkie koła lub wypuszczało z nich powietrze, aby w czasie jazdy po miękkim piasku rozłożyć równomiernie ciężar ładunku. Dowiedziałem się, że w tym przypadku całkowicie obciążona platforma wywiera mniejszy nacisk na centymetr kwadratowy powierzchni niż kopyto wielbłąda. Wyraziłem należyty podziw i rozstaliśmy się w przyjaniu.

Jazda trwała długo i gdy dotarlimy wreszcie do ekipy Wyvern Transport, bylimy obaj zmęczeni i zakurzeni. Pozostawiwszy za sobą pas lasów tropikalnych, znalelimy się na obszarze pokrytym zarolami. Drzewa ustąpiły miejsca surowym, ciernistym krzewom, a po ziemi płożyły się wszędzie uschnięte łodygi dyń. Kurz wciskał się w każdš szczelinę. Krawędzie drogi były niemal całkowicie zniszczone. Jechalimy wciśz zygzakiem, żeby uniknąć dziur. Platforma stała na poboczu. Opuszczono hydrauliczne podnoniki, aby ładunek opierał się na ziemi, a nie na podwoziu. Najwyraźniej zatrzymali się na nocleg, co nas zaskoczyło. Przy rozwijanej przez nich prędkości jazda nocš była jak najbardziej możliwa. Panowały

wtedy niższe temperatury i nie pracowało się na ogół w takim napięciu, jak w ciągu dnia.

Zatrzymałem wóz, rozglądając się wokół. Tylko jeden z widocznych w pobliżu mężczyzn był mi znany z nazwiska: McGrath, potężny Irlandczyk, który prowadził pierwszy ciąg podczas defilady w Port Luard. Ritchie wysiadł z samochodu i podziękowawszy mi za wspólną jazdę, dołączył do kolegów.

- Dzień dobry - zwołałem do McGratha. - Czy znajdę tu gdzie pana Kempa?

McGrath wskazał na drogę.

- O milę stąd jest most. Pojechał go obejrzeć.

- Dzięki.

Mijałem powoli konwój, dochodząc do wniosku, że przypomina on zbyt duży cygański tabor. Kuchnia polowa była otwarta i dwóch ludzi co w niej gotowało. Nieco dalej stały inne ciężarówki, wśród nich ta ogromna, z generatorami podnóżków powietrznych, a na końcu znajdowało się obozowisko Sadiq'a i jego ludzi, w którym panował porządek i wojskowa dyscyplina. Sadiq wstał na mój widok, ale ponieważ zaczynało już zmierzchać, pokazałem mu tylko rękę, że wpadnę do niego wracając z mostu i pojechałem dalej.

Zauważyłem z zadowoleniem, że cysterna z paliwem zaparkowana jest oddzielnie, z daleka od innych pojazdów, zapamiętałem jednak, żeby sprawdzić, czy kto jej pilnuje.

Droga przebiegała się w tym miejscu przez niewysoką górkę, za



którs była rzeka. Zjechałem na pobocze tuż przed mostem, zatrzymując wóz obok Land Rovera Kempa. Zobaczyłem go z daleka, jak szedł przez rodek mostu razem z Hammondem. Kiedy im poma-chałem, przyspieszyli kroku.

Gdy się do mnie zbliżyli, pomyślałem, że Kemp wygląda lepiej niż w Port Luard. Zmarszczki na jego twarzy tworzyły łagodniejsze fałdy i nie wydawał się tak bardzo zmęczony. Zdecydowanie bardziej wolał sam wykonywać zadanie niż komu je zlecać. Towarzyszczy mu Ben Hammond nic się nie zmienił. Nadal zachowywał się jak kogut przed walką, wypatrujący wszędzie niebezpieczeństwa. Niektórzy mali ludzie nie mogli pozbyć się wrażenia, że wciśz im co zagraża.

- Cześć - przywitałem się. - Przyszło mi do głowy, żeby wpaść na kawę.

Kemp umiechnął się, podając mi rękę, natomiast Hammond zapytał:

- Sprawdza nas pan, tak? Dopiero co był tu pan Wingstead.

Najwyraniej chciał przez to powiedzieć, że skoro Geoff co zrobił, nikt nie musi już po nim poprawiać. Wywnioskowałem z jego głosu, że ma o swoim szefie wysokie mniemanie, co przyjąłem z zadowoleniem. Zastanawiałem się nieraz, czy inni ludzie potrafią przejrzeć mnie na wylot, tak jak ja - ich.

Wskazałem kciukiem na drogę.

- Oczywiście, że was sprawdzam. Wiecie, ile kosztuje ten trans-

porter? W Port Luard oszacowano jego wartość na milion czterdzieci dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt sześć funtów i pięć pensów. - Umiechnąłem się, aby rozładować napięcie. - Nie dowiedziałem się jeszcze, co oznacza tych pięć pensów. Gdyby taki sprzęt należał do was, nie wolelibyście się upewnić, czy jest w dobrych rękach?

Hammond wyglądał na przestraszonego.

- Spokojnie, Ben - odezwał się Kemp, co uznałem za pożądane zmianę ról. - Pan Mannix ma pełne prawo tu przebywać i jest zawsze mile widziany. Przepraszam za tę reakcję Bena. Mamy kłopoty. Wcale mnie nie zaskoczył, zapytałem jednak dla porządku, o co konkretnie chodzi. Kemp pokazał mi grudkę betonu.

- Odbiłem ją czubkiem buta. I nie musiałem wcale mocno kopać. Wziąłem od niego grudkę i potarłem ją kciukiem. Była krucha i rozsypywała się na kawałki.

- Powiedziałbym, że kto dodał do tej mieszanki odrobinę za dużo piasku. - Wskazałem na most. - Milner twierdził, że mosty mogą okazać się niebezpieczne. Czy ten jest najgorszy?

Kemp pokręcił głową.

- Bynajmniej. Jest całkiem niezły. Naprawdę niebezpieczny most będzie dalej, o wiele kilometrów stąd. Ten jest w porządku. Trochę się tylko chwieje. - Wymienili z Hammondem posępne spojrzenia. - Poruszanie się po ciemku jest zbyt ryzykowne, a za pół godziny przestanie być jasno. Przejdziemy przez most o wicie. Tak czy

inaczej, to nasz pierwszy całonocny postój od prawie tygodnia.

Przyda się chłopakom.

- Zjawiam się w samą porę, żeby zobaczyć co ciekawego -

stwierdziłem. - Mogę tu zostać? Jest ze mną Ritchie Thorpe.

- To dobrze. Będzie nam potrzebny. Po kolacji przygotujemy

dodatkowe miejsca do spania - oznajmił Kemp, wsiadając do samo-

chodu. Hammond dołączył do niego. Pojechałem za nimi z powro-

tem do obozu, zatrzymując się po drodze, żeby powiedzieć Sadiqo-

wi parę uprzejmych słów i komplementów. Zapewnił mnie, że znaj-

dzie bardzo szybko ludzi, potrzebnych do umocnienia mostu.

Opuszczałem go nie mogąc się nadziwić, ile pewności siebie daje

człowiekowi mundur.

Mylałem intensywnie o mocie. Kiedy go budowano, kto miał

z tego trochę dodatkowego zysku. Przejazd platformy przez rzekę

następnego dnia zapowiadał się bardzo interesująco. Oczywiście<sup>^</sup>

oglądany z bezpiecznej odległości. Jeli jednak z tym mostem było

wszystko w porządku, to jak, do diabła, miał wyglądać ten niebez-

pieczny?

- Niezłe żarcie - stwierdziłem, odstawiając na bok talerz.

- Nie jest to haute cuisine, ale nie umieramy z głodu - owiadczył

z poczuciem humoru Kemp.

Siedzieliśmy pod plandeką, rozciągnięci między dwoma zapar-

kowanymi obok siebie cięgnikami. Kemp był niewzruszenie bardziej

odprężony. Zastanawiałem się, jak najlepiej wykorzystać ten fakt.

Nie bylimy sami - przyłszyło się do nas parę innych osób.

Najwyraniej Kemp nie miał zwyczaju trzymać swoich ludzi na dystans, chciałem jednak pogadać z nim na osobności. Pochyliłem się, zniżajśc głos.

- Gdyby znalazł dwie szklaneczki, może łyknęlibymy sobie szkockiej?

- Nie, dziękuję - odparł równie cicho. - Wolę przestrzegać obowozowych reguł, jeli nie masz nic przeciwko temu. Ale możemy napić się jeszcze piwa. - Powiedziawszy to wstał i zniknł w mroku, wracajśc po chwili z czterema puszkami. Podniosłem się i wyprowadziłem go pod rękę z prowizorycznej jadalni. - Chciałbym zamienić z tobš słowo, Basil - rzekłem. - Dokšd możemy pójć?

Siedzielimy wkrótce w spokojnym kšcie, oparci plecami o dwie wielkie opony, czujśc na twarzach upojnie chłodny powiew nocnego wiatru i popijajśc z puszek lodowato zimne piwo.

- Jeste w czepku urodzony - powiedziałem, delektujśc się ci-szš. - Jakim cudem to piwo jest takie zimne?

Rozemiał się.

- Mamy na platformie pršdnicę z silnikiem wysokoprężnym do zasilania wiateł. Skoro wiezie się już trzystu tono wyładunek, lodówka o pojemności dwustu osiemdziesięciu litrów nie stanowi większego obcišzenia. Mamy też zamrażarkę - pięćset szećdziesišt litrów. Kucharz mówi, że jutro na kolację będš homary.

- Zapominam o rozmiarach tej platformy.

- Bo niš nie kierujesz.

Napiłem się piwa. Było zimne i przyjemnie gorzkie. Należało zacząć od rozmowy na niezobowiązujący temat.

- Jeste żonaty?

- O, tak. Mam w Anglii żonę i dwójkę dzieci. Dwóch chłopaków, szeć lat i cztery. A ty?

- Próbowałem żyć w małżeńskim stanie, ale bez powodzenia.

W mojej robocie człowiek spędza za mało czasu w domu, żeby zdjąć z głowy kapelusz, a kobiety z reguły tego nie lubi.

- Tak, rzeczywiście. - Ton jego głosu wskazywał, że podziela moje odczucia.

- Jak długo nie było w domu?

- Od jakich dwóch miesięcy. Sprawdzalem tę cholerną drogę.

Pewnie jeszcze trochę potrwa, zanim wrócę do rodziny.

- W Bir Oassa rzęd kończy właśnie budowę wielkiego, betonowego lądowiska - powiedziałem. - Jest wystarczająco duże, by obsługiwać ciężkie maszyny. Powiedziano nam, że lada chwila będzie czynne, nie wiemy tylko, co to u nich oznacza.

- Nie zorganizuj tam przynajmniej żadnych defilad, skoro nie ma ich komu oglądać - stwierdził Kemp. ^

- Słusznie. No cóż, kiedy uruchomiś lądowisko, będziemy przewozić samolotami niezbyt ciężkie, a kosztowne elementy, na przykład wały turbin. Nie zdziwiłbym się, gdyby w trakcie tych regularnych lotów znalazło się od czasu do czasu miejsce dla kogo, kto

chciałby polecieć do Anglii. To dotyczy, oczywiście, także twojej załogi.

- Wspaniale. Bylibyśmy bardzo wdzięczni. Muszę sporządzić listę chętnych. - Ekscytowała go już ta perspektywa, a ja po raz kolejny nie mogłem się nadziwić, ile znaczy dla niektórych mężczyzn domowe ognisko.

- Jak trafiłem do kolumny transportowej? - zapytałem.

- Nie tyle trafiłem, co było mi to przeznaczone od urodzenia.

Mój stary zawsze robił w tej branży. W czasie wojny przewoził na transporterach czołgi. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Miała już do czynienia z czym o rozmiarach tej platformy?

- O, tak. Przewoziłem już w kraju trochę większy ładunek dla Centralnego Zarządu Elektrowni. Oczywiście, w nieco innych warunkach, ale na swój sposób było to równie skomplikowane.

W Wielkiej Brytanii jest więcej budynków, które można uszkodzić i o wiele trudniej poradzić sobie z biurokracją.

- Pracowałeś już wtedy dla Wyvern?

- Nie, to było wcześniej. - Wiedział, że stopniowo wyciśgam z niego informacje, ale nie miał chyba nic przeciwko temu. - Zatrudniała mnie jedna z dużych firm.

Dopiłem piwo.

- Wyvern Transport to ty, prawda?

- Tak. Razem z Benem i Geoffem Wingsteadem. Wszyscy działaliśmy w tej samej branży i połączenie sił wydawało się nam nie-

złym pomysłem. Teraz nie jestem już tego taki pewny. - Zobaczyłem niewyranie w ciemnościach, że Kemp z rezygnacją macha ręką i usłyszałem w jego głosie ton goryczy. Wiedziałem już, że z finansowego punktu widzenia działali na granicy opłacalności i nie chciałem psuć mu nastroju, zagłębiając się w nieprzyjemne kwestie ekonomiczne, czułem jednak, że nawet bez specjalnego nalegania zdołałem uzyskać od niego jeszcze trochę informacji.

Nie musiałem go zachęcać, by mówił dalej.

- Każdy z nas zdobył trochę pieniędzy - w ten czy inny sposób.

Ja dostałem spadek. Ben miał różne pomysły, jak zmodyfikować stosowane aktualnie platformy. Geoff i Ben pracowali ze sobą już wcześniej. Geoff jest mózgiem zespołu. Nie tylko w sprawach finansowych, we wszystkim. Ale gdybyśmy nie dostali tego kontraktu, chyba nie ruszylibyśmy z miejsca.

Miałem swoje wątpliwości, czy należało powierzać tak odpowiedzialne finansowo i trudne zadanie nieznanemu firmie, ale nie chciałem wspominać o tym w obecności Kempa. Mówił dalej, zasypując mnie różnymi szczegółami. Kosztowne podnośniki powietrzne, które okazały się niezbędne dopiero wtedy, gdy przyjęto ich ofertę, wypożyczyli z Centralnego Zarządu Elektrowni. Dwa ciągniki nabyli okazjnie, a pozostałe kupili na raty i nie były one jeszcze spłacone. Oferowana przez nich cena, którą maksymalnie zaniżyli, aby otrzymać kontrakt, wydawała się teraz zupełnie nierealna i nie spodziewali się, by operacja w Nyali przyniosła im jakikolwiek

zysk. Mieli jednak nadzieję, że pomyślne wykonanie zadania zaowocuje następnymi kontraktami. Było to jak szaleństwo letniej nocy - i mogło się udać.

Uwiadomiłem sobie, że jest bardzo późno i że nie poruszyłem jeszcze tematu naszego bezpieczeństwa, czy raczej zagrożenia. W istocie nie starczyłoby już czasu, żeby szczegółowo o tym mówić, ale mogłem przynajmniej utorować sobie drogę. Mając do rozwiązania szereg praktycznych problemów, Kemp nie pamiętał o możliwości interwencji z zewnątrz. Przywykł zresztą pracować w krajach, gdzie polityczne spory załatwiano drogą rokowań, a nie zbrojnie.

- Jak ci się współpracuje z kapitanem Sadiqiem? - zapytałem.

- Bez kłopotów. Prawdę mówiąc, sporo mi pomaga. Zrobię z niego jeszcze dobrego szefa nadzoru.

- Mielicie już jakie problemy? Oczywiście, nie licząc złego stanu drogi.

- Tylko typowe kłopoty z trzymaniem na dystans gapiów w mijanych wioskach. Sadiq bardzo dobrze sobie z tym radzi. Właściwie jest aż nazbyt gorliwy. Na każdym postoju wystawia straż, wysyła zwiadowców i w ogóle bawi się ciągle w wojnę. - Wskazał ręką w mrok. - Spróbuj tylko tam pójść. Jeli nie zameldujesz się głośno i wyranie, możesz zarobić kulkę. Musiałem ostrzec chłopaków.

Pracując w transporcie drogowym w Wielkiej Brytanii nigdy się z czym takim nie zetknąłem.

- Sadiq nie jest tu w zasadzie od kierowania ruchem - wyjani-



łem. - Ma wam zapewnić bezpieczeństwo, a cilej biorśc, chronić platformę i konwój. Istnieje zawsze możliwość, że kto spróbuje dokonać małego sabotażu. Więc ty też miej oczy otwarte, Basil, i przekaz tę informację swoim ludziom.

Czułem, że mi się przyglśda.

- Kto zawracałby sobie głowę sabotażem? Nikomu więcej nie zależało na tej robocie.

Nadal rozumował w kategoriach rynkowej konkurencji i zaniepokoił mnie nieco jego brak rozeznania w polityce.

- Posłuchaj, Basil. Chciałbym zapoznać cię z sytuacjš i chyba Bena Hammonda również. Ale jest już póno, a rano czeka was trudne zadanie. To nic pilnego, nie ma powodu do zdenerwowania.

Przekażę wam najnowsze informacje na następnym postoju, dobrze?

- W porzřdku, skoro tak twierdzisz. - Wyczułem, że jest już myłami gdzie indziej. Moja wzmianka o czekajřcym ich następnego dnia zadaniu sprawiła, iż zaczął się nad nim zastanawiać i wiedziałem, że powinienem zostawić go samego, aby uporzřdkował swoje plany.

- Pora powiedzieć "dobranoc" - rzekłem. - Domylam się, że będziesz chciał podumać o waszym kolejnym torze przeszkód.

Kemp wstał.

- Przeprawimy się przez ten most, kiedy nadejdzie pora - stwierdził drwiřcym tonem. - pij spokojnie. Nawiasem mówiśc,

masz tam już posłanie. Ja sypiam na jednym z ciężników. Mniejsze ryzyko natknięcia się na węża.

- Doskonale cię rozumiem - odrzekłem z umiechem. - Tyle że ja boję się skorpionów. Dobranoc.

Oddychając głęboko nocnym powietrzem, podszedłem powoli do platformy i stanąłem przy niej, wpatrzony w wielką płytę transformatora. Znajdująca się na skraju bankructwa firma podejmowała ryzyko przewiezienia przez Afrykę sprzętu wartoci ponad miliona funtów, a na trasie konwoju mogła w każdej chwili wybuchnąć wojna domowa. I co ja z tym miałem, do cholery, zrobić?

Postanowiłem najpierw się przespać.

6

Wszyscy wstali wczesnym rankiem, szarym witem. Zjadłem niadanie z załogą, odstawiając kolejkę do kuchni polowej. Popijaliśmy jedynie gorzszą, mocniejszą i słodsza herbatę z mlekiem, która miała posmak miedzi i którą nazywano "ogniem armatnim".

- Skąd ta nazwa? - próbowałem się dowiedzieć.

- Ochrzczili ją tak brytyjscy żołnierze - usłyszałem. - To podstawa siły bojowej armii.

Umiechnąłem się.

- Jeli potrafisz przełknąć co takiego, dadzą sobie radę w każdej sytuacji.

- To lepsze niż pieprzona Coca-Cola! - odezwał się jakiś głos i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Po niadaniu zrobił się spory ruch. Poszedłem odszukać kapitana Sadiq. Siedział w swoim wozie ze słuchawkami na uszach. Zobaczywszy, że się zbliżam, podniósł dłoń w ostrzegawczym geście, notując co włącznie w trzymanym na kolanie bloczku. Po chwili wezwał sierżanta, który przybiegł truchtem. Zdjęwszy słuchawki, Sadiq podał je swemu podwładnemu i dopiero wtedy wysiadł z samochodu, aby się ze mną przywitać.

- Dzień dobry, panie Mannix.

- Witam, kapitanie. Przepraszam, że wczoraj wieczorem tak się spieszyłem. Są jakie problemy? Pan Kemp twierdzi, że bardzo sobie ceni pańską pomoc.

Sadiq umiechnął się.

- Wszystko jest w najlepszym porządku, sir - odparł, ale była to wymijająca odpowiedź. Wydawał się bardzo zafrasowany i po-grżony w myślach.

Wschodziło włącznie słońce, gdy usłyszałem odgłos uruchamianego silnika. Dudnił głucho, jakby stanowił napęd któregoś z wielkich ciężników. Nie wiadomo skąd pojawiła się nagle grupka gapiów, których ludzie Sadiq spychali na bok. Mali chłopcy skakali naokoło, z łatwością wymykając się żołnierzom.

Wskazałem na tłum.

- Ci ludzie wczynie wstali. Często zdarza wam się co takiego?

- Nasz lud jest zawsze z nami. - Zastanawiałem się przez chwilę, czy była to zamierzona parodia cytatu z Biblii. Sadiq wskazał na

tłum. - To mieszkańcy leżącej o milę stąd niewielkiej osady. Nie należy się nimi przejmować.

Zagrzmiał silnik jednej z wojskowych ciężarówek i widziałem, jak ruszyła z miejsca. Z tyłu miała zamontowane bezodrzutowe działo. Nie była to broń o szczególnie dużym zasięgu, za to raziła z cholerną siłą i umożliwiała prowadzenie ognia z lekkiego pojazdu. Należało tylko pamiętać, aby nie stać za działem, gdy z niego strzelano.

- Niezła armata - zauważyłem. - Nie widziałem czego takiego od czasów Korei.

Sadiq odpowiedział dyplomatycznym umiechem. Czuję, że ma ochotę się mnie pozbyć.

- Czy mogę co dla pana zrobić, kapitanie? - Chciałem się przekonąć, w którym momencie nie wytrzyma i potraktuje mnie z góry albo przynajmniej podejmie taką próbę. Wcześniej nastąpiło jednak coś nieoczekiwanego.

- Absolutnie nic, panie Mań...

Jego słowa zagłuszył potężny hałas. Nad naszymi głowami mignęły trzy odrzutowce. Obaj podskoczyliśmy z wrażenia. Przeleciały nisko i zniknęły na południu. Odwróciłem się do Sadiqa, ze zdziwieniem unosząc brwi.

- Jesteśmy w pobliżu wojskowego lotniska - stwierdził, ale jego udawana nonszalancja nie była w stanie nikogo zwieść.

Podziękowałem mu i oddaliłem się. Odwróciwszy głowę, zoba-

czyłem, że znowu zakłada słuchawki. Może lubił stereofonię.

Chcąc uspokoić nerwy zapuściłem się w zarola na poboczu drogi. Były dość gęste, ale natrafiwszy na co w rodzaju kanału w podszyciu mogłem z łatwością wzdłuż niego iść. Zastanawiało mnie, że biegnie w prostej linii. Po chwili o mało nie wpadłem do jakiego dołu. Zachwiałem się przez moment na jego krawędzi, zdołałem jednak utrzymać równowagę, chwytając się gałęzi i wbijając sobie przy okazji kolec w rękę. Zakląłem, a potem obejrzałem z zainteresowaniem wykop. Został niedawno zrobiony, a na jego dnie widać było lady. Wyrzuconą ziemię usypano wokół dołu, przykrywając ją gałęziami. Dla kogo, kto naprawdę potrzebował wykopu, ten mógł okazać się szczególnie interesujący. Ostatnio widziałem takie będąc w wojsku.

Zsunąłem się w dół i spojrzałem na ciężką, którą szedłem. Kanał w podszyciu prowadził wyranie na skraj drogi, gdzie był lekko tylko zamaskowany i dobrze widoczny od strony zaroli. Kapitan Sadiq najwyraniej znał się na rzeczy, jak prawdziwy zawodowiec. Było to ukryte stanowisko karabinu maszynowego, którego pole ognia obejmowało prawie kilometrowy odcinek drogi. Z czystej ciekawości odgrzebałem w pamięci wiedzę zdobytą wtedy, gdy wujek Sam próbował zrobić ze mnie żołnierza i wydedukowałem, gdzie Sadiq powinien był ulokować modzierz. Po kilku minutach buszowania w krzakach natrafiłem na to miejsce i przyjrzałem mu się z namysłem. Nie miałem pewności, czy kapitan wybrał najlepsze

rozwiŝzanie, bo plynŝ stŝd wniosek, ŝe trzyma siŝ sztywno pod-  
ręcznikowych reguŝ. Nie byŝoby w tym nic zŝego, pod warunkiem  
ŝe faceci po drugiej stronie barykady nie uczyli siŝ z tej samej  
ksiŝŝki.

Kiedy dotarŝem z powrotem do obozowiska, Kemp przywitaŝ  
mnie z lekkim zniecierpliwieniem i zdziwieniem. Byŝem zakurzony,  
podrapany i spocony.

- Jesteŝmy gotowi do drogi - oznajmiŝ. - Zabierz siŝ z kim  
chcesz. - Powiedziaŝ to takim tonem, jakby chcaŝ dodaŝ: "byle nie  
ze mnŝ" i doskonale go rozumiaŝem. Czekaoŝ go zbyt wiele pracy,  
by miaŝ jeszcze odpowiadaŝ na pytania uciŝŝliwego pasaŝera.

- Chwileczkŝ - powiedziaŝem. - Kapitan Sadiq nie moŝe siŝ  
jako oderwaŝ od radia. Jak dŝugo to juŝ trwa?

Kemp wzruszyŝ ramionami.

- Nie wiem. Od samego rana. Kaŝdy z nas robi swoje.

- Nie wyczuwasz, ŝe jest zdenerwowany? - zapytaŝem z niepo-  
kojem. Rzadko spotykaŝem ludzi, ktŝrzy aŝ do tego stopnia nie  
zwracali uwagi na rozgrywajŝce siŝ wokŝł wydarzenia. - A przy  
okazji, co sŝdzisz o tych samolotach?

- Podobno jest tu gdzie lotnisko. Moŝe po prostu zainteresowaŝ  
ich konwŝj. Poŝluchaj, Neil, muszŝ wracaŝ do pracy. Porozmawiamy  
pŝniej. - Daŝ znak Hammondowi, ktŝry podjechaŝ Land Roverem,  
by go zabraŝ. Koŝa wozu wznieciŝ obŝok kurzu. Podczas mojej nie-  
obecności platforma i prawie wszystkie pozostaŝe pojazdy, w tym

także mój samochód, ruszyły z miejsca, zabrałem się więc z kuchniś polowś w poblize mostu, gdzie zgrupował się cały konwój.

Widok był fascynujścy. Do przewiezienia platformy przez rzekę Kemp zamierzał użyć tylko jednego ciśgnika, który znajdował się już na miejscu. Inny ciśgnik przejechał wczesniej i czekał po drugiej stronie. Wyposażona w poduszki powietrzne platforma wyglśdała doć zabawnie. Straciła jakby swój brutalny, męski charakter, przypominajśc ubranych w dziwaczne spódniczki greckich wartowników w Atenach. Jednakże bez wśtpienia Kemp, którego oburzało przystrajanie platformy chorśgiewkami w Port Luard, nie dostrzegął w tym widoku nic dziwnego. Za platformś znajdowała się ciężarówka z generatorami sprężonego powietrza. Cztery ogromne turbiny tłoczyły je do łączścego oba pojazdy giętkiego przewodu.

Jeli Kemp był zdenerwowany, nie okazywał tego. Wyjaniał swoim ludziom, co majś robić i w jaki sposób. Mówił niewiele, ale ponieważ większość ekipy pracowała z nim już wczesniej, nie musiał udzielać wszystkim szczególowych instrukcji. Irlandczyk McGrath miał kierować ciśgnikiem, a on sam wraz z Benem Hammondem - platformś.

- Nikomu więcej nie wolno być na mocie, dopóki nie przejeździemy na drugś stronę - oznajmił. - I nie przerywajcie dopływu powietrza. Nie chcemy w połowie drogi potłuc sobie tyłków. -

Uwaga ta wywołała szmer rozbawienia.

McGrath zwiększył obroty silnika, rozległ się również huk uruchamianych po kolei generatorów sprężonego powietrza. Gwałtowny podmuch wymiół leżące na ziemi miecie i spod platformy wzbila się w górę chmura kurzu. Wiedziałem, że pojazd nie zawinie w powietrzu, odniosłem jednak wrażenie, iż uniół się lekko na resorach, kiedy spoczywający dotąd tylko na osiach ciężar został bardziej równomiernie rozłożony.

Panował potworny hałas. Zobaczyłem, że Kemp trzyma mikrofon tuż przy ustach. Ciśgnik zaczął sunąć do przodu, najpierw tak powoli, że z trudem dało się to zauważyć, potem odrobinę szybciej.

McGrath był znakomitym kierowcą. Wstąpię, by wielu ludzi potrafiło równie precyzyjnie ocenić, z jaką siłą należy przycisnąć pedał gazu, aby ruszyć delikatnie z miejsca ładunek o wadze czterystu trzydziestu ton. ^

Przednie koła ciśgnika minęły asfaltowe złącze kompensacyjne, które wytyczało początek właściwego mostu. Kemp przechodził szybko z jednej strony kabiny na drugą, sprawdzając z przodu i z tyłu, czy platforma i ciśgnik są w idealnie prostej linii. Poluzowany przewód ze sprężonym powietrzem miał teraz większą długość.

Oszacowałem, że platforma posuwa się najwyżej czterysta metrów na godzinę. Dopiero po jakichś paru minutach cały jej ciężar spoczął na mocie. Jeli kto był zdenerwowany, należało w tym momencie wstrzymać oddech. Tak też zrobiłem.



I wtedy poprzez łoskot turbin i wist sprężonego powietrza usłyszałem przytłumiony krzyk. Jaki człowiek potrząsał moim ramieniem. Odwróciwszy się zobaczyłem sierżanta z jednostki Sadiq. Krzyczał co, wykrzywiając twarz. Gdy nie zrozumiałem, o co mu chodzi, chwycił mnie znowu za rękę i wskazał na drogę, która prowadziła do mostu. Spojrzawszy za siebie, dostrzegłem nadjeżdżającą kolumnę pojazdów: na przedzie były dżipy i motocykle, a za nimi majaczyły - ziejące złowrogimi otworami luf - sylwetki czołgów.

Pobiegłem razem z sierżantem w tamtym kierunku. Gdy tylko natężenie hałasu zmalało na tyle, by mógł mnie usłyszeć, przystanęłam i zapytałam oschle:

- Gdzie jest kapitan Sadiq?

Sierżant wyciągnął natychmiast rękę w stronę rzeki.

- Na drugim brzegu.

- Chryste! Sprowad go. Natychmiast!

Sierżant był wyrażenie przerażony.

- Jak mam to zrobić?

- Pobiegnij tam! Przez most można się przedostać. Zaczekaj.

Kiedy zobaczy cię pan Kemp, szef nadzoru, może chcieć się zatrzymać. Daj mu znak, żeby jechał dalej. W ten sposób. - Pomachałem ręką, wskazując przed siebie i widziałem, że sierżant pojął, o co chodzi. - A teraz ruszaj!

Odwrócił się i pobiegł z powrotem w kierunku mostu, ja za

szedłem dalej na spotkanie kolumny pancерnej, czując przyspieszone bicie serca. Niewielu ludzi jest w stanie powstrzymać w pojedynkę nadciągającą armię, miałem jednak tak mało czasu na rozważenie ewentualnych konsekwencji mego postępowania, że działałem prawie bez namysłu. Jadący na czele wóz dowódcy zatrzymał się raptownie, wzbijając chmurę pyłu i gniewny głos krzyknął co w języku kinguru, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Rozpędziwszy ręce unoszący się w powietrzu kurz, zawołałem:

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Czy mówi pan po angielsku?

Z siedzenia obok kierowcy podniósł się jakiś oficer i pochylony nad przednią szybą odkrytego samochodu patrzył z niedowierzaniem na most. Kiedy odwrócił wzrok w moją stronę, jego oczy były zimne jak gład, a głos brzmiał gronie.

- Tak, mówię po angielsku. Co się tam dzieje?

- Przewozimy przez rzekę ładunek. Ma dotrzeć do nowej elektrowni w Bir Oassa.

- Zjeżdżajcie z mostu! - krzyknął.

- Włanie to robimy - stwierdziłem pojednawczym tonem.

- Więć się pospieszcie! - wrzasnął znowu, kipiąc gniewem. -

Nie mamy czasu do stracenia.

- Posuwamy się z maksymalną bezpieczną szybkością.

- Bezpieczeństwo! - Spojrzał na swoją kolumnę, a potem zno-

wu na mnie. - Nie rozumie pan znaczenia tego słowa, panie Angli-

ku. - Wydał głośno kilka rozkazów motocyklicie, który zawrócił

i popędził z łoskotem wzdłuż drogi. Widziałem, jak zatrzymuje się przy pierwszym czołgu, którego dowódca wychylił się z wieżyczki, aby go wysłuchać. Czołg opuścił kolumnę, podjeżdżając z chrzęstem gąsienic do wozu dowódcy. Oficer rzucił jakiś rozkaz i zobaczyłem, że opancerzona wieża wykonuje obrót, a lufa działa lekko opada.

Pociłem się coraz bardziej, zaschło mi w gardle i błagałem Boga, żeby przyszedł mi z pomocą Sadiq, ale rozglądając się wokół z nadzieją nie zauważyłem nigdzie ani jego, ani żadnego z towarzyszących mu żołnierzy.

- Hej, kapitanie! - zawołałem, nie wiedząc, jaki naprawdę ma stopień. - Co pan robi? Na moim jest ładunek ważący czterysta trzydzieci ton.

Na jego twarzy pojawił się sarkastyczny uśmiech.

- Zmuszę ich do popiechu.

Zmierzyłem go wzrokiem. Był najwyraźniej odporny na racjonalne argumenty, musiałem więc znaleźć sposób, by poczuł się zagrożony.

- Kapitanie - powiedziałem - jeśli pocisk spadnie choćby w pobliżu platformy, może runąć wraz z nią cały most. Ten sprzęt wart jest dla pańskiego rządu parę milionów funtów i generał major Kigonde osobiście dba o jego bezpieczeństwo. Nie chciałby też chyba, żeby zniszczył pan most.

Oficer wydawał się zbity z tropu, ale przeszedł zaraz do kontr-

natarcia.

- Nie będę celował w most. Jeli ta platforma nie pojedzie szybko, ostrzelam ciężarówki i ludzi na brzegu rzeki. Niech im pan to powie.

Trzymał rękę w górze i wiedziałem, że jeli gwałtownie jś opu-  
ci, z lufy czołgu wyleci pocisk. ^

- Mówi pan o ciężarówce z generatorami zasilajścymi powietrz-  
ne podnoniki? - zapytałem. - Pogorszyłby pan tylko sytuację.

- Powietrzne podnoniki? Cóż to takiego?

- Rodzaj poduszkowca. - Czy rozumiał, o czym mówię? Zresztś  
było to bez znaczenia. Mogłem przynajmniej spróbować zamydlić  
mu oczy technicznymi terminami. - Podnoniki zasilane sś ze sto-  
jścej przy mocie ciężarówki. To jedyny sposób przetransportowa-  
nia platformy na drugi brzeg. Jeli zniszczy pan ciężarówkę, albo  
zrobi-cokolwiek, żeby przerwać naszś operację, utknie pan tutaj na  
dobrze, a nie tylko na pół godziny. Chyba że ma pan ze sobś własny  
most.

Wciśż trzymał rękę w górze, wyranie wahajśc się, co zrobić,  
ciśgnśłem więc dalej:

- Mylę, że powinien pan się porozumieć ze swoim przełożo-  
nym. Nie pochwalś pana za zniszczenie mostu.

Zmierzył mnie wzrokiem i wreszcie opuścił powoli rękę, po  
czym opadł na fotel, chwytajśc znajdujśc się przed nim mikrofon.

Odwróciwszy głowę, aby zobaczyć, co się dzieje na mocie, poczu-

łem, jak opadają mi na kark zjeżone włosy.

Za naszymi ludmi i ciężarówkami pojawili się żołnierze Sadiq, byli jednak w lunym, nie zorganizowanym szyku, Nie mieli przecież bronić nas przed własną armią - zakładając, że napotkany oddział służył jeszcze po tej samej stronie, co oni. Kemp robił, co do niego należało i widoczna za plecami żołnierzy platforma posuwała się centymetr po centymetrze do przodu. Sadiq stał na stopniu jednej ze swoich ciężarówek, która pędziła drogą w naszym kierunku, a gdy dotarła na miejsce, znalazłem się znów w tumanie kurzu.

Sadiq zeskoczył w biegu na ziemię i podbiegł wprost do wozu dowódcy. Kapitan Jak-mu-tam wyranie palił się do walki, a Sadiq nie przewyższał go rangą. Awanturze zapobiegło jednak pojawienie się drugiego wozu, z którego wysiadł człowiek, będący z pewnością dowódcą batalionu i noszący typowo brytyjski wojskowy pas.

Rozejrzał się wokół z posępną miną, popatrzył przez lornetkę na most, a potem zaczął rozmawiać z Sadiqiem, który stał wyprężony na baczność. W pewnym momencie pan Nie-byle-kto zadał jakieś pytanie, wskazując palcem w moim kierunku. Podeszedłem nieproszone, gdy Sadiq zaczął wyjawiać, skąd się tam wziąłem.

- Mogę mówić za siebie, kapitanie. Dzień dobry, panie pułkowniku. Jestem Neil Mannix, przedstawiciel British Electric. Przewożymy przez rzekę transformator.

Nie zadawał żadnych pytań. Pomyślałem, że wszystko już o nas wie, jak przystało na dobrego dowódcę.

- Musicie szybko nas przepuścić - powiedział.

- Platforma posuwa się cały czas do przodu - zauważyłem roz-  
tropnie.

- Czy kierowca ma radio? - zapytał pułkownik.

- Tak, sir - odparł Sadiq. Szkoda, że to powiedział. Można było  
się nie przyznawać.

- Proszę z nim pomówić. Powiedzieć mu, żeby jechał szybciej.

Niech pan skorzysta z mojego nadajnika. - Wskazał na swój wóz,  
ale zanim Sadiq wykonał jego polecenie, zaproponowałem:

- Może ja z nim porozmawiam, pułkowniku. Do moich instru-  
kcji prędzej się zastosuje.

- Dobrze, panie Mannix. Będę na nasłuchu.

Zaczekałem, aż Sadiq połączy się z Kempem, po czym wziłem  
do ręki mikrofon.

- Basil, mówi Neil Mannix. Słyszysz mnie? Odbiór.

- Tak, Neil. Co się tam dzieje? Odbiór.

- Słuchaj i nic nie mów. Mamy tu oddział wojska, który musi  
przeprawić się pilnie przez most. Zakładam, że poruszasz się z za-  
lecaną prędkością? Zachodzi potrzeba, żeby zwiększył...

- Co to za zalecana prędkość? - przerwał mi pułkownik.

- Zaczekaj. Wyłączam się. To mniej więcej półtora kilometra na  
godzinę, pułkowniku. - Nie zwracajśc uwagi na jego posępny minę  
mówiłem dalej do mikrofonu. - Basil? Zwiększ prędkość, jeli bę-  
dzie trzeba. Ile czasu to jeszcze potrwa? Odbiór.

- Piętnacie minut, może dwadzieścia. Odbiór.

Zrozumiawszy, o co chodzi, Kemp odpowiadał tylko na pytania.

Potrafił wychwytywać całkiem zręcznie utajone sygnały. Nie było czego takiego jak "zalecana prędkość" i Kemp dobrze o tym wiedział. Mówiłem dalej:

- Postaraj się zmieścić w piętnastu minutach, może nawet w dziesięciu. Odbiór.

Modliłem się, żeby kto nam przeszkodził i tym razem miałem szczęście. Ludzie z jednostki Sadiq'a zaczęli się niecierpliwić i kilka pojazdów, w tym wozy z zamontowanymi działkami, ruszyło drogą w naszym kierunku. Dowódca odwrócił się zaniepokojony, by zobaczyć, co się dzieje: W tym momencie, mając obok siebie tylko kierowcę pułkownika, powiedziałem pośpiesznie:

- Basil, spieprzaj szybko z tego mostu, bo ich działa rozwalą nam tyłki. Ci faceci lubią sobie postrzelać. Ruszaj się, człowieku. Czekałem na oficjalne potwierdzenie. Odbiór.

Na więcej nie miałem czasu, ale to wystarczyło. Pułkownik, rozdrażniony jak cholera, wrócił akurat w chwili, gdy Kemp mówił: - Zrozumiałem, Neil i wykonuję polecenie. Zwiększam prędkość. Bez odbioru.

Oddałem mikrofon kierowcy, oznajmiając:

- Wszystko w porządku, pułkowniku. Postara się opuścić most jak najszybciej. Za kwadrans powinien pan ruszyć w drogę. Zatrzymam resztę konwoju, do czasu aż panowie przejedziecie.

Pułkownik skinął sztywno głową, a na jego twarzy widoczne było napięcie. Spojrzawszy przelotnie w niebo, zaczął rzucać rozkazy kapitanowi, który zajął się gorliwie obsługiwaniem radia. W całej kolumnie zapanowało poruszenie. Zauważyłem z zainteresowaniem i pewnym niepokojem, że z wież czołgów wylaniają się wycelowane w niebo lufy karabinów maszynowych. Przypomniałem sobie odrzutowce, które przeleciały nad naszymi głowami i zacząłem się zastanawiać, co robi w tym momencie Semangala, marszałek lotnictwa, czy jak go tam tytułujś. W oddali dostrzegłem obracające się dwudziestomilimetrowe szybkostrzelne działko przeciwlotnicze o czterech lufach.

- Czyżby wybuchła wojna, pułkowniku? - zapytałem.

- To manewry - odparł krótko. - Może pan już odejść.

Pożegnał mnie szorstko, ale nie odczuwałem z tego powodu przykroci. Dołączyłem do Sadiq'a i pojechalimy ciężarówką z powrotem na nasze pozycje. Przekazałem ludziom, żeby trzymali się z daleka od mostu i przepucili wojskową kolumnę, gdy tylko platforma znajdzie się bezpiecznie po drugiej stronie i odłączony zostanie przewód ze sprężonym powietrzem. Każdy miał mnóstwo pytań. Napięcie, spowodowane przejazdem platformy przez rzekę, wyranie wzrosło, czemu trudno było się dziwić. Niewiele miałem jednak ludziom do powiedzenia i niebawem wszyscy umilkli, patrząc wyczekująco.

Siedemnaście minut później platforma zjechała bezpiecznie



z mostu na pewny grunt. Wszystko jest względne, i w tym momencie pokonywanie nawet najbardziej kruchej i wyboistej drogi mogło wydawać się nam błahostką. Przynajmniej przez jakiś czas. Odłączono generatory, zwinięto węże i cofnięto stojące tuż przy mocie ciężarówkę. Pułkownik podjechał do nas sztabowym samochodem.

- Dziękuję - powiedział szorstko. Uprzejmość nie należała tu do częstych zjawisk, było to więc wszystko, na co potrafił się zdobyć.

Powiedział coś do mikrofonu i prowadząca kolumnę motocykle z rykiem silników ruszyły przez most.

- Czy mogę udzielić panu pewnej rady, pułkowniku? - zapytałem.

Przeszył mnie spojrzeniem swych ciemnych oczu.

- Słucham.

- Ten most nie jest zbyt bezpieczny. Przy jego budowie robiono oszczędności. Na pańskim miejscu zachowałbym odległość między przejeżdżającymi czołgami.

Skinął lekko głową.

- Dziękuję, panie Mannix.

- Nie ma za co.

Zerknął na mnie niepewnie, po czym dał znak kierowcy, aby ten ruszył z miejsca. Kiedy odjeżdżał, mówiąc już coś do mikrofonu, westchnąłem do zamierzchnych czasów, gdy ludzie przekazywali sobie informacje z ust do ust. W skład przejeżdżającego batalionu wchodziły głównie wozy pancerne, czołgi i bateria samobieżnych dział, a także kilka ciężarówek z żołnierzami piechoty do bezpo-

rednich działań obronnych. Nawet tak mała jednostka jak batalion zajmuje na drodze cholernie dużo miejsca i dopiero po dwudziestu minutach wzniesienia przez kolumnę kurzu przejechała przez most jej tylna straż. Obserwowałem, jak wspinał się na wzgórze po drugiej stronie rzeki, po czym powiedziałem:

- W porządku, chłopcy. Dołączmy do pana Kempa, dobrze?

Kiedy konwój ruszył, zwróciłem się do Sadiq:

- A teraz, kapitanie, może będzie pan uprzejmy dowiedzieć się od swego kierowcy, a potem przekazać mnie, co się, do cholery, dzieje.

Wiem/że na pańskie polecenie prowadził od początku nasłuch.

W tym momencie z jakiego powodu obaj spojrzeliśmy pospiesznie w niebo.

7

Kemp i Hammond wydawali się wstrząśnięci. Nie mogłem mieć do nich pretensji. Nikt nie lubi, by celowano do niego z wielkiego działa. Hammond, jak należało oczekiwać, był w wojowniczym nastroju.

- Tego nie mieliśmy w kontrakcie, Mannix. Co zamierza pan zrobić?

- Neil w niczym tu nie zawinił - stwierdził Kemp.

- Wiem, co teraz zrobię - rzekłem. - Powiniennem tak postąpić już wcześniej. Mam zamiar dokładnie zapoznać was obu z sytuacją.

- Czy to o tym chciałem z mną rozmawiać? - zapytał Kemp, dając mi szansę wyjścia z opresji obronnych ręk.

Skinšłem głowš, mówišc:

- Od dawna. Ale najpierw chcę jeszcze pomówić z kapitanem

Sadiqiem. Pójdziemy do niego razem?

Zamienili ze sobš parę słów, po czym Kemp odparł:

- Tak. Wszyscy sš jeszcze trochę zdenerwowani. Nie powinni-  
my ruszać dalej, dopóki nie rozpoznamy sytuacji. Wielka szkoda,  
že nie ma tu Geoffa.

- Spróbujemy się z nim skontaktować - powiedziałem. Nie mia-  
łem pojęcia, co mógłby zdziałać, ale jeli samš swš obecnościš  
uspokajał współnika, byłaby to duža korzyć. Sadiq, jak należało się  
spodziewać, siedział w swoim samochodzie z przyklejonymi do  
głowy słuchawkami i zgodnie z ustalonym rytuałem wręczył je  
sierżantowi, zanim do nas podszedł.

- A więc dobrze, kapitanie - odezwałem się. - Co ma nam pan  
do powiedzenia?

- Słyszał pan, co mówił pułkownik Hussein - odparł obojętnym  
tonem. - Armia odbywa ćwiczenia.

Wbiłem w niego wzrok.

- Niech pan nie wciska nam kitu. Podczas manewrów żaden  
oficer nie grozi ostrzelaniem cywilnego pojazdu. Musiałby czyścić  
potem latryny. A to było co więcej niż groba.

- Proszę wymylić co bardziej przekonujšcego, kapitanie -  
stwierdził Kemp.

Wskazałem kciukiem na sierżanta.

- Prowadzicie stale nasłuch radiowy. Co słyszeliście?

Sadiq wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć co konkretnego. Ciśgle nadajś, głównie szyfrem. Zdaje się, że zaobserwowano znaczne ruchy wojsk.

Aktywne jest także lotnictwo.

- Widzieliśmy rano odrzutowce. - Snułem wiele własnych domysłów, ale chciałem usłyszeć jego zdanie. - Jak pan sądzi, co się dzieje?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Chciałbym to wiedzieć.

- Co mówi Radio Nyala?

- Nic nadzwyczajnego. Nadajś dużo muzyki. - Kemp i ja spojrzeliśmy na siebie. - Było trochę informacji o nas, o nowej elektrowni w Bir Oassa. I inne wiadomości...

Dochodził do istoty sprawy. Stał się bardzo ostrożny. Nic nie mówiłem, milcząc wyczekujśco. W końcu kapitan powiedział:

- Była jeszcze jedna wiadomość z Bir Oassa. Otwarto dziurczycie nowe lotnisko.

Wpatrywałem się w niego ze zdumieniem.

- Przecież miało być gotowe najwcześniej za parę miesięcy. Kto je otworzył?

- Marszałek lotnictwa.

Przemknęła mi najpierw przez głowę luna myśli, że nie omyliłem się jednak co do jego tytułu, a potem powiedziałem:

- Semangala. Zgadza się?

- Tak, sir.

- Czy to nie ten facet, który przebywał we Francji, kiedy wyjeżdżaliśmy z Port Luard? - spytał Kemp. - Jedyne wysoki rangs oficer, który nie mógł być obecny na defiladzie?

- Owszem - przytaknąłem posepnie. - Co więcej, powinien być teraz w Szwajcarii. Wyjechał tam przed dwoma dniami z rodziną.

Widziałem go na lotnisku, odlatując do Lasulu. Został odprawiony z wojskowymi honorami, chociaż był po cywilnemu. Czy na pewno się pan nie myli, Sadiq?

- Nie, sir. - W jego oczach był teraz smutek. - Semangala wygłosił przemówienie.

- Kim on właściwie jest? - zapytał Hammond. - Czy to aż taka figura?

- Dowodzi lotnictwem i jest teraz najważniejszym człowiekiem w Nyali. Zgodzi się pan ze mną, Sadiq?

Przyciskałem go do muru i wcale mu się to nie podobało.

- Nie wiem, o czym pan mówi, sir.

- Ależ wie pan! Nie jest pan głupcem, Sadiq. I ja też nie jestem, proszę o tym pamiętać. Orientuję się w sytuacji nie gorzej niż pan czy ktokolwiek inny w pańskiej armii. Posłuchajcie, panowie. Będę musiał się streszczać. W tym kraju może w każdej chwili dojść do upadku rządu i przewrotu wojskowego. Wasz brak rozeznania tłumaczy jedynie fakt, że jesteście tu nowi i zajmowaliście się przez cały czas tym swoim kolosem. W siłach zbrojnych istnieje rozłam. Połowa armii popiera rząd, a druga połowa chce, aby przejęła wła-

dżę junta wojskowa. Doć to skomplikowane, ale nie dociekajcie na razie przyczyn. Obie strony potrzebujš do zwycięstwa wsparcia lotnictwa, a jak dotšd Semangala wygrywa jednych i drugich przeciwno sobie. Czy mam rację, Sadiq?

- Nie jestem politykiem - odparł.

Umiechnšłem się.

- Tylko prostym żołnierzem, tak? To stara piewka, przyjacielu.

A zatem Semangala pojechał do Francji, zapewne po to, by kupić samoloty albo rakiety. Po powrocie postanawia zrobić sobie waka-cje. W dziwnym momencie, ale to w końcu jego sprawa. Odlatuje oficjalnie z żonš i dziećmi, następnego dnia jest już jednak z powrotem. Zapewne w Zurychu czekał na niego samolot. Przypuszczam, że zdecydował się wreszcie działać i odesłał rodzinę w bezpieczne miejsce. Wymusił otwarcie lotniska w Bir Oassa, co oznacza, że jest ono teraz całkowicie w jego rękach, a nie pod zarždem cywilnego lotnictwa. Pozostaje tylko pytanie: po czyjej stanš stronie?

Hammond i Kemp słuchali z uwagš.

- Niech mnie diabli! - odezwał się Hammond. - Zwykle czyty-wałem o czym takim w gazetach.

- Właciwie jakie ma to dla nas znaczenie, kogo on popiera? - zapytał Kemp. - Tak czy inaczej, bęđš potrzebowali tej elek-trowni.

- Nie bšd naiwny. Oczywiście, że tak, ale to nie znaczy, że możemy przemierzać sobie cały kraj, niczego się nie obawiajšc.

Naokoło będzie strzelanina. ^

Sadiq pokiwał głową.

- Bardzo niedobrze. Nie wiem, jak zapewnić wam bezpieczeństwo.

Chciał przez to powiedzieć, że nie ma pojęcia, przed kim powinien nas bronić.

- Gdyby doszło do wojny, będziemy potrzebni zwycięzcom - stwierdziłem. - Ale najpierw kto musi wygrać. Tymczasem ugrzęniemy w tym wszystkim po szyję, a o wypadek nietrudno.

Jeli lotnictwo wystąpi przeciwko rządowi, może zechce się z nami rozprawić, żeby spowodować kryzys gospodarki. I jak, do cholery, zdołalibyśmy temu zaradzić?

- Czyżby mówił o wojnie domowej? - zaniepokoił się Kemp.

- A o czym innym? Kapitanie Sadiq, po której będzie pan stronie?

Wydawał się przerażony.

- Nie wiem. Mówiłem panu, że nie orientuję się w tych sprawach. Muszę słuchać rozkazów generała majora Kigonde.

- A gdyby nie otrzymał pan rozkazów? Konfucjusz mawiał, że człowieka, który idzie rodkiem drogi, zawsze co przejedzie.

W pewnym momencie będzie się pan musiał zdecydować. A ten pułkownik Hussein - jak pan myli, kogo popiera?

- To człowiek Kigonde.

- Dokąd jedzie i po co?

Sadiq zaczął okazywać rozdrażnienie.

- Nie powiedział mi. Pułkownicy nie mają zwyczaju mówić

kapitanom, jakie dostali rozkazy.

- Dał panu jakie instrukcje dotyczące konwoju? - zapytał

Kemp.

- Kazał mi z wami zostać. Zapewnić panom bezpieczeństwo

i nie dopuścić do sabotażu.

- I zrobi pan to? Nawet gdyby koledzy z armii zaczęli do pana

strzelać?

Nic nie odpowiedział i trudno było mieć do niego pretensje. Mój

umysł przestał na chwilę pracować i czułem, że brakuje mi zbyt

wielu danych, żebym mógł podjąć jakiekolwiek decyzje, dotyczące

naszej misji. Wtem, ku memu zdumieniu i ogromnej uldze, zdjęto

mi z ramion ten ciężar. Basil Kemp, który w pewnym momencie

przestał przysłuchiwać się naszej wymianie zdań, kreił czubkiem

buta jakie wzory na piasku. Zaczynałem już sądzić, że jest rów-

nie bezradny jak ja, gdy nagle wyprostował się i oznajmił z deter-

minacją:

- Mamy do wykonania zadanie. Uważam, Neil, że tracimy czas.

Trzeba natychmiast ruszać. Omówimy wszystko po drodze.

- Dokąd mamy jechać? - zapytałem.

- Do Bir Oassa. Kiedy debatowaliśmy, przemyślałem sytuację.

Wojna jeszcze się nie zaczęła i nie wiemy, czy w ogóle do niej

dojdzie. Na razie to tylko spekulacje. Jeli nie będzie wojny, konty-

nuujemy robotę. Ale gdyby wybuchła, chciałbym znajdować się



o wiele bliżej Bir Oassa niż jesteśmy teraz. Kapitan Sadiq wspominał, że otwarto nowe lotnisko, mielibyśmy więc przynajmniej jedną drogę ucieczki. Tutaj jesteśmy bez szans - jak kaczki na wodzie. Nie możemy też zawrócić. Gdyby doszło do wojny, dwa największe miasta ucierpią najbardziej i baseny portowe zamienią się w kupę gruzu.

Mówił z sensem, a jego głos brzmiał zdecydowanie.

- W porządku, ruszajmy w drogę - powiedział niemal z entuzjazmem Ben Hammond. - Mamy spore rezerwy paliwa, wody także. Mielimy uzupełnić zapasy żywności, ale na razie nam jej nie brakuje. - Jego umysł pracował już na pełnych obrotach, koncentrując się na tym, co najważniejsze. Najwyraźniej zadowolony był fakt, że ma przed sobą konkretne zadanie.

- Kapitan Sadiq sądzi, że może dojść do wymiany ognia - mówił dalej Kemp. - Musimy przedyskutować to z naszymi ludmi.

Zbierz ich wszystkich, Ben. Nadal żałuję, że nie ma z nami Geoffa.

Dobrze sobie radzi z takimi sprawami.

- Ty też - zauważyłem. - Idzie ci lepiej niż mnie. Zgadzam się, że nie możemy tu tkwić. Jest jeszcze inny ważny powód, żeby jechać dalej. - Mój umysł znowu normalnie funkcjonował.

- Cóż to takiego?

- Za chwilę ci powiem. Ruszajcie w drogę. Chcę jeszcze zamienić słowo z kapitanem. - Spojrzałem na Kempa wymownie. Tak jak poprzednio, zrozumiał co mam na myśli, mówiąc od razu:

- W porządku. Do zobaczenia wkrótce. - Odszedł, zabierając ze

sobą Bena, a ja zwróciłem się do Sadiq:

- Jesteśmy w cholernych tarapatkach, kapitanie. Cieszę się, że zamierza pan z nami zostać. Podziwiałem pańską zapobiegliwość.

Wziewamy na przykład te stanowiska karabinów maszynowych.

- Zauważył je pan? - zapytał. - Powiedziano mi, że może nam grozić niebezpieczeństwo.

- Jak pan myśli, co się naprawdę dzieje?

Zdjął czapkę i podrapał się w głowę. Błyskotliwy żołnierz był teraz zwykłym, nieco skonfundowanym człowiekiem.

- Pułkownik Hussein zamierza dołączyć do Siódmej Brygady, która stacjonuje w Bir Oassa. Potem wyruszą razem na południe. To znaczy z powrotem tutaj, niestety.

- Nie zostaną tam, żeby bronić pól naftowych?

- Nikt ich nie zaatakuje. Będzie potrzebne obu stronom. Ale w tym miejscu, w Kodowie... - Wyjął mapę. Kodowa leżała przy wielkiej drodze jakie pięćdziesiąt kilometrów na północ od nas i było to jedyne w okolicy duże miasto. Zakładaliśmy wcześniej, że uzupełnimy tam zapasy.

- Z Kodowy prowadzi też droga na wschód i zachód - mówił Sadiq. - Krzyżują się tam więc przelotowe szlaki. Poza tym to samo serce terytorium Kinguru. Opór ze strony członków plemienia zostałby praktycznie zdławiony, gdyby miasto zajęli rebelianci. Tak więc Siódma Brygada musi tu dotrzeć, aby bronić Kodowy, a także

utrzymać most. Hussein spotka się z nimi gdzie na północ od miasta.

- Chryste! A więc siedzimy w tym wszystkim po uszy. Gdzie tu jest ta baza lotnictwa?

- W pobliżu Kodowy. Jeli siły powietrzne naprawdę przyłšczyły się do rebeliantów, bardzo trudno będzie zająć miasto. Dlatego Hussein się tam nie zatrzyma.

- A sđdzi pan, że lotnictwo przeszło na drugš stronę - albo że to zrobi?

Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć, panie Mannix. Ale przypuszczam...

- Tak. Ja też. - Milczelimy obaj przez chwilę, po czym dodałem: - Dziękuję za szczerość. Koniecznie powinniśmy informować się nawzajem o wszystkim, co wiemy, kapitanie. A teraz muszę dołšczyć do pana Kempa.

Miałem do niego nadal ze sto pytań. Bardzo chciałem, na przykład, zorientować się w jego poglšdach. Jako muzułmanin nie musiał wcale popierać rzšdów Kinguru. Jeden z jego zwierzchników wyznawał islam, a dowódca Siódmej Brygady mógł być przedstawicielem tej samej wiary. O pewne sprawy nie należało wszakże pytać i na razie musiałem założyć, że obie strony zechcš oszczędzić konwój, tak więc lojalność Sadiqa nie będzie miała dla nas znaczenia. Znajdowaliśmy się jednak w wyjłtkowo parszywej sytuacji.

Dołšczyłem do Kempa, w momencie gdy skończył zebranie. Za-

łoga wracała do swoich zajęć, żywo dyskutując. Kemp odwrócił się z ulgą w moim kierunku.

- Ludzie są, oczywiście, trochę zaniepokojeni, ale będą ciszej

dalej tę platformę - oznajmił. - Tyle, że kto wspomniał już o premii za niebezpieczną pracę.

- Dobry Boże! Na razie nie padł ani jeden strzał, i może w ogóle nic takiego się nie zdarzy.

- Wystąpił z tym pomysłem tylko jeden człowiek. Cwaniak ze związków zawodowych.

- Przypomnij mu lepiej, że to najczarniejsza Afryka, a nie droga stara Anglia. Facet, który podejdzie do niego z karabinem, nie będzie pytał, czy wierzy w braterstwo ludzi, ani nie poprosi o legitymację związkową. Kto to jest?

- Posłuchaj, on nie...

- Basil, muszę wiedzieć o wszystkim. Kto to taki? Nic mu nie powiem, ani nie zrobię, chcę tylko mieć go na oku.

- Nazywa się Burkę. Johnny Burkę. Cholernie solidny pracownik i dobry kolega. Na litość boską, nie rób z tego afery.

- W porządku, masz moje słowo. Ale gdyby zaczął spiskować, muszę o tym wiedzieć. A teraz chcę cię zorientować w sytuacji. - Zrelacjonowałem mu pokrótce rozmowę z Sadiqiem i moje własne domysły.

- Chciałem powiedzieć mi co jeszcze i zdaje się, że Sadiq miał tego nie słyszeć - zauważył.

- Owszem. Myślę, że im mniej wie o naszych planach, tym

lepiej. Pokaż mi mapę Nyali.

Obaj się nad nią pochyliłimy. Z Kodowy droga biegła mniej więcej w kierunku północnym, prowadząc przez coraz rzadziej poronione krzakami okolice w półpustynne rejony Bir Oassa, gdzie wieże wiertnicze wypompowywały z ziemi nowo odkryte, życiodajne bogactwo. Rzeka, którą właśnie przekroczyliśmy, podobnie jak dwie mijane wcześniej i jedna, będąca jeszcze przed nami, stanowiły główne dopływy Katali, ogromnego szlaku wodnego. Prowadził on w górę wybrzeża na północ od Lasulu, tworząc granicę Nyali z sąsiednim państwem Manzu. Kolejna droga z Kodowy, mniej imponująca niż ta, po której jechaliśmy, biegła na przełaj przez cały kraj, ze wschodu do zachodniej granicy, w kierunku rzeki Katali. Nie było tam mostu, ale między obydwoma krajami kursował prom, który przewoził ludzi i towary, umożliwiając dorany handel i dotarcie innych tras do pól naftowych.

- Wiesz co o tej drodze? - zapytałem, wskazując na mapę.

- Niewiele. Widziałem ją, oczywiście, gdy robiłem przegląd terenu, ale dokładnie się jej nie przyglądałem. Pamiętam, że był tam spory ruch. Dlaczego pytasz?

- Masz rację, że jeśli dotrzemy do Kodowy i zacznie się ta cholerna wojna, nie będzie można zawrócić na wybrzeże. Ale nie umiechałoby mi się też jechać dalej do Bir Oassa. Wszystko im tam dowoższ: żywność, wodę...

- Nawet paliwo - dodał z kwanyum umiechem. - Majš tylko

ropę.

- Włanie. Byłoby fatalnie utknść na pustyni. A jeli rebelianci opanujš lotnisko, nie pozwolš nam tak po prostu odlecieć. Zatrzymajš wszystkich, jak to okreła prasa, "w charakterze zakładników". Więc chyba nie chcemy tam jechać, prawda?

Spojrzał na mnie z przerażeniem. Wszystkie jego starannie opracowane plany brały w łeb, a w dodatku miałem mu za chwilę przedstawić najbardziej dziwaczny pomysł, jaki można sobie wyobrazić.

- Chcesz, żebym wiózł w nieznanym kierunku, nie sprawdzonš trasš, wieloczonowš przyczepę z trzystutonowym ładunkiem? - zapytał. - Po co, na litoć boskš?

- Spójrz na tę drogę, która prowadzi na zachód. Zawraca w kierunku lasów tropikalnych. Jest tam kilka osiedli, co daje duże szansę na znalezienie żywności i wody, a także paliwa: benzyny i oleju napędowego. Może to nie jest dobra droga, ale nadaje się do użytku.

Dochodzi do rzeki Katali, prowadząc wzdłuż niej do Lasulu i na wybrzeże. Widziałem za Lasulu poczštek tej trasy. Nie wyglšda wcale le. Dotrzemy do rzeki w tym miejscu, obok jeziora Pirie. -

Nie było to właściwie jezioro, lecz znacznie rozszerzone koryto rzeki. - Jest tam nawet dość duże miasto, Fort Pirie. Chyba wielkości Kodowy.

- Tak, widzę. Rozumiem, że chodzi ci o żywność, wodę, ewen-

tualnie paliwo.. Ale jest co jeszcze, prawda?

- Owszem. Manzu.

- Republika Manzu? Przecież nie przedostaniemy się z platformą przez rzekę. Tam nie ma mostu. Poza tym to inny kraj, Neil. Nie posiadamy odpowiednich dokumentów na wjazd. Nie prowadzimy z Manzu żadnych interesów.

Poczułem, jak ogarnia mnie rozdrażnienie.

- Zastanów się, Basil! W razie potrzeby zostawimy platformę.

Tak, zostawimy ją. Wiem, że jest wiele warta, ale bardziej liczą się ludzie. Możemy przewieźć ich przez rzekę. W neutralnym kraju będziemy bezpieczni. Jako uchodźcy, i w dodatku biali, otrzymamy pomoc i zdobędziemy rozgłos. Idę o zakład, że nikt nie omieli się nawet tknąć platformy, ani pozostałych pojazdów. Będą cenne dla obu stron przy prowadzeniu negocjacji.

Prawdę mówiąc sam w to nie wierzyłem. Obawiałem się, że pozbawiona fachowej obsługi, porzucona w tropikalnym lesie platforma stanie się kupą złomu i tak też będzie przez wszystkich traktowana. Musiałem jednak przekonać Kempa do mojej koncepcji. Wiedziałem, co jest najważniejsze. Z całą pewnością nie należało zabierać na pustynię grupy ludzi, żeby stali się zakładnikami jednej z walczących stron. Albo pożywieniem dla sępów.

- Będę musiał to przemyśleć - odparł Kemp.

- Naturalnie. Brakuje nam jeszcze wielu informacji. Ale pamiętaj o tej sprawie. Dopóki nie jesteśmy w Kodowie, nic się nie dzieje. Na

razie tam nie dotarlimy. A tymczasem wszystko może się zmienić.

- Masz rację. Czy możemy wrócić do bieżących problemów? -

zapytał. - Zostajesz z nami?

- Jasne. Nie jechałbym na wybrzeże, nie zorientowawszy się najpierw w sytuacji. Kiedy zamierzacie wyruszyć?

- Natychmiast. Powinnimy dotrzeć do Kodowy jutro rano.

W zaistniałych okolicznościach nie zatrzymam się jednak zbyt blisko miasta. Wsiądziesz ze mną do Land Rovera? Po drodze możemy omówić nasze plany. Każę komu poprowadzić twój wóz.

Wkrótce bylimy znowu w drodze. Tocząca się w kurzu platforma i obsługujący ją ludzie pozostali w tyle, a my pojechalimy sprawdzić, co dzieje się w Kodowie. Wczoraj Kemp miał nadzieję, że kupi tam na targu wieże owoce i warzywa. Dzi jego oczekiwania były zupełnie inne.

8

Kiedy Kemp odłączył się od konwoju, zauważyłem z "zadowoleniem, że wyprzedza nas dwóch motocyklistów Sadiqa. Podjechali do przodu, a potem zwolnili, trzymając się w pewnej odległości - jeden jakie czterysta metrów przed nami, drugi osiemset. Kemp prowadził samochód dość wolno, przyglądając się z uwagą nawierzchni i sprawdzając zakręty. Raz czy dwa razy połączył się przez radiotelefon z platformą, ale poza tym milczał. Był głęboko zamylony.

Gdy przejechalimy dwadzieścia parę kilometrów, stwierdził:



- Zastanawiałem się nad tym wszystkim.

Jego słowa zabrzmiały złowieszczo.

- Zatrzymaj się i porozmawiajmy - zaproponowałem.

Poprosił mnie o naszkicowanie sytuacji politycznej. Podzieliłem się z nim przypuszczeniami na temat roli sił powietrznych i poglądów Sadiq. Czuję, że jest coraz bardziej wojowniczo nastawiony ale gdy okazało się w końcu, z jakiego powodu, ogarnęła mnie rozpacz. John Sutherland wydawał mi się pozbawiony wyobrani, ale Kemp bił go na głowę.

- Nie przejmowałbym się tym wszystkim - stwierdził. - Nie ma żadnego niezbitego dowodu, że cokolwiek się dzieje.

- Dopiero co facet przy moście chciał ostrzeliwać konwój - przypomniałem. - Jak by to nazwał?

- Grozili nam tylko, chcieli postraszyć. Może odbywali po prostu ćwiczenia. Co z tego, że przelatywały odrzutowce? Przedtem też je widywaliśmy. Nie bardzo w to wszystko wierzę, Neil. A oddział wojska jest już daleko przed nami.

- Skąd wiesz? Mogli zacząć się gdzie w pobliżu. A są jeszcze inni, i nie muszą mieć wobec nas przyjaznych zamiarów. - Wiedziałem jednak, że to do niego nie dociera. Co sprawiało, że był niewzruszony w swych poglądach. Należało szybko znaleźć sposób na jego upór.

- Kiedy tylko dotrzemy do Kodowy, spróbuję wrócić do Port

Luard - oznajmiłem. - Może uda mi się załatwić samolot albo przy-

najmniej eskortę wojskową. Chcę otrzymać informacje z głównej kwatery, a nie przez radio. Zanim wyjadę, będę mi potrzebne nazwiska wszystkich twoich ludzi. - Wyjąłem notes i pióro. Kemp spojrział na mnie, jakbym postradał zmysły.

- Po co ci to?

Zauważyłem, że nie zakwestionował moich planów powrotu do bazy. Może byłby zadowolony, gdybym zniknął.

- Po prostu je zanotuję - powiedziałem.

- Muszę znać powody.

Uznałem, że najlepiej być brutalnie szczerym.

- Gdyby kto zginął, trzeba by zawiadomić rodzinę i firmę. To, rzecz jasna, dotyczy także ciebie.

- Mój Boże! Podchodzisz do sprawy bardzo serio!

- Oczywiście. Tu nie ma żartów i myślę, że dobrze o tym wiesz.

Podawaj mi nazwiska.

Spełnił moją probę, aczkolwiek niechętnie.

- Ben Hammond. Czterej kierowcy: McGrath, Jones, Grafion i Lang. Bert Proctor odpowiada wraz z Benem za konserwację platformy. Sisley i Pitman - dwóch chłopaków, obsługujących ciężarówkę z generatorami powietrza. Nawiasem mówiąc, i jeden, i drugi ma na imię Bob. Thorpe to ten, który z tobą przyjechał. Poza tym Burkę i Wilson. Kuchnię polową obsługuje Bishop i młody Sandy Bing. Razem ze mną jest nas czternastu. Nie znam ich adresów. -  
Ostatnie zdanie wypowiedział z sarkazmem, potraktowałem to jed-

nak jako stwierdzenie faktu.

- W razie potrzeby dostaniemy je z centrali. Może zechciałby dać mi jaki list do Wingsteada - zakładajśc, że uda mi się wrócić.

- Naprawdę chcesz spróbować? To mogłoby być...

- Niebezpieczne? Podobno uważasz, że nie ma żadnego ryzyka.

Bawił się bezmylnie kluczami od samochodu.

- Nie jestem tak beznadziejnie głupi, Mannix. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że mogš być kłopoty. Ale twój plan...

Dochodziliśmy wreszcie do sedna sprawy. Co w moim opracowanym pospiesznie planie ewakuacji dotknęło go do żywego i zaczynałem się domyślać, co to było.

- Jeli chcesz, zostawię ci polecenie na pimie. Gdyby zrobiło się niebezpiecznie i pozostawanie przy platformie nie dawało wam żadnych szans na ucieczkę, macie natychmiast jš porzucić.

Moje domysły okazały się słuszne. Twarz Kempa znieruchomiała, wyrażajśc zacięty upór.

- Chwileczkę. Włanie o to chodzi. Nie zamierzam porzucać pracy czy platformy tylko dlatego, że tak mi każesz, ani z powodu jakich pieprzonych lokalnych rozruchów. Włożyliśmy już w to wszystko zbyt wiele wysiłku.

Spojrzałem na niego chłodno.

- Jeli należysz do tych, którzy gotowi sš poświęcić życie ludzi dla kupy złomu, możesz czuć się zwolniony z roboty.

Kemp był blady jak ciana.

- Firma Wyvern ma podpisany kontrakt. Nie możesz tego zrobić.

- Czyżby? Wytocz firmie proces, a zostaniesz publicznie obdar-  
ty ze skóry. Na Boga, człowieku, ten transformator jest wart dziesięć  
razy więcej niż platforma, a jednak byłbym gotów porzucić go, tak  
jak wypuszcza się z ręki rozżarzony węgiel, gdyby przeszkadzał  
w ratowaniu życia ludziom. Mam prawo rozkazać ci, żeby zosta-  
wił platformę i zrobię to. Na pimię, jeli chcesz. Biorę na siebie  
pełną odpowiedzialność.

Na chwilę zaniemówił z wrażenia. Był wciekły, możliwe jednak, że  
w równym stopniu na siebie, co na mnie. Zobaczył pod nogami prze-  
pać. W momencie, gdy zaczyna się przedkładać wartości materialne  
nad ludzkie życie, człowiek dochodzi do punktu krytycznego i Kemp,  
wyznający normalne zasady etyczne, zdawał sobie z tego sprawę.

- No, Basil - powiedziałem łagodniej. - Rozumiem cię, ale  
bądź rozsądny. Do diabła, jeżeli zostawisz platformę na moje  
polecenie, firma British Electric będzie musiała pokryć wszelkie  
koszty. Dostaniesz swoją zapłatę z nawiązką.

- Oczywiście, życie ludzi jest najważniejsze. Moje także. Tyle  
tylko, że... Nie mogę pogodzić się z myślą...

- Że platforma ulegnie zniszczeniu? Oczywiście, to niełatwe. Ale  
na wojnie dzieją się dziwne rzeczy, i z ludmi, i ze sprzętem. Zakła-  
daję, że faktycznie dojdzie do wojny, czego nie możemy wyklu-  
czyć. Przemysł to sobie jeszcze raz.

Kemp milczał, blady i wstrząśnięty.

- W porządku, zrobimy to, jeśli będzie trzeba - powiedział wreszcie. - Ale tylko w ostateczności, słyszysz?

- Oczywiście. Tak czy inaczej nie musisz zrzucić platformy ze szczytu góry. Zaparkujesz ją gdzie spokojnie na uboczu i zabierzesz z powrotem, kiedy będzie po wszystkim.

Kemp umiechnął się blade.

- Chciałbym wrócić teraz do platformy - stwierdził. - Muszę pogadać z Benem. I przydałoby się coś zjeść.

Przyjść mi tę pojednawczą propozycję.

Platforma wlokła się w coraz większym upale, sunąc do przodu tak powoli, że nie wzniesła prawie kurzu. Przed nią i za nią ciągnęła reszta konwoju i pojazdy wojskowe. Czas jakby stanął w miejscu i widok kolumny działał niemal usypiająco, zastanawiałem się jednak, jak długo mógłbym to znieść. Kierowcy platformy musieli chyba przechodzić specjalny trening cierpliwości i wytrzymałości.

Kemp dał znak, aby kuchnia polowa zjechała na bok i Bishop zaczął robić herbatę oraz rozdawać w drzwiach kanapki. Mój wynajęty samochód okazał się nagle wozem dostawczym. Kemp nie ukrywał zadowolenia, że Land Rover został zwolniony z tej funkcji.

- Zatrzymamy twój samochód - powiedział. - Powinnimy od początku mieć o jeden więcej. /

- Firma Avis będzie na pewno zachwycona.

Sadiq owiadczył, że wysłał zwiadowców, żeby zbadali sytuację

na drodze do Kodowy. Pozostawił również straż daleko za konwojem, na wypadek gdyby kto zbliżał się do nas od strony mostu.

Sadiq wykonywał solidną robotę i pomimo niespodziewanych trudności całkiem dobrze sobie radził.

Hammond i Kemp odbyli długą rozmowę przy herbacie i kanapkach. Chodziło najwyraźniej o kwestie czysto techniczne, jakie problemy z funkcjonowaniem platformy po zdjęciu poduszek powietrznych. Nie była to żadna poważna sprawa, lecz jedna z tych drobnych komplikacji, którymi zawsze zaprzętasz sobie głowy inżynierowie. Niebawem Kemp stwierdził, że chce przez jakiś czas jechać obok platformy, by sprawdzić jej funkcjonowanie i poprosił, abym mu towarzyszył.

Włanie ruszaliśmy, gdy w powietrzu rozległ się wist i zobaczymy wysoko w górze smugi, pozostawione przez lecące na północ odrzutowce. Było ich kilka. Zdążyliśmy już przywyknąć do tego widoku, więc nikt nic nie powiedział. Przyglądaliśmy się jednak w zamyśleniu znikającym nam z oczu samolotom.

Reszta poranka mijiała tak powoli, jakby sam Czas stracił poczucie czasu. Znaleliśmy się u stóp stromego zbocza, które oddzielało tereny poronięte krzakami od leżącej przed nami jałowej ziemi i musielimy pokonywać całą serię poprzecznych grani, droga wznosiła się więc i opadała jak tory gigantycznej diabelskiej kolejki.

Pięliśmy się pod górę, żeby ujrzeć płytką dolinę i następne, jeszcze wyższe wzniesienie. Ze szczytu każdego kolejnego wzgórza widać

było coraz wyraniej mglistš, błękitnoszarš cianę zbocza. Platformę wcišgały teraz pod górę i kontrolowały jej prędkość przy zjeżdżaniu w dół trzy sprzęgnięte ze sobš cišgniki. Po dotarciu do najbardziej stromego zbocza Kemp miał zamiar korzystać ze wszystkich czterech.

O dziwo, szata roślinna była w tym miejscu nieco bogatsza i obszar wydawał się gęcej zaludniony. Mniej więcej co milę spotykaliśmy osadę, a po drodze pojedyncze chaty. Budowano je z trawy i kryto palmowymi lićmi, bšd teŹ konstruowano podwójne ciany ze splecionych łozin, wypełniajšc je wyschniętym błotem. Jeli chata spłonęła lub została zniszczona, w cišgu jednego dnia można było postawić nowš.

Mieszkańcy osad uprawiali kukurydzę i słodkie ziemniaki, a między zabudowaniami dziobały ziemię wynędzniałe kurczęta. Wypasano małe, chude kozy i niewiele większe krowy. Zabiedzone psy z wystajšcymi zębami włóczyły się po okolicy w poszukiwaniu ochłapów. Ludzie teŹ byli wychudzeni, ale nosili czystš odzieŹ i emanowała z nich pełna godnoci powaga. Ustawiali się przy drodze, obserwujšc nasz przejazd, najwyraniej przejęci lękiem i zafascynowani, ale dalecy od wištecznego nastroju. W jednej z osad podeszła do Sadiq delegacja, Źsdajšc, aby porozmawiał z ich wodzem, a mężczyźni z wioski wydawali się wrogo nastawieni do Źołnierzy. Nie dostrzegalimy kobiet ani dzieci, co było niezwykłym zjawiskiem.

Sadiq wrócił z niepomyłnymi wieciami.

- Przemknął tędy jak burza batalion Husseina, zabijając dziecko.

Nikt się nawet nie zatrzymał i ludzie są bardzo rozgniewani.

- Mój Boże, to straszne! - Kemp wyglądał tak, jakby uwierzył nagle w nasze spekulacje na temat wojny domowej. Przypomniałem sobie słowa Napoleona o jajkach i omlecie, ludzie nie byli jednak jajkami, które należało rozbijać. Gdyby częściej co takiego się zdarzało, mieszkańcy wsi nie zechcą popierać żadnej z walczących stron. Zresztą miejscowa ludność i tak nie miała żadnego wpływu na to, co się działo.

Kemp chciał wiedzieć, czy moglibyśmy w czym pomóc, usłyszał jednak, że najlepiej będzie jechać dalej.

- Oni wiedzą, że to nie wasza wina - stwierdził Sadiq. - Jesteście tu nieproszonymi gośćmi, ale nie mają do was pretensji. Nie ulżycie ich cierpieniu.

Pojechalimy dalej, doganiając platformę. Postanowiłem zabrać się z Sadiqiem. Chciałem uzyskać od niego jeszcze parę informacji, nadarzała się więc dobra okazja. Kiedy ruszyliśmy, zacząłem od niewinnego pytania:

- Jak to się dzieje, że mieszka tu tylu ludzi? Jest ich chyba więcej niż na wybrzeżu.

- To zdrowsza okolica. Mniej chorób, mniejszy upał. I dobra ziemia, kiedy padają deszcze.

W tym momencie zatrzeszczało radio. Sadiq chwycił natychmiast słuchawki i pokręcił gałką. Posłuchawszy uważnie, odpowiedział



swemu rozmówcy, po czym rzekł do mnie:

- Na drodze przed nami co się dzieje. Nie jest dobrze. Pojadę tam. Zabierze się pan ze mną?

- Chciałbym. - Nie miałem najmniejszej chęci pakować się w kłopoty, ale im więcej zdobywałem informacji, tym lepiej.

Sadiq minął kolumnę i popędził dalej. Za nami siedział skulony sierżant ze słuchawkami na uszach, choć wstąpiłem, by mógł cokolwiek słyszeć. Kilka kilometrów od miejsca, z którego zawracałem z Kempem po krótkim postoju, napotkaliśmy zaparkowaną tuż pod szczytem wzgórza ciężarówkę Sadiqa. Byli tam również motocykliści. Dowodzący jednostką kapral wskazał ręką na przedłużenie drogi, gdzie z sąsiedniej doliny, albo tej, która leżała tuż za nią, unosiła się w niebo chmura dymu.

- Może to pożar buszu? - zapytałem. Podejrzewałem jednak co innego.

- Możliwe. Kapral twierdzi, że godzinę temu słyszał grzmot w górach. Głupiec. Pomyślał, że zaczyna się wczesniej pora deszczowa.

- Nie widać chmur.

- On nigdy nie słyszał huku dział.

- Ja słyszałem. A pan? - zapytałem. Sadiq skinął głową.

- Mam nadzieję, że to nie Kodowa - powiedział cicho. - Jakby trochę za blisko. Pojedziemy sprawdzić. - Nie wspomniał o samolotach, które wczesniej wszyscy widzieliśmy.

Ruszyliśmy pospiesznie dalej. Motocykliści byli jakie dwa kilometry przed nami, a ciężarówka telepała się z tyłu. W sąsiedniej dolinie panował spokój, ale gdy pięliśmy się po zboczu, jadący z przodu motocyklista zawrócił nagle na pełnym gazie. Wysłuchawszy, co ma do powiedzenia, Sadiq kazał zatrzymać samochód poniżej grzbietu wzgórza i podszedł do ciężarówki. Po chwili zaczęli z niej wyskakiwać żołnierze, ustawiając się w szeregu.

Sadiq dał mi znak ręką, ruszyłem więc za nim, schodząc z drogi i biegnąc przez, gęste zarośla. Na szczycie wzgórza kapitan pochylił się, a potem położył płasko na brzuchu. Dołączysz do niego zapytałem:

- Co się dzieje?

- Po drugiej stronie są czołgi. Chcę wiedzieć jakie, zanim tam pojedę.

Podpełznawszy naprzód, wygrzebał z torby lornetkę. Zlustrował szybko teren, po czym patrzył przez pewien czas w jednym kierunku. Wreszcie pokazał, żebym się zbliżył i podał mi lornetkę.

Na drodze były cztery czołgi. Jeden jeszcze się palił, drugi leżał przewrócony, z góssienicami sterczącymi w niebo. Trzeci zjechał z drogi do rowu. Z czwartym najwidoczniej wszystko było w porządku, po prostu stał w miejscu. Zauważyłem ciała trzech ludzi.

Droga, oznaczona niewielkimi, głębokimi wyrwami, pełna była odłamków.

Widywałem już takie rzeczy. Oddałem Sadiqowi lornetkę, mó-

wiść:

- Atak rakietowy z powietrza. Hussein?

- Tak, to jego czołgi. Majš insygnia Drugiego Batalionu. Nie widzę wozu dowódcy.

Odszukawszy wzrokiem swego kaprala, wykonał rękš szeroki gest i poklepał się po czubku głowy. Nie wymagało to tłumaczenia: podchodzić z flanki i nie wychylać się.

W tym przypadku ostrożność okazała się zbędna. Z wyjątkiem kilku wcibskich skrzydlatych padlinożerców na drodze nie było żywego ducha. Sadiq kazał sprowadzić samochody i pojechalimy obejrzeć pobojowisko. Trzej ludzie, których ciała leżały na drodze, wyskoczyli z płonšcego czołgu. Ich zwłoki były zwęglone, a ubrania spłonęły, przypuszczalimy jednak, że zostali zabici z broni maszynowej. Czołg, który wydawał się nie naruszony, miał w wieży otwór wielkoci dawnego brytyjskiego pensa, a spod wypalanej naokoło farby wyzierał metal. Uszkodzenie spowodował ładunek kumulacyjny, umieszczony w głowicy pocisku rakietowego. Wiedziałem, co ludzie Sadiq zobaczą wewnątrz czołgu i nie miałem ochoty sam tego oglądać. Jeli ktokolwiek tam pozostał, trzeba by zdrapywać go ze cian.

Sadiq kazał ugasić płonšcy czołg, a zwłoki położono w jednym miejscu i przykryto brezentem. Pozostali żołnierze gdzie zniknęli.

Zauważyłimy tylko prowadzące w zarola lady krwi. Jeli nawet byli ranni, zdołali uciec.

- Nie da się tędy przejechać, dopóki tego nie usuniemy - stwierdziłem. - Będzie nam potrzebny sprzęt Kempa. Czy mam wrócić i powiedzieć mu, co się stało? Mógłby tu podjechać jeden z cišgników. Kemp korzysta tylko z trzech.

- Tak, niech pana podwiezie który z motocyklistów. Nie przypuszczam, żeby groziło panu jakie niebezpieczeństwo, na razie. -

Gdy to powiedział, spojrzeliśmy obaj w niebo. Nie było nad czym debatować. Wydawało mi się oczywiste, że wybuchła w końcu wojna domowa i siły powietrzne przyłšczyły się do opozycji. Odczuwałem mdłoci na mył, co mogło nas czekać w niedalekiej przyszłoci.

Wróciliśmy do konwoju i motocyklista wysadził mnie bezceremonialnie obok samochodu Kempa, a potem popędził przekazać rozkazy reszcie eskorty. Kemp wytrzeszczył oczy ze zdumienia i zdałem sobie sprawę, że po raz drugi w cišgu tego długiego dnia widzi mnie w doć opłakany stanie. Przedzierałem się przez zaroła, byłem więc zakurzony i podrapany.

- Ta wojna, o której nie chciałem słyszeć, rozgrywa się już o parę kilometrów stšd - powiedziałem. - Nie możemy przejechać, bo drogę blokujš wraki czołgów. Cztery maszyny, z jednostki Husseina. Wszystkie zniszczone. Potrzebny nam jest wolny cišgnik i cholernie dobry kierowca. Chciałbym, żeby to był McGrath. Przydałoby się jeszcze paru chłopaków. I ty też. Pracujesz przecieź w cięźkim transporcie, prawda?

W moim głosie pobrzmiwała może nuta hysterii. W każdym razie spojrzenie Kempa zdawało się to potwierdzać.

- Nie żartujesz?

- Chryste, może powinienem przywieć ci na dowód jakie zwłoki?

- Zwłoki?

- To się zdarza na wojnie.

Spojrzałem na drogę. Platforma sunęła powoli w naszym kierunku, ale przed nią jechał dodatkowy ciągnik, który prowadził Mick McGrath. Dałem mu znak, żeby się zatrzymał. Przystanął obok nas, wyraźnie zaniepokojony. Wszyscy zauważyli nagłe poruszenie wśród żołnierzy i wiedzieli, że co się dzieje.

- Basil, zatrzymaj platformę - powiedziałem. - Lepiej tutaj niż za blisko tamtego miejsca.

Kemp popatrzył na mnie i na platformę, po czym zdjął powoli mikrofon z tablicy rozdzielczej Land Rovera. Zatrzymywanie platformy było poważną sprawą, nie tak prostą, jak wciśnięcie hamulców w samochodzie. Przypominało raczej manewrowanie niewielkim okrętem. Po pierwsze, niezbędna była ciska współpraca kierowców wszystkich trzech ciągników; po drugie, osoba obsługująca platformę, zwykle Hammond lub Bert Proctor, musiała bardzo precyzyjnie ocenić, w którym momencie włączyć hamulce, zwłaszcza przy jedździe w górzystym terenie. Cała ekipa miała łączność radiową, ale posługiwano się również powiewającą z wozu kontrolnego

flagš. Był to prymitywny, ale bardzo praktyczny sposób. Kemp wystawił jš włanie przez /okno samochodu, rzucajšc jednoczenie polecenia przez mikrofon. McGrath wysiadł z cišgnika i podszedł do nas.

- Co się dzieje, panie Mannix?

- Jest wojna.

- Jak wyglšda sytuacja?

- Jak zwykle na wojnie. Hussein został ostrzelany z powietrza i stracił cztery czołgi. Z jednym z nich powinniśmy sobie poradzić, ale trzy blokujš przejazd. Będziemy potrzebowali pańskiej pomocy w oczyszczeniu drogi.

W tym momencie stało juź koło nas kilka osób, głono dyskutujšc. Przez gwar rozmów przebił się głos McGratha.

- Czy jeszcze tam strzelajš, panie Mannix?

- Nie, i przypuszczam, że juź nie będš. Obie strony zostawiš nas pewnie w spokoju. Jestemy dla nich zbyt cenni.

- Sš po drodze jakie trudne odcinki? - zapytał McGrath.

- Nic szczególnego. Powinno się z łatwociš przejechać.

- A wiec dobrze. Zabiorę z platformy Berta. Barry, pogoń do galopu całš ekipę i jedcie za nami. Powiedz chłopakom z cysterny, żeby trzymali się z tyłu. Ciężarówka z generatorami też niech nie jedzie za blisko. Przyda się nam pański samochód, panie Mannix.

W porzšdku? Sandy, przylij do mnie Berta, a potem zostań na miejscu i powiedz panu Hammondowi, co się dzieje.

Wydał tę serię rozkazów spokojnym, zdecydowanym głosem, po czym wrócił do swego cišgnika. Zrobił na mnie duże wrażenie.

Przejšł inicjatywę w znakomitym stylu i wyglšdało na to, że można na nim polegać. Ciekawie byłoby zobaczyć go w akcji, gdy sprawy przybiorš zły obrót, a miałem pewność, że tak się stanie.

Gdy dołšczył do mnie Kemp, zapoznałem go z sytuacjš i wiedziałem, że nie ma zastrzeżeń do prowadzonej akcji.

- Ten Mick to dobry organizator. Ma trochę goršcš głowę, jak każdy pracujšcy z nami Irlandczyk. Ben zostanie tu z platformš i resztš załogi. Źołnierze z eskorty mogš im pomóc. Ja jadę z wami.

Wsiadaj.

Nie uznał za stosowne przeprosić, że wštpił w wybuch wojny.

Był znów spięty jak w Port Luard. Uwiadomiłem sobie z przerażeniem i złociš, że nie martwiła go perspektywa wojny domowej, która zniszczy cały kraj, lecz "wyłšcznie problemy zwišzane z opónieniami lub zakłóceniami w jego bezcennym harmonogramie przewozów. Kemp miał przed oczami tylko jeden cel.

Kiedy zjechalimy na bok, aby wyprzedzić cišgnik, Kemp zapytał:

- Wspominałe o zabitych. Ilu ich było?

- Widziałem trzech, ale w czołgach musiało być więcej. Reszta uciekła.

- Diabli nadali, jakbymy nie mieli doć własnych kłopotów, żeby pakować się jeszcze w jakš cholernš wojnę - mamrotał.

- Mogło być gorzej. ,

- Niby jak, do cholery?

- Samoloty mogły zbombardować twoją platformę - stwierdzi-  
łem oschle.

Nic nie odpowiedział, pozwoliłem mu więc prowadzić wóz  
w milczeniu. Sam miałem ochotę spokojnie przez chwilę posiedzieć.

Czułem się wyczerpany i zmalretowany. Wiedziałem, że muszę  
szybko odzyskać energię, by stawić czoło kolejnym trudnościom.

W miejscu ataku lotniczego niewiele się zmieniło, tyle tylko że  
usunięto z drogi ciała poległych i ugaszono ogień. Sadiq czekał  
zniecierpliwiony.

- Ile potrwa odblokowanie drogi, sir? - zapytał od razu.

Kemp był wyranie oszołomiony.

- Proszę mi powiedzieć, jak długo - powtórzył Sadiq.

- Usuniemy czołgi mniej więcej w godzinę od przyjazdu ciśnie-

ka - odparł Kemp, opanowując zdenerwowanie. - Zakładam, że nie  
musimy obchodzić się z nimi zbyt delikatnie.

Nie słuchałem go. Patrzyłem na leżące niedaleko ^przed nami  
pasma wzgórz, obserwując kilka słupów gęstego dymu, który szy-  
bował w niebo, tworząc w górze czarne kłęby. Sadiq podszedł wzro-  
kiem za moim spojrzeniem.

- Moi zwiadowcy donieli, panie Mannix, że płonie Kodowa.

Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby zapytać Kempa:

- Nadal masz nadzieję kupić tam wieże warzywa?



Pokręcił ciężko głową. Wybuchła wojna i znalelimy się w samym jej centrum.

McGrath i Proctor byli ekspertami w swojej dziedzinie, znajscymi się na transportowaniu ciężkich, nieforemnych ładunków. Oce- niwszy nachylenie i ukształtowanie terenu, przystępi do łączenia klamer oraz grubych stalowych lin. Wkrótce McGrath cięgnął z drogi pierwszy z uszkodzonych czołgów, jakby była to zabawka. Wszyscy, nie wyłączając żołnierzy, patrzyli zafascynowani, jak czołg wrył się w piasek na poboczu, a ekipa przystępowala do usuwania następnego.

Przekonawszy się, że nasz cięgnik poradzi sobie z tym zada- niem, Sadiq odjechał wozem sztabowym w kierunku Kodowy, eskortowany przez motocyklistów. Oczyszczanie drogi trwało do pónego popołudnia, po czym Kemp wrócił do konwoju, żeby poinformować ludzi o sytuacji i sprowadzić platformę. Postanowił, że zatrzymamy się na nocleg, co było rozsądniejszą decyzją, biorąc pod uwagę wyczerpujący i nerwowy dzień, chciał jednak przed zapad- nięciem zmroku pokonać jeszcze jak największy dystans.

McGrath i Proctor odpoczywali, cięgnąc z drogi przewróco- ny czołg, co okazało się wcale niełatwym zadaniem. Popijali z kub- ków gorszą herbatę, którą jak zwykle serwował wszystkim Sandy.

Podszedłem do nich i zapytałem:

- Macie łopatę?

McGrath umiechnął się szeroko.

- Widział pan kiedy robotników bez łopat? Służ nam do podpierania się. Wszyscy o tym wiedzą. W ciśnieńniku znajdzie pan parę sztuk.

Proctor, mniej impulsywny, zapytał cicho:

- Potrzebuje pan pomocy przy pochówku, panie Mannix?

Pogrzebalimy ciała, oddawszy kapralowi Sadiqą blaszki identyfikacyjne poległych żołnierzy. Potem wszyscy usiedli w milczeniu, pogrżeni we własnych myślach. McGrath gdzie zniknął, ale niebawem usłyszałem jego wołanie.

- Hej, panie Mannix! Bert!

Rozejrzałem się wokół, ale nigdzie go nie dostrzegłem.

- Gdzie pan jest?

- Tutaj. - Jego stłumiony głos dochodził z nieokrełonego kierunku, ale on sam był nadal niewidoczny. W tym momencie Bert wskazał palcem głowę McGratha, wyłaniając się z wieży czołgu, którego nie trzeba było przesuwac, gdyż stał w rowie. - Myle, że jest całkiem sprawny - oznajmił radonie Irlandczyk.

- Znasz się też na czołgach? - zapytałem.

- Nauczyli mnie tego w wojsku. Znam się na wszystkim, co jedzi - stwierdził bez fałszywej skromności. Siedzący obok mnie

Proctor z powagą pokiwał głową.

- Możesz nim wyjechać? - zapytałem.

- Prawie na pewno. Ta maszyna nie jest w ogóle uszkodzona.

Załoga po prostu wyskoczyła i zostawiła czołg zagrzebany w pia-

sku. Chce pan, żebym spróbował?

- Dlaczego nie?

Jego głowa zniknęła we włazie i po całej serii metalicznych odgłosów silnik zagrział hałaliwš melodiš. Czołg ruszył najpierw do przodu, zakopujšc się jeszcze głębiej w piasku, a potem zaczął jechać do tyłu. Ze zgrzytem gšsienic i przy wtórze sporadycznych wiwatów wypełznił z rowu na drogę. Po chwili zaczęła się poruszać wieża czołgu. Lufa wykonała obrót i zniżyła się, celujšc prosto w nas. ,

- Ręce do góry! - krzyknł McGrath, wystawiajšc ponownie głowę i ryczšc ze miechu.

- Nie celuj tym we mnie - powiedziałem. - Raz na dzień mi wystarczy. Cóż, wyglšda na to, że tabor firmy Wyvern wzbogacił się dzięki nam o sprawny czołg. Kapitan Sadiq będzie zachwycony.

9

Noc była niespokojna. Nic się już więcej nie zdarzyło, ale niewiele z nas spało nieprzerwanym snem. Nie ustawały wędrówki do kuchni polowej i ciche rozmowy w ciemnościach, wyczuwało się atmosferę podenerwowania. Obfitujšcy w wydarzenia dzień różnił się całkowicie od innych, które mijały powoli według ustalonego porzšdku. Nikt nie wiedział, co przyniesie jutro, można było tylko mieć pewność, że nie zaznamy więcej monotonii.

Platforma zatrzymała się w dolinie, gdzie lotnictwo zaatakowało czołgi. Kemp nie zamierzał ruszać dalej, dopóki nie będzie dokład-

nie wiadomo, co zdarzyło się w Kodowie. Gdy tylko zaczęło witać, Sadiq pojechał razem z nim obejrzeć drogę. Ja wolałem zostać. Przy niadaniu prawie nie rozmawiano i wyczuwałem, że ludzie sš spięci. Wiedziałem, oczywicie, że dyskutowali wczenej na temat swojego bezpieczeństwa i szans wyjcia bez szwanku z opresji, nie wykazujšc przy tym nadmiernego optymizmu. Podejrzewałem, że Johnny Burkę i Bob Sisley upominali się doć ostro o interesy szeregowych pracowników. Należało mieć to na uwadze. Zaczšłem układać sobie w mylach, co powinienem powiedzieć, kiedy przyjdzie pora przekonać ich rozsšdnymi argumentami o słusznoci mojego postępowania. Nie przypominali żołnierzy Sadiqa, których nauczono słuchać rozkazów.

Ben Hammond pojechał z Kempem oglšdać drogę. McGrath i trzej czy cztery inni mężczyźni zabawiali się nadal czołgiem. Ze miechem, ale stanowczo, odmówili przekazania go wojsku, dopóki przy nim trochę nie pomajstrujš. Reszta ludzi, włšczajšc w to mnie, nie miała nic specjalnego do roboty. Wszystko wokół wyglšdało nadzwyczaj spokojnie i normalnie, o ile tylko człowiek nie zwracał uwagi na trzy zepchnięte do przydrożnego rowu czołgi.

Spokój ten został zakłócony tak raptownie, że można było dostać ataku serca.

Poczulimy potężny pršd powietrza, a w uszach zagrzmiał nam ogłuszajšcy huk. Ludzie poderwali się jak wyskakujšce z pudełek diabełki na sprężynach, gdy nad ich głowami przemknęło

z przeraliwym wistem na niewielkiej wysokości pięć odrzutów, pędząc w kierunku położonych za nami wzgórz.

- Chryste! - powiedziałem. Krew uderzyła mi do głowy, a zrywając się z miejsca rozlałem kawę.

Kto krzyknął "atakujś!" i wszyscy rzucili się szukać schronienia, głównie pod samś platformś, co byłoby samobójstwem, gdyby rzeczywiście nastąpił nalot. Nie spadły jednak żadne pociski ani bomby. Samoloty zniknęły równie szybko jak nadleciały. Ludzie wychodzili z ukrycia, rozglądając się i dyskutując. Żołnierze poniewczasie chwytały za broń.

- Czy to był atak? - zapytał Ritchie Thorpe. Ponieważ razem przyjechalimy, uznano za oczywiste, że właśnie on powinien zwracać się do mnie w imieniu załogi.

- Nie - odparłem. - Przelecieli o wiele za szybko. Nie jestem pewien, czy w ogóle nas zauważyli.

- Jak pan myli, dokśd lecś?

- Bóg raczy wiedzieć. - Czuję się jak na bezludnej wyspie, pozbawiony dostępu do informacji. - Jeste pewien, że nie można by złapać czego przez radio? Jakiej lokalnej stacji?

- Przykro mi, panie Mannix. Słyszać tylko trzaski. Mylę, że wszystkie nadajniki zostały wyłączone. Pan Kemp obiecał, że będzie się z nami kontaktował co godzinę, zawsze o wpół. Jestem na nasłuchu. Może przekaże nam jakie wiadomości.

Rozległ się odległy grzmot i znów spojrzeliśmy w niebo. Wraciał

jeden z odrzutowców, leciał jednak o wiele wyżej niż poprzednio.

Na naszych oczach zatoczył ogromne koło i zniknął, kierując się tam, gdzie reszta eskadry. Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że pozostał za nim cichy pogłos, nagle jednak zmartwiałem, uwiadomiwszy sobie, co to takiego.

- Bert, tam jest drugi samolot. Niezbyt duży. Widzisz go?

Proctor wpatrywał się w niebo podobnie jak ja.

- Nie, ale słyszę, że leci. Czy kto widzi niewielki samolot? -  
zawołał głośno.

Wszyscy spojrzeli w górę. Trzech lub czterech ludzi wdrapało się na platformę, która stanowiła dobry punkt obserwacyjny. Brad Bishop, stojący na dachu kuchni polowej, krzyknął pierwszy: "Tak, jest tam!", wskazując na południe.

W chwilę później ja również zobaczyłem na niebie maleńki punkt. Samolot leciał nisko w naszym kierunku. Żałując, iż nie mam lornetki, wlepiłem wzrok w zbliżającą się maszynę i uwiadomiłem sobie nagle, że ją rozpoznaję. Nigdy nie byłem pilotem i choć przesiedziałem setki godzin w niewielkich samolotach firmy i w pasażerskich odrzutowcach, nie nauczyłem się ich jako rozróżniać. Ale tę maszynę na pewno znałem.

- To samolot British Electric! - zawołałem. - Mamy gości!

- Gdzie mogą wylądować? - zastanawiał się Thorpe.

- Słuszne pytanie. W Kodowie jest jakie lotnisko, ale nie wiem, czy będzie zdatne do użytku. Z całą pewnością nie mogą lądować tutaj.

Okazało się, że nie mam racji.

Nie było to jednak zamierzone lśdowanie. Kiedy samolot podleciał bliżej, zauważyliśmy, że ma jakie problemy. Leciał kolawo i niezdar- nie, pozostawiając za sobą cienkš smugę dymu. Widzielimy już, że jest uszkodzony. Brakowało części podwozia, a ogon był wygięty.

- Rozbije się - powiedziałem.

- Myli pan, że zaatakowały go odrzutowce?

- Nie - odparłem. - Latajś za szybko i za wysoko. To był atak z ziemi. Do diabła, przecież to nie myliwiec. Nie jest nawet uzbrojony!

Patrzyliśmy z przerażeniem, jak samolot zaczyna krśżyć niepew- nie nad poronięts krzakami okolicš, powoli zniżajśc lot.

- Sprowadcie cysternę z wodš! - krzyknšłem, pędzśc do samo- chodu. Trzech albo czterech ludzi wskoczyło do niego razem ze mnš. Wóz nie był przystosowany do przedzierania się przez zaro- la, ale wobec braku Land Rovera nie miałem większego wyboru.

Za nami ruszyła cysterna z wodš i kilka pojazdów wojskowych.

Obserwowałem lot uszkodzonej maszyny, omijajśc równoczenie co większe skały i rozpadliny na drodze. Podrzucani na wszystkie strony pasażerowie samochodu chwyтали się kurczowo, czego tylko mogli i pomimo tumanów duszšcego pyłu wystawiali głowy przez okna, aby nie stracić z oczu samolotu.

Wkrótce maszyna zanurkowała, opadajśc pod ostrym kštem za horyzont. Próbowałem wycisnš jeszcze odrobinę mocy z umęczo- nego silnika wozu. Samolot przez moment znów był widoczny.

Przypuszczałem, że próbował lądować i odbił się od ziemi. Potem ponownie zniknął i w niebo wystrzelił tuman kurzu.

Kręciłem ostro kierownicę, aby koła samochodu nie lizgały się na boki. Podskakując na wertepach przejechałem przez cierniste krzewy i gwałtownie zahamowałem. Spoglądając w dół zbocza ujrzeliśmy zdeformowany kadłub samolotu, który jeszcze niedawno był w powietrzu.

Wyskoczywszy z wozu, zaczęliśmy biec. W każdej chwili mogło dojść do pożaru. Nastąpiłaby wtedy eksplozja samolotu, zapaliłyby się również krzaki. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Na razie jednak nie było ognia, a samolot jakim cudem stał na ziemi.

Dotarłszy do niego zobaczyliśmy, że ktoś próbuje wydostać się na zewnątrz. W maszynie było sześć miejsc, ale w środku siedzieli tylko dwaj mężczyźni. Nasi ludzie wspięli się na roztrzaskane skrzydło, wyłamując drzwi do kabiny pilota. Cysterna z wodą sunęła powoli w naszym kierunku, a żołnierze Sadiq'a byli nawet bliżej. Dałem znak nadjeżdżającym pojazdom, żeby się zatrzymały.

- Stać! Zachowajcie dystans! Jeśli wybuchnie pożar, wszystko pójdzie z dymem. Żadnych iskier! Nie wyłączać zapłonu! - krzychałem. - Wilson i Burkę, polejcie samolot wodą!

Gdy strumień wody wytrysnął z jednego z wielkich węży, otwarto drzwi maszyny, pomagając obu mężczyznom wydostać się z środka. Pobiegnąłem do samochodu, żeby podjechać nim bliżej. Jednemu z pasażerów samolotu nic się chyba nie stało. Podtrzymywało go



dwóch naszych ludzi, ale najwyraźniej mocno stał na nogach. Drugi był nieprzytomny. Grafton i Roń Jones musieli go nieć. Gdy przeszli do mojego wozu, rozpoznałem obu przybyszów.

Nieprzytomnym mężczyzną był Max Otterman, nasz rodezyjski pilot. Tym drugim okazał się Geoffrey Wingstead.

Max Otterman był w ciężkim stanie.

Spisał się znakomicie, sprowadzając samolot na ziemię w całości, kołami na dół i bez poważniejszych uszkodzeń, ale zapłacił za to straszliwą cenę. Miał złamaną lewą rękę, a do tego mnóstwo siniaków i skaleczeń, zwłaszcza na twarzy, mimo że chroniły je gogle i hełm. Obrażenia były jednak o wiele poważniejsze, tyle że nikt z nas nie potrafił postawić pewnej diagnozy. Max odzyskał częściowo przytomność w samochodzie, gdy - poruszając się z wielką ostrożnością - wielimy jego i Geoffa Wingsteada do miejsca postoju platformy. Najwyraźniej bardzo cierpiał i ciicho omdlewał. Położyliśmy go wreszcie w cieniu platformy, ale przedtem został dokładnie zbadany przez Bishopa, który potrafił udzielać pierwszej pomocy i okazywał się dość kompetentny, gdy ktoś ulegał drobnemu wypadkowi przy obsłudze sprzętu. Obrażeń Ottermana nie umiał jednak rozpoznać. Zapewniał jedynie, że nie ma on złamanego karku ani uszkodzonego kręgosłupa.

Stan zdrowia Ottermana stanowił dla nas w tym momencie największy powód do zmartwienia.

Wingstead był w dobrej formie, jeśli nie liczyć głębokiej rany na

lewym ramieniu oraz paru siniaków. Mimo wszystko jednak i Bishop, i ja nalegalimy, żeby na siebie uważał. Popatrzył, jak kładziono na ziemi Ottermana, po czym przysiadł w cieniu, popijając zimne piwo.

Wokół Geoffa gromadzili się ludzie. Wszyscy go, oczywiście, znali i widać było, że szef cieszy się ich szacunkiem. Zdumienie z powodu jego nieoczekiwanego przyjazdu ustąpiło miejsca uldze, że nie grozi mu już niebezpieczeństwo, a nad wszystkim górowała zwykła ciekawość.

Musiałem w końcu zaapelować, żeby zechcieli zostawić go na chwilę w spokoju.

- Posłuchajcie, panowie. Geoff nie organizuje teraz konferencji prasowej - powiedziałem. Nie chciałem, aby zabrzmiało to zbyt ostro. Ich sympatia dla Wingsteada była godna uznania. Zrozumieli jednak, o co chodzi i zrobili trochę miejsca.

- Będę musiał wam wszystkim odpowiednio podziękować - odezwał się Wingstead. - Odwaliliście tutaj cholerny kawał dobrej roboty. - Drżał mu trochę głos.

- Nikt nie spisał się lepiej niż Max - stwierdziłem. - Będziesz miał dużo czasu, Geoff. Na pytania też przyjdzie pora. Najpierw trochę odpocznij.

Prawdę mówiąc, byłem ogromnie ciekaw, co go do nas sprowadza, co wie i jak wyglądała sytuacja, gdy wyruszał w drogę. Kemp i Sadiq powinni jednak też tego posłuchać, a opowiedziawszy mi

wszystko Wingstead nie miałby już na nic siły. Odszedłszy na bok zobaczyłem, że opadła mu ze zmęczenia głowa i pogrążył się we nie. Czekałem niecierpliwie na powrót Kempa. Wyglądało na to, że zniknął gdzie na dobre, a chciałem koniecznie przekazać mu najnowsze, dramatyczne wiadomości. Dopiero około południa Zobaczyliśmy wracający pod eskortą samochód Sadiq. Wszedłem mu naprzeciw.

- Czeka nas kupa kłopotów, Neil - stwierdził Kemp.

- Nam też ich nie brakuje - odparłem.

Kemp spojrzał natychmiast w kierunku platformy.

- Mielicie jakie problemy?

- Niezupełnie tak bym to określił. Posłuchaj, jestem cholernie ciekaw, co mi powiesz, ale moje wiadomości są chyba pilniejsze.

Mamy gości.

- Kto to taki? Żołnierze?

Sadiq zdążył już wysiść z samochodu i zdjąwszy lornetkę przyglądał się drodze. Wiedziałem, że z miejsca gdzie stoimy, nie zobaczy samolotu. Wolałbym pomówić o ostatnich wydarzeniach z samym Kempem, ale i Sadiq należało zapoznać z sytuacją. Tak czy inaczej, szybko by się o wszystkim dowiedział.

- Nie chodzi o wojsko - odparłem. - Przeleciały nad nami jakie odrzutowce, ale nie przypuszczam, żeby ich piloci nas poszukiwali.

Potem jednak pojawił się niewielki samolot. Miał awaryjne lądowanie - w tamtym miejscu. - Wskazałem ręką kierunek. - Myślę, że

został zestrzelony. Na pokładzie było dwóch ludzi. Uratowaliśmy

ich obu, ale jeden jest ciężko ranny.

- Kim oni są, do diabła?

- Ucieszysz się, Basil. Jeden z nich to twój szef. Jest w niezłej formie.

- Geoffrey! - Kemp zareagował podobnie jak reszta załogi. Na jego twarzy pojawiło się najpierw zdumienie, potem ulga, a na końcu niepokój. - Kto z nim był? Kto jest ranny?

- Nasz pilot, Max Otterman. Wylądował po mistrzowsku i prawdopodobnie ocalił Geoffa i siebie, ale jest w kiepskim stanie. Samolot można spisać na straty.

Były to rzeczywiście sensacyjne wiadomości, które wywarły na nich obu należyte wrażenie. Zadawali następne pytania. Po chwili zdołałem spławić Sadiqą, wyrażając przypuszczenie, że samolot nie jest zapewne pilnowany jak należy. Poszedł natychmiast osobiście to sprawdzić. Kemp chciał mu towarzyszyć, ale go zatrzymałem.

- Zdążysz później obejrzeć wrak.

- Chcę zobaczyć Geoffa i pilota.

- Jeden pi, a drugi jest prawie nieprzytomny. Na razie nic nie możesz dla nich zrobić. Wolałbym, żeby mi opowiedział, co widziałe.

- Droga jest w dobrym stanie aż do przedmieść Kodowy - odparł Kemp. - Miasto leży w gruzach. Zostało zbombardowane i niemal doszczętnie spłonęło. Mieszkańcy są w szoku i z pewnością nie

na wiele się nam przydadzś. Nas jest z kolei za mało, żeby im pomóc. Sytuacja wyglśda doć parszywie. Miałe rację, że to wojna.

Jedynie na takie przeprosiny było go stać.

- Nie wjechalimy do samego centrum, bo nam przeszkodzono.

Widok munduru wzbudzał wrogie reakcje, a Sadiq miał za mało żołnierzy, żeby temu zaradzić. Ale będziemy musieli tam wrócić.

Posłuchaj, czy Geoff co ci powiedział?

- Jeszcze nie. Nie pozwoliłem mu. Jestem ciekaw jego relacji tak samo jak ty, ale pomylałem, że powinien najpierw odpocząć i poczekać na twój powrót. A propos, gdzie jest Ben Hammond?

Kemp wykonał pełen rozpaczy gest.

- Nigdy by nie uwierzył, ale w powrotnej drodze zepsuła się nam ta cholerna wojskowa ciężarówka. Papierowe żołnierzyki! Nikt oprócz Bena nie wiedział, co z tym zrobić, więc musiał zostać, żeby usunść awarię. Powinien wrócić lada chwila. Sadiq powiedział, że posłał tam paru ludzi, żeby w razie potrzeby mu pomogli. Na drodze jest pusto. Nie powinni mieć żadnych problemów. - Martwiło go jednak wyranie, że musiał zostawić Bena z zepsutś ciężarówkś w rodku buszu w towarzystwie garstki niedowiadczonych żołnierzy. Ja też nie byłem tym zachwycony.

- Nic mu się nie stanie - powiedziałem z nadziejś. - Lepiej teraz co zjedz i wypij.

- O tak, miałbym ochotę na piwo. - Pomyłał przez moment

i dodał: - A właściwie nie. Powinnimy od tej chwili oszczędzać

zapasy. Wystarczy mi kubek "ognia armatniego".

Wymieniliśmy pozbawione wesołości spojrzenia. Potoczna nazwa obozowej herbaty okazała się nagle niepokojąco trafna.

Ben wrócił dwie godziny później - zgrzany, mokry od potu i rozpaczliwie spragniony. Kemp wyciągnął dla niego piwo z racjonowanych już teraz zapasów. Nie powiedzieliśmy jeszcze ludziom o tym szczególnym deficycie i Kemp wcale się do tego nie palił. Wingstead spokojnie spał i nie chcieliśmy go budzić. Za to Otterman był w coraz gorszym stanie. Rzucił się i majaczył, raz czy dwa co krzyknął i wszyscy bardzo się o niego martwiliśmy.

- W Kodowie na pewno są lekarze, ale Bóg jeden wie, jak ich znaleźć i czy będą w stanie pomóc - powiedział strapionym głosem Kemp. Troszczył się o Maxa, lecz napełniał go również niepokojem narastającym wokół chaos. Nagłe załamanie się dotychczasowego porządku stworzyło sytuację, na którą najwyraźniej nie był przygotowany.

- Co zamierza pan zrobić? - zapytał Kempa Hammond.

- Pojadę po południu do Kodowy, zabierając do siebie ludzi, swoich i Sadiqę, żeby pokazać solidarnie naszą siłę. Musimy trafić do władz miasta, jeśli w ogóle tam urzędują i wszystkiego się dokładnie dowiedzieć. Poza tym będziemy potrzebowali żywności, wody - wylali jej z cysterny całe mnóstwo - no i pomocy lekarskiej. Chciałbym, żebyście pojechali ze mną dwaj i jeszcze paru ludzi.

Przerwał mu Sandy Bing, biegnący w naszym kierunku.

- Brad mówi, żeby pan przyszedł, panie Kemp. Pan Wingstead już się obudził.

- Zaraz tam będę.

Geoff siedział pod plandekš, którš rozcišgnięto z boku platformy. Był w zdecydowanie lepszym nastroju. Z nieukrywanš radości ucisnšł Kempowi dłoń.

- A więc wszyscy sš cali i zdrowi? - zapytał.

- Tak. Mamy problemy, ale nie było żadnych wypadków - odparł Kemp.

- Musiałem się tu zjawić i zobaczyć, jak sobie radzicie. Ale nie jestem pilotem, więc Max... - Urwał, lecz po chwili mówił dalej. - No cóż, to wspaniały chłopak. Podobno z nim kiepsko. Czy możemy sprowadzić pomoc?

Kemp. zapoznał go pokrótce z sytuacjš w Kodowie, przynajmniej na tyle, na ile sami bylimy w niej zorientowani. Wingstead sposepniał, usłyszawszy sprawozdanie na temat wydarzeń z ostatnich dni.

- A więc nie brakuje nam paliwa, gorzej jest z wodš, żywnościš i pomocš lekarskš - podsumował. - No cóż, może nie wszyscy o tym wiecie, ale możecie się domyłać, że sytuacja wyglšda tu o niebo lepiej niż w Port Luard. Przynajmniej wszyscy żyjš.

- Czy jest aż tak le? - zapytałem.

- Fatalnie. Rozruchy, walki, kompletna anarchia. Strzelanina na ulicach, plšdrowanie sklepów. Płonie port, policja jest bezradna, a żołnierze biegajš jak szaleni we wszystkich kierunkach. Typowe

obrazki, które widuje się zwykle w telewizyjnych wiadomościach.

- Wspaniale. I pewnie nie ma żadnej drogi ucieczki dla nas, nieszczęsnych cudzoziemców?

- Teoretycznie istnieje. Ale lotnisko jest w rękach rebeliantów i cywilne samoloty nie przylatują. Kigonde gdzie zniknął i próbuje zebrać swoją armię. Słyszałem, że Ousemane zginął, a Daondo zdołał wymknąć się z kraju, co jest bardzo prawdopodobne. To sprytny facet. Nic jednak nie wiadomo na pewno.

Kemp, Hammond i ja przyglądaliśmy się Geoffowi, gdy relacjonował nam po kolei ponure fakty.

- Panuje potworne zamieszanie i nie bardzo wiem, co mamy robić. Musiałem tu jednak przylecieć. Przypuszczałem, że informacje nie będą docierać do was regularnie i możecie poczuć się beze mnie trochę osamotnieni.

- więta prawda, Geoff. Teraz czujemy się o wiele lepiej - powiedziałem drwiśco. Umiechnął się do mnie.

- No cóż, początkowo nie przewidywałem żadnych trudności.

Zapytałem Maxa, czy się nie boi. Koniecznie chciał spróbować.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie...

Zamilkł na chwilę.

- Widzieliśmy parę razy przelatujące odrzutowce, ale piloci nie zwracali na nas uwagi. Na ziemi też był spory ruch: przejeżdżały czołgi, kolumny pancerne i tak dalej, lecz od opuszczenia Port Luard nie zauważyliśmy żadnych walk.



- Jak właściwie udało wam się stamtąd wydostać?

- Och, z przygodami. Kiedy będzie o czym opowiadać. Założy-

limy, w każdym razie, że dogonimy was w okolicach Kodowy.

Nawiasem mówiąc, Kemp, trzymacie się idealnie harmonogramu.

Moje gratulacje.

Kemp prychnął pogardliwie.

- Mielimy zamiar wylądować w mieście i podjechać do was

jakim samochodem. Nigdzie nie było widać oznak rebelii, więc

myśleliśmy, że w Kodowie jest spokojniej. A potem... wszystko na-

stąpiło tak szybko. Zobaczyłem stojącą platformę i podlecieliśmy

bliżej, żeby się jej dokładniej przyjrzeć. Niedaleko stały jakie woj-

skowe ciężarówki, ale nie byłem pewien, czy to wasza eskorta.

A potem poczułem potężne uderzenie i Max powiedział, że obe-

rwaliśmy Chryste... jeszcze nie mogę się z tym pogodzić. Nie wi-

dzieliśmy żadnych samolotów. Trudno było uwierzyć, że kto nas

atakuję. Max zachował się wspaniale. Mylę, że dostał odłamkiem,

bo krwawił już, kiedy stwierdził, że musi lądować. Zrobił to znako-

micie, prawda, Neil? Sami widzieliście.

- Tak. Wylądował po mistrzowsku.

Geoff położył głowę na poduszce.

- Mogę opowiedzieć wam szczegółowo, co się dzieje w Port

Luard, ale nie mam niestety żadnego pomysłu, jak was stąd wyciąg-

nąć - powiedział przeprosającym tonem. Pomyślałem, że nie za

dobrze wygląda. Postanowiłem dać mu odpocząć, należało jednak

przedtem poprawić mu nieco nastrój.

- Mamy pewien plan, prawda, Basil?

- Naprawdę?

- O, tak - odparł Kemp, podchwyciwszy bez wahania moje sło-

wa. - Neil wpadł na znakomity pomysł. Wszystko wskazuje na to, że powinno się udać. Posłuchaj, moim zdaniem należy ci się teraz odpoczynek. Dzisiaj nigdzie się już nie ruszamy, w każdym razie nie z platform. Im lepiej wypoczniesz, tym bardziej przydasz się nam jutro.

Znalazłszy się wystarczająco daleko od Wingsteada, przystanęliśmy wszyscy, biorąc głęboki oddech.

- Czy mylisz to samo, co ja? - zapytał Kemp.

- Owszem - odparłem posępnie. - Chciałbym tylko wiedzieć, czy połowa ludzi naszego dzielnego kapitana przeszła na stronę rebeliantów, czy też od początku mieli oficjalne instrukcje. Sadiq nie przewidywał, że zjawi się tu Geoff i mógł rozkazać, żeby zatrzymać każdego, kto by próbował do nas dotrzeć. Jest nadmiernie troskliwy. Albo też nie wie, że ma w swych szeregach zdrajców.

- Lub sam nim jest.

- Nie przypuszczam. W tym przypadku już dawno by nas zatrzymał, bez najmniejszego trudu.

- Ma pan zamiar go zapytać? - odezwał się Hammond.

- Jeszcze nie teraz. Myle, że nie powinniśmy się przed nim ujawniać. Proponuję nikomu o tym nie mówić i zgodnie z planem pojechać do Kodowy, żeby dokładniej się tam rozejrzeć. Będzie do

tego potrzebny Sadiq i dopóki zachowamy czujność, może nam się jeszcze bardzo przydać.

Gdy wspięliśmy się na szczyt i spojrzeliśmy w dół, pomyślałem że problem polega nie na tym, jak wyjechać z Kodowy, lecz jak się do niej dostać. Spora część miasta nadal płonęła.

Centrum Kodowy stanowiły dwie krótkie ulice, biegnące z północy na południe i przecięte dwiema arteriami, prowadzącymi ze wschodu na zachód. Żadna z nich nie była tak szeroka ani tak dobra jak wielka droga, po której dotąd jechaliśmy. W tym nowoczesnym, miejskim centrum najwyższy budynek miał trzy kondygnacje. A raczej kiedy tak było, gdyż teraz, jak większość innych domów, leżał w gruzach.

Pozostała część miasta zbudowano według lokalnych, afrykańskich wzorów. Ale dachy z palmowych lici dobrze się paliły, a gliniane mury były bardzo kruche i dolina przypominała scenę piekła. Nie wiem, czy miejscowe władze wydały jakiegokolwiek przepisy przeciwpożarowe. Jeli tak, nic to nie pomogło. Płomienie, podsypane przez wiejszy w dolinie wiatr, przeskakiwały przez ulice. Po wyganięciu ognia miały tam zostać jedynie zgliszcza.

- Skazali to miasto na śmierć - powiedział z goryczą Sadiq.

Poruszyłem się w fotelu. Jechałem z Sadiqiem, bo tak to sobie z Kempem zaplanowaliśmy. Kemp załadował do Land Rovera i drugiego samochodu swoich ludzi, dla mnie nie starczyło więc miejsca. Chodziło o to, żebym był pod ręką i miał Sadiqą na oku.

Przy wjeździe do Kodowy zwięzając się drogę zablokował sznur rozklekotanych pojazdów. Poobijane, stare samochody, półciągarówki, wozy zaprzężone w woły oraz rowery posuwały się wolno, opuszczając miasto. Ich pochód opóźniała dodatkowo wielka limuzyna, która utknęła na samym środku drogi. Sadiq zjechał na pobocze i wsiadł do ręki mikrofon, a ja wysiadłem z samochodu, podchodząc do unieruchomionego pojazdu, który miał podniesioną maskę. Grzebało pod nią dwóch ludzi: Nyalańczyk i jeden z tych azjatyckich kupców, którzy najwyraźniej zmonopolizowali w całej Afryce znaczną część drobnego handlu. Ten akurat był Syryjczykiem.

Poklepałem go po ramieniu.

- Zabierzcie z drogi ten wóz. Trzeba go zepchnąć.

Odwrócił do mnie spoconą twarz i skrzywił się, nie rozumując, co mówię. Gdy pokazałem, że powinni zjechać na bok, ze złością pokręcił głową, rzucił jakieś krótkie zdanie, którego nie zrozumiałem i zajął się znów samochodem. Tego było już za wiele. Sięgnąłem mu przez ramię, chwyciłem pęk przewodów i wyrwałem je. Teraz limuzyna nadawała się już tylko do zepchnięcia na pobocze.

Syryjczyk odwrócił się z wściekłością i chwycił mnie za rękę.

Dostawszy pięścią w brzuch, legł jak długi na ziemi. Próbował wstać i sięgnął pod marynarkę po jakąś broń, kopnąłem go więc w żebra. Upadł znowu, akurat w chwili gdy nadszedł Sadiq, rozpinając kaburę.

- Nie ma pan prawa napadać na ludzi, panie Mannix - odezwał

się gniewnym tonem.

Wskazałem na ziemię. Syryjczykowi wypadła spod marynarki ciężka pałka i leżała teraz obok jego bezwładnej ręki.

- Niektórym facetom nie wystarczy raz co powiedzieć - rzekłem spokojnie. - Usuńmy stąd ten samochód. - Drugi mężczyzna zdążył już gdzie zniknąć.

Pistolet Sadiqa miał większą siłę perswazji niż moje słowa. Kapitan wyciągnął ze skłębionego tłumu czterech silnych mężczyzn i w ciągu trzech minut droga była wolna. Wsadzając pistolet z powrotem do kabury powiedział:

- Jest pan zwolennikiem akcji bezprecedensowej, panie Mannix?

- W razie konieczności. Ale zaczynam być za stary na bójki. -

Prawdę mówiąc, ta drobna próba siły cholernie dobrze mi zrobiła.

Musiałem rozładować jako napięcie i syryjski kupiec miał po prostu pecha, że nawinął mi się pod rękę.

- Wolałbym, żeby pan więcej tego nie robił. Proszę zostać na razie ze swoimi ludźmi. I proszę powiedzieć panu Kempowi, że spotkam się z nim wkrótce na głównym placu. - Zanim zdążyłem co odpowiedzieć, kapitana już nie było.

Przecisnąwszy się przez tłum odnalazłem naszego Land Rovera, zaparkowanego u zbiegu dwóch głównych ulic. Wokół widać było dziesiątki zrozpaczonych, oszołomionych bombardowaniem ludzi.

Wszędzie tliły się zgliszcza. Oczy łzawiły nam od gryzącego dymu, a pod nogami chrzęciło rozsypane wśród gruzów szkło. Ludzie

odsuwali się od nas z lękiem, a płaczące kobiety zabierały z drogi przerażone dzieci. Robiło to niewiarygodnie wstrząsające wrażenie.

Wkrótce stało się oczywiste, że nikt nad tym wszystkim nie panuje. Nie widzieliśmy żadnych policjantów ani żołnierzy, z wyjątkiem ludzi Sadiq. Nie było nigdzie lekarza, szpitala, ani nawet punktu Czerwonego Krzyża. Próby uzyskania jakichś informacji od przechodniów okazały się bezcelowe. W końcu, całkowicie zniechęceni, postanowiliśmy zrezygnować.

Gdy opuszczaliśmy miasto, fala uchodźców jakby stopniała, ale nadal było ich bardzo wielu i Bóg raczył wiedzieć, dokąd zmierzali.

Spostrzegłem z zainteresowaniem i zadowoleniem, że Sadiq zorganizował na przedmieciach coś w rodzaju stanowiska dowodzenia i jego żołnierze zaczęli powoli zaprowadzać porządek, łączyć rodziny i udzielając potrzebującym pierwszej pomocy. Powstawał prowizoryczny obóz, gdzie zapewniano ludziom miejsca do spania i rozdzielano żywność oraz napoje. Sadiq odzyskiwał moje zaufanie.

Pozostawiliśmy go przy tej pracy. Załoga chętnie pospieszyłaby z pomocą, ale nie byliśmy tam mile widziani, a nasze skromne rodki na niewiele by wystarczyły. Kempowi zależało, aby jego ludzie trzymali się razem. Odpowiadał za nich i myślał nadal przede wszystkim o bezpieczeństwie platformy. Wróciliśmy do obozowiska o zmierzchu, bardzo przygnębieni.

Kemp poszedł zrelacjonować z grubsza Wingsteadowi, czego się

dowiedzieliśmy. Usiadłem, żeby wypalić spokojnie papierosa w oczekiwaniu na posiłek, który szykował dla nas Bishop. Dołączyli do mnie w milczeniu McGrath i Ron Jones. W mroku żarzyły się dwa papierosy i cuchnąca fajka.

- Co za piekło - odezwał się w końcu Ron Jones. Jego walijski akcent słyszeć było teraz jakby wyraniej niż za dnia. - Czy nie powinniśmy im pomóc?

- Niewiele możemy zrobić - odparłem. - I nie sądzę, żeby kapitan Sadiq naprawdę nas potrzebował. W razie czego, wie gdzie jesteśmy.

- Moglibyśmy chociaż podzielić się z nimi żywnością.

McGrath prychnął pogardliwie.

- Może tam być pięć tysięcy ludzi, Ron, a żaden z nas nie jest Chrystusem. Dasz im pięć bochenków chleba i dwa homary? - zapytałem.

- Jak wyniuchajś, że mamy zapasy żywności, ani chybi się na nas rzucś - stwierdził McGrath. - Osobicie, czułbym się lepiej z bronią w ręku.

-, Nie wiem, czy masz rację. Nyalańczycy to spokojni ludzie.

Noszenie broni nie zawsze jest dobrym pomysłem. Kiedy w wojnie biorś udział uzbrojeni cudzoziemcy, na tubylcach nie robi to najlepszego wrażenia.

- Mimo wszystko wolałbym mieć co w kabinie - stwierdził

McGrath. - Na przykład rosyjskiego Kałasznikowa, jak te, w które

uzbrojeni sš ci Murzyni. Albo lepiej takiego Uzi, jakiego trzyma  
w samochodzie Sadiq.

Popatrzyłem na niego.

- Jeste spostrzegawczy.

- To się oplaca. Mówiłem panu, że służyłem kiedy w wojsku.

- W jakiej randze?

- Awansowałem tylko do stopnia sierżanta - odparł szeroko  
umiechnięty. - Ale aż trzy razy.

Ron Jones rozemiał się.

- Nigdy nie zaznałem przyjemności wojskowego życia - stwier-  
dził. - Jest to co, co wolę oglšdać w telewizji, zamiast przeżywać  
samemu.

Wingstead wyraził się kiedy podobnie. Pomylałem, że wielu  
mężczyzn w moim wieku ma w sumie stosunkowo łagodne uspo-  
sobienie.

- Może niedobrze jest się znaleźć w takich opałach, jak my  
tutaj - powiedział McGrath. - Ale bywa gorzej. - W półmroku wy-  
dawał się jeszcze potężniejszy niż w wietle dnia. Jego postać wzbu-  
dzała grozę. Ubił fajkę i mówił dalej: - Oglšdałem nieraz tego ro-  
dzaju widoki w innych krajach. Dla żołnierzy to normalna rzecz,  
ale cywile naprawdę bardzo cierpiš. Źaden z nas nic tu jednak nie  
zdziała.

Ja też widywałem juź podobne sceny. Wróciłem pamięciš do  
czasów młodoci: Pusan i Inchon, zrujnowane miasta, tłumy ucie-



kinierów na drogach, cierpienie i nędza. Nie chciałem nigdy więcej tego przeżywać.

McGrath trścił mnie nagle łokciem pod żebro.

- Tam kto jest. To chyba biała kobieta!

Zerwał się raptownie i pobiegł w zapadający mrok.

10

Miała na imię Urszula i była zakonnica. Nigdy nie pojmę, jak u diabła McGrath wypatrzył w półmroku, że jest biała, skoro miała osmaloną i umazaną popiołem twarz. Jej habit był podarty i nadpalony, a rozcięcie z boku odsłaniało długie do kolan majtki. Zakrywała je skromnie, tak że pozostawały prawie niewidoczne.

Była zmęczona, ale bardzo opanowana i nie wyglądała na przestraszoną. Znałem kiedyś hydraulika ateistę, który pracował przez tydzień u sióstr, zakładając instalację wodociągów. Szedł tam z niezłomnym przekonaniem, że wszystkie zakonnice mają wira.

Kiedy skończył - zapytałem go, co sądzi teraz o życiu w klasztorze.

- Nikt nie jest bardziej przy zdrowych zmysłach niż te kobiety - stwierdził, najwyraźniej zbity z tropu.

Poszedłem do wozu po butelkę whisky. Regulamin Kempa nie musiał w tym momencie obowiązywać. Gdy wróciłem, siostra siedziała na stołku w otoczeniu naszych ludzi. Byli ogromnie zaintrygowani, ale zarazem uprzejmi i stwierdziłem z zadowoleniem, że nie zadręczała jej pytaniami. Na widok whisky McGrathowi zawieciały się oczy.

- Szkoda, że to tylko szkocka - powiedział. - Irlandzka byłaby

lepsz, prawda, siostra?

Na jej ustach pojawił się lekki, zmęczony uśmiech.

- W takiej chwili whisky to whisky. Dziękuję, panie... Mannix, prawda?

Miała na oko trzydzieci pięć, może czterdzieci lat, ale równie dobrze mogła być starsza. Z zakonniami nigdy nie wiadomo. Kiedy w Hollywood robiš o nich filmy, grajš je takie aktorki jak Deborah Kerr albo Julie Andrews, ale siostra Urszula była zupełnie inna. Miała wyrazisty podbródek, szerokie, ciemne brwi, które nadawały jej surowy, gromy wygląd i zbyt szczupłą twarz, jakby za mało jadła. Kiedy się jednak uśmiechnęła, wyglądała cudownie. Niestety, nieczęsto miewała na twarzy ten promienny uśmiech. Biorąc pod uwagę okolicznoci, trudno było się jej dziwić.

- Poproszę o jakąś szklankę - powiedziałem.

- Może być z butelki - stwierdziła, biorąc ode mnie whisky. Przełknęła, krztusząc się nieco, kilka łyków alkoholu, po czym oddała mi go z powrotem. Ludzie oniemieli z wrażenia, choć nie byłem pewien, czy sprawił to widok whisky, czy pijšcej jš zakonnicy.

- Hm, smakuje nie gorzej niż poprzednim razem... jakie szeć lat temu.

- Proszę jeszcze się napić.

- Nie, dziękuję. Więcej mi nie trzeba.

Kilku ludzi zaczęło zadawać pytania, ale uciszyłem ich.

- Uspokójcie się, panowie, i nie róbcie tłoku. - Cofnęli się posłu-

sznie o krok. Pochyliłem się nad siostrę Urszulę i zapytałem półgłosem:

- Jest pani chyba bardzo zmęczona. Chce się pani przespać?

- Och, nie, ale chętnie bym się umyła. - Przytknęła do twarzy

zabrudzone ręce, a potem otrzepała z habitu kurz. Choć była za-

konniczką, kobieca próżność kazała jej dbać o swój wygląd.

- Sandy, załatw trochę gorzej wody - powiedziałem. - Ben,

niech chłopcy zawieszają między ciężarówkami brezentową plandek-

kę, żeby zrobić łazienkę. Kiedy będzie siostra gotowa, proszę

przyjść do nas na kolację.

Młody Bing popędził po wodę, a Hammond zagonił ludzi do

sporządzenia prowizorycznego namiotu. McGrath pomógł siostrze

wstać i chodził wokół niej jak kwoka. Zapewne jako katolik uważał,

że ma szczególne prawo się nią zajmować. Na koniec podziękowała

nam wszystkim i zniknęła w namiocie z miską wody, zapasowym

czajnikiem i czyim lusterkiem do golenia.

Kemp był z Wingsteadem i Ottermanem, zjawił się więc trochę

za późno, by zobaczyć całe to zamieszanie. Gdy przedstawiłem mu

sytuację, spojrzał zamyślony na namiot.

- Ciekawe, gdzie są pozostałe - powiedział.

- Pozostałe?

- Musi być przynajmniej jeszcze jedna. Zakonnice są jak poli-

cjanci, chodzą parami. Najprawdopodobniej jest ich gdzieś w oko-

licy cała gromada. Przy odrobinie szczęścia możemy natrafić na

zakon zajmujący się chorymi.

Wolno kojarzyłem, może po prostu z powodu zmęczenia, ale w końcu pojąłem, o co chodzi.

- Mylisz, że sš z jakiego szpitala albo misji? Na Boga, może masz rację. A więc niewykluczone, że jest z nimi lekarz!

Siostra wyszła z namiotu pół godziny póniej, wyszorowana jak należy i o wiele schludniejsza. Bylimy gotowi do kolacji, zapytałem jš więc, czy zechce się do nas przyłšczyć, czy teŹ woli jeć sama.

Kto pożyczył jej zapewne przybory do szycia, gdyż podarty habit został starannie zacerowany.

- Dołščę do panów, jeli można. Jestecie bardzo uprzejmi.

Zapewne wszyscy bęđš chcieli posłuchać, co mam do powiedzenia - stwierdziła doć chłodnym tonem.

ZauwaŹyłem, że odmówiła krótkš modlitwę, zanim jeszcze podeszła do stołu, czym zaskarbiła sobie mojš wdzięczność. Robienie tego publicznie mogłoby wprowadzić część ludzi w zakłopotanie.

Usiadła między Kempem i mnš. Szybko wszystkich przedstawiłem i wyjaniłem, czym się zajmujemy. Stwierdziła, że słyszała o nas w radiu w ubiegłym tygodniu - w odległych czasach przed wybuchem wojny. Nie przeszkadzaliśmy jej w jedzeniu, ale gdy tylko skończyła, zadałem pierwsze pytanie, które obejmowało właciwie wszystko.

- Co się stało?

- Samoloty zbombardowały miasto - odparła. - Na pewno panowie wiecie.

- Nie było nas tutaj. Byliśmy bardziej na południu. Ale domyliliśmy się.

- Zaczęło się około dwunastej. Już wcześniej sytuacja była napięta, krzątało mnóstwo pogłosek, ale to nic nowego. Potem usłyszeliśmy, że przez miasto przejeżdżają czołgi i maszerują żołnierze, więc doktor Katabisirua zaproponował, żeby kto pojechał sprawdzić, co się dzieje.

- Kto to jest? - zapytał Kemp.

- Dyrektor szpitala. - Wszyscy siedzący przy stole, wsłuchani w jej słowa, wciśnęli głęboko powietrze. Kemp rzucił mi niemal triumfalne spojrzenie.

- Siostra Maria posłała mnie. Do miasta było niedaleko. Kiedy tam dotarłam, zobaczyłam mnóstwo przejeżdżających czołgów. Pomyślałam, że co za bardzo im się spieszy. Jechały na północ, w kierunku Ngingwe.

Ngingwe było pierwszym miasteczkiem na północ od Kodowy, co oznaczało, że Sadiq miał prawdopodobnie rację: Hussein skierował tam oddział, aby dołączyć do swego zwierzchnika.

- Przejechali przez miasto, zostawiając jednak część żołnierzy, którzy mieli dopilnować, żeby nikt nie blokował drogi. Słyszeliśmy, że od południa zbliżają się następne czołgi. - Chodziło zapewne o te, których wraki napotkaliśmy. - Na placu było jeszcze mnóstwo ludzi, kiedy pojawiły się samoloty. Leciały bardzo szybko, na małej wysokości. Poczłtkowo nikt się nie bał. Widywalimy je często, jak

wylatywały z bazy. - Wskazała ręką na zachód.

- Ile było tych samolotów, siostrze? - zapytał Kemp.

- Widziałam siedem. Mogło ich być więcej. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Było mnóstwo hałasu: strzały, eksplozje, odgłosy wybuchających bomb. Całe miasto ogarnęły pożary. To nastąpiło tak nagle. Znalazłam schronienie w sklepie pana Ithangi, ale budynek zaczął się walić i co musiało spać mi na głowę.

Naprawdę nie była jednak ranna. Przypuszczałam, że ogłuszył ją wybuch pocisku. Nie mogła stracić przytomności na długo, bo następnego dnia widziałem na miejscu sklepu wypaloną ruinę.

Twierdziła, że odzyskała wiadomość na ulicy, nie wiedziała jednak, jak się tam znalazła. Niezbyt dużo mówiła o tym, co robiła później, ale wywnioskowaliśmy, że wróciła w końcu do szpitala, przywożąc swym ocalałym z bombardowania samochodem grupę rannych i zastając na miejscu tłum jęczących, pokrwawionych ofiar nalotu.

Niewiele można było jednak dla nich zrobić. Dysponując tylko garstką ludzi, w tym miejscowym, niewykwalifikowanym personelem i mając w dodatku ograniczoną liczbę łóżek oraz małe zapasy żywności i lekarstw, napotkano wkrótce trudności nie do pokonania. Na domiar złego zdarzyły się dwie poważne awarie: nie było wody ani elektryczności. Czerpali słodką wodę ze studni i zazwyczaj jej nie brakowało. Studnia miała jednak połączenie z innymi ujęciami wody w okolicy i gdzie po drodze musiały pęknąć rury, bo nagle zaczęli wyciśgać tylko wiadra szlamu. Ku ich przerażeniu,

wkrótce po awarii prądu w mieście, nawalił również naleźscy do szpitala niewielki generator. Bez niego nie mieli goršcej wody ani moźliwoci przyrządzenia posiłków, jeli nie liczyć małej gazowej kuchenki, a co najgorsze nie działała lodówka ani urządzenia do sterylizacji. Krótco mówiąc, dysponowali jedynie najbardziej podstawowymi, prymitywnymi sposobami leczenia, co sprowadzało się w praktyce do udzielania wyłącznie pierwszej pomocy.

Było póne popołudnie i przestawali już sobie radzić, gdy szpital odwiedził kapitan Sadiq. Rozmawiał dość długo z lekarzem oraz siostrami Mariš i Urszulš, które zarządzały tš niewielkš koloniš. Postanowiono w końcu, że jedna z zakonnice wróci z nim do konwoju, aby pomówić z nami i dowiedzieć się, czy jesteśmy w stanie służyć im technicznš pomocš. Wypadło na siostrę Urszulę, gdyż lekarza potrzebowano na miejscu, a siostra Maria była osobš w starszym wieku.

Kemp zapytał, dlaczego kapitan Sadiq nie przyjechał z niš osobicie do obozu i nie zadbał o jej bezpieczeństwo. Był oburzony nie mniej niż ja z powodu tego uchybienia.

- Och, on jest bardzo zajęty. Powiedziałam, żeby podrzucił mnie do obozu wojskowego i dalej poszłam pieszo. Nic mi już nie dolega, a do chodzenia jesteśmy przyzwyczajone.

- To mogło być cholernie niebezpieczne.

- Wcale tak nie uważałam. Z kapitanem chciało rozmawiać wiele osób, nie było żadnego wolnego samochodu - więc poszłam

sama. Tu już nic mi nie grozi.

- To prawda, siostrze. Zostanie pani na noc? Nie zaszkodzi się przespać. Rano odwieziemy paniś do szpitala i zobaczymy, w czym będziemy mogli pomóc.

Kemp w ostatnim czasie bardzo się zmienił. Miewał także przedtem ludzkie odruchy, byłem jednak pewien, że zaledwie trzy dni temu nie rzuciłby tak od razu pracy przy platformie, żeby ratować jakiś misyjny szpital. Ale wybuch wojny, widok spalonego miasta i jego nieszczęsnych mieszkańców, a może przede wszystkim rany odniesione przez człowieka, którego znał, pilota samolotu, wpłynęły na poszerzenie ograniczonych horyzontów Kempa.

- Jeden z naszych ludzi jest ciężko ranny, siostrze - dodał. - Był w rozbitym samolocie i potrzebuje pomocy. Mogłaby się pani nim zająć?

- Oczywiście - odparła, okazując troskę.

Ben Hammond odszedł wcześniej od stołu i wrócił teraz do nas, niosąc stertę pakowanych po sześć sztuk puszek piwa.

- Rezygnujemy dzisiaj z ograniczeń - oznajmił. - Wszyscy na to zasłużyli. Siostrze, pewnie nie chce już pani whisky, ale może co takiego? - Podał jej pojedynczą puszkę.

Zacisnęła na niej dłoń.

- O, jest zimna!

Hammond umiechnął się.

- Wyjęta właśnie z lodówki.



- Macie lodówkę? Ależ to wspaniale! Więc, dzięki Bogu, będzie gdzie przechowywać lekarstwa!

Kemp i Hammond wymienili błyskawiczne spojrzenia. Domyślałem się, o co im chodzi. Nie mogli zostawić lodówki w szpitalu, choćby była tam pilnie potrzebna. Zasilał jś przytwierdzony do platformy generator, bez którego nie działały żadne urządzenia.

Następnego ranka sprawy wyglądały tylko trochę lepiej. Nad oddalonym od nas miastem nie było dymu, podejrzewałem jednak, że po prostu wszystko się już tam wypaliło. Ucieszyliśmy się bardzo, gdy Sam Wilson oznajmił, że znalazł ródło czystej wody - studnię w pobliskim miasteczku, która nie ucierpiała wskutek bombardowania i wyglądała na bezpieczną. Zamierzał napełnić cysterne i wszystkie pojemniki. Kiedy dowiedział się, że brakuje wody w szpitalu, stwierdził, że i dla nich wystarczy, byle tylko mieli w czym jś zgromadzić.

Geoff Wingstead jadł z nami niadanie i dopiero przy tej okazji poznał siostrę Urszulę. Była już u Ottermanna, stwierdziła jednak, że musi zbadać go lekarz, teraz za obejrzała fachowym okiem ranę i siniaki Wingsteada, uznajśc, że opatrzone je należycie. Geoff przekonywał, że jest w doskonałej formie i chciał koniecznie zobaczyć miasto oraz szpital. Mimo znacznego finansowego zaangażowania troszczył się o platformę i przyszłość firmy Wyvern Transport jakby o wiele mniej niż Kemp. Może po prostu dlatego, że był młodszy i nie obawiał się tak bardzo ryzyka.

Pojechałem Land Roverem z powrotem do miasta. Byli ze mną Kemp, Wingstead, siostra Urszula i Hammond. Sadiq przyszedł tuż przed naszym odjazdem, mówiąc, że spotkamy się trochę później w szpitalu. Był zmęczony i wyglądał mizernie. Brak łączności ze zwierzchnikami i wynikająca stąd odpowiedzialność zaczynały dawać mu się we znaki, ale mimo wszystko niele sobie radził. Kemp i ja nadal wstąpiliśmy w jego lojalność, nie dostrzegliśmy jednak niczego, co by potwierdziło lub rozwiało nasze obawy. Tyle tylko, że nadal był z nami, co zapewne miało swoje znaczenie. Nie wspominał ani słowem o zestrzeleniu samolotu i wolałem już do tej sprawy nie wracać.

Požary wygasły, a widoczny wczoraj potężny słup dymu zastąpiła lekka mgiełka, wiszący nad zgliszczami i żarzącym się jeszcze popiołem. W Kodo wie nie było już nic wartego zniszczenia. Stało nadal kilka pojedynczych budynków, ale większa część centrum przestała istnieć i nie mieliśmy wcale pewności, czy uprzątnięszy z ulic gruzy, znajdziemy pod nimi nietkniętą nawierzchnię.

Widywaliśmy nadal bliskich się ludzi, ale już bardzo niewiele. Jedni zniknęli po prostu w buszu, inni zgromadzili się wokół szpitala lub obozowiska żołnierzy. O wicie widzieliśmy wylęknięte twarze także w pobliżu naszego obozu. Nie zabawiliśmy długo w mieście, lecz poprosiliśmy siostrę Urszulę, żeby wskazała nam drogę do szpitala, który leżał trochę na uboczu, w kierunku wschodnim. Prowadząca do niego droga nie była w dobrym stanie.

Szpital wyglądał dokładnie tak, jak punkt pomocy dla ofiar  
kłęski żywiołowej, w który się zamienił. Przeciskaliśmy się między  
grupkami tubylców, stawiających już prowizoryczne domostwa  
i omijaliśmy małe ogniska, nad którymi gotowano strawę. Trzeba  
było uważać na płaszczy się wszędzie inwentarz oraz nagie dzieci.  
Wzbudzały zainteresowanie, ale nie oblegały nas tłumy, jak  
zdarzało się w lepszych czasach podczas przejeżdżania przez wio-  
ski. Tylko siostrę Urszulę zagadywano i pozdrawiano po imieniu,  
gdy wysiadłszy z samochodu szliśmy do budynku.

Poznałyśmy siostrę Marię - słabowitś staruszkę - oraz dwie  
młodsze zakonnice. Wszystkie miały mnóstwo pracy. Zauważyłem,  
że żadnej z nich nie zdziwił powrót siostry Urszuli w towarzystwie  
grupy Brytyjczyków. Nie okazały nawet szczególnej radości, że  
zakończyła szczęśliwie niebezpieczną bśd co bśd misję.

Najwyraniej więc wierzyły, że potrafi o siebie zadbać i wyjć  
obronną ręką z każdej opresji. Doskonale je rozumiałem.

Siostra Urszula zaprowadziła nas do biura, poprosiła, bymy  
zaczekali i zniknąwszy za drzwiami wróciła po chwili z lekarzem.

- Miło nam pana poznać, doktorze - odezwał się Kemp.

Stał przed nami wysoki, małowówny Nyalańczyk o wyranie  
azjatyckich rysach, siwych włosach i apodyktycznym wyglądzie.

Miał na sobie białe ubranie z tropiku, zabrudzone i poplamione  
krwiś. Wyciągnął rękę i przywitał się z Kempem, szczerząc do nas  
w umiechu białe zęby.

- Jestem Katabisirua. Ale wszyscy mówisz tu o mnie doktor Kat.

Cieszę się, że panów spotykam, zwłaszcza w takim momencie.

- Doktorze Kat, jestem Basil Kemp z Wyvern Transport. Wie pan zapewne, co robimy w Nyali. To mój współpracownik, pan Wingstead. Pan Hammond, nasz główny mechanik. Pan Mannix reprezentuje zwiżzańs z nami firmę, British Electric. - W miarę, jak dokonywał prezentacji, wymieniano bardzo oficjalne uciski dłoni. Ben z trudem powstrzymał umiech, słyszęc przydomek doktora.

- Proszę o wybaczenie, panowie, ale nie bardzo mogę was ugocić.

Wingstead uznał, że nie ma o czym mówić.

- Oczywiście, wcale tego nie oczekujemy. Jest tu sporo do zrobienia. Zdaje się, że moi chłopcy rozwiążali problem braku wody o ile tylko ma jś pan gdzie magazynować.

Doktorowi zawieciły się oczy.

- Dzięki Bogu. Woda jest nam pilnie potrzebna. Mamy prawie pusty zbiornik. Staralem się z niego nie korzystać, dopóki nie będzie można uzupełnić zapasów, ale bez wody, oczywiście, nikt nie może się obyć.

- Sprowadzimy tu cysterne, najszybciej jak można. Wkrótce powinien do nas dołśczyć kapitan Sadiq. To dowódca oddziału wojskowego. Kiedy się zjawi, poproszę go o przesłanie informacji do naszego obozu - powiedział Wingstead, który niemal natychmiast znalazł z doktorem wspólny język. Obaj byli ludmi zdecydowany-

ni i stanowczymi. Powinni bez trudu zdobyć przewagę nad Kempem, który miał skłonność do unoszenia się gniewem i uparcie chciał realizować z góry ustalony plan.

- A co z elektryczności? Nie możemy uruchomić generatora.

Mamy gaz w butlach, ale jest go niewiele. Jak może nam pan pomóc? - zapytał doktor Kat. Emanowało z niego niewzruszone przekonanie, że wszyscy gotowi są w każdej chwili oddać siebie i cały swój majątek do dyspozycji szpitala. Bez tej wiary żaden człowiek nie mógłby nawet rozpocząć podobnego przedsięwzięcia, gdyż trudności, jakie swego czasu musiał pokonać Katabisirua, były z pewnością ogromne.

- Obejrzę z Hammondem pański generator. Trochę się na tym znamy. Niczego nie mogę obiecywać, ale zrobimy, co w naszej mocy - powiedział Wingstead.

Siostra Urszula wtręciła się do rozmowy.

- A co z lodówką? - zapytała.

Doktor Kat czujnie uniósł głowę.

- Z jaką lodówką?

Wingstead nie wiedział o wczorajszej rozmowie, a Kemp - z powodów, nad którymi wołałem się nie zastanawiać - w ogóle o niej nie wspomniał.

- Doktorze Kat - powiedziała stanowczo siostra Urszula. - Ci panowie mają na platformie sprawny lodówkę. Powinnimy umieścić w niej natychmiast wszystkie wymagające niskiej temperatury

lekarstwa i jak najwięcej żywności. Możemy uratować sporo rzeczy.

Twarz doktora rozpromieniła się.

- Wspaniała wiadomość! - stwierdził.

Siostra Urszula nieugięcie ciśgnęła dalej:

- Majś tam też elektryczność. wiatło, kuchnię, nawet zamrażar-

kę. Wszystko to wczoraj widziałam. Prawda, panowie?

- Oczywiście - przytaknął Wingstead. - Zrobimy, co się da, żeby

wykorzystać nasze ródła energii do uruchomienia generatora. Mu-

simy jednak ciśgnść tu platformę, co nie będzie wcale takie proste.

Kemp nie ukrywał zaniepokojenia.

- Przyglśdałem się drodze. Biorśc pod uwagę jej stan i obecność

uchodców, uważam, Geoff, że to prawie niemożliwe.

Siostra Urszula przerwała im, mówiąc bardzo stanowczo:

- Nie potrzebujemy tej ogromnej platformy. Chcemy mieć tylko

generator. Przydałaby się też zamrażarka. Przy sprawnym gene-

ratorze zacznie działać lodówka. Panowie poradzicie sobie bez zim-

negu piwa, a nam wasz sprzęt jest naprawdę potrzebny.

Członkowie ekipy Wyvern wymienili pełne rozpaczy spojrzenia.

- Proszę pani, doktorze Kat, to po prostu niemożliwe - powie-

dział w końcu Hammond.

- Może pan wyjanić dlaczego? - zapytał lekarz.

Siostra Urszula dowiodła, że podczas wieczoru spędzonego

w obozie zebrała o nas sporo informacji.

- Panie Mannix - owiadczyła. - Reprezentuje pan bardzo boga-

ty firmę. Proszę wytłumaczyć swoim kolegom, że musimy mieć to urządzenie! Jestem przekonana, że rada nadzorcza pochwali waszą decyzję. To sprawa najwyższej wagi.

Nie potrafiłem ukryć zdumienia.

- Siostrze, nie w tym rzecz. Firma British Electric dałaby wam wszystko, o co byście poprosili, ale jest tu nieobecna. A generatora nie możemy oddać z przyczyn technicznych, nie finansowych.

Niech to kto wyjani.

Hammond wziął do ręki leżący na biurku notatnik i zaczął szybko szkicować co piórem na papierze.

- Proszę spojrzeć, siostrze. Pan także, doktorze.

Pochylili się nad kartką papieru, a ja zajrzałem Benowi przez ramię. Narysował błyskawicznie i fachowo szkic całej platformy.

Udzielając wyjaśnień wskazywał na jej różne części i dla wszystkich słuchaczy musiało być oczywiste, że mówi prawdę.

- Tu jest generator, napędzany przez turbinę, która znajduje się tutaj. Stanowi w istocie nieodłączną część właściwego generatora, a nie oddzielny element. W tym miejscu widać, że turbinę i generator wykonano z jednego odlewu. Tworzą integralną całość.

- A więc musimy mieć też turbinę - stwierdziła praktycznie siostra Urszula.

Kemp omal się nie zadławił.

Hammond pokręcił głową.

- Niestety. Rola turbiny nie ogranicza się do napędzania gene-

ratora. Oczywiście, dostarcza ona prądu, który zasila lodówkę i zamrażarkę, zapewnia oświetlenie obozu, i tak dalej, ale to wszystko dodatki.

Wskazał na rysunek transformatora.

- Ta wielka bryła na przyczepie spoczywa teraz praktycznie na ziemi. Przed wyruszeniem w drogę będziemy musieli podnieść ciężar kilkuset ton - bo tyle waży ładunek plus platforma, na której się znajduje - na wysokość dziewięćdziesięciu centymetrów. Używamy do tego hydraulicznych urządzeń, które wymagają ogromnych ilości dostarczanej przez turbinę energii. W czasie jazdy potrzebujemy jej też dla działających na tej samej zasadzie hamulców. Bez turbiny jesteśmy unieruchomieni.

- A więc musicie...

Hammond przewidział następne zżądanie siostry Urszuli.

- Nie możemy pozbyć się ładunku. Potrzebowalimy dwóch do czterech potężnych dwigów, żeby umieścić go na platformie i teraz też by się bez nich nie obyło. Niektóre ciężarówki mogły przechylać się na bok, ale nie nasza, nie możemy więc zrzucić ładunku. Zresztą próbując tak postąpić zniszczylibyśmy prawdopodobnie całe urządzenie.

Była to patowa sytuacja. Kemp dyskretnie odetchnął.

Pełne zawodu milczenie przerwał Wingstead.

- Nie ma co rozpaczać. Dopóki jesteśmy na miejscu, możemy przechowywać w lodówce lekarstwa i spore zapasy żywności, jeśli uznacie państwo, że to niezbędne. Będziemy też chyba mogli spro-



wadzić tu platformę, żeby włŝczyć owietlenie i urzŝdzenia do sterylizacji.

Siostra Urszula wydawała się zupełnie przybita.

- Nic nie szkodzi, siostrze - powiedział cicho Katabisirua. - To był dobry pomysł, ale wymylimy co innego.

- Oni stŝd odjadŝ. Co wtedy zrobimy?

- Na razie nigdzie się nie ruszamy - oznajmił Wingstead. - Musimy najpierw zorientować się nieco dokładniej w sytuacji i opracować sensowny plan działania. Zajmijmy się wszystkim po kolei, dobrze? Mylę, ŝe powinniśmy wrócić teraz do obozu. Zechce siostra spakować lekarstwa, które naleŝałoby włóżyć do lodówki? Zabierzemy je ze sobŝ. Gdyby jaki lek okazał się tymczasem potrzebny, możemy poprosić kapitana, ŝeby dał pani do dyspozycji motocyklistę. Co mamy zrobić z naszym rannym pilotem?

- Pojadę z panami - odparł doktor. - Mylę, ŝe powinienem go zbadać. Będŝ musieli przez chwilę się tu beze mnie obejść. - Zamieniwszy parę słów z siostrŝ Urszulŝ, która poszła zaraz dopilnować pakowania lekarstw i innych rzeczy, majŝcych trafić do lodówki, doktor Kat wziŝł swŝ nieodłŝcznŝ czarnŝ torbę i oznajmił, ŝe jest gotowy.

Naszego Land Rovera pilnował strażnik, a w pobliŝu stał zaparkowany samochód sztabowy Sadiqa. Kapitan rozmawiał z grupŝ Nyalańczyków - prawdopodobnie byli to starcy z Kodowy - zostawił ich jednak, aby do nas dołŝczyć.

- Dzień dobry, sir. Czuje się pan już lepiej? - Pytanie to skierowane było do Wingsteada, który ochoczo przytaknął.

- Chciałbym znać pańskie plany, sir. Jest tu wiele do zrobienia, ale czy zamierzacie panowie jechać dalej? - zapytał Sadiq.

- Nie od razu - odparł Wingstead. Zauważyłem, jak szybko przejął inicjatywę i z jaką łatwością Kemp mu na to pozwolił. Kemp zadowolony był pozostawianiem w cieniu swego wspólnika, z wyjątkiem - być może - sytuacji, gdy chodziło o kierowanie samymi platformami. Wcale tego nie żałowałem. Geoff Wingstead umiał podejmować decyzje i dostrzegać alternatywne rozwiązania w zmieniających się okolicznościach. Był podobny do mnie.

- Chętnie omówiłbym z panem nasze plany, kapitanie - kontynuował Wingstead - ale przedtem musimy załatwić parę spraw. Spróbujemy pomóc doktorowi, najpierw jednak wrócimy do obozu. Zechce pan tam do mnie wpaść za jakie dwie godziny?

W tym momencie sierżant przywołał Sadiq'a do wozu sztabowego, podając mu słuchawki. Sadiq słuchał uważnie, po czym pokręcił głową i z głośnika popłynął cichy, zagłuszony trzaskami głosu.

Skupiliśmy się wokół samochodu.

- Radio Nyala - oznajmił Sadiq.

Były to niewygodnie wiadomości - najpierw w języku nyalańskim, a potem po angielsku. Odczytywane starannie, bezbarwnym głosem słowa poddano najwyraźniej ostrej rządowej cenzurze. Podobno "wywrotowe elementy" w siłach lądowych i powietrznych

wywołały zamieszki w koszarach, ale zdecydowana postawa rządu zapobiegła rebelii. Przywódcy buntu stanę wkrótce przed sądem wojskowym. Cywilna ludność nie musi się niczego obawiać. Nie wymieniono żadnych nazwisk ani miejscowoci. Nie wspomniano o Kodowie, ani nie podano jakichkolwiek innych informacji. Głos zniknął na tle lokalnej muzyki.

Umiechnąłem się z przekąsem, słuchając tych bredni. W przyszłym tygodniu, jeżeli rząd przetrwa, "wywrotowe elementy" zostaną określone bez ogródek mianem zdrajców. W wiadomościach nie będzie żadnej wzmianki o wojnie i faktyczny przebieg wypadków zostanie omówiony tylko w największym skrócie. Oczywiście, wszystko zależało od tego, czy stacja radiowa pozostanie w rękach rządu. Gdyby przejęli ją rebelianci, poznalibyśmy zupełnie inną wersję "prawdy".

Nikt z nas nie komentował usłyszanych słów. Wszyscy wyczuwali w nich fałsz. Wcisnąwszy się razem z doktorem Katem do Land Rovera, wróciliśmy w milczeniu do obozu.

11

Trzy godziny później, po krótkiej rozmowie z Wingsteadem, zebrałem ludzi, z którymi chciałem się naradzić. Postanowiłem jednak, że nie będzie to posiedzenie zarządu. Nie zamierzałem poddawać swoich wniosków pod głosowanie. Chodziło o wymianę pomysłów i informacji, ale ostatnie słowo miało należeć do mnie.

Gdy odszukałem McGratha, golił się właśnie koło ciśnieńnika.

- Mick, wracasz do swojego dawnego stopnia. - Miał nieco zakłopotaną minę, a piana na jego podbródku wysychała w gorącym słońcu. - Będziesz znowu sierżantem. W ciągu najbliższych paru dni możemy przeżywać ciężkie chwile. Chcę, żeby kto trzymał załogę w ryzach. Możesz się tego podjąć?

- Mogę - odparł, szczerząc zęby w niedbałym uśmiechu.

- Pospiesz się z goleniem. Chcę, żeby wziął udział w naradzie.

Na zebraniu byli więc obecni McGrath, Hammond, Kemp, Wingstead, kapitan Sadiq i ja. Do doktora Katabisirua dołączyła w obozie siostra Urszula i przez grzeczność oni także zostali zaproszeni.

Wszelkie nasze decyzje miały ich dotyczyć, a zresztą nie czułem się upoważniony, żeby zabronić im uczestniczenia w tym spotkaniu.

Zdążyłem już zdać sobie sprawę, że stanowiś silny zespół. Jak silny, miałem się wkrótce przekonać.

Przedstawiłem najpierw, w zarysie, nasze położenie geograficzne i wyjaśniłem, dlaczego proponuję zmianę kierunku jazdy.

Zamiast szukać schronienia w pustynnych rejonach Bir Oassa, skreślimy pod kątem prostym na drugorzędniejszą drogę, prowadzącą do granicy z Manzu nad jeziorem Pirie, do którego wpada rzeka Katali. Mielimy tam do wyboru dwie możliwości, podczas gdy w Bir Oassa tylko jedną, a może żadnej. Gdyby w kraju zakończono tymczasem wewnętrzne spory i gdyby sytuacja wydawała się bezpieczna, mogliśmy zawrócić drogą wzdłuż wybrzeża w kierunku Lasulu i stolicy, a w przeciwnym razie przeprowić

chociaż ludzi przez rzekę Katali do Manzu, zapewniając im bezpieczeństwo.

Wingstead słyszał już o tym wszystkim ode mnie i pogodził się z możliwością utraty platformy i konwoju oraz niedotrzymania warunków umowy z rządem Nyali. Nie podważał moich argumentów.

Rozmawiałem też z Kempem, który przekazał informacje Hammondowi. Kemp najwyraźniej gryzł się nadal tą całą sprawą, natomiast Hammond ufał bezgranicznie Wingsteadowi. Skoro szef uważał, że wszystko jest w porządku, on także nie miał zastrzeżeń. Zapytałem McGratha, jak - jego zdaniem - zareagują ludzie.

- Wygląda na to, że nie mamy większego wyboru. Pan jest szefem.

Podzielił pańskie zdanie. - Dawał do zrozumienia, że dla własnego dobra nie powinni protestować, co bardzo mi odpowiadało.

Sadiq był rozdarty między poczuciem obowiązku a chęcią ulżenia swojej doli. Długa i ciężka przeprawa przez pustynię, ze wszystkimi czyhającymi na niej niebezpieczeństwami i przy braku pewności, kogo lub co napotka po drodze, pociągała go mniej niż powrót do znanej bazy, mimo wielu niewiadomych, z którymi także tam musiał się liczyć. Nie interesował go jednak pewien podstawowy problem: podejmowanie decyzji związanych z przejazdem platformy.

Omówiliśmy pokrótce potencjalny stan drogi. Można było jedynie snuć na ten temat domysły, czego Kemp nie znosił, ale znaleźliśmy przynajmniej teren. Na naszą korzyść przemawiał też fakt, że mie-

limy posuwać się prawie cały czas w dół, zjeżdżając ponownie z płaskowyzu w tropikalny las. Nie powinno nam zabraknąć wody. Rejon ten był gęcej zaludniony, istniały więc lepsze możliwości zdobycia pożywienia, a nawet paliwa. Bylibyśmy poza tym mniej widoczni niż w buszu. Nie wykluczałem ewentualności ataku z powietrza.

Hammond i Kemp, eskortowani przez żołnierzy, mieli wyruszyć na zwiad, żeby sprawdzić drogę, za McGrath i Ben Proctor zaczęli przygotowywać konwój do ponownego wyruszenia naprzód, a raczej do tyłu. Wingstead poprosił McGratha, żeby zebrał załogę. Chciał zapoznać ludzi szczegółowo z sytuacją, zanim przystąpimy do zorganizowanych działań. Wszystko dobrze się układało, łącznie z moimi planami udzielenia szpitalowi przed naszym odjazdem maksymalnej pomocy.

Nie wzięliśmy tylko pod uwagę nieuchronnego czynnika<sup>^</sup>, który zaznaczył nagle swą obecność.

Sprawy zaczęły przybierać niepomyślny obrót, gdy zwróciłem się do doktora Katabisirua z zapytaniem:

- Doktorze Kat, jak ważne są te leki, które przechowujemy dla pana w lodówce?

Lekarz złączył dłonie czubkami palców.

- W zamrażarce trzymamy próbki surowicy i surowicę kontrolną. Także preparaty na krzepnięcie krwi dla kilku pacjentów z hemofilią. W lodówce jest krew, plazma, cukry, insulina i parę innych

rzeczy. Nie ma tego tak wiele, bo nie chcemy być zależni od żadnej chłodziarki. Służyła głównie do przechowywania żywności, która jednak szybko się zużywa.

Odetchnąłem z ulgą. W razie potrzeby mogli się więc obyć bez lodówki. W końcu większość szpitali misyjnych w ubogich, tropikalnych krajach funkcjonuje w dość prymitywnych warunkach. \*

- Zatrzymamy wasze zapasy w lodówce możliwie najdłużej - powiedziałem. - Spróbujemy też naprawić generator. Zrobimy przed wyjazdem, co tylko się da.

Doktor Kat i siostra Urszula wymienili ledwie dostrzegalne spojrzenia, które uznałem, niesłusznie, za przejaw rezygnacji.

- Kapitanie Sadiq - powiedział doktor. - Orientuje się pan chociaż w przybliżeniu, czy rządcy przejmie wkrótce kontrolę nad sytuacją?

Sadiq rozłożył ręce.

- Niestety, nie - odparł. - Nie wiem, kto teraz rządzi. Chciałbym pomóc cywilnej ludności, ale rozumie pan, że mam rozkaz towarzyszyć panu Mannixowi i strzec jego konwoju. Bardzo trudno cokolwiek przewidywać.

Rozmawiali po angielsku, zapewne przez wzgląd na nas.

- Mieszkańcy Kodowy rozproszą się wkrótce po okolicznych wsiach - stwierdził doktor Kat. - Ten obszar jest gęsto zaludniony i dlatego potrzebowali tu szpitala. Wiele osób już opuściło miasto. Ale dla moich pacjentów nie jest to żadne rozwiązanie.

- Dlaczego? - zapytał Kemp.

- Ponieważ nie mamy doć personelu, żeby chodzić po różnych miejscach, odwiedzając chorych w domach albo u przyjaciół. Wielu jest w zbyt ciężkim stanie, by ich powierzyć opiece domowników.

Z powodu nalotu mamy teraz o wiele więcej pacjentów.

- Ilu ich jest?

- Około pięćdziesięciu takich, którzy powinni leżeć w łóżkach, gdybyśmy tylko je mieli i co najmniej stu leczonych ambulatoryjnie.

W zaistniałej sytuacji można by ich nazwać "rannymi dochodźcami" - dodał z przekśsem.

- A więc potrzebujecie jedynie dodatkowych miejsc - stwierdził Sadiq. Wiedziałem, że tylko częściowo ma rację, czekałem jednak, aż wypowie się doktor.

- Chodzi o co więcej, kapitanie. Owszem, potrzebujemy pomieszczeń, ale nie to stanowi główny problem. Brakuje nam również lekarstw, lecz poradzimy sobie przez jakiś czas z tym, co mamy. Nasi pacjenci nie obędś się jednak bez opieki, żywności i wody.

- Wkrótce grozi nam tu dyzenteria - włączyła się siostra Urszula. - Już mamy przypadki zakażeń i większe niż zwykle problemy z higienś.

- Chorzy sś również narażeni na ataki ze strony grasujących band rebeliantów - powiedział doktor Kat. Pompatyczność tego stwierdzenia zasługiwała moim zdaniem na oklaski. W sumie miał jednak rację.



- Wszyscy jesteśmy na nie narażeni, nie wyłszczajśc młodych pielęgniarek - dodała siostra. Zaczęło to brzmieć jak występ zgranego chóru. Wymieniliśmy z Wingsteadem porozumiewawcze spojrzenia, domylając się powoli, o co chodzi.
- Prawda, panie Mannix, że pańscy ludzie będąś najmniej ryzykować i zachowająśc się najrozsądniej, opuszczając Kodowe i próbując dotrzeć w jakie bezpieczne miejsce?
- Słyszał pan, jak to mówiłem, doktorze.
- A zatem moi pacjenci też powinni tak postąpić.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał i dopiero ja przerwałem milczenie.

- Jak właściwie proponuje pan to zrobić?

Katabisirua wzięś) głęboki oddech. Nadeszła chwila, na którą czekał.

- Chcę się upewnić, czy dobrze panów zrozumiałem. Panie Hammond, twierdzi pan, że wielki ładunek, który wieziecie na tej ogromnej platformie, waży ponad trzysta ton, czy tak?

- Mniej więcej.

- Czy platforma udwignęłaby jeszcze siedem ton?

- Bez problemu - odparł Hammond.

- Tyle waży w przybliżeniu stu ludzi - stwierdził obojętnym tonem Katabisirua.

"Albo jeszcze jeden słoń", pomyślałem, tłumiąc w sobie szaleńczy miech. Zastanawialiśmy się wszyscy w milczeniu nad tą dzi-

waczność propozycji. Ciszę przerwał doktor, mówiąc spokojnie i rozsądnie.

- Nie proponuję, rzecz jasna, żebyście panowie zawieźli nas aż na wybrzeże. W Kandży - przy drodze prowadzącej na północ, na szczycie następnego wzniesienia - znajduje się niewielki, ale dobry szpital. W pobliżu nie ma lotniska, samo miejsce też jest mało znaczące, więc nie przypuszczam, żeby je zniszczono. Mogliby się tam nami zająć.

Wstąpiłem w to i nie sądziłem ani przez moment, by doktor Kat uważał inaczej, wzbudził jednak moje uznanie. Mówił przekonywająco i był cholernie dobrym psychologiem. Jego propozycja brzmiała rozsądnie i realnie, a zachwycone twarze siedzących wokół ludzi dowodziły, że słowa szlachetności zrobiła na nich wrażenie. Była to sytuacja jak z bajki o Szczurołapie, pełna patosu i heroizmu. Haniebny odwrót miał się przekształcić w rodzaj triumfalnego pochodu. Pomyślałem, że jest w tym coś z ducha Dunkierki. Brytyjczycy mają talent do traktowania porażek w taki sposób, by wyglądały na zwycięstwo.

Był tylko jeden mały problem. Wyglądało na to, że miasteczko Kandża leży dokładnie przy drodze prowadzącej na północ, w kierunku pustyni i pól naftowych w okolicach Bir Oassa, czyli na trasie, którą postanowiliśmy nie jechać. Chciałem to właśnie powiedzieć, gdy ku swemu zdumieniu usłyszałem pytanie Wingsteda, z którego wynikało, że wcale nie podziela moich zastrzeżeń.

- Jak daleko jest do Kandży?

- Około osiemdziesięciu kilometrów. Droga jest całkiem dobra.

Często tam jeździłem - powiedział Katabisirua.

- Przepraszam, doktorze - odezwał się Hammond. - Czy teren jest równinny czy górzysty?

- Raczej równinny. Nie ma stromych wzgórz.

- Moglibyśmy rozłożyć nad platformę plandeki, żeby nie przegrzewało tam słońce - stwierdził McGrath.

Hammond, myśląc intensywnie o konkretnych problemach, zapytał:

- Pięćdziesięciu kilku pacjentów i personel, liczący...?

- Powiedzmy: dziesięć osób - odparła siostra Urszula.

- A co z pozostałymi?

- Mogą iść na piechotę. Ss wytrzymali i nawykli do chodzenia.

Nawet ranni dadzą sobie radę. W szpitalu jest kilka samochodów, ale nie mamy zapasów paliwa. Zakładam, że platforma nie posuwa się zbyt szybko.

- Część ludzi może usiąść na ciężarówkach. Jest poza tym pański samochód, panie Mannix i Land Rover pana Kempa. W wojskowych pojazdach też znajdzie się pewnie trochę miejsca - stwierdził Hammond.

- A w ciężarówkach? - zapytała siostra.

- Nie, proszę pani. Wypełniają je osadzone w cemencie stalowe płyty, a w ciężarówce z generatorami są urządzenia i sprzęt, które-

go możemy potrzebować. Jest jednak miejsce na dachach ciśnieńników.

Czy dałoby się osłonić je brezentem?

- Do każdej kabiny wejdziesz na pewno ze dwa pędraki - stwierdził

McGrath.

- Pędraki? - zdziwił się doktor.

- Mylę o dzieciach - wyjanił McGrath.

Przyjrzałem się uczestnikom rozmowy. Tylko u jednego człowieka - a był nim oczywiście Basil Kemp - dostrzegłem na twarzy cień wątpliwości czy irytacji. Wszyscy coraz bardziej rozpalali się w dyskusji. Szczegóły dotyczące geografii albo całkowicie przeoczono, albo celowo pominięto, a ja nie mogłem się jako zdobyć, żeby ostudzić ich płomienny entuzjizm. Było to czyste szaleństwo.

Doktor Kat przyglądał się swoim dłoniom, z namysłem wyginając palce.

- Być może w czasie jazdy będę musiał operować. Czy znajdzie się na to miejsce?

- Miejsce tak, ale droga jest zbyt wyboista, doktorze. Musi pan się tym zajmować na postojach - odparł Hammond. Wyjął notatnik i już co szkicował.

- Mylę, że moi żołnierze mogą iść pieszo, a rannych przewieziemy - stwierdził Sadiq. - To nasi ludzie i musimy się nimi zaopiekować. - Mówiąc te słowa rozprostował ramiona i wiedziałem, że pozbył się ogromnego ciężaru. Miał do wykonania zadanie, konkretne i nieuchronne, niezależnie od tego, która strona zwyciężała w tajemniczej

wojnie. Wymagało ono prostych działań organizacyjnych, znajomości podstaw planowania i wydawania jasnych rozkazów, a na tym wszystkim kapitan się znał. Nade wszystko za nie trzeba było zmieniać trasy, którą przewidzieli dla niego i dla nas jego zwierzchnicy. Stanowiło to dla Sadiqa idealne rozwiązanie wszystkich problemów.

- Ma pan tamę mierniczą, panie Hammond? - zapytała siostra

Urszula wstając.

- Owszem. Do czego jest pani potrzebna?

- Chcę zmierzyć platformę. Muszę zaplanować rozmieszczenie łóżek.

- Pójdę z panią - oznajmił. - Proszę mi powiedzieć, w czym mogę pomóc.

McGrath podniósł się ociężale.

- Pójdę zebrać chłopaków, panie Wingstead - obwiecił. - Pewnie zechce pan osobiście z nimi porozmawiać.

Doktor także wstał, dokładnie otrzepując się z kurzu. Ukłonił się lekko Geoffowi i powiedział oficjalnym tonem:

- Muszę panu podziękować, sir. Pańska postawa jest godna pochwały. Proszę pozwolić, że wrócę teraz do siebie. Muszę dopilnować wielu spraw.

- Odwiozę doktora, a potem zajmę się swoimi rozkazami. Wrócę panu pomóc, panie Mannix. Mylę, że to długo nie potrwa - powiedział Sadiq.

Uczestnicy narady rozchodzili się, spiesząc do swych obowiązków.

ków. O dziwo, nikt nie zaczekał, żeby omówić z nami zaistniałą sytuację lub choćby usłyszeć od tak zwanych szefów, czy zgadzają się na proponowane rozwiązanie. W cięgu paru chwil Kemp, Wingstead i ja zostaliśmy sami. Tym razem czułem się bezsilny.

Kemp wzruszył ramionami.

- To czyste szaleństwo - stwierdził. - Nie możemy dać się wciągnąć w tę... w tę...

- Aferę? - odpowiedział spokojnie Wingstead. - To już się stało, Basil. Nigdy nie widziałem zręczniejszej manipulacji. Ta para zupełnie nas wszystkich zakasowała i nic na to nie poradzimy. Co więcej - dodał, nie zważając na protesty Kempa - nie sądzę, żebym chciał ich powstrzymać. To szalone przedsięwzięcie, ale całkiem wykonalne i konieczne z humanitarnego punktu widzenia. Poza tym doda otuchy naszym chłopcom. Nie są zachwyceni obrotem spraw, czują się sfrustrowani, oszukani i bezradni.

- Geoff, zapadła już decyzja, że nie powinniśmy jechać dalej na północ - powiedziałem, dochodząc wreszcie do słowa. - Postąpilibyśmy bardzo ładnie, ale...

- Ty też, Neil? Nie będziesz mi się chyba sprzeciwiał. Przywiążę do tej sprawy cholerną wagę. Posłuchaj, chodzi o osiemdziesiąt kilometrów. Potrzeba dwóch, trzech dodatkowych dni, żeby dotrzeć do celu i wrócić do Kodowy. Potem znów będziemy niezależni. Jest jeszcze jedna sprawa. Wiadomość, że musimy zawracać, zostałaaby przyjęta z dużymi oporami, a w ten sposób ludzie będą mieli przy-

najmniej poczucie, że zrobili co pożytecznego.

Przeciśgnął się i ziewnął, masując zeszywniały bok.

- Ja też będę miał to przekonanie. Więc bierzmy się do roboty.

Gdy McGrath zebrał wszystkich ludzi w pobliżu kuchni polowej,

Wingstead i ja poszliśmy się z nimi spotkać. Przystanłem po dro-

dze, wzywając do siebie Bishopa, aby wydać mu polecenie, na które

zareagował najpierw zmarszczeniem brwi, a potem szerokim

umiechem. On z kolei zawołał Binga i obaj gdzie zniknęli.

- Co mu powiedziały? - zapytał Wingstead.

- Psychologiczna zagrywka. Zobaczysz. Nie zaczynaj, dopóki on

nie wróci, dobrze?

Po kilku chwilach Bishop i Bing zjawili się z powrotem, taszcząc

dwa kartonowe pudła.

- Proszę bardzo, panowie - powiedziałem do zgromadzonych

ludzi. - Po puszcze na głowę. Rozdziel je, kuchciku.

Bishop zaczął rozdawać piwo w opakowaniach po sześć puszek.

- Dla kierownictwa także - przypomniałem mu. - A to obejmu-

je doktora i siostrę Urszulę. - Rozdzielaniu piwa towarzyszył gwar

rozmów. Podniosłem w milczeniu rękę,

- Wszyscy zadowoleni?

Rozległ się miech. Otwierano już puszki, a Barry Lang zapytał,

podnosząc swójś do ust:

- Co więtujemy, szefie? Koniec wojny?

- Niezupełnie. Musimy uczcić fakt, że po raz ostatni pijemy

zimne piwo. - Reakcjš na te słowa był szmer niezrozumienia. Uniosłem w górę otwartš puszkę. - Niektórzy z was może już o tym wiedzš. Umiecilimy w lodówce leki ze szpitala i jak najwięcej żywnoci dla pacjentów, zwłaszcza dla dzieci. Od tej chwili będziemy wszyscy dostawać ciepłe piwo i konserwy. Współczuję wam z całego serca.

Wywołało to kolejnš salwę miechu.

- A więc zostajemy tu? - zapytał Grafton.

Teraz przyszła kolej na Wingsteada. Wskoczył lekko na dach ciężarówki. Zdšżył się już otrzšsnš z szoku po wypadku, w przeciwieństwie do Maxa Ottermana, który leżał nadal nieprzytomny w cieniu cysterny z wodš, cišgle nas martwišc.

- Nie, nie zostajemy tutaj - oznajmił Wingstead. - Ruszamy w drogę - być może dzisiaj, a najprawdopodobniej jutro. Ale nie jedziemy dalej na północ.

Zapadła pełna skupienia cisza, w której nie wyczuwałem wrogości. Wingstead przedstawił w zarysie warunki geograficzne, znany nam aktualnie układ sceny politycznej i powody rezygnacji z kontraktu. Załoga przyjęła wszystko bez dyskusji, choć trwały wokół przyciszone rozmowy. Wingstead znowu zrobił na mnie wrażenie: był zdolnym przywódcš i umiał panować nad swoim zespołem.

Miałem na oku Sisleya i Langa jako dwóch potencjalnych opozycjonistów, ale nawet oni nie protestowali. Przemawiały do nich argumenty na rzecz ocalenia własnej skóry i w przeciwieństwie do kie-



rownictwa firmy Wyvern nie byli bezpośrednio zainteresowani wykonaniem zadania do końca.

Wingstead przeszedł do drugiej kwestii i teraz zdumienie obecnych nie budziło żadnych wątpliwości. Wybuchła ożywiona dyskusja, a w głosach mówców zaczął pojawiać się ton podniecenia i entuzjazmu. Przypominało to reakcję grupy dzieciaków, którym dano do zabawy nową, olniewającą grę.

- A więc tak to wygląda, chłopcy. Wyruszamy możliwie szybko i zabieramy ze sobą wszystkich chorych, rannych oraz cały personel szpitala. Ci, którzy mogą iść, pójdą za nami, żeby mieć codziennie zmieniane opatrunki. Ciężko rannych załadujemy na platformę, a pozostałych, ile tylko się da, na ciężarówki. Będziemy potrzebowali całej waszej energii i dobrej woli. Zgoda?

Przytaknięto mu zgodnym chórem.

- Gdybyście mieli jakie dobre pomysły, przekazcie je Mickowi, panu Hammondowi albo mnie - mówił dalej Wingstead. - Z wszelkimi problemami medycznymi zwracajcie się do siostry. - Zwracanie uwagi nawet w tych trudnych chwilach na formy "pan" i "ty" wywołało mój uśmiech. Był to kolejny przykład dzielącej nasze kraje przepaści.

- Kiedy dowieziemy ludzi bezpiecznie do szpitala w Kandzy, zawrócimy i wyruszymy w kierunku rzeki Katali. Przewiduję, że zajmie nam to tylko dwa dni. Dziękuję wszystkim.

Mick McGrath podniósł się i wrzasnął:

- Dobra, chłopaki! Pięć minut na dokończenie piwa, a potem do roboty. Mamy kupę pracy.

Kiedy Wingstead i ja opuszczaliśmy zebranie, zadowoleni z reakcji ludzi na niepomylne wiadomości, dopadła nas siostra Urszula, otrzymała wreszcie wiadomość od Bena Hammonda wszystko, czego chciała.

- Panie Mannix, proszę, żeby ktoś zawiadził mnie z powrotem do szpitala.

- Nie, siostrze - odparłem. - Jest pani potrzebna tutaj. Załoga będzie zasypywała panią pytaniami i pomysłami. Geoff i ja zresztą także.

- Będę potrzebowała w szpitalu.

- Z pewnością. Ale jest tam siostra Maria i inne, a my mamy tylko panią. Przy tempie pracy doktora Kata za godzinę zjawi się tu pewnie pierwsi pacjenci. Chłopcy będą oczekiwać instrukcji od pani i Bena. Mają ocenić platformę, przygotować posłania, zrobić różne rzeczy. A pani musi wybrać miejsce na salę operacyjną.

- Już to zrobiłam. - Ustąpiła jednak dość łatwo wobec rozsądnych argumentów, zgadzając się pozostać i wykonywać swoje zadanie, za co byłem jej bardzo wdzięczny. Gdyby doszło do konfliktu, nie przypuszczałem, bym zdołał z nią wygrać.

Dzięki naszej ciężkiej pracy platforma uległa metamorfozie. Ludzie Sadiqą sprowadzili Nyalanki, które potrafiły robić dachy z palmowych liści i dali im zajęcie. Początkowo pracowały w milczeniu,

ale oswoiwszy się z nowš sytuacjš i przewyciężywszy strach zaczęły piewać zawodzšcym chórem. Przystrojona parasolami z palmowych lici platforma nabrała doć osobliwego wyglšdu. Mylałem z rozbawieniem, co powiedziałby Kemp, który pojechał skontrolować drogę na północ od miasta.

Ocieniano też dachy wszystkich ciężarówek, a stosy trzcin z rzeki posłużyć miały do robienia posłań w wybranych dla pacjentów miejscach. Podobnie ozdobiono wszystkie cztery cišgniki. Nawet ocalony przez McGratha czołg miał przewozić grupę pacjentów. Z działa zrezygnowano, gdy tylko okazało się, że nie ma do niego amunicji. Wštpię, by istniało co bardziej dziwaczniejszego niż kryty strzechš czołg.

Sadiq wyszukał dwie stare ciężarówki, które Ben Hammond uznał za zdatne do użytku. Na jednš z nich położyliśmy palmowe licie, druga miała już brezentowš plandekę. Niewiele było w Kodowie pojazdów, które nie ucierpiałyby wskutek bombardowania lub pożarów.

Nie najgorzej wyglšdała sprawa z paliwem. Znaleliśmy za miastem pełnš cysternę o pojemności osiemnastu tysięcy litrów. Kierowca musiał jš porzucić, kiedy zaczął się nalot. Zarówno tej cysterny, jak i naszej, nie osłonięto palmowymi lićmi, ponieważ sprzeciwiałem się transportowaniu obłoznie chorych pacjentów pojazdami, które mogły eksplodować. Nie zadaszono również cysterny z wodš, gdyż ze względu na swój kształt nie nadawała się do przewo-

żenia ludzi.

Siostra Urszula była stale zajęta. Nadzorowała cianie trzciny na posłania, aby mieć pewność, że nie są mokre i że wytrzymały z nich większość robactwa, sprawdziła nasze zapasy żywności i dokładnie je spisała, zebrała od wszystkich ręczniki i pościel oraz wyszukała miejsce na gabinet dla doktora Kata: dach pierwszego ciśnieńnika. Była to jedyna naprawdę płaska powierzchnia, najmniej narażona na wzbijany przez platformę kurz. Siostra zwróciła uwagę, że miejsce jest bardzo odkryte, mieliśmy jednak ze sobą dwa niewielkie namioty i jeden z nich, po drobnych poprawkach, zapewniał jako tako zamkniętą przestrzeń. W drugim mieściła się toaleta dla pacjentów: wiadro z ocynkowanej blachy.

Wszystko to było doprawdy zdumiewające.

Potem siostra przeczesła cały obóz, niczym chmara szarańczy w jednej osobie, zagarniając wszystko, co jej zdaniem mogło się przydać. Zarekwirowała każdą znalezioną parę nożyczek, ogołociła niemal kuchnię polową z noży i nie dała wytchnąć młodemu Binkowi, każąc mu gotować wodę do sterylizacji odnajdywanych przez nią przedmiotów.

Pakowała je następnie do foliowych torebek, dbając, aby zostały możliwie najdokładniej wyjałowione. Potem trafiały do naszej zamrażarki, co miało opóźnić rozwój bakterii. Skonfiskowała pudełka ze spinaczami, zdejmując je także ze wszystkich kartek papieru w Land Roverze Kempa, zabrała tamę klejącą, elastyczne bandaż i sznurki.

Kilka naszych apteczek także powędrowało do jej zapasów.

Ze szpitala zaczęły nadjeżdżać wojskowe ciężarówki, nie przywożąc na razie ludzi, lecz towary: żywność, lekarstwa, bandaże, narzędzia, naczynia i wszelkiego rodzaju sprzęt. Poród innych rzeczy znajdowało się dziwne urządzenie na wózku, którego widok zirytował siostrę Urszulę.

- To nie działa. Już od dawna. Zajmuje tylko miejsce.

- Co to jest, siostrzo? - Dociekliwsi osobliwi byli Ben Hammond, najwyraźniej stale gotowy do usług. Nie pozował na właściciela firmy, jak Mick McGrath, przypominał raczej swym zachowaniem głównego pomocnika brygadzysty. Żądania siostry Urszuli stanowiły dla niego fascynujące wyzwanie.

- To jest, a właściwie było, przenone urządzenie do narkozy.

- Przydałoby się jeszcze, gdyby działało?

Skinęła głowę i Ben je naprawił. Był cholernie dobrym mechanikiem.

Siostra znalazła miejsce dla Maxa Ottermanna, przeniesiono go więc ostrożnie na posłanie z trzciny. Został pierwszym pacjentem szpitala firmy przewozowej Wyvern. W ciągu ostatnich paru godzin pojawiły się oznaki, że odzyskuje przytomność, ale prognozy nie były dobre. Wyglądał fatalnie.

Byłem stale czym zajęty i starałem się o nim nie myśleć, odkładając ten problem do przegródki w głowie, w której spoczywały inne zmartwienia: stan państwa, przebieg wojny, możliwość zboom-

bardowania naszej bezbronnej kolumny przez samoloty. Mogło nam zabraknąć wody albo paliwa, mogły się zdarzyć choroby lub awarie.

Nie mieliśmy kontaktu ze wiatem, jeli nie liczyć nie potwierdzonych, sporadycznych wiadomości, które otrzymywał przez radio kapitan. Byłem cały czas w biegu, wiedząc, że jeli się zatrzymam, zostanę osaczony przez wszystkie te problemy.

Mielimy za sobś długi, trudny i wyczerpujący dzień. Wieczorem mało było rozmów. Zjadłszy w milczeniu kolację, poszlimy spać. Leżałem, próbując nie poddawać się rozpaczcy. Wymyśliłem na niś nawet określenie: depresja Mannixa. Nie rozbawił mnie jednak mój własny dowcip. Nasze szansę wydawały się przerażająco nikłe.

12

Po południu nastąpiła kolejna zmiana planów. Mielimy podjechać platformś pod szpital, zamiast ryzykować przewożenie pacjentów, dopóki nie było to konieczne. Wyruszylimy o wicie. Dziwnie wyglądający konwój przejeżdżał powoli przez miasto, które nie zasługiwało już na to miano, do głównej kwatery doktora Katabisirua. Samochód sztabowy podskakiwał na wybojach, gdy mijalimy usunięte z trudem na bok wraki zniszczonych czołgów, a potem ruiny i zgliszcza w miejscu, gdzie przebiegała główna ulica Kodowy. Nadal unosił się tam zapach mierci i spalenizny.

Zobaczylimy cięty i osmalony słup telegraficzny, z którego zwisały zwłoki.

- To szabrownik, sir - stwierdził lakonicznie Sadiq.

- Złapalście ich wielu?

- Kilku. Był jednym z pierwszych. Zniechęca innych, jak mówiś.

Co jaki czas dochodziłem do wniosku, że Sadiq ma wykształcenie wyższe od przeciętnego. Jak na niższego oficera, wyszkolonego w dość zacofanym kraju, był zaskakująco odczytany w sprawach wojskowych. Wypadało żałować, że mógł wykazać tak mało inicjatywy, skoro krępowały go wymogi dyscypliny.

Zobaczyłem szyld nad zniszczonym przez pożar sklepem i żołnierza, pełniącego z karabinem w rękach wartę przy drzwiach.

- Zechce pan się na chwilę zatrzymać, kapitanie? - poprosiłem. -

Czy mogę tam wejść?

- To zakazana strefa, panie Mannix. - Znow wyraził się w nieoczekiwany dla mnie sposób.

- Tak, i obaj wiemy dlaczego.

Wysiadłem z samochodu, nie czekając na dalsze sprzeciwy i dałem żołnierzowi znak, żeby mnie przepuścił. Sadiq wszedł za mną do zrujnowanego sklepu. Torowałem sobie drogę wśród rozrzuconych towarów, narzędzi rolniczych, ubrań, czasopism, sprzętów gospodarstwa domowego, tego wszystkiego, co można znaleźć w typowym markecie. Chciałem się dostać do zamkniętej, oszklonej szafki z tyłu sali. Szkło popękało, a drzwiczki były wypaczone od gorąca. Wziąłem z półki myliwski nóż, włożyłem ostrze w zamek i zręcznie poruszyłem nim na boki. Rozległ się suchy trzask i drzwiczki rozwarły się na ocież. Nie znalazłem tam wiele - tylko szec

sztuk broni: cztery faworyzowane nadal przez Brytyjczyków dubeltówki i dwie wielostrzałowe strzelby. Cztery inne zniszczył ogień.

Wybrałem Mossberga model pięćset - szeciostrzałową rutówkę kaliber dwanacie - i położyłem ją na ladzie. Potem przypuściłem atak na zaklinowane szuflady pod stojakami z bronią, modląc się, żebym znalazł tam to, czego szukałem. Udało się. Natrafiłem na dwie paczki naboju typu magnum z grubym rurem. Każdy zawierał dziewięć ołowianych kulek o rednicy ośmiu milimetrów, zdolnych powalić jelenia o wadze stu kilogramów. A jelenia trudniej jest zabić niż człowieka.

Rzuciłem naboje koło strzelby, obok postawiłem puszkę oliwy do konserwacji broni, po czym przypomniałem sobie, żeby poszukać pochwy na myliwski nóż i dołączyłem ją do pozostałych rzeczy.

Sadiq przyglądał się temu bez słowa. Wyrwałem następnie kartkę z leżącego na ladzie nadpalonego bloczku i zrobiwszy odręczną notatkę wrzuciłem ją do otwartej szuflady kasy, którą zatrzasnąłem, wychodząc ze sklepu z moim łupem.

- Powiesi mnie pan za szaber, kapitanie? Włożyłem do kasy pokwitowanie. Własciciel może zgłosić się po należność do firmy British Electric.

- O ile jeszcze żyje - stwierdził oschle Sadiq.

Przyglądał się, jak rozdieram pudełko z nabojami i ładuję broń.

- Spodziewa się pan kłopotów w szpitalu, panie Mannix?



- Jest pan żołnierzem. Powinien pan wiedzieć, że nie naładowa-  
na broń to tylko kawał złomu. Powiedzmy, że mogę spodziewać się  
kłopotów i kropka. A pana nie będzie akurat w pobliżu, żeby mi  
pomóc.

- Proszę tylko nie machać tš rutówkš. Nie będę pytał pana  
o pozwolenie na broń. Nie jestem policjantem. Niech pan jš sobie  
zatrzyma. Sam postšpiłbym tak samo.

Zdziwiła mnie jego ugodowoć. Spodziewałem się, że będzie  
robił trudnoci, byłem jednak zdecydowany nie ruszać się dalej bez  
uzbrojenia. Sprawdziwszy, czy strzelba jest zabezpieczona, położy-  
łem jš obok fotela.

- Pan też ma parę ładnych sztuk broni - zauważyłem. -Jeden  
z moich ludzi patrzył zazdrosnym okiem na pański Uzi. Proszę  
dobrze pilnować swojego arsenału, kapitanie. Nie chciałbym, żeby  
co zginęło. - Miałem na myli Micka McGratha. Juž jaki czas temu  
przyszło mi do głowy, że będę spokojniejszy, jeli pozostanie nie  
uzbrojony.

- Będę uważał. Niech pan także zachowa ostrožnoć - powie-  
dział Sadiq, po czym ruszyliśmy w drogę, aby dogonić resztę kon-  
woju.

Doktor Katabisirua zorganizował co w rodzaju polowego szpi-  
tala. Odnosiło się wrażenie, że wszystkich pacjentów wyprowadzo-  
no z budynków na zewnątrz, a pielęgniarki biegały tam i z powro-  
tem. Wyglšdało na to, że dziesištki ludzi umierajš po prostu na

wieżym powietrzu. Dotychczas oglądałem tylko szpitalne biura i widok, który miałem teraz przed oczami, był doć przerażający. Po pewnym czasie zacząłem dostrzegać w tym pozornym chaosie pewien porządek. Z jednej strony widać było w oddali wielu siedzących lub chodzących ludzi. Niektórzy nie mogli iść samodzielnie. Pojedyncze ogniska słały w niebo pióropusze dymu. Na dworze stały rzędy prowizorycznych łóżek, a zajmujący je pacjenci byli pod opieką rodzin lub przyjaciół. Wzniesione pośpiesznie parawany z lici palmowych ukrywały, jak przypuszczałem, najcięższe przypadki, a może były tam latryny. Na rodku pola ustawiono stoły, a wokół nich uwijały się pielęgniarki w pomiętych fartuchach. Tam, gdzie stał doktor Katabisirua, kładziono właśnie na blacie nosze. Przy innym stole siostra Maria, słabowita i wsparta na lasce, instruowała pielęgniarkę zakładając bandaż. Siostry Urszuli nigdzie nie widziałem.

Z dala od tego miejsca znajdowały się dwa wieżo zakopane doły i trzeci, jeszcze odkryty. Podeszedłem powoli, aby mu się przyjrzeć. Był wypełniony do połowy sypek ziemi i kamieniami, a z wierzchu przysypany wapnem. Wystawała z niego pojedyncza, naga stopa. Zakrztusiłem się od gryzącego zapachu wapna chlorowanego, który nie całkiem niwelował odór rozkładających się zwłok. Zawróciłem, mając na czole krople potu, czemu nie były wcale winne poranne promienie słońca.

Samochód Sadiq'a odjechał, ale czekał na mnie jaki człowiek. Był

to biały mężczyzna, drobny i bardzo mizernie ubrany w krótkie spodnie i podartą kurtkę. Lewą rękę miał na temblaku, a na jego twarzy widniały liczne zadrapania.

- Pan Mannix? - zapytał ochryłym głosem.

- Zgadza się.

- Gdybym nie był taki brudny, może by mnie pan sobie przypomniał. Jestem Dan Atheridge. Poznalimy się niedawno w klubie w Luard.

Pamiętałem go, ale wyglądał wtedy zupełnie inaczej. Był energicznym, dziarskim facetem w wytwornym, nienagannym stroju/ o bystrych niebieskich oczach, spoglądających przyjraniem z opalonej twarzy. Teraz jego ogorzała skóra miała ziemistą barwę, a wzrok miał zmęczony i przygaszony.

- Może byłoby dla mnie lepiej, gdybym tam został - mówił dalej - a może i nie. Co się tu właściwie dzieje? Wszystkich stąd zabieracie, czy tak?

- Mogłbym powiedzieć, że cieszę się z naszego spotkania - rzekłem - ale w tych okolicznościach nie byłyby to najodpowiedniejsze słowa.

Skrzywił się, poruszywszy ramieniem.

- Mam złamaną rękę. Boli jak cholera. Ale przeżyłem. - Skinął w kierunku odkrytej mogiły. - Miałem więcej szczęścia niż ci biedacy.

- Skąd pan się tu wziął?

- Hoduję bydło w górach koło Kandży. Trzy dni temu przywiozłem tu do warsztatu ciężarówkę. Stałem na balkonie w hotelu, patrząc na przechodzących żołnierzy, gdy rozpętało się piekło. Czy naprawdę zamierzacie ewakuować szpital do Kandży?

- Spróbujemy.

- Mogę się z wami zabrać? Tam jest mój dom. Żona będzie się niepokoiła.

Próbowałem wczuć się w położenie kobiety na samotnej farmie w górach Nyali, gdy po wybuchu wojny jej mąż nie wraca ze zbombardowanego miasta, ale nie miałem doć wyobrani. Potem przyszła mi do głowy inna, bardziej praktyczna myśl. Ten człowiek powinien znać drogę do Kandży.

- Będzie pan nader mile widziany. Może znajdzie się dla pana jakiś posiłek... i ciepłe piwo.

- Wspaniale! - Jego promienny uśmiech rozjaśnił zmęczone oczy.

- Panie Mannix!

Odwróciwszy się zobaczyłem nadchodzącego doktora Kata.

- To cholernie porządny gość - mruknął Atheridge.

Doktor wydawał się bardziej wyczerpany niż zwykle. Miał głęboko zapadnięte oczy i policzki. Podejrzewałem, że zanadto się przemęcza i postanowiłem dopilnować, żeby siostra Urszula trochę go przyhamowała. Z nią przydałoby się pewnie postępić tak samo.

- Straciliśmy tej nocy piętnastu pacjentów - stwierdził doktor

Kat. - Oczywiście najcięższe przypadki.

- Tak zwana "naturalna selekcja"? - mruknął Atheridge.

Znałem już to określenie. Ów przerażający proceder stosowano w wielu armiach, ale udoskonalili go Francuzi pod Dien Bien Phu. Pacjentów dzielono na trzy kategorie: lekko ranni, ciężiej ranni, ale z szansami na uratowanie i ci, których stan był beznadziejny. Lekko ranni pierwsi otrzymywali pomoc, aby mogli szybko wrócić na front. Oszczędzano w ten sposób bardzo potrzebne leki i opatrunki, ale równocześnie umierało wielu ludzi, których można by uratować. Było to wykalkulowane na zimno, czysto wojskowe rozwiązanie medycznego problemu.

- Nic z tych rzeczy - zachnął się Katabisirua. - Mieli najlepszą opiekę, lecz mimo wszystko zmarli. To nie jest wojsko. Nawet pan, panie Atheridge, czekał na swoją kolejkę.

- Przepraszam. Oczywiście, ma pan całkowitą rację.

Doktor Kat zwrócił się do mnie:

- Widzę, że przygotował pan już dla nas konwój, panie Man-nix. - Spojrzeliśmy na widoczną w oddali, ozdobioną palmowymi liśćmi platformę. - Obejrzałem wszystko i jestem panu bardzo wdzięczny.

- Widział pan swoją nową salę operacyjną? Będzie pan zdumiony, jak wiele zdołała siostra Urszula.

- Bynajmniej. Za dobrze ją znam.

- Z czym ma pan w tej chwili największy problem, doktorze? -

zapytałem.

- Wszyscy pacjenci z rozległymi oparzeniami lub ciężko ranni

już nie żyją albo umrą wkrótce, przypuszczam, że jeszcze dzisiaj.

Wskanik śmiertelności gwałtownie się teraz obniży. Ale za dwa dni

znowu wzrośnie.

- Dlaczego?

- Z powodu zakażeń. Oddałbym majątek za kilkadziesiąt litrów

najzwyklejszego kwasu karbolowego. Nie mamy już żadnych rodków

dezynfekujących i zaczyna nam brakować sterylnych opatrunków.

Operowanie pacjenta w tych warunkach jest jak podpisywanie na

niego wyroku śmierci. W tej sytuacji nie mogę leczyć skalpelem.

Czułem się bezradny. Nie miałem żadnej wiedzy lekarskiej,

a współczucie wyglądało na dość bezwartościowy towar. Mogłem

zaoferować tylko jedno.

- Dowieziemy wszystkich najszybciej jak się da do Kandży, do-

ktorze. Możemy wyruszyć wieczorem, kiedy jest chłodniej i jechać

przez całą noc. Pan Atheridge posłuży nam bezcenną pomocą,

ponieważ dobrze zna drogę.

Doktor skinął głową i powrócił do swojej pracy.

Nigdy nie mogłbym zostać lekarzem, nawet wiejskim, bo jestem

chyba zbyt wrażliwy. Moi przyjaciele medycy twierdzą, że do

wszystkiego można się przyzwyczaić, ale nie bardzo w to wierzę.

Potrafę być wystarczająco twardy w sali obrad, czy nawet działając

w terenie, ale widok krwi i wnętrza to inna sprawa. Ładowali-

my na platformę nie ludzi, lecz wypełnione bólem kokony. Najgorzej było z pacjentami, którzy doznali oparzeń.

Wykonaliśmy w końcu tę żmudną i nieprzyjemną robotę, a gdy wszyscy mieli już swoje miejsca, najwygodniejsze jakie udało nam się znaleźć, wyruszyłem na poszukiwanie doktora Katabisirua. Był z siostrą Urszulą. Gdy podszedłem, mówiła właśnie surowym tonem:

- Proszę się nie sprzeciwiać, doktorze Kat. Powiedziałam, że zostaję. Wszystko jest już zorganizowane. - Odwróciła się do mnie, mówiąc niemal tym samym tonem: - Proszę zadbać, żeby doktor trochę odpoczął, panie Mannix. I panowie także. Cała ekipa. - Nie czekając na odpowiedź pomaszerowała przez pole w kierunku jednej z ciężarówek Sadiq, która stała z dala od innych w skąpym cieniu dwóch palm. Opierali się o nią od niechcienia dwaj żołnierze. W pobliżu leżały na ziemi trzy białe toboły, obok przykucnęli dwaj Nyalańczycy, odpędzając muchy palmowymi liśćmi.

- O co tu chodzi? - zapytałem.

- To ostatni pacjenci z ciężkimi oparzeniami. Trzy osoby: dwóch mężczyzn i kobieta. Nie wolno ich ruszać. Siostra Urszula zostanie tu, żeby ulżyć im w cierpieniach. Kiedy umrą, żołnierze ich pogrzebią, a potem przywiozszą siostrę do nas. Ona nie chce się zgodzić na inne rozwiązanie.

Spojrzałem na odchodzących, wyprostowaną postać.

- To twarda kobieta.

- Tak. Niezwykle uparta.

W jego ustach uwaga ta zabrzmiała absurdalnie. O mało się nie umiechnęłam.

- Jesteśmy gotowi do drogi - powiedziałem. - Zaraz idę do

Basila Kempa. Może pan już wsiadać, doktorze?

- Myślę, że tak. - Rzuciliśmy okiem na opustoszałą okolicę, ziemię poplamioną krwią, opuszczone łóżka, wygaszone ogniska i rozrzucone wokół mieci - lady ludzkiej obecności. Nie było czasu ani powodu, żeby robić porządki. Wszystko zostało dla sępów.

Poszedłem szukać Basila Kempa. Przez cały dzień był bardzo markotny i wyglądał jak znokautowany bokser. Wywisywał się ze swoich zadań, ale robił to jakby machinalnie. Ben Hammond doskonale go wspierał, spiesząc z pomocą, gdy tylko wyczuł, że szef sobie z czymś nie radzi, choć niewątpliwie głównym źródłem jego motywacji była wiara w Geoffa Wingsteada.

- Doktor Kat już wsiada - oznajmiłem. - Jesteśmy w komplecie.

Możemy ruszać, kiedy uznasz za stosowne.

Kemp zamierzał posuwać się naprzód do późnej nocy, a może i do rana. Nie miał czasu sprawdzić dłuższego odcinka pokonywanej przez nas drogi, ale znał wyniki wcześniejszych rekonesansów.

Na odcinku najbliższych trzydziestu kilometrów nie było szczególnie ostrych zakrętów ani stromych podjazdów. Aż do następnego koryta rzeki nie należało się spodziewać żadnych przeszkód. Szkoda, że



rzeka przecinała drogę do Kandży, ale w normalnych warunkach nie powinno nam to sprawić większych kłopotów. Oczywiście, warunki nie były normalne. Gdzie toczyła się pewnie nadal wojna, jednak wobec całkowitego braku wiadomości na jej temat, rozśdek nakazywał nie zwracać uwagi na ten fakt. Nie słyszeliśmy już przelatujących samolotów, a samo lotnisko, odległe o jakie półtora kilometra od miasta, było - zdaniem Sadiq - całkowicie opuszczone.

- W porzřdku, ruszamy. Mam nadzieję, że te cholerne dachy z lici nie będř nam przeszkadzać. - Słyszałem niemal, jak dodaje "ani ci ludzie", choć tego nie powiedział. Trudno było liczyć na jego dobre serce, powinien jednak uważać na wszystko, przynajmniej ze względu na swójś beczennř platformę.

Prowadziłem wynajęty samochód. Atheridge i ja siedzieliśmy z przodu, a między nami nylańska pielęgniarka. Miała skaleczonř nogę i dlatego nie została na platformie. Z tyłu znajdowała się czwórka rannych, którzy mogli chodzić, a raczej być wożeni, w tym troje kilkunastoletnich dzieci.

Gdy wyprzedzałem kolumnę, aby zająć wyznaczone miejsce przed platformř i między wojskowymi ciężarówkami, odezwałem się do dziewczyny:

- Mówisz po angielsku, prawda?

- O, tak.

- Możesz powiedzieć tym z tyłu, żeby krzyczeli, gdyby co ich przeze mnie zabolalo? Postaram się jechać ostrożnie.

Odwróciła głowę, mówiąc co przez ramię po nualańsku.

- Jak ci na imię, moja droga?

- Helen Chula - odparła.

- Umiesz prowadzić, Helen?

- Tak, ale z tš mojš nogš... Musiałabym jechać powoli.

Zamiałem się krótko.

- Nie ma obawy, wszyscy będziemy tak jechać. W razie potrzeby przejmiesz kierownicę. Pan Atheridge niewiele zdziała ze złama-  
nš rękš, chociaż przypuszczam, że gdyby musiał, przyciskałby  
stopš pedał gazu.

Minšł nas samochód sztabowy Sadiq'a i w tym momencie co  
sobie przypomniałem. Zatršbiłem, a gdy się zatrzymał, wyskoczy-  
łem z wozu i pobiegłem odebrać swojš strzelbę i paczkę naboju.

Idšcy włanie w kierunku swojego cišgnika Mick McGrath stanšł  
w miejscu i z zainteresowaniem spojrział na broń.

- Hej, panie Mannix. Załatwił pan sobie rutówkę. A co ze mnš?

- Kogo chcesz zabić, Mick?

Wzruszył ramionami.

- Nie o to chodzi, do cholery. Ale skoro wybuchła wojna, czuję  
się bez broni, jakbym był nagi.

- Załóż sobie listek figowy - powiedziałem z szerokim umie-  
chem.

Poszedł dalej, ja zaś wróciłem do samochodu, odczuwając znowu  
pewien niepokój. Atheridge też obrzucił broń znaczącym spojrze-

niem, nic jednak nie powiedział, gdy z niejakim trudem upychałem jš obok fotela kierowcy. Za nami przeszedł przez cały konwój głuchy pomruk, co oznaczało, że uruchomiono silniki. Z rur wydechowych buchał niebieski dym. Wystawiłem głowę przez okno samochodu, uważnie nasłuchujšc.

Moja wyobrania działała w sposób irracjonalny. Gdyby rzeczywiście dochodziły z platformy jęki chorych i rannych, nie mógłbym ich usłyszeć poprzez łoskot ciężkich silników. Ale żołosdek kurczył mi się z żaloci na myl o zbolałych ciałach, wstrzšsanych drżeniem i przechyłami platformy. Napotkałem wzrok Helen i wiedziałem, że myli dokładnie o tym samym.

Nie mieliśmy innego wyjcia. Wzruszywszy ramionami, wrzuciłem bieg i nacisnąłem na gaz. Kolejne pojazdy konwoju zaczęły oddalać się od szpitala i ruin Kodowy.

13

Za Kodowš droga nadal pięła się i opadała, ale zbocza były nieco bardziej strome, a grzbiety wzgórz coraz dłuższe. Zmalała rednia prędkość platformy. Nawet w dół zjeżdżała ona doć wolno, ale pokonujšc długie wzniesienia dosłownie się wlokła. Nie poruszaliśmy się na ogół szybciej niż człowiek idšcy na piechotę. Z całš pewnością podšzajšca za platformš gromada Nyalańcyków, w której nie brakowało rannych, bez trudu dotrzymywała nam kroku. Byli to twardzi ludzie, nawykli do upałów i maszerowania po zakurzonych drogach. \*

Martwilimy się jednak o naszych uchodców. Rozmawialimy o konieczności zaopatrzenia ich w żywność i Sadiq stwierdził, że trzeba będzie zdobyć ją gdzieś po drodze. Zbyt wiele było tam jednak kobiet z niemowlętami i małymi dziećmi, starców i rannych w różnym wieku. W zasadzie opiekowanie się nimi nie należało do naszych obowiązków, ale jak inaczej mogliśmy do tego podejść?

Helen Chula powiedziała nagle w czasie jazdy: "Gdybym zasnęła, proszę za godzinę mnie obudzić, dobrze?" i natychmiast zapadła w sen, opierając głowę na zdrowym ramieniu Atheridge'a. Rzuciłem okiem na czterech siedzących za mną Nyalańczyków. Dwoje z nich spało, a pozostali spoglądali w milczeniu czujnymi, brzoowymi oczami.

Jechaliśmy w żółtym tempie przez prawie dwie godziny. Łagodne ciepło poranka zaczęło ustępować miejsca ostremu, południowemu słońcu. Atheridge i ja niewiele rozmawialimy, nie chcąc obudzić dziewczyny. Otaczające nas tumany kurzu przesłaniały mgiełką grupki Nyalańczyków i maszerujących między nimi tu i ówdzie żołnierzy. Zaczęłem mieć obawy, czy nie przegrzeje się silnik w samochodzie.

Nagle uświadomiłem sobie własną bezmyślność. Upał zaćmił mi chyba umysł. Nacisnąłem na klakson i wyjechawszy z kolumny zacząłem przeciskać się przez tłum uchodców, którzy szli przed platformą, aby uniknąć największego kurzu. Dogoniłem jadący na czele kolumny wóz sztabowy i dałem Sadiqowi znak ręką, żeby się

zatrzymał. Wiózł na tylnym siedzeniu dwie Nyalanki, a z przodu siedział nadal jego sierżant.

- Postępujemy bez sensu, kapitanie - stwierdziłem. - Nie jest powiedziane, że musimy wszyscy jechać z tš samš prędkociš, co platforma. Mógłbym dotrzeć do Kandzy w niecałe dwie godziny, odstawić moich pasażerów do szpitala i wrócić po następnych. Co więcej, tak samo można by wykorzystać wszystkie inne szybsze pojazdy. Personel szpitala zdšżyłby się zorganizować i przygotować na przyjęcie naszych pacjentów.

Sadiq pokręcił głowš.

- Nie, panie Mannix, to nie byłoby dobre rozwišzanie.

- Dlaczego, na Boga?

Spojrzał w niebo i przez chwilę mylałem, że wypatruje samolotów. Potem zdałem sobie sprawę, że patrzył na słup telegraficzny, jeden z wielu stojšcych wzdłuż całej drogi. Znów przeklšłem swojš tępotę.

- Do diabła, przecież ma pan przenony telefon! Możemy stšd zadzwonić.

- Już próbowałem. I włanie to mnie martwi - nie ma połšczenia. Rozumiem, że nie można dodzwonić się do Kodowy, ale linia do Kandzy też jest głucha.

- Jeli będziemy posuwali się w tym tempie, wielu ludzi umrze.

Doktor Kat najwyraniej nie przewidział, że będzie ich aż tylu.

I w więszoci wcale nie sš ranni.

- Nie mogę ich powstrzymać, panie Mannix. Po prostu idź za nami.

Czułem się zakłopotany. Następne gęby do wykarmienia?

Z pewnością nie mieliśmy obowiszku ewakuować wszystkich ocalałych mieszkańców Kodowy.

- A może chociaż niektórzy z nas pojechaliby naprzód? Dysponujemy moim samochodem, tymi dwiema ciężarówkami, które znalelimy i czterema pańskimi. Nawet czołg może poruszać się szybciej, a wiezie szeciu ludzi. Land Rover musi zostać przy platformie, ale pan...

- Zostaję z konwojem. Moje ciężarówki także - odparł beznamiętnie Sadiq. - Zauważył pan, panie Mannix, że w kierunku południowym nie ma w ogóle ruchu? Nie przyszło panu do głowy, że Kandza może wyglądać podobnie jak Kodowa?

Zawitała mi taka myl i była ona bardzo deprymująca.

- Trzeba by więc to sprawdzić - stwierdziłem.

- Owszem. Wysłałem na zwiad patrol motocyklistów. - Spojrzał na zegarek. - Powinni wkrótce wrócić z wiadomościami, a może i z jakąś pomocą.

Przeprosiłem w mylach Sadiqą. Mylałem, że jest takim samym głupcem jak ja.

- Jeli nie wrócś w cišgu godziny - mówił dalej - będzie to oznaczało, że sytuacja w Kandzy jest bardzo zła. Może jednak zdołajś nas przynajmniej ostrzec. Majś jeden z radionadajników.

- Przepraszam - powiedziałem, ciężko wzdychając. - Przyznaję się do porażki.

Skwitował moje przeprosiny posępnym skinieniem głowy.

- Jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, sir. Doceniam fakt, że robi pan dla naszych ludzi wszystko, co w pańskiej mocy.

Gdy wróciłem do samochodu, Atheridge stał przy nim, a Helen Chula właśnie się obudziła.

- Kapitan Sadiq nie traci czasu - powiedziałem, ale Atheridge mnie nie słuchał. Przez tłum i chmurę kurzu zmierzał powoli w naszym kierunku jakiś samochód - poobijane Suzuki, którego nigdy przedtem nie widziałem.

- Dobry Boże, to Margretta! - wyszeptał Atheridge. Samochód zatrzymał się koło nas i wysiadła z niego ciężko jaka kobieta - wysoka, po pięćdziesiątce, ubrana w roboczą koszulę i spodnie w kolorze khaki. Jej siwe włosy były upięte z tyłu w lony kok.

Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. \*

- Gretta, moja droga, jak tu trafiła? - zapytał Atheridge.

- Nie tak trudno was znaleźć, Dan - odpowiedziała niemal szeptem.

- Gretto, to pan Neil Mannix. Przedstawiam panu doktor Marriott - oznajmił oficjalnie Atheridge.

Miała mocno podkrążone oczy i ogorzałą skórę. Wyglądała na kobietę, która zbyt długo przebywała na słońcu, zbyt wiele czasu spędziła w Afryce. Odwróciłem się, otwierając drzwi samochodu.

- Dzień dobry, pani doktor. Chyba powinna pani usiść.

Skinęła lekko głowę.

- Dziękuję. Myślę, że tak będzie lepiej - odparła ze skandynawskim akcentem.

- Jest pani lekarzem medycyny? - zapytałem.

- Z orodka misyjnego pod Kodowś - wyjanił Atheridge. Pochylił się nad nią i zapytał cicho: - Gdzie jest Brian, Gretto? Myślimy, że zostalście oboje w Port Luard.

Pewnie dlatego nikt dotąd o nich nie wspomniał. Przez jakiś czas rozmawiała cicho z Atheridge'em, a potem zaczęła płakać. Helen Chula wysiadła z samochodu i zajęła się nią, ja za odciśnięciem Atheridge'a na bok.

- O co chodzi, Dań?

- Paskudna sprawa. Przyjechali z wybrzeża do Kodowy akurat wtedy, gdy był nalot. Brian, jej mąż, zginął na miejscu. Przez cały dzień nie mogła się pozbierać. Potem pojechała do szpitala i zastała tam siostrę Urszulę. Postanowiła, że musi nas dogonić.

- Boże, co za parszywa historia.

Wróciliśmy do doktor Marriot.

- Wygląda na to, że przydałoby się pani coś mocniejszego. Może szklaneczkę ciepłej whisky? - zapytałem.

- Czemu nie.

Nalałem do zakurzonej szklanki wyciśniętą z bagażnika szkocką. Atheridge spojrzał na nią tęsknym wzrokiem, ale nie powiedział



ani słowa, gdy zakręcałem mocno butelkę. Było to teraz wyłącznie lekarstwo.

- Przyjechałam pomóc doktorowi Katowi - powiedziała, opróżniwszy szklankę dużymi haustami. - Siostra twierdzi, że przyda mu się każda para rśk, a często ze sobś pracowaliśmy.

Gdzie on jest?

- To nieważne. Teraz potrzebuje pani snu. Powiedz pani, Helen, o ile lepiej się potem poczuje.

Helen odpowiedziała z pełnym zawstydenia umiechem.

- Ten pan ma rację, pani Marriot. Proszę przespać się godzinę, a potem doktor Kat będzie szczęśliwy, majśc paniš przy sobie. Pójdę mu teraz pomóc. - Pomogła doktor Marriot usiśc wygodniej.

- Jak twoja noga? - zapytałem.

- Na platformie będzie mi dobrze - powiedziała, wskazujśc w jej kierunku. - Zaczekam, aż tu przyjedzie.

Doktor Marriot zapadała już w sen na siedzeniu samochodu.

- Wskakuj, Dan. Będziemy powoli jechać. Przynajmniej rusza się wtedy powietrze - stwierdziłem. limacze tempo jazdy było bardziej frustrujšce niż kiedykolwiek, ale musiałem pocieszać się myślš, że kapitan Sadiq znakomicie sobie radził - lepiej niż ja - i że w osobie doktor Marriot zyskaliśmy bardzo potrzebne uzupełnienie naszej ekipy. Ruchomy szpital firmy Wyvern sunšł naprzód w goršcym, afrykańskim słońcu. Im szybciej dotrzemy do Kandzy, tym lepiej.

Pół godziny później sytuacja znowu uległa zmianie, jakbyśmy znajdowali się wewnątrz kalejdoskopu, którym potrząsała ręka olbrzyma. Jeden z motocyklistów Sadiqa podjechał do nas na swej ryczącej maszynie i powiedział, że kapitan chciałby się ze mną zobaczyć. Opuciłem kolumnę, mając nadzieję nie zakłócić snu doktor Marriot, choć przypuszczałem, że obudziłoby ją tylko trzęsienie ziemi.

Kemp i Wingstead byli już z Sadiqiem, rozmawiając z dwoma białymi mężczyznami, których przedtem nie widziałem. Za nimi stała wielka amerykańska limuzyna, pasująca do tego miejsca mniej więcej tak samo jak lotniskowiec do Jeziora Genewskiego. Atheridge i ja wysiedlimy z wozu i dołączyliśmy do całej grupy.

Jeden z mężczyzn był wysoki, chudy i trochę niepozberany.

Miał na sobie levisy, zaplamioną od potu kraciastą koszulę i wyglądający niewiarygodnie, zsunięty na tył głowy kowbojski kapelusz.

Spojrzałem na jego nogi. Nie miał ostróg, za to nosił sztywne ręcznie buty na wysokim obcasie. Wyglądał jak Clint Eastwood. Spodziewałem się, że wyciągnie paczkę Marlboro albo sakiewkę z tytoniem Buli Durham.

Drugi z mężczyzn wyglądał z kolei typowo. Był niższy, barczysty i korpulentny. Miał na sobie pasującą bardziej do warunków afrykańskich spodnie w kolorze khaki i kurtkę. Obaj mężczyźni byli zakurzeni i zmęczeni, tak jak my wszyscy.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Skąd się tu panowie wzięliście?

Wysoki mężczyzna odwrócił się.

- A, witam. Utknęliśmy na drodze kawałek stąd. Mamy chyba wspólny problem.

Twarz Kempa była bardziej napięta niż zwykle.

- Neil, przed nami jest zwalony most.

- Chryste! Ten, o który martwiłem się już wcześniej?

Kemp skinął głową. \*

- Tak. Dowiedzieliśmy się właśnie, że jest całkowicie zniszczony.

Łączył dwa brzegi wswozu. Kandza leży dopiero za nim, jak sędzę.

Wingstead wydawał się bardziej zmobilizowany do działania niż zmartwiony. Gotów był podjąć kolejne wyzwanie. Nie przejmował się byle czym.

- Jestem Neil Mannix z British Electric - powiedziałem. - Przy-  
puszczam, że miło mi będzie panów poznać, chociaż nie mam  
jeszcze pewności.

Wysoki mężczyzna wybuchnął miechem.

- Podobnie jak my. Nazywam się Russ Burns, a to jest Harry  
Zimmerman. Pracujemy obaj dla spółki naftowej Lat-Am Oil. Na-  
wiasem mówiąc, na drodze jest jeszcze kilku innych facetów, nie od  
nas. Francuz i dwaj Rosjanie, kierowcy ciężarówek.

- Co się stało? Widzieliście, jak runął most?

Burns pokręcił głową.

- Byliśmy w połowie drogi do wswozu, kiedy Kodowe zaatako-  
wały samoloty. Widzi pan, nie mieliśmy pewności, co się, do cho-

lery, dzieje, ale nietrudno było zgadnąć. Parę dni wcześniej obser-  
wowaliśmy przemarsz wojska, krząły też liczne pogłoski o rebelii.

Samo miasto było niewidoczne, ale usłyszeliśmy bombardowanie  
i zobaczyliśmy dym, a potem przelatujące samoloty.

Sięgnął ręką do kieszeni koszuli.

- Harry i ja nie wiedzieliśmy, co robić. Postanowiliśmy jechać  
dalej, bo ani nam było w głowie zawracać i pakować się w jakąś  
kabałę. A potem spotkaliśmy tych Ruskich.

- To konwój, taki jak nasz? - Przyglądałem się zafascynowany,  
jak wyjmuje paczkę papierosów. Boże, to były Marlboro! Zapalił  
nawet jednego w taki sam sposób, jak faceci z reklam, z lubością  
zaciągając się dymem. Nikogo nie poczęstował.

- Nie, tylko jedna duża ciężarówka - mówił dalej. - Francuz też  
jedzie ciężarowym wozem. Miał kumpla, którego wysadził w Ko-  
dowie. Pewnie oberwał podczas nalotu. Nie widzieliście go?

Wszyscy zaprzeczyli. Wcisnęło gdzie Francuza i tyle.

- Po nalocie przez pierwszych kilkanaście kilometrów wdepty-  
wałem w podłogę pedałem gazu - mówił Burns - chociaż wiedziałem,  
że odrzutowca nie przecigniemy. O jakie pięćdziesiąt kilometrów  
stąd weszliśmy w zakręt, o mało nie wpadając na cysternę Rosjan.

Niczego nie widzieli, ani nie słyszeli. A potem zjawił się ten zabojad  
razem z jakim czar... ze swoim nyalańskim pomocnikiem. - Popra-  
wił się, spoglądając na Sadiq.

- Tamtej nocy rozbiliśmy we czwórkę obóz - odezwał się po raz

pierwszy Zimmerman - a następnego dnia wyruszyliśmy w drogę naszym samochodem, zabierając jednego z Rosjan. Mówię trochę po rosyjsku. - Powiedział to niemal przeprasającym tonem. - Kilka-kilometrów dalej jest ten most.

- Raczej był. Mój Boże, teraz to tylko rumowisko na dnie wśwozu. Zdrowo mu przygrzali.

- Został zbombardowany? - zapytałem.

- Tak przypuszczam. Widzieliśmy jego szczątki, sto pięćdziesiąt metrów niżej.

- Można by przejechać na drugą stronę? - zapytałem, choć mogłem domyślić się odpowiedzi.

- Nie ma szans. Na pewno nie ciężarówką. Ani nawet cyrkowym monocyklem. Wśwóz ma ponad sześćdziesiąt metrów szerokości.

Burns wciśnął głęboko powietrze.

- Utknęliśmy wtedy w martwym punkcie. Nikt nie chciał podjąć żadnej decyzji. W radiu słychać było tylko trzaski. Nie mogliśmy jechać dalej, a nie mieliśmy ochoty wracać tam, gdzie toczyła się wojna. Rosjanie mieli spore zapasy żywności, Francuz także. My mogliśmy dorzucić tylko trochę piwa. Wiercie, panowie, że nie starczyło go na długo. W końcu dzi rano postanowiliśmy się rozdzielić. Francuz i dwaj "czerwoni" mieli próbować dotrzeć do Kodowy, a Harry i ja powiedzieliśmy, że postaramy się przejść na piechotę wśwóz i trafić do Kandży.

- Nie powiem, żebym myślał o tym z entuzjazmem - dorzucił

Harry.

- Mielimy właśnie wyruszyć, gdy zjawiło się tych dwóch face-  
tów. - Burns wskazał na motocyklistów Sadiq. - Mylelimy z po-  
człtku, że dopadli nas rebelianci. Cholernie niemiłe przypuszczenie,  
gdy ma się tylko dwie pukawki. Powiedzieli nam, co się tu dzieje.

Wie pan, że zabrzmiało to mało realnie?

Zanotowałem w myłach, że sš uzbrojeni.

- Wędrownny cyrk - mruknšł Kemp.

- Chciałbym, żeby to była prawda, kolego. Przydałyby się nam  
teraz słonie. Tak czy inaczej, zmieniliśmy plany. Kierowcy ciężaró-  
wek zostali na miejscu, a Harry i ja wróciliśmy, by zorientować się  
w sytuacji.

- Można przejć wšwóz na piechotę? - zapytałem.

- Tak przypuszczam, o ile jest się zwinnym.

Spojrzałem na Sadiq.

- A więc?

- I co z tego, Neil? - powiedział Wingstead. - Nie możemy wy-  
słać tš drogš rannych i chorych, a jeli nawet szpital w Kandzy  
nadal funkcjonuje, nie dostaniemy stamtšd pomocy. Wiesz, co mu-  
simy zrobić.

Skinšłem głowš. Wykluł się właśnie jeden z tysišca potencjal-  
nych problemów. ^

- Basil - powiedziałem - jak zawrócić platformę?

- To nie jest konieczne - wyjanił Kemp. - Może jechać w dowolnym kierunku. Trzeba tylko przestawić ciśgniki. - Gdy zaczynał rozwiśzywać jakś kwestię, w jego umyle zazębiały się tryby, a z twarzy znikało napięcie. Basil Kemp czuł się najlepiej, kiedy dawano mu do rozpracowania zestaw konkretnych problemów.

- Co pan teraz zrobi, panie Mannix? - zapytał Sadiq. On również wyglśdał tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg.

Przyjrzałem się dwóm nowym przybyszom.

- Najpierw ci panowie dostanś piwo i jaki posiłek. Poza tym dołśczyła do nas niedawno pewna dama, która również chętnie co zje. Geoff, popro Bishopa, żeby to załatwił. Dopóki konwój stoi w miejscu, możemy wszyscy co przekśsić. Potem się naradzimy.

Kapitanie Sadiq, może pan przekazać ludziom, że nie jedziemy już do Kandży? Niech wszyscy odpocznś, zjedzś co w miarę możliwości, a potem niech będś gotowi do drogi.

- Kim jest ta dama? - zapytał Wingstead.

- To lekarka. Straciła męża podczas nalotu na Kodowe. pi teraz w moim samochodzie. Chcę zamienić słowo z doktorem Katem, więc pojedzie tam ze mnś. Prawdę mówiśc, Dan całkiem dobrze jś zna...

Zamilkłem. Dan Atheridge stał spokojnie za nami, a jego twarz miała mimo opalenizny ziemistś barwę. Słyszał, co powiedzieli ludzie ze spółki Lat-Am i przekazane przez nich informacje dotknęły go bardziej niż kogokogolwiek z nas. Gdzie za Kandżś czekała na niego żona. Miał odciętś drogę powrotu do domu.

- Dan...

- Wszystko w porządku. Wiem, że Susie będzie całkowicie bezpieczna. Ma pan rację, że nie da się przeprowadzić pacjentów przez wśwóz. Znam jednak inną drogę, kilka kilometrów w dół rzeki. Czy mógłby pan zapewnić mi eskortę i zabrać mnie tam, kapitanie? - Mówił beznamiętnym, opanowanym głosem.

- Nie martw się, Dan. Przewieziemy cię na drugą stronę - powiedziałem, modląc się w duchu, żebym mógł dotrzymać słowa. - Chodcie, panowie. Dostaniecie to piwo i opowiecie nam wszystko do końca. - Wsiadliśmy znów do mojego samochodu i zawróciliśmy w kierunku platformy. Dwaj przybysze podszli z Kempem za nami. Kiedy mijaliśmy strumień uchodców, małe, zbite grupki ludzi przygotowywały się na długie, monotonne wyczekiwanie. Ustny przekaz informacji działał szybciej niż nowoczesne rodki łączności.

14

Przyglądałem się z doktor Margretts Marriot platformie, która miała niezwykły wygląd. Tu i ówdzie okrywały ją falujące na wietrze palmowe liście, na nierównych posłaniach z trzciny leżeli owinięci przecieradłami ludzie, a wszędzie tam, gdzie się tylko dało, wieszano rozmaite kawałki materiału, ręczniki i poszewki, aby rzucały cień. Na górę wdrapywały się różne osoby, niosąc bandaże i inne niezbędne przedmioty. Siostra Maria, której ze względu na słabe zdrowie zabroniono jechać na platformie, stała przy ogrom-



nych kołach, wydajśc głono polecenia swoim pielęgniarkom. Kilku ludzi z ekipy pomagało tym rannym, którzy mogli się poruszać, doprowadzając ich do prowizorycznych latryn. W kuchni polowej wrzała praca, gdyż Bishop i młody Bing szykowali dla nas i naszych gości jedzenie z puszek.

W ciągu dnia zjawiała się siostra Urszula. Pomachała mi ręką, po czym jej twarz rozjaśniła się na widok doktor Marriot.

- Doktor Gretta! Co pani tu robi?

Mick McGrath natychmiast podszedł bliżej, aby pomóc jej wysiść. Zorientowała się od razu, że coś jest nie w porządku i poprowadziła delikatnie doktor Marriot do drugiego końca platformy.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy, panie Mannix? - zapytał

McGrath. - Krótko pogłoski, że mamy nowe kłopoty.

- Zgadza się. Na drodze do Kandzy jest zwałyony most i nie mamy jak się tam dostać. Nie podjęliśmy jeszcze oficjalnej decyzji, ale mogę ci powiedzieć, że będziemy musieli zawrócić.

- A więc pojedziemy drogą ze wschodu na zachód, tak jak pan planował? Z tym całym majdanem?

- Możliwe. Popro doktora Kata, żeby tu przyszedł, dobrze?

- Nie przyjdzie.

- Dlaczego?

- Jest zajęty - odparł McGrath. - Jak tylko się zatrzymaliśmy zaczął operować. W tej chwili otwiera właśnie komu czaszkę.

- W porządku - powiedziałem. - Na razie zostaw go w spoko-

ju. Ale gdy będziesz mógł, powiedz mu, że jest tu doktor Marriot.

Mylę, że się ucieszy. Powiedz mu, że w Kodowie zginął jej mąż.

I chciałbym możliwie szybko zamienić z doktorem parę słów.

Wróciłem do miejsca, gdzie w cieniu ciężarówek siedzieli szefowie firmy Wyvern i ludzie ze spółki Lat-Am. Nie było tam Atherridge'a. Gdy do nich podszedłem, Wingstead powiedział:

- Neil, Harry i Russ orientuj się już w naszym położeniu. Przed paroma miesiącami jechali drogą ze wschodu na zachód i twierdzę, że jest niezła. W miasteczku Makara łączą się dwie rzeki. To niewielka miejscowość, ale może mieć strategiczne znaczenie. Leży na skrzyżowaniu szlaków. Zanim rząd Ofanwe zbudował nową szosę, która połączyła bezpośrednio Lasulu i Fort Pirie, jedyna droga z wybrzeża w górę prowadziła przez Makarę.

- Czy jest tam most?

- Tak, zdaje się, że całkiem dobry, tylko węższy niż ten nowy, przez który przejeżdżalście, gdy zatrzymało was wojsko. Zakładam, że ocalał. Wylemy zwiadowców na motocyklach, żeby to sprawdzili. Jeli nasz dzielny kapitan trzyma rękę na pulsie, pewnie są już w drodze. Może kto pojechał też zawiadomić kumpli spółki Lat-Am, żeby do nas dołączyli.

- Możemy natknąć się na wojsko. Gdybym dowodził którąś ze stron, chciałbym mieć Makarę pod kontrolą, o ile tylko nie byłaby doszczętnie zbombardowana.

- Nie musimy podejmować decyzji, dopóki nie otrzymamy ra-

portu - stwierdził Wingstead wstając. - Gdzie jest doktor Kat?

- Operuje. Przyjdzie tu, jak tylko będzie mógł i przypuszczam, że zechce nam co nieco powiedzieć.

Ja także się podniosłem i w tym momencie nadszedł Mick McGrath. Wiedzieliśmy od razu, że co jest nie w porządku. Wyglądał jak chmura gradowa.

- Mamy kłopoty, panie Wingstead - powiedział. - Idzie do pana delegacja.

Zmierzało w naszym kierunku pięciu ludzi. Szli ciężkim, zdecydowanym krokiem, jak pokazywani w telewizji strajkujący robotnicy. Zwymyślali najwyraźniej dwóch stojących im na drodze żołnierzy, a potem zaczęli zbliżać się do nas. Nie zaskoczyło mnie, że jednym z przewodników jest Bob Sisley, a drugim Johnny Burkę, człowiek, który upominał się niedawno o premię za niebezpieczną pracę. Towarzyszyli im Barry Lang i Bob Pitman. Piątym mężczyźni, ku mojemu zdziwieniu, był Ron Jones. Szli w całkiem witym milczeniu. Ruszyliśmy za Wingsteadem w ich kierunku. Swego czasu prowadziłem negocjacje z robotnikami, tu jednak byłem osobą z zewnątrz. Chyba że zarząd firmy Wyvern zechciałby wezwać mnie na pomoc.

W imieniu grupy wystąpił oczywiście Sisley. Nie zwracając uwagi na Wingsteada, zaatakował łatwiejszy cel.

- Panie Kemp, ci jankesi mówią, że na północy jest zwalony most. Czy to prawda?

- Tak.

Zastanawiałem się, czy Burns nie będzie miał obiekcji, że kto nazywa go "jankesem", choć i on pozwalał sobie na szafowanie obraliwymi określeniami.

- Więc wygląda na to, że nie możemy ruszać dalej z platformą.

Zanim wdepnęliśmy w te zafajdane układy z kupą zdechlaków, zamierzał pan jechać nad jezioro Pirie. Co nas teraz powstrzymuje?

Mówił pan, że możemy przedostać się przez granicę do neutralnego kraju.

Poczułem odrazę do tego człowieka i zauważyłem taką samą reakcję na twarzach innych osób. O dziwo, jedną z nich był Roń Jones. Kemp nie odzywał się, więc Sisley ciśgnął dalej.

- Zerwał pan swój kontrakt, więc nie może pan żądać, żebyśmy my dotrzyмали warunków umowy. Uważamy, że robi się tu niebezpiecznie. Nie godziliśmy się na udział w jakich pieprzonych politycznych rozróbach czarnuchów. Spływamy stąd.

- Razem z platformą? - zapytał oziębłe Kemp.

- Do diabła z nią. Jesteśmy w potrzasku. Nie wybieraliśmy się na wojnę. Chcemy tylko stąd uciec. Ma pan obowiązek dbać o nasze bezpieczeństwo. Tak samo jak ten pański szef. - W mało elegancki sposób wskazał kciukiem na Wingsteda. Może był dobrym fachowcem od transportu, bo firma Wyvern innych nie zatrudniała, ale okazywał się teraz niezłym szujem.

Wingstead gładko wszedł mu w słowo.

- Zabieramy platformę i cały konwój z powrotem do Kodowy -  
oznajmił. - Pacjentów szpitala także. Dotarłszy tam ocenimy sytu-  
ację i najprawdopodobniej, jeśli wszystko będzie w porządku, wró-  
cimy na szosę do Port Luard. Gdybyśmy uznali/że to niebezpiecz-  
ne, pojedziemy drugorzędniejszą drogą do Fort Pirie. Wszyscy jesteśmy  
zdenerwowani i brakuje nam podstawowych informacji, ale zrobi-  
my, co będzie w naszej mocy.

W takich sytuacjach spokojne, rozsądne argumenty nigdy jednak  
nie pomagały. Siskey skrzywił się z pogardą.

- Zdenerwowani! O tak, mamy po temu powody. Należymy  
bandę czarnuchów, którzy nie potrafią o siebie zadbać i chcemy  
na diabła wartej platformę, a tymczasem kończy się żarcie i cały ten  
kraj pogrąża się w bagnie. Chryste, nie zapłacono nam nawet za  
dwa tygodnie. Jak macie ochotę, zapieprzajcie sobie tam i z powro-  
tem po tej cholernej drodze, ale bez nas.

- Czego właściwie chcecie? - zapytał Wingstead.

- Chcemy wracać do Fort Pirie, tak jak planowaliśmy. Nieważne,  
czy z tą cholerną platformą, czy bez niej.

- Wy niczego nie planowalście, przyjacielu. - Wiedziałem, że  
nie powinienem się wtrącać, ale mnie poniosło. - Wasz szef cholernie  
ryzykował przylatując tutaj i planowanie należy do niego.

- To nie pański pieprzony interes, panie Mannix.

- Pleciesz bzdury, Bob - powiedział Wingstead. - Jak daleko  
zaszedłby każdy z nas bez pomocy całej grupy?

- Grupa! Chryste, wleczeni za sobą starców, dzieci, chodzące trupy, obłudne zakonnice i Bóg wie, kogo jeszcze. A teraz podobno przywozi nam pan jeszcze jakich cholernych cudzoziemców. Nie będziemy tego tolerować.

Żaden z pozostałych mężczyzn nie powiedział ani słowa. Stali zwartym murem za plecami Sisleya, milcząc złowrogo, gdy ten dawał upust plugawym słowom i jeszcze bardziej plugawym myślom. Usłyszawszy wzmiankę o zakonnicach, McGrath zaczął dysszeć z gniewu. Podejrzewając, że zaraz dojdzie do wybuchu, próbowałem temu zapobiec.

- Możesz do woli spierać się z szefem, jak ma traktować swoich pracowników, Sisley - powiedziałem - ale daruj sobie osobiste wybieczki i nie wyrażaj się o ludziach w tak wulgarny sposób.

- Powiedziałem ci, jankesie, żeby zamknął tę swoją wielką gębę! - odparował. - Nie wtrącaj się, do cholery!

Jego uniesiona pięć wyglądała jak gotowa do ataku kobra. Zrobiwszy krok naprzód, poczułem na ramieniu stalowy ucisk McGratha.

- Bez nerwów, panie Mannix - powiedział opanowanym, spokojnym głosem, po czym zwrócił się do Sisleya: - Przestań pyskować, chłopcze, bo będziesz pluć zębami.

Powiedział to tak rzeczowym tonem, że Sisley cofnął się i opuścił rękę.

Na chwilę wszyscy jakby zamarli w bezruchu: obie zwrócone do

siebie grupy, ludzie ze spółki Lat-Am i kilku przysłuchujących się rozmowie pracowników firmy Wyvern, widoczny za nimi Atherridge oraz stojąca porodka, wojowniczo usposobiona trójka: ja, McGrath i Sisley. Ciszę przerwał nieoczekiwane głos Bena Hammonda.

- W porządku, Bob, powiedziały swoje i wietnie ci to wyszło.

Pozwól teraz, żeby panowie Wingstead i Kemp przez pięć minut sobie porozmawiali. Rozejdźcie się, chłopcy. Na razie nic tu po was.

Sandy! Gdzie jest to żarcie, które szykowały? No już, chłopaki, bierzcie się do jedzenia. Bert, mamy kłopoty z lewą tylną osią.

Rozegrał to po mistrzowsku. Zastygłe w bezruchu postacie rozplynęły się gdzieś jak wiosenny nieg i pozostali nagle obok mnie tylko Kemp i Wingstead. Kręciliśmy głowami z podziwem i ulgą.

Hammond miał nieprzeciętne uzdolnienia.

- feley i Pitman obsługują ciężarówkę z generatorami powietrza - stwierdził Wingstead. - To oczywiste, że ze sobą trzymają.

Zawsze byli kumplami i sprawiali trochę kłopotów. Takich facetów jak Johnny Burke nazywają w marynarce pokładowymi mśdralami.

Jest za sprytny, żeby wychodziło mu to na zdrowie. Ale niezły

z niego fachowiec. A Lang i Jones są dobrymi kierowcami. Z kolei

Sisley i Pitman to specjaliści od podnoników, które będą nam

jeszcze potrzebne. Kto oprócz nich potrafi je obsługiwać?

Kemp pokręcił głową, ale Hammond, który dołączył do nas,

przydzieliwszy najpierw ludziom zadania, oznajmił:

- Ja się na tym znam. Jeli będę musiał, umiem obsłużyć każdš z tych cholernych maszyn. McGrath też by to zresztš potrafił.
- Będziecie nam obaj potrzebni na platformie - zaproponował Kemp.
- Wcale nie. Poradzi pan sobie z niš nie gorzej niż ja - stwierdził Hammond. - Przydałby mi się jednak Sammy Wilson.
- Musimy chyba założyć, że Sisley ze wszystkimi rozmawiał - powiedziałem. - Więc ci, którzy z nim nie przyszli, sš po waszej stronie?
- Tak sšdzę. Muszę przyznać, że zaskoczył mnie Roń Jones - oznajmił Wingstead. - A więc sš z nami jeszcze Grafton, Proctor i Ritchie Thorpe. Dzięki Bogu, Neil, że go tu przywiozł.
- Może nie być mi za to wdzięczny - rzekłem.

Nasze niewesołe umiechy rozładowały na chwilę napięcie.

- Nie chciałbym, żeby szepionym z platformš cišgnikiem kierował kto niedowiadczony - powiedział Kemp. - Jeli będziemy posuwać się trochę wolniej, trzy cišgniki nam wystarczš. I możemy pozbyć się tego cholernego czołgu. Nie potrafisz chyba prowadzić cišgnika, Mannix?

Umiechnšłem się znowu, tym razem w duchu. Kemp cišgle miał przed oczami tylko jeden cel. W pewnych sytuacjach okazywało się to korzystne. Był teraz zbyt zajęty rozważaniem różnych możliwości, żeby - jak każdy dobry dyrektor - wpać we wciekłość z powodu buntu pracowników.

- Ja nie potrafię - odparłem - ale mógłbym kogo znaleźć.



Wingstead i Kemp zaczęli się naradzać, więc zostawiłem ich samych. Buntownicy odeszli z jedzeniem na bok i zbici w gromadę spożywali posiłek, nie patrząc na kolegów. "Wierni", jak ich w duchu nazwałem, mieli się i prowadzili głośne rozmowy, aby zademonstrować, że należą do grupy i nie muszą czuć się dezertierami. Był to ciekawy przykład mowy ciała, który zachwyciłby każdego psychologa. Nyalańczycy, wyczuwając kłopoty, trzymali się z daleka, nie widziałem też w pobliżu nikogo z personelu szpitala.

Wingstead przywołał mnie niebawem, mówiąc:

- Pozwolimy im odejść.

- To znaczy, że zostaniesz zwolnieni?

- A jest inne wyjście? Skoro nie chcesz zostać, nie mogę zatrzymać ich siłą.

- Ale jak sobie poradzić?

Wingstead pokazał, że stał się naprawdę twardy.

- To już ich kłopot. Jak mylisz, za ilu ludzi teraz odpowiadam?

Wcale o to nie prosiłem, ale tak wyszło i nie zamierzam się wykręcać. Nie zostawię ich z powodu paru facetów, którzy myślą, że wszystko wiesz lepiej.

Wingstead wydał mi się nagle o wiele starszy. Częste zjawisko, jakim jest samotność ludzi sprawujących władzę, wycisnęło na nim wyrane piętno i nie był to już ten pełen młodzieńczego wigoru i entuzjazmu amator przygód, którego poznałem w warsztacie w Anglii. Wziął na swoje ramiona cały ciężar tej przedziwnej eks-

pedycji i prawdę mówiąc nikt inny nie mógłby tego zrobić. Patrzyłem, jak wstaje, uginając się pod brzemieniem dodatkowych obowiązków i podziwiałem go bardziej niż kiedykolwiek.

- Basil, powiedz im, żeby tu przyszli.

Buntownicy wrócili, nadal nieufni i wciekli. Tym razem, na próbę Wingsteada, McGrath stanął nieco dalej i wykorzystał swój niekwestionowany autorytet, by uniemożliwić gapiom przysłuchiwanie się rozmowie.

- W porządku, już się naradziliśmy - oznajmił Wingstead. - Nadal jesteście pewni, że chcecie odejść?

- Jak cholera. Mamy tego dość.

- Mówisz w imieniu wszystkich? - Wingstead spojrzał na stojących za nim czterech ludzi, ale tamci milczeli.

- Sam pan widzi - odparł Sisley.

- A więc dobrze. Możecie się wynosić. Cała pištka. Zwalniamy was.

Tym razem w ciszy, która zapadła, było coś komicznego.

- W porządku, spróbujcie tylko - odezwał się w końcu Sisley. -

Nie możecie nas tak po prostu wylać, do cholery! Podpisałimy kontrakt, prawda, Johnny?

- Zgadza się - odrzekł Burkę.

- Sam powiedziało, że skoro zerwalimy umowę z Nyalś, a tak właśnie się stało, to i was ona nie obowiązuje - oznajmił Wingstead. - Spływajcie.

- A co z naszym zarobkiem? Należy nam się forsa za dwa tygodnie plus rozłskowe. Chcemy jś dostać.

Patrzyłem na niego zdumiony.

- Daj im czek, Geoff - powiedziałem ironicznym tonem. - Zrealizujś go w banku w Kodowie.

- Wypiszę wam wszystkim pokwitowania. Możecie mieć pewność, że sś one honorowane przez firmę Wyvern - obiecał Wingstead. - Za godzinę będziecie mogli je odebrać od pana Kempa.

- Zrobimy to - zapewnił Sisley. - Ale chcemy się też jako zabezpieczyć. Wemiemy jednś z ciężarówek.

- Nie ma mowy, Bob! - powiedział Hammond.

- Albo wóz z generatorami. Jest więcej wart i w ostateczności wszyscy możemy się w nim zmieścić. Tak, włanie tak zrobimy.

- Po moim trupie! - powiedział Hammond, przestajśc panować nad sobś.

Wingstead podniósł rękę, aby go uciszyć.

- Nie będzie żadnych kłótni - powiedział. - Trzymajcie się z daleka od samochodów, Sisley.

- A w jaki sposób zamierza nas pan powstrzymać?

Tego już było za wiele. Musiałem się włšczyć.

- Nie zabierzecie nigdzie tej ciężarówki z generatorami. Ani żadnego innego pojazdu. Spółka Wyvern Transport jest poważnie zadłużona w firmie British Electric i mam ciśgnśc ten dług. Rekwiruję na jego pokrycie cały sprzęt, w tym wszystkie rodki transpor-

tu. Pokwitowania dostaniecie ode mnie i moja firma wypłaci wam pieniądze. O ile zdżycie się po nie zgłosić. Za godzinę możecie ruszać w drogę.

Sisley wlepił we mnie wzrok, mówiąc:

- Ale do Fort Pirie jest...

- Około czterystu kilometrów. Może po drodze uda wam się zdobyć jaki samochód. Jeli nie, wemiecie przykład z ludzi, których nazywasz czarnuchami. Pójdziecie na piechotę.

Sisley był gotów do bójki, zreflektował się jednak, oceniwszy swoje szansę. Stojšcy za nim ludzie szemrali gniewnie, ale tylko Burkę głoŃo zaprotestował. Usłyszawszy to McGrath podszedł bliżej, zaciskając pięci i pałając znowu Źdż walki, całkowicie jednak nad sobš panował, co czyniło go tym bardziej niebezpiecznym. Buntownicy skapitulowali i cofnęli się.

Sisley rzucił jeszcze kilka przekleństw, ale nie zwracaliśmy na niego uwagi. Wkrótce wrogo usposobiona grupa oddaliła się w zwartym szyku, znikając za jednš z ciężarówek.

- Miej ich na oku, Mick, ale nie chcę żadnych bijatyk - powiedział Hammond.

Wingstead odetchnš głęboko.

- Wiele bym dał za łyk tej twojej whisky, czy choćby ciepłego piwa. Ale nawet kubek "ognia armatniego" sprawi mi wielkš przyjemność.

- Mnie też - przyznałem.

Umiechnęlimy się do siebie.

- Wiesz, że jeste teraz moim szefem? - zapytał.

- Jasne. Oto mój pierwszy rozkaz: wypić filiżankę piekielnego wywaru Bishopa i zjeć talerz brei, którś nazywa zupš - powiedziałem. - Ciebie też to dotyczy, Basil. Planowanie zostaw sobie na potem.

Pónym popołudniem miałem okazję porozmawiać z doktorem Katabisirua. Nie przejšł się specjalnie dezercjś pięciu naszych ludzi. Byli zdrowi i sprawni, uznał więc, że skoro wybrali własnš drogę, sami za siebie odpowiadajš. Fakt, że dołšczyli do nas dwaj Amerykanie, a spodziewalimy się jeszcze Francuza i dwóch Rosjan, też niewiele dla niego znaczył. Liczył co najwyżej, że mogš mieć w samochodach zapasy lekarstw i opatrunków. Natomiast obecność doktor Marriot była dla niego na wagę złota.

Niepokoilo go niedożywienie ludzi i ryzyko zakażeń. Martwił się - bardziej, niż gotów był przyznać - że pacjenci narażeni sš w czasie jazdy na silne wstrzšsy. Najgorsza dla mnie wiadomość dotyczyła Maxa Ottermana. Tracił przytomność i rokowania na przyszłość nie były dobre.

Doktor słyszał, oczywiście, co stało się z mostem.

- A więc nie ma sposobu, żeby dotrzeć do Kandzy? Żadnego?

- Niestety, doktorze. Mogliby tam dojć na piechotę tylko ludzie, którzy sš w dobrej kondycji.

- Podobno pan Atheridge powiedział, że zna innš drogę.

- Tak - odparłem - ale on jest ranny, nieco zszokowany i ma już

po pięćdziesiątce. Pojechał zobaczyć tę drogę z kilkoma żołnierzami i jednym z naszych ludzi, ale nie przypuszczam, żeby wrócili przed zmrokiem. Moim zdaniem, ten wśwóz jest nie do pokonania.

Westchnął ciężko.

- Więc będziecie musieli zawrócić.

- Tak, do Kodowy. A potem pojedziemy na południe albo na zachód, co jest bardziej prawdopodobne. Zna pan Makarę? Czy mają tam jakiś punkt sanitarny?

Doktor powiedział, że pacjentów z tych okolic przywożono mu zawsze do Kodowy. Na miejscu nie było nawet wykwalifikowanej pielęgniarki, tylko dwie akuszerki.

- Ale jest tam fabryka bawełny - dodał nagle z ożywieniem. -

I bardzo duże, solidnie zbudowane stodoły. Podobno stoją prawie puste, a fabryka nie pracuje. Byłoby to dobre miejsce dla moich pacjentów.

- O ile nie zostało zniszczone - rzekłem. Albo zamienione w ko-szary przez jakiś oddział rebeliantów, dodałem w duchu.

Wkrótce potem przyjechali Rosjanie i Francuz. Ci pierwsi byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Mieli słowiańskie rysy i szeroko się umiechali. Ich długich nazwisk nikt z nas nie potrafił wymówić.

Znali zaledwie kilka angielskich słów i Bóg wie, jak sobie dotąd radzili.

Zimmerman, który współpracował z Rosjanami przy zakładaniu ruro-ciągów w Iranie, okazał się niezłym tłumaczem. Póniej obdarzono ich przydomkami "Brezniew" i "Kosygin". Najwyraniej nie mieli nic

przeciwno temu. Prawdopodobnie wymawialimy te nazwiska w taki sposób, że nie byli nawet w stanie ich rozpoznać. Ciężarówka Rosjan wiozła na północ, w kierunku pól naftowych, osłony rur.

Francuz, Antoine Dufour, mówił niewiele po angielsku. Przewoził różne materiały dla spółki Petrole Meridional. Wszyscy trzej mężczyźni byli zadowoleni z naszego towarzystwa i pogodzeni z myślą o powrocie, nie chcieli jednak zostawiać ciężarówek, zwłaszcza gdy się okazało, że mamy zapasy paliwa. Po długotrwałej dyskusji w trzech językach, podczas której Wingstead zademonstrował całkiem dobrą znajomość francuskiego, cała trójka postanowiła się nas trzymać, wyznając zasadę, że w grupie bezpieczniej.

Russ Burns i Zimmerman byli tego samego zdania, dręczył ich jednak pewien problem.

- Podobno macie benzynę - powiedział Burns. - Nam prawie się skończyła.

- Mamy - odrzekłem. - Ale nie będziemy jej tracić, żebyście mogli ci sięgnąć przez pół Afryki to chromowane monstrum z jego pieprzoną klimatyzacją. - Podeszedłem obejrzeć ich samochód. Wystająca za tylne koła część karoserii miała półtora metra długości, a maskę zdobiły wyszczerzone gronie zębów. - Nie masz trochę starowieckich gustów, Teksańczyku?

- To dobry, amerykański samochód. Nie odpowiada mi żaden z tych miniaturowych, europejskich modeli. Nie zmieciłbym nóg pod kierownicę, do cholery. Zresztą to wóz firmy. Pracownik spółki

Lat-Am nie powinien jechać tanim samochodem. To by świadczyło o braku wiary w siebie.

- Bardzo ciekawa teoria - stwierdziłem - ale na razie jechalicie po asfalcie. Załóżmy, że trzeba będzie zjechać na polne drogi. Na pierwszym kilometrze odpadnie rura wydechowa, a na następnym straciecie miskę olejową. Co dziesięć metrów ta maszyna będzie szorowała tyłkiem po ziemi.

- Russ, on ma rację - przyznał Zimmerman.

- A niech to diabli - powiedział smętnie Burns. Nie chciał pozbywać się symbolu swego statusu.

Wskazałem na ciśnieńnik.

- Czy który z was potrafi co takiego poprowadzić?

- Ja - odparł z miejsca Zimmerman. - Byłem kiedy kierowcą ciężarówki. Mogę jednak potrzebować małego instruktora.

- Wiesz, jaki mamy problem. Odeszło od nas pięciu ludzi, a dwaj z nich byli kierowcami. Nie prosimy cię o holowanie platformy - Kemp by się na to nie zgodził. Zostawiam tu swój samochód, bo nie przejechałby po wertepach. Musicie zrobić to samo, ponieważ nie dam wam paliwa. Poprowadzisz ciśnieńnik, uważając na tych ludzi na dachu. - Odwróciłem się do Burnsa. - A ty wsiądziesz ze mną do Land Rovera. Jest tam sporo miejsca na nogi.

Burns westchnął i poklepał maskę swego wozu.

- Żegnaj, kochanie. Będę cię ciepło wspominał. ^

Zgodnie z moimi przypuszczeniami, było już ciemno gdy wrócił



Atheridge i towarzyszący mu ludzie. Wyglądali na przygnębionych. Droga przez wśwóz, którą Atheridge pamiętał sprzed wielu lat, zarosła krzakami, a skalne występy skruszały, uniemożliwiając przejście. Thorpe powiedział mi w cztery oczy, że z trudem przekonali Atheridge'a, żeby z nimi wrócił. Koniecznie chciał przeprowadzić się samotnie na drugą stronę wśwozu, a nie byłby w stanie tego dokonać.

W końcu cały obóz zaczął się pogrzązać w niespokojnym nie.

Pięciu buntowników, strajkowiczów, czy jak by ich tam jeszcze nazwać, zniknęło gdzieś, zabierając swoje rzeczy. Wingstead i ja myśleliśmy o tych ludziach z wielkim niepokojem. Obawialiśmy się o ich bezpieczeństwo, ale i o naszą przyszłość przy braku tak doświadczonych fachowców. Kazałem wystawić strażę przy wszystkich pojazdach, na wypadek gdyby chcieli któryś porwać. Nie było już o czym rozmawiać, położyliśmy się więc wreszcie, próbując zasnąć w oczekiwaniu na nadejście poranka.

15

Ranek przyniósł typowe konflikty i problemy związane z wyruszeniem w drogę plus oczywiście dodatkowe kłopoty, wynikające z naszego statusu ruchomego szpitala. Kiedy Kemp nadzorował doczepianie ciśnień do drugiego końca platformy, kto zauważył nagle, że przepadł gdzieś McGrath. Posypały się przekleństwa, gdy Kemp i Hammond próbowali odnaleźć szefa kierowców. Mniej więcej w tym samym czasie sierżant Sadiqa przyszedł nam powiedzieć,

że zniknął również mój samochód.

I oto nieoczekiwanie McGrath pojawił się z powrotem wśród nas.

Szedł obejmując ramieniem przestraszonego i zdenerwowanego Rona Jonesa. Tuż za nimi wlekli się z minami winowajców Lang i Bob Pitman, równie bladzi i wyczerpani.

- Panie Kemp! - zawołał McGrath wesoło i hałaśliwie - Ci chłopcy zmienili zdanie i chcą jechać z nami. Przyjmie ich pan z powrotem do pracy? Obiecałem się za nimi wstawić.

Kemp nie bardzo wiedział, co zrobić i spojrzał na mnie.

- Nie zajmuję się przyjmowaniem i zwalnianiem ludzi, Basil - odparłem kręcąc głowę. - Pogadaj z Geoffem.

Nie mieliśmy oczywiście żadnych wstępliwoci. Chodziło wyłącznie o zachowanie pozorów. Po długiej rozmowie z Kempem Geoff oznajmił, że trzech winowajcy mają być przyjęci z powrotem do ekipy, co oznaczało obsadzenie na nowo stanowisk kierowców.

Harry Zimmerman przyjął tę wiadomość z niejaką ulgą.

Nie mogliśmy dojść, co się właściwie stało. McGrath był ciśgle zajęty i należało poczekać z zadawaniem pytań. Wingstead przekazał mi tylko to, co potwierdzili zgodnie trzech mężczyźni. Kiedy McGrath, najwidoczniej zabrawszy o wicie samochód, dogonił ich na trasie, Bob Sisley i Johnny Burkę kategorycznie odmówili powrotu. Lang, Jones i Pitman nie byli przekonani o słuszności postępowania Sisleya. Szczególnie Jones nie czuł się dobrze w roli buntownika. Całą trójkę należało mieć teraz na oku, ale cieszyliśmy się bez

wštpienia, że sš znowu z nami.

Spędziliśmy tę noc w pobliżu Kodowy, ale nie w szpitalu, gdzie zdaniem doktora Kata istniała zbyt duża groba infekcji z powodu pozostawionych tam mieci. Znalazło się czyciejsze miejsce, bardziej na zachód, przy drodze, którą zamierzaliśmy jechać. Mielimy za sobš stracony dzień. Dotarłszy na nocleg pónym popołudniem, pochowaliśmy czterech kolejnych zmarłych i rozpoczęliśmy żmudne rozkładanie obozowiska, planując wyruszyć o wicie do Makary. W pewnej chwili miałem już wszystkiego dość. Zmęczyło mnie mówienie, słuchanie, rozstrzygnięcie sporów, rozwiązywanie problemów, okazywanie współczucia i słuzenie radš. Pocieszająca była jedynie wiadomoć od doktor Marriot, że stan zdrowia Maxa Ottermana jakby się polepszył.

Postanowiłem pospacerować w ciepłš noc. Wszędzie było pełno uchodców i musiałem przejć spory kawałek, żeby zostawić obóz za sobš. Nie obawiałem się drapieżników, gdyż hałas i smród towarzyszący kolumnie musiał wypłoszyć zwierzynę na przestrzeni wielu kilometrów. Obejrzawszy się na migoczące jak wietliki ogniska, nad którymi gotowano strawę, zastanawiałem się, skšd ci ludzie zdobywają pożywienie.

Miałem ochotę zabrać ze sobš pustš już prawie butelkę whisky, oparłem się jednak pokusie i teraz tego żałowałem. Będšc z dala od obozowiska usiadłem, aby nacieszyć się przez chwilę samotności. W końcu, odpoczšwszy nieco, zacząłem wracać. Po przejciu dzie-

sięciu kroków usłyszałem nagle przed sobą trzask suchych gałęzi.

Serce zabiło mi mocniej. W tym momencie ktoś zapytał cicho:

- Panie Mannix, czy mogę z panem porozmawiać?

Był to Roń Jones. Na chwilę ogarnęła mnie wciekłość, że nawet tutaj nie mogę mieć spokoju, po czym rzekłem:

- Jones? Czego chcesz?

Był nadal przybity. Niewiele pozostało z jego pogodnego usposobienia.

- Przykro mi, że przeszkadzam, panie Mannix, ale muszę się wygadać. Muszę komu opowiedzieć, co się stało. Tylko proszę mi obiecać, że nie zdradzi pan nikomu, skąd pan o tym wie.

- O czym ty mówisz?

- Najpierw niech mi pan obieca.

- Do diabła, Jones. Jak chcesz, zachowaj to dla siebie. Nie będę się targował.

Zamilkł i po namyśle powiedział:

- Chodzi o Boba Sisleya. On nie żyje.

- Nie żyje? Co ty wygadujesz, do cholery?

- Mówię panu, że nie żyje. Mick McGrath go zastrzelił.

"Chryste - pomyślałem. - A więc nie myliłem się." Zawsze przeczuwałem, że McGrath przysporzy nam kłopotów. Ta wiadomość nie tyle mnie wstrząsnęła, ile potwierdziła moje, ponure przypuszczenia.

- Usiódmy i wszystko mi opowiedz.

- Ale naprawdę proszę nikomu nie zdradzić, skąd pan o tym wie - nalegał Jones. Był przerażony. Nie mogłem mieć mu tego za złe.

- W porządku. Obiecuję. A teraz mów.

- Było tak. Odchodząc stąd zabralimy tyle rzeczy, ile się dało i ruszyliśmy w kierunku Kodowy. Bob chciał zwędzić ciężarówkę, ale wszystkie były pilnowane. Potem uznał, że w Kodowie na pewno znajdziemy jakiś rodek transportu. Pozostawiono tam przecież mnóstwo samochodów.

Jones nie wspomniał, jak doszło do buntu, ani dlaczego się do niego przyłączył. Nie pytałem go o to. Ta sprawa należała już do przeszłości.

- Nie zaszliśmy daleko - kontynuował. - Iść na piechotę to nie to samo, co jechać samochodem, zwłaszcza tutaj. Było cholernie gorąco i szło się ciężko. Stwierdziłem, że ci Nyalańczycy to twardzi ludzie... W każdym razie przez jakiś czas posuwalimy się naprzód. Przed wyruszeniem w drogę podkradliśmy trochę żywności i piwa. Brad Bishop nic o tym nie wiedział - dodał, nie chcąc obciążać winę kucharza. W odróżnieniu od Jonesa, Bob Sisley nie przejmowałby się takimi drobiazgami.

- Potem usłyszeliśmy samochód, którym przyjechał Mick. Próbował namówić nas do powrotu, ale wkrótce zaczęła się kłótnia. Mick i Bob Sisley wpadli we wciekłość. Bob rzucił się na Micka, ale ten z łatwością powalił go na ziemię. Jest o wiele silniejszy. Nikt

z nas nie miał ochoty się bić, może tylko Johnny Burkę, ale on też nie dałby rady Mickowi i nawet nie próbował. Szczerze mówiąc, Barry, Bob Pitman i ja mieliśmy tego wszystkiego dość. Naprawdę chciałem już wracać.

Zawahał się i wyczułem, że traci ochotę na zwierzenia.

- Mów dalej - rzekłem. - Nie możesz teraz zrezygnować. Powiedziało za dużo... i za mało.

- Potem Mick kazał nam zejść z szosy i...

- Jak to: kazał wam? Nie musicie przecież nigdzie iść.

- Musielimy. Miał broń.

- Jakś?

- Pistolet. Kazał nam zejść z szosy w busz, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć. Potem powiedział, że musimy wrócić albo zginieemy.

Mówił, że przekona nas siłą, jednego po drugim. Poczynając od Boba Sisleya. Bob był twardy. Odparł, że Mick nie może nas zmusić do pracy, ani trzymać wszystkich cały czas na muszce. Zaczął mi wymyślać.

- Czy znowu się bili?

- Już nie. Sisley powiedział parę rzeczy, których nie powinien był mówić i... Mick go zastrzelił.

- Tak po prostu?

- Tak, panie Mannix. Bob stał przed nim, a w chwilę później leżał już na ziemi. Ten przeklęty Irlandczyk bez zmruczenia oka przestrzelił mu głowę!

Jones mówił drżącym głosem i cały dygotał.

- Co się potem działo? - zapytałem.

- Przez jaki czas wszyscy milczeli. Kto zwymiotował. Prawdę mówiąc, to byłem ja, do cholery. Barry zresztą też. Potem Mick powtórzył, że mamy wracać bez gadania do pracy przy platformie.

A gdyby który z nas wspomniał o tym, co się stało, przestrelili mu kolano albo zrobi co jeszcze gorszego.

- Przestrelili kolano? Tak się wyraził?

- Tak. Bob Pitman podszedł do Sisleya i stwierdził, że jest martwy. Kiedy wszyscy się temu przyglądaliśmy, Johnny Burkę zaczął uciekać przez busz. Myślałem, że Mick go zastrzeli, ale nawet nie próbował i Johnny zdołał umknąć.

- Czy wiesz, co się z nim stało?

- Nikt tego nie wie.

- Co było potem?

- Cóż, zgodziliśmy się wrócić. I milczeć. Jak inaczej mogliśmy postąpić? Zresztą wtedy i tak wszyscy chcieliśmy już wracać. Chryste, mam dość tego przeklętego kraju.

- Co stało się z ciałem Sisleya?

Jonesowi znów zadrżał głos.

- Mick rozebrał go do naga i razem z Barrym wsadzili zwłoki do dołu, przysypując je ziemią, ale nie zakopując. Mick stwierdził, że zwierzęta zrobią z nimi porządek.

- Nie mylił się - przyznałem posępnie. - Dobrze, że mi o tym

wszystkim powiedziałe. Nie będziesz miał z tego powodu żadnych kłopotów. Zajmę się McGrathem. Wracaj teraz do obozu i dobrze się wypij. Nic ci nie grozi, a w każdym razie nie to, czego się obawiasz.

Odszedł z uczuciem ulgi, a ja podszłyłem za nim wolniejszym krokiem. Miałem tej nocy do wykonania kolejne parszywe zadanie. Wróciwszy do obozu podszedłem do Land Rovera i wsiadłem do niego z prawej strony, zostawiając otwarte drzwiczki. Tu i ówdzie kręcili się jeszcze ludzie. Zawołałem do kogo, kto przechodził obok, żeby poszukał McGratha i poprosił go do mnie.

Włszczyłem wiatło w samochodzie, wyjśłem zdobycznś rutówkę i opróżniwszy magazynek ponownie jś załadowałem. Kiedy wcześniej próbowałem włożyć do niego czwarty nabój, nie chciał wejć.

Zastanawiałem się dlaczego, ale teraz znałem już odpowied. Polujśc w Stanach z szybkostrzelnej i automatycznej broni na pewne gatunki wędrownych ptaków wolno oddać tylko trzy strzały. Aby myliwi nie zapominali o przestrzeganiu prawa, producenci zakładajśc w magazynku specjalnś zatyczkę i dopóki nie zostanie ona wymontowana, można wystrzelić w krótkim odstępie czasu najwyżej trzy naboje.

Domylałem się, że w fabryce broni nikt nie zadbał o to, żeby usunć zatyczki przed wysłaniem strzelb na eksport.

Zaczśłem rozbierać zamek. Kiedy nadszedł McGrath, wyciśgałem włanie z magazynka zatyczkę. Spojrzał z zainteresowaniem.

- Niezła broń - stwierdził swobodnie. - Ile razy można z niej



wystrzelić za jednym naładowaniem, panie Mannix?

- Póki co, trzy. Ale nastawiam jś na szeć strzałów. - Wyjśćem

zatyczkę i zacząłem ponownie składać strzelbę.

- Zna się pan na rzeczy - stwierdził McGrath.

- Robiłem to wiele razy. - Broń dała się złożyć bez problemów.

Załadowawszy do magazynka szeć naboí podniosłem jś jakby od niechcenia, kierujśc lufę ku ziemi. Nie była wymierzona w McGra-

tha, ale bardzo blisko niego. - Teraz możesz mi powiedzieć, co się

stało z Bobem Sisleyem - rzekłem.

Jeli miałem nadzieję, że zaskoczony McGrath przyzna się do

winy, spotkał mnie zawód. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Więc kto panu powiedział - stwierdził bez żenady. - Ciekawe

kto. Chyba Ronnie Jones, prawda?

- Nieważne. Jeżeli któremu z tych ludzi cokolwiek się stanie,

będziesz miał jeszcze większe kłopoty niż teraz, o ile to w ogóle możliwe.

- Nie mam żadnych kłopotów - odparł.

- Zmienisz zdanie, kiedy Sadiq zechce cię powiesić na najbliższym drzewie.

- Kto mu powie, co się wydarzyło?

- Może ja.

Pokręcił głowś.

- Nie, panie Mannix. Pan Kemp byłby do tego zdolny, ale nie pan.

- Dlaczego tak uważasz? - Nie przypuszczałem, że nasza rozmowa będzie miała taki przebieg, że McGrath zechce wdawać się w dyskusję, nie okazując w ogóle zdenerwowania. Ten człowiek mnie intrygował. Nie spotkałem nigdy równie opanowanego faceta.

- No cóż, jest pan o wiele twardszy niż pan Kemp - odparł z umiechem. - Może prawie tak twardy jak ja. Różni nas parę rzeczy, że tak powiem, ale mylimy podobnymi kategoriami i każdy z nas wykonuje swoją brudną robotę. Podobnie jak ja nie wzywałby pan tego czarnoskórego kapitana, żeby pana wyręczył. Robimy to, co należy.

- Więc uważasz, że Sisley musiał zginąć, czy tak?

- Bynajmniej. To mógł być którykolwiek z nich. Żeby dać przykład pozostałym, jak się to mówi. Ale Sisley od samego początku sprawiał kłopoty. Po co dwigać ciężar, którego można się pozbyć? Powtarzał słowa Sadiqa, który użył aforyzmu Woltera również zrecznie i w bardzo podobnych okolicznościach. Wbrew swojej woli byłem tym zafascynowany.

- Nie musisz mnie uczyć wojskowej filozofii, McGrath - powiedziałem. - Popełniło morderstwo.

- Wielkie nieba! Wokół toczy się wojna i umierają ludzie, w taki czy inny sposób. Skoro próbuje pan ocalić setki osób, nie warto przejmować się tym, że zdechł jeden mierzchy szczur. Co panu powiem. Sukinsyny będą teraz pracować jak należy. Dopilnuję tego.

- Nie waż się ich tknąć! - powiedziałem.

- Nie będzie potrzeby. Wiadomość, która do pana dotarła, szybko się rozniesie. Wspomni pan moje słowa. Obiecuję, że nikt więcej nie podniesie na nas ręki... a mnie nie grożą żadne konsekwencje.

- Dlaczego to właściwie zrobiła, McGrath? - zapytałem. -

Z poczucia lojalności wobec firmy Wyvern Transport?

- Do diabła z tym, Mannix. Chcę się stąd wydostać. Cały i zdrowy. Im więcej osób dla nas pracuje, tym większe każdy ma szansę.

Potrzeba tu jednomyślności. Jest pan to winien swoim ludziom, a oni panu.

Uderzył wreszcie w polityczny ton, którego się spodziewałem.

- W porządku, McGrath, kim ty właściwie jesteś? - zapytałem. -

Członkiem IRA czy lojalistą z Ulsteru?

- Czy muszę być jednym z nich?

- Tak myślę. Solidarność w obliczu wroga, zabijanie niewinnych ludzi, strzały w kolana, wszystko się zgadza. A ja nie należę do tych amerykańskich pseudo-Irlandczyków, którzy z wami sympatyzują.

Jeli o mnie chodzi, obie wasze pieprzone organizacje można by wrzucić do najbliższej kloaki. Im szybciej, tym lepiej. ^

Jak się spodziewałem, moje słowa zdołały go poruszyć. Instynktownie próbował sięgnąć ręką do prawej kieszeni marynarki i choć niemal natychmiast ją cofnął, zdążył się tym gestem zde-maskować.

- W porządku - powiedziałem, osiągnąwszy zamierzony cel. -

Nie będziemy rozmawiać o polityce. Zmieńmy temat. Skąd masz

broń?

- Z ocalałego czołgu.

- A gdzie jest teraz?

- W mojej kabynie.

Pokręciłem lekko głowę, unosząc nieco lufę rutówki. McGrath rozemiał się.

- Z mojej strony nic panu nie grozi, panie Mannix. Jest pan jedynym człowiekiem, który może wybawić nas teraz z opresji.

- Oddaj mi broń, McGrath - rzekłem. - Natychmiast.

Bez wahania wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął pistolet i rzucił mi go na kolana.

- Znajdę następny - stwierdził.

- Od tej chwili możesz uważać się za aresztanta.

Wybuchnął tubalnym miechem.

- Stosuje pan wojskowe metody, panie Mannix. Czuję się jak za dawnych czasów.

- Skąd takie wspomnienia, McGrath? Nawiasem mówiąc, to nie jest chyba twoje prawdziwe nazwisko. Figurujesz z pewnością na paru listach gończych, zgadza się?

- To były piękne dni - stwierdził z nostalgią. - Cóż, jeli chodzi o nazwisko, można je dowolnie zmieniać. W swoim czasie miałem ich kilka, wraz ze stosownymi paszportami. Cała ta wyprawa - dodał, wskazując na otaczającą nas ciemność - miała być dla mnie czymś w rodzaju urlopu. W rodzinnych stronach zaczynało być

trochę gorŝco, pomylałem więc, że zrobię sobie wakacje. Okazujš się one jednak bardzo pracowite.

Zastanawiałem się, jak mam postŝpić. Trzymanie McGratha przy sobie przypominało prowadzenie na sznurku tygrysa. Był maszynš do zabijania, skutecznš i pozbawionš zasad moralnych. Stanowił wielkie zagrożenie, lecz podczas wojny mógł się okazać niezastŝpiony. Nie ufałem mu, ale i nie czułem do niego szczególnej niechęci, majšc z tego powodu tylko lekkie wyrzuty sumienia. Przypuszczałem, że na razie dałoby się z nim współpracować. Którego dnia musiało dojć do konfrontacji, ale jeszcze nie teraz.

Mogłem przekazać McGratha Sadiqowi, który powiesiłby go na najbliższym słupie telegraficznym. Ale nie liczšc faktu, że czułem do tego człowieka sympatię, jego mierzć miałaby szkodliwy wpływ na morale ludzi. Naszš załogę tworzyli cywile, których przerażajš dorane sŝdy wojskowe. Przypomniałem sobie stwierdzenie McGratha, że obaj jesteśmy twardzi i zapytałem go nagle:

- Ile masz lat?

- Czterdzieci dziewięć - odparł nieco zaskoczony.

Był więc w moim wieku. Przypadek sprawił, że urodziłem się w innym miejscu i tylko dlatego nie stałem się jeszcze bardziej do niego podobny. Chociaż krytykowałem postępowanie Irlandczyków, rozumiałem do pewnego stopnia motywy, którymi się kierowali i musiałem przyznać, że sam też bym tak postępował. Zrzŝdzeniem losu przyszło mi toczyć walkę w sali konferencyjnej, a nie

z broniś w rękę.

- Posłuchaj uważnie - powiedziałem. - Sprawuj się dobrze, bo nie dożyjesz pięćdziesiątki. Miała rację, McGrath: rozumiemy tak samo. Ale od tej chwili jeszcze bardziej się do siebie upodobnimy. Będę ci mówił, jak masz myśleć i postępować. Bez mojego pozwolenia nie ruszysz nawet palcem. Zastrzelę cię, jeżeli uznam, że tak będzie lepiej. Zrozumiałe?

Przyglądał mi się bacznie.

- Mówiłem, że jest pan twardy. Wiem, o czym pan myli, Manix: że dobrze mieć przy sobie takiego faceta jak ja, kiedy zaczniesz się robić gorśco. Uważa pan, że można nakierować mnie jak pocisk na jaki cel i odpalić, prawda? No cóż, nie będę się spierał, bo jestem tego samego zdania. A skoro mowa o broni...

- Nie dostaniesz jej z powrotem.

- Och, nie ma sprawy - odrzekł. - Na wojnie broń łatwo się zdobywa. Chciałem tylko powiedzieć, że nie miałem okazji jej wyzczyścić. Wiem, że to zaniedbanie z mojej strony. Pewnie zechce pan sam doprowadzić jś do porzśdku.

Zabezpieczyłem strzelbę i odłożyłem jś na podłogę w Land Roverze.

- Zapamiętaj, McGrath. Nie spuszczę cię z oka.

- Dostałem wyrok z zawieszeniem?

- Wcale nie. Czekasz na proces. Bśd w pobliżu. Chyba nie zamierzasz uciekać, co?

- Miałbym zapuszczać się sam w takie pustkowia? Wolne żarty, Mannix. Jak pan myśli, czy zadawałbym sobie tyle trudu, gdyby nie chodziło o uchronienie kolegów przed podobnym niebezpieczeństwem? Swoją drogą chciałbym wiedzieć, który z nich do pana przyleciał. To nie było konieczne, prawda?

Pokazałem mu, żeby sobie poszedł. Nie wyczuwałem na razie zagrożenia z jego strony. McGrath myślał pewnie o mnie to samo, gdyż uniósłszy dłoń powiedział na odchodne:

- Przyda się nam wszystkim trochę snu. Do zobaczenia rano, Mannix. Dziękuję za pogawędkę.

Siedziałem jeszcze przez chwilę w samochodzie, zastanawiając się, czy słusznie postępuję.

16

Następnego dnia o wicie obszedłem obóz. W pobliżu koczowało jakby więcej Nyalańczyków niż przedtem. Obozowisko żołnierzy znajdowało się nieco dalej, w sumie zajmowały więc dość rozległy obszar. Na platformie nadal paliły się wiatła, bo nie wzeszło jeszcze słońce. Prawie cały personel medyczny krzątał się już między pacjentami, zastępując nieliczne pielęgniarki, które pełniły tej nocy dyżur. Siostra Urszula porządkowała prowizoryczną salę operacyjną.

- Dzień dobry, sestro - powiedziałem. - Wszystko w porządku? Umiechnęła się cierpko.

- Niezupełnie, ale więcej nie możemy oczekiwać. - Uwijała się

tak, jakby była w normalnym szpitalu i nie widziała zapewne niczego niewłaciwego w swoim niekonwencjonalnym stroju. Zatknięszy za pas dolną część habitu chodziła zwinnie po platformie, przytrzymując się wolną ręką różnych uchwytów.

- Dzięki Bogu tej nocy nikt nie zmarł. Szkoda, że nie można dojechać do Kandzy, ale z pewnością damy sobie radę.

Wspomniałem jej o magazynach w fabryce bawełny. Pokiwała głową.

- Są chłodne i przestronne. Pielęgniarki miałyby tam z pewnością łatwiejszą pracę. - Dotarlimy do lodówki. Otworzyła ją, sprawdziła z listą, co jest w rodku i przeczuciwszy kurcząc się zapasy zamknęła szybko drzwiczki, aby nie wypuszczać zimnego powietrza. - To był dar Opatrzności. - Ostatnie słowo zabrzmiało tak, jakby wymówiła je przez duże O.

- Zesłany przez Boga za pośrednictwem firmy Wyvern Transport - stwierdziłem, niezbyt może uprzejmie. Denerwował mnie zwyczaj dziękowania Stwórcy za przysługę wywiadczonej przez bliźniego. Siostra natychmiast zażądała wyjaśnień.

- Czyżby nie wierzył pan w Boga, panie Mannix? Albo w potrzebę okazywania Mu wdzięczności?

Wysłuchawszy poprzedniego wieczoru krótkiego wykładu McGratha na temat filozofii terroryzmu, nie miałem najmniejszej ochoty wdawać się z kolei w dyskusję o religii.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, siostrze - powiedziałem. -



Oboje mamy teraz na głowie inne sprawy. Gdzie sš lekarze?

- Doktor Marriot pije kawę, a doktor Kat jeszcze pi. - Umiechnęła się. - Wczoraj wieczorem wsypałam mu do herbaty proszki nasenne. Zwaliło go to z nóg.

Siostra Urszula okazywała się bardzo apodyktycznš osobš.

- Proszę nigdy nie próbować tego ze mnš - powiedziałem, odwzajemniajšc umiech. - Może pani narobić sobie kłopotów. Lubię sam podejmować decyzje.

- Ma pan doć zdrowego rozsšdku, żeby nie przeceniać swoich możliwości. Doktor padał ze zmęczenia, ale nie chciał się do tego przyznać.

- A gdybymy go nagle potrzebowali? Do niczego się nam nie przyda, jeli będzie półprzytomny.

- Znam się na dawkowaniu leków - odparła unoszšc brew. -

Doktor wstanie rzeki jak szczypiorek. Tymczasem jest tu doktor Marriot i ja. Nawiasem mówišc, proszę pamiętać, że siostrze Marii nie wolno wchodzić na platformę. Ma jechać znowu ciężarówkš, razem z dziećmi. Niech pan jej nie słucha, gdyby domagała się czego innego.

Siostra Urszula była doprawdy apodyktycznš osobš.

- Pomagajš mi dwie wykwalifikowane pielęgniarki, Mulira i Chula - mówiła dalej. - Inne też dobrze się spisujš. Siostra Maria nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest słaba.

- Rozumiem. A tak przy okazji, ile godzin pani spała?

- Nie powinno to pana obchodzić. - Zanim zdążyłem się oburzyć na to bezceremonialne stwierdzenie, dodała: - Siedziałam przy panu Ottermanie. Jego stan znowu się pogorszył... - Spojrzała mi przez ramię. - Szukajś pana. Zdaje się, że to co ważnego.

- Jak zwykle. Za godzinę niech pani będzie gotowa do drogi, siostró.

Zelizgnłem się z platformy.

- Kapitan prosi pana do siebie - oznajmił sierżant, wyranie podenerwowany. - To bardzo pilne.

Pospieszyłem za nim do wozu sztabowego i zastałem Sadiqą pochylonego nad sfatygowanš mapš. Wydawał się przygnębiony, ale zarazem jakby oddychał z ulgš.

- Działa już radio - oznajmił. - Otrzymałem włanie nowe rozkazy. Przydzielono mnie do innych zadań.

Oparłem się o samochód, odczuwajšc nagle potworne zmęczenie.

- Dobry Boże, tylko tego nam brakowało. Co to za rozkazy? I od kogo?

- Dostałem wiadomość od jednego z wyższych oficerów, pułkownika Maksy. Mam dołšczyć do niego ze swoim oddziałem w Ngingwe. - Było to w pobliżu zablokowanej drogi do Kandży.

- Ngingwe! Kapitanie Sadiq, czy widzi pan w tym jaki sens?

- Nie, sir. Ale nie wolno mi kwestionować rozkazów przełożonego.

Sierżant przyprowadził Geoffa Wingsteada, który był równie zaskoczony jak ja, gdy przekazałem mu słowa kapitana.

- Nie rozumiem, w jaki sposób ten pułkownik Maksa dotarł do Ngingwe, ani po co mu tam Sadiq - stwierdził.

Byliśmy zadowoleni jedynie z tego, że działało znowu radio.

Skoro komu udało się przekazać dla nas wiadomość, mogliśmy i my nawiązać łączność z innymi. Rozpaczliwie brakowało nam kontaktu ze wiatem.

- Niech mi pan powie, jakie poglądy ma pułkownik Maksa - poprosiłem Sadiq.

- Nie wiem, panie Mannix. Nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach. Mało go znam. Ale nie zawsze popierał prezydenta.

- Więc może być po stronie rebeliantów. Co pan zamierza zrobić?

- Nie wolno mi zignorować rozkazu.

- Takie rzeczy już się zdarzały. Co mu pan powiedział?

- Nic. Nie było łączności. Zakłócenia, a może po prostu nasz nadajnik nie ma odpowiedniego zasięgu.

- A więc nie potwierdził pan otrzymania rozkazu. Czy pułkownik zwracał się konkretnie do pana, czy też wzywał wszystkie jednostki do stawienia się w Ngingwe?

- Rozkaz skierowany był bezpośrednio do mnie.

- Kto jeszcze o tym wie? - zapytałem.

- Tylko sierżant.

Wingstead wtrścił się, pytając:

- Chcesz, żeby kapitan udawał głuchego, jak współczesny Nelson, tak?

Spojrzelimy obaj na Sadiqa, który wydawał się nieugięty.

- Proszę posłuchać, kapitanie. Może narobić pan sobie dużych kłopotów. Co będzie, jeśli pułkownik Maksa okaże się rebeliantem?

- Myślałem o tym, sir. Niech pan nie sądzi, że jestem na tyle głupi, żeby przed odjazdem nie zorientować się w sytuacji.

- Jak pan to zrobi? - zapytał Wingstead.

- Spróbuję skontaktować się z dowództwem, z generałem Kigonde albo kim z jego sztabu - odparł. - Niestety, sierżant ciśgle nie może się z nimi połączyć. Nasze radio jest za słabe.

- Myślę, że to się da załatwić - powiedział nagle Wingstead.

- W jaki sposób? - zapytałem zdziwiony. Nadajniki w ciężarówkach miały bardzo ograniczony zasięg.

- Podejrzewam, że jest wśród nas bardzo zdolny radioamator - stwierdził.

- Kto to taki, na litość boską? - zapytałem.

- Sandy Bing - odparł Wingstead. - Kilka dni temu przyłapaliśmy go w pana wozie sztabowym, kapitanie, gdy manipulował przy radiu. Był tam wartownik, ale Bing powiedział mu, że ma pańskie pozwolenie. Zapoznałem go z karami, jakie grożą za nie-subordynację, lecz na tym się skończyło. Nie jesteśmy żołnierzami ani policjantami. Miałem ważniejsze rzeczy na głowie niż zajmowa-

nie się znudzonym smarkaczem.

- Wiedział pan o tych jego uzdolnieniach? - zapytałem.

- Sam go kiedy przyłapałem, jak majstrował przy nadajniku

w Land Roverze. To zresztą za delikatne określenie. Po prostu roz-

montował go na kawałki. Nawrzeszczałem na niego, a potem przy-

glądałem się, jak składa wszystko z powrotem. Znał się na rzeczy

i radio działało później bez zarzutu. Podchodzi do tego z cholerną

pasją. Chce zostać radiotechnikiem. Sam Wilson twierdzi, że kiedy

Sandy dorwie się do jakiego aparatu, potrafi siedzieć nad nim

godzinami.

- Co może działać? Zwiększyć zasięg nadajnika?

- Niewykluczone. Chodź ze mną Neil. Pogadam z Bingiem, ale

najpierw chcę zamienić słowo z Basilem. Obawiam się, że znowu

opóni to nasz wyjazd.

Sadiq zgodził się poczekać i nie podejmować żadnych działań,

dopóki Bing nie spróbuje połączyć go z dowództwem. Domyślałem

się, że chciał z nami zostać, ale stało temu na przeszkodzie poczucie

obowiązku i trudno było odgadnąć, co w końcu postanowi.

Niecałą godzinę później przyglądaliśmy się, jak Sandy Bing szpe-

ra z zadowoleniem we wnętrzu radia. Sadiq dopuścił go do nadaj-

nika w swoim samochodzie, gdyż zdaniem Binga był on lepszy od

naszych aparatów, choć i tak miał za małą moc. Sandy wsadził

w niego ręce i zabrał się do pracy, bardzo zadowolony z siebie

i zdecydowany pokazać, co potrafi. Chciał wymontować części rów-

niez z jednego z nadajników Kempa, żeby uzyskać większą moc.

Początkowo Kemp się opierał, ale w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek.

- Musimy mieć lepszą antenę - oznajmił Bing, czując się w swoim żywiole. - Będę potrzebował miedzianego drutu i izolatorów.

Hammond wszystko mu dostarczył. Ruchomy warsztat był zaskakująco dobrze zaopatrzony.

Wyjazd opóźniał się już o ponad cztery godziny i minął cały ranek, zanim wysiłki Binga przyniosły efekty. Udoskonalony nadajnik zaczął w końcu działać, co samo w sobie stanowiło wielkie osiągnięcie, ale był to dopiero początek. Kiedy z wielkim trudem nawiązaliśmy łączność ze sztabem generała Kigonde, pojawił się kolejny problem. Kapitan nie może tak po prostu porozmawiać sobie z naczelnym dowódcą, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Sadiq stracił najpierw godzinę, by połączyć się z wojskową radiostacją, a potem przez kilkadziesiąt minut walczył z podwładnymi generała.

Muszę oddać kapitanowi sprawiedliwość. Trzeba dużo odwagi i determinacji, żeby posługując się zastraszaniem i pogrozkami dotrzeć do dowódcy przez kordon otaczających go sekretarek, pułkowników i generałów brygady. Sadiq naprawdę nadstawiał głowę i gdyby nie zastał Kigonde, albo gdyby ten go nie poparł, nie dałbym złamanego grosza za przyszłą szansę awansu kapitana.

Kiedy odezwał się generał, słońce było już wysoko na niebie, a zde-

nerwowanego Sadiqą rozpięrało poczucie triumfu.

- Dobra robota, Sandy - pochwaliłem Binga, który stał uradowany obok mnie, nie ukrywając zadowolenia z faktu, że udało się w końcu uzyskać połączenie. Wingstead poklepał go po ramieniu. Wszyscy wokół się umiechali.

Sadiq i Kigonde mówili cały czas po nyalańsku. Odpowiedzi kapitana były coraz krótsze. Wydawał się zaniepokojony. Niewątpliwie chciał nas zapoznać z sytuacją, ale nie miał odwagi przerywać bezcennego połączenia. Kigonde mógł w każdej chwili stracić cierpliwość i zrobić to sam. Nie wytrzymując już dłużej braku informacji rzuciłem ostrym tonem:

- Niech pan powie generałowi, że chcę z nim rozmawiać.

Zanim Sadiq zdążył zareagować, odebrałem mu słuchawki i wcisnąwszy przełącznik mikrofonu, odezwałem się wśród szumu zakłóceń:

- Generale Kigonde, mówi Mannix. Proszę mi wyjaśnić, co się dzieje.

Być może go to zaszokowało, ale nie przerwał rozmowy.

- Panie Mannix, nie ma czasu na dyskusje. Kapitan otrzymał rozkazy i musi je wykonać. Nie mogę nadzorować osobiście ruchów wszystkich jednostek.

- Czy wie pan, jaka jest sytuacja w Ngingwe? To lepy zaulek.

Droga prowadzi tam donikąd. Kapitan Sadiq jest nam bardzo potrzebny, generale. Czy wspomniał panu, co tu przeżywają wasi ludzie?

Głos Kigonde docierał do nas niewyranie.

- Kapitan Sadiq musi wypełniać rozkazy. Zdaję sobie sprawę, panie Mannix, że wiele osób znajduje się w ciężkim położeniu, ale tak jest wszędzie.

W tym momencie zawitała mi pewna myśl.

- Generale Kigonde - powiedziałem. - Czy wie pan, od kogo kapitan Sadiq otrzymał rozkazy?

- Nie zwróciłem na to uwagi. Dlaczego pan pyta?

- Czy zna pan pułkownika Maksę? - Było to ryzykowne posunięcie, ale nie przypuszczałem, aby Maksa albo ktokolwiek ze sztabu podsłuchiwał naszą rozmowę. Musiałem spróbować.

W słuchawkach rozległy się trzaski, a potem głos Kigonde.

- To... zmienia nieco obraz sytuacji. Pułkownik Maksa dowodził naszymi siłami na północy. Ostatnio nie miałem od niego wiadomości.

W słowach tych pobrzmiwała niepewność.

- Panie generale - powiedziałem pośpiesznie. - Myle, że nie jest pan przekonany o lojalności pułkownika Maksy. Gdyby wystąpił przeciwko panu, czyż nie zrobiłby najlepiej, ciągając pańskie jednostki? Kapitan Sadiq jest całkowicie lojalny. Kiedy będzie miał pan z niego większy pożytek: gdy zostanie z nami, czy gdy znajdzie się odcięty od wiata gdzie na północy? Na pańskim miejscu odwołałbym te rozkazy, generale.

- Może ma pan rację, Mannix. Muszę przyznać, że kapitan



przyda mi się bardziej na zachodzie. Wylę go do Makary.

- Włanie tam jedziemy. Czy może z nami zostać, dopóki nie dotrzemy do tego miasta?

Posuwałem się doprawdy za daleko i wcale nie byłem zdziwiony, gdy Kigonde zażyczył sobie rozmawiać znowu z Sadiqiem.

Kapitan wysłuchiwał dość długo słów generała, a kiedy się rozłszył - nie mieliśmy wątpliwoci, że dowiedział się czego wstrząsającego.

Nie zapominając mimo wszystko o dobrych manierach zwrócił się do Binga i powiedział:

- Bardzo dziękuję. Jestem panu ogromnie wdzięczny.

Bing był szczerze zadowolony, natomiast Sadiq wyglądał na strapionego.

- Usiśdmy gdzie, kapitanie - powiedziałem. - Tylko Geoff, pan, ja i Basil. A wy, chłopaki, zmykajcie stśd. Znajdcie sobie jakie zajęcie.

Sadiq zrelacjonował nam swoją rozmowę z generałem. Miałjechać z nami na zachód, do Makary, a potem pozostawić nas własnemu losowi i ruszyć dalej, w kierunku Fort Pirie. Nie mogliśmy oczekiwać niczego więcej. Przyszło mi do głowy, że Kigonde musi być w trudnym położeniu, skoro wzywa na pomoc tak małe jednostki, jak oddział Sadiqa.

- Generał twierdzi, że rząd odzyskał władzę w Port Luard - mówił Sadiq. - Stłumiono bunt i prawie wszyscy rebelianci zostali

otoczeni. - Kigonde musiał tak mówić, zwłaszcza przez radio, ale nie bardzo mu wierzyliśmy. Oznaczało to jednak, że rżsd jeszcze nie upadł.

- Myślę, że rebelia wybuchła za wcześnie - stwierdził Sadiq. - Opozycja nie była do niej przygotowana i na ogół dała się łatwo pokonać.

- Ale nie wszędzie - odparłem. - Czy generał wie, gdzie jest ten pułkownik Maksa? Musimy chyba zakładać, że popiera rebeliantów, prawda?

- Tak. Pułkownik to podejrzana postać. Wiadomo, że jest gdzieś w pobliżu. Na poszukiwanie jego jednostki wysłano samoloty.

- Jakie samoloty? - zaniepokoił się Wingstead.

- Och, to bardzo nieprzyjemna sprawa, sir. Widzi pan, pomylimy się. Lotnictwo, z marszałkiem Semangalš na czele, jest po stronie rżsdu.

- Popierajš Ousemane? - zdziwiłem się. - Więc dlaczego, na litoć boskš, zestrzelono samolot Wingsteada?

- Nie wiem, panie Mannix - stwierdził Sadiq posępnie. - Może dowódcy sił powietrznych założyli, że wszelkie cywilne maszyny przelatujšce nad rejonem walk muszš należeć do rebeliantów.

Pomylałem o Maxie Ottermanie, który leżał ciężko ranny gdzieś na platformie i ogarnęła mnie wciekłość. Geoff Wingstead zdšżył uprzedzić moje pytanie.

- Więc dlaczego zbombardowano Kodowe? Przez miasto prze-

chodził wtedy Drugi Batalion generała Kigonde. Chce pan nam

wmówić, że to też była pomyłka?

- Tak, zaszło fatalne nieporozumienie. Wywiad lotniczy doniósł, że Drugi Batalion jest już z Siódmą Brygadą w Bir Oassa. Zobaczywszy posuwające się na północ wojska, piloci sądzili, że wróg próbuje odciąć Siódmej Brygadzie drogę na południe. Więc zaatakowali - powiedział udręczonym głosem Sadiq.

Popełnili błąd! Zrzucili bomby na własnych ludzi, uznając ich za nieprzyjaciół. Z pewnością nie po raz pierwszy zdarzało się na wojnie co takiego. Ale rzekomych wrogów zbombardowano w środku miasta, kiedy można było spokojnie poczekać, aż znajdą się na otwartej przestrzeni. Czy ktoś przeprosi kiedy za tę wielką, tragiczną pomyłkę, za stosy zwłok, zrujnowane miasto, okaleczonych i cierpiących ludzi, którzy leżeli na platformie lub kutykali przez zniszczony kraj? Czy doczekają się wyrazów ubolewania siostra Urszula, doktor Kat, doktor Marriot, która straciła męża i Antoine Dufour, któremu zabito współnika?

Kto powinien powiedzieć "przepraszam". Ale nikt tego nigdy nie zrobi.

17

Opuciwszy ponownie Kodowe skierowaliśmy się tym razem na północny zachód, zjeżdżając z poronionych krzakami wzgórz w rejon położonych niżej lasów tropikalnych. Znalimy już podobne tereny z wcześniejszego etapu podróży. Mieszkańcy mijanych wio-

sek wychodzili nam na spotkanie, ale nie byli umiechnięci. Gdy patrzyli na wielką platformę i na dziwny ładunek, który wiozła, ich twarze wyrażały zafrasowanie. Nawet dzieci robiły wrażenie przegaszonych, jakby udzielił się im niepokój starszych.

Z pasażerami platformy było różnie. Stan niektórych ulegał poprawie, mogli więc przesiść się do jednej z ciężarówek, inni słabli i kładziono ich na posłaniach. Dwie kobiety urodziły dzieci, a doktor Kat wyciśł dziesięcioletniemu chłopcu wyrostek. Kurczyły się stopniowo zapasy leków i opatrunków.

W każdej wiosce Sadiq wysyłał swoich ludzi po prowiant.

Oprócz zapasów jedzenia konwój wzbogacił się o dwie zdezelowane ciężarówki. Tu i ówdzie znajdowano paliwo, które uzupełniało nasze rezerwy. Sami odżywialiśmy się coraz skromniej, a po piwie dawno nie było ladu, ale jako sobie radziliśmy.

W jednej z wiosek trafiliśmy na niewielkie ilości ukrytej odzieży i dostaliśmy ubrania w zamian za żywność. Wspaniale było włożyć na siebie znowu co czystego, tym bardziej, że zaronięci mężczyźni zaczęli wyglądać dość niechlujnie.

Co parę godzin obraz ciśnieńcego za nami tłumu Nyalańczyków ulegał drobnym zmianom. Konwój przypominał poruszając się w przestrzeni kosmicznej kometę, która zbiera i gubi po drodze fragmenty warkocza. Niektórzy z tubylców po przybyciu do wioski spotykali krewnych albo byli zbyt zmęczeni, by ić dalej, decydowali się więc zostać. Zastępowali ich inni. Podśzało za nami kilkuset

ludzi. W ich zachowaniu było co z mistycznego rytuału. Od czasu do czasu kto podchodził do platformy i dotykał jej z namaszczeniem, by za chwilę znów pozostać z tyłu.

Wyjanił mi to Dan Atheridge, który mieszkał w tym kraju przez wiele lat i mówił trochę po nylańsku. Dokuczała mu ręka i nie mógł jej nadwerężyć, wiedziałem jednak, iż celowo szuka sobie wyczerpujących zajęć, aby zagłuszyć ból spowodowany potworną wiadomością, że jego żona Susie została sama w górach w pobliżu Kandży. Upierał się, że pójdzie jej szukać, ale w końcu zdołaliśmy go od tego odwieść.

Zapytałem go o Nyalańczyków.

- Neil, wasza platforma staje się rydwanem Władcy wiata - odparł.

- To co z hinduskiej tradycji, prawda? Rodzaj boskiego wehikułu?

Umiechnął się.

- Można by tak powiedzieć. Właciwie Władca wiata to jedno z imion boga Kriszny. Z czasem zaczęto tak nazywać wielki posąg, który na jego cześć ciśgnięty jest co roku ulicami pewnego miasta w Indiach. Dawniej pod koła rydwanu rzucono w ofierze ludzi.. Niestety, to dość krwiożercze bóstwo.

- Można doszukać się analogii - stwierdziłem. - Tyle że, dzięki Bogu, nikogo jeszcze nie przejechalimy.

- Za platformą podszła procesja tysięcy wiernych, którzy widzą

w niej więty symbol swego dobrobytu. Na tym polega podobieństwo, Neil. Wasza platforma jest dla Nyalańczyków fetyszem. Pro-  
wadzicie ich do Ziemi Obiecanej, gdziekolwiek się ona znajduje.

W każdym razie z dala od niebezpieczeństwa.

- Mam nadzieję, że tak jest, Dan. Ci ludzie pewnie muszą w co  
wierzyć.

Przyszła mi znowu na myśl bajka o Szczurołapie. Dan po raz  
drugi się umiechnął.

- Chyba porównujesz ich do dzieci, Neil, a nie do szczurów?

Parę godzin później, gdy zatrzymaliśmy się wreszcie, pokona-  
wszy ponad połowę drogi do Makary, Russ Burns zaprezentował  
diametralnie odmienny pogląd.

Staliśmy w kilka osób, czekając aż Brad Bishop poda nam co na  
kolację. Wspomniałem w rozmowie o tym, że Atheridge przyrów-  
nał platformę do fetysza. Wingstead był zafascynowany. Wyobraża-  
łem już sobie, jak pisze na ten temat artykuł do jakiego czasopisma  
dla kierowców ciężarówek. Burns zareagował zupełnie inaczej,  
w typowy dla siebie sposób.

- Oni przypominają bardziej szczury - owiadczył, gdy napo-  
mknęłam o Szczurołapie. - Małe, brązowe bestie, zżerające wszy-  
tko, co nie jest przybite gwiodmi. Pewnie w dodatku roznoszą  
choroby. - Miałem wielką ochotę mu przyłożyć. Wingstead wstał  
i odszedł na bok.

Po pełnej napięcia chwili ciszy Burns odezwał się ponownie.

- Jakim cudem pracuje pan dla Angoli? - zapytał. Najwyraniej

lubił mnie dręczyć.

- Dobrze płacś - odparłem krótko.

- Za popychanie tej platformy? - prychnśł z pogardś.

- Owszem - przytaknśłem. Najwyraniej uważał, że pracuję

w transporcie. Nie fatygowałem się, żeby wyprowadzić go z błędu.

Szkoda było tracić czas. Zresztś akurat w tym momencie niewiele

się pomylił.

- Co robisz w firmie Lat-Am? - zapytałem.

- Pracuję jako wiertacz. A Harry jest strzałowym.

- Kim? Nie znam waszego żargonu.

Zimmerman wybuchnśł miechem.

- Russ nadzoruje wiercenie szybów. A ja zakładam w nich ładunki wybuchowe.

- Od dawna jesteście w Nyali? - spytałem. Nie lubiłem Burnsa, ale Zimmerman był o wiele sympatyczniejszy. Stanowili dziwnś parę.

- Już jaki czas. Mniej więcej od pół roku. Mielimy bazę w Bir Oassa, ale przyjechalimy na wybrzeże, żeby się rozejrzeć. Na pustyni jest lepiej. Trzeba było tam zostać.

- więte słowa - odezwał się Burns. - Nie wpadlibymy w ten cholerny galimatias.

- Byłem niedawno w Bir Oassa - powiedziałem. - Ale nie miałem czasu oglśdać pól naftowych. Jak sobie tam radzicie?

- Uruchomilimy trzy szyby - stwierdził Zimmerman. - To do-

bra ropa, o małej zawartoci siarki. Firma Lat-Am niele na niej wychodzi.

- A co z wojnš?

Burns wzruszył ramionami.

- Nie nasz zasrany problem. Wyłšczymy pompy i tyle. Ropa zostanie w ziemi, a my mamy koncesję na jej wydobyecie. Ten, kto wygra wojnę, będzie nas potrzebował.

Był to jaki punkt widzenia.

Obaj mężczyźni rozmawiali ze sobš jeszcze przez pewien czas, używajšc żargonu nafciarzy, który rozumiałem lepiej niż sšdzili.

Burns coraz mniej mi się podobał. Pasowało do niego jak ulał słowo "szowinista". Uważał, że Teksas jest rajem, a Alamo pępkiem wiata. Zgodziłby się ostatecznie, że można żyć w Kaliforni, natomiast Wschodnie Wybrzeże pełne było, jego zdaniem, pieprzonych liberałów, Żydów i hippisów. Przypominało Europę, gdzie mieszkali sami cherlacy i dekadenci. Tyle że ludzie ze Wschodniego Wybrzeża byli przynajmniej Amerykanami i w ostatecznoci mógł się z nimi dogadać. Reszta wiata, podzielona między komuchów, czarnuchów, Arabów i żółtków, nadawała się tylko do tego, by ograbiać jš z nafty.

Następnego dnia dotarlimy do Makary. Miasteczko nie było większe od innych mijanych po drodze, zostało jednak zaznaczone na mapie ze względu na znajdujšcy się w tym miejscu most. Zbudowanie go bardziej na zachód, w pobliżu jeziora Pirie, nie byłoby



możliwe, gdyż rzeka wpadała tam do ogromnego koryta Katali, tworząc deltę. Należało przede wszystkim sprawdzić, czy zdołamy przedostać się na drugi brzeg. Sadiq, Kemp i ja wyprzedziliśmy konwój, aby obejrzeć most, stwierdzając z ulgą, że jest on nienaruszony i zdalny do użytku.

Przystanawszy w pobliżu miasteczka wysłaliśmy kolejną grupę zwiadowców do fabryki bawełny. Szybko nadeszła wiadomość, że magazyny są nietknięte, puste i nadaję się na szpital, podjechalimy więc tam i rozbilimy obóz. Nic prócz posępnych twarzy tubylców nie zapowiadało kłopotów.

Wkrótce jednak opuściło nas szczęście.

Doktor Katabisirua poszedł obejrzeć magazyny i polecił grupie nyaląskich kobiet dokładnie wysprzątać największy z nich, zanim umieści tam pacjentów. Zamierzał to zrobić dopiero następnego dnia.

- Pielęgniarki są zmęczone podróżą - wyjanił. - W takim stanie łatwo popełnić błąd.

Doktor był bardzo przygnębiony. Zmarło dwóch kolejnych pacjentów z oparzeniami, martwił go też stan jednego z noworodków.

Niektórzy ranni nie powracali do zdrowia tak szybko, jak by sobie tego życzył.

- Na domiar złego siostra Urszula powiedziała mi właśnie, że skończył się nam mleczan Ringera - dodał.

- Co to takiego?

- Substytut plazmy. Nie mamy czym jej zastąpić.

Najbliższy szpital znajdował się w Lasulu, dokąd było równie daleko jak do Księżyca. Doktora niepokoiła także siostra Maria, która pod wpływem napięcia wyranie opadała z sił.

Pod koniec naszej rozmowy byłem nawet bardziej zdesperowany niż on. W żaden sposób nie mogłem pomóc ani jemu, ani jego pacjentom i to poczucie bezsilności doprowadzało mnie do rozpacz. Od czasów dzieciństwa nie znalazłem się nigdy w sytuacji, z którą nie potrafiłbym sobie poradzić. Było to deprymujące.

Burns, mijając mnie, rzucił mimochodem: "Hej, Mannix, ten czar-  
nuch chce z panem rozmawiać" - i poszedł dalej.

- Burns! - krzyknąłem za nim.

Obejrzał się, mówiąc przez ramię: "Słucham?"

- Podejd tutaj - rzekłem.

Zawrócił i spytał:

- Ma pan jakiś problem?

- Dzi rano kapitan Sadiq przekonał swego zwierzchnika, żeby pozwolił mu zostać z konwojem - powiedziałem. - Ryzykował dla nas własną karierę. Co więcej, w ciągu ostatnich kilku dni pracował ciężiej niż ty przez cały miesiąc, i bez porównania chętniej. Masz wyrażać się o nim i zwracać się do niego z szacunkiem, rozumiałyście?

- Bardzo pan drażliwy - stwierdził.

- Owszem. Nie prowokuj mnie, Burns.

- O co panu chodzi, do cholery? - zapytał.

Odetchnąłem głębooko, rozluniałem się mięknąc szyi.

- Nie będziesz nazywał kapitana czarnuchem ani Murzynem.

Nie wolno ci też tak mówić o jego żołnierzach, ani o żadnym z Nyalańczyków. Dość już tego.

- Dlaczego miałbym przyjmować pańskie rozkazy? - zapytał.

- Ponieważ w tej chwili ja tu jestem szefem - odparłem. - Póki co, masz mnie słuchać. Spróbuj się nie podporządkować, to wyrzucę cię na zbity pysk. A kiedy będzie po wszystkim, nie dostaniesz roboty w Lat-Am ani w żadnej innej spółce naftowej. Jeżeli nie wierzysz, że potrafię to załatwić, spytaj pana Kempa.

Odwrociłem się i odszedłem, kipiąc z wściekłości. Gdybym został przy nim dłużej, na pewno bym mu przyłożył, co niczego by nie załatwiło. Minęli dwóch przyglądających mi się ludzi, ujrzałem obok siebie McGratha, który zapytał cicho:

- Potrzebuje pan pomocy, Mannix?

- Nie - odparłem krótko. McGrath też działał mi na nerwy.

- Jakby co, będę w pobliżu - oznajmił, wracając do swoich zajęć.

Przypomniałem sobie powód całego incydentu. Kapitan Sadiq chciał ze mną rozmawiać, poszedłem go więc odszukać. Chodziło o rutynową sprawę. Kiedy skończyliśmy, wskazałem na otaczający obóz tłum Nyalańczyków.

- Kapitanie, ilu ich jest? - zapytałem.

- Około dwustu, panie Mannix - odparł. - Nie pozostaj z nami długo. Tyle że ciśgle ich przybywa.

- Tak, zauważyłem. Podobno chcś być blisko platformy, bo jest

dla nich czym w rodzaju amuletu. Wie pan co na ten temat?

- Jestem muzułmaninem - odrzekł. - Ci ludzie mają innś wiarę niż

pan czy ja. Ale nie sś dzikusami, panie Mannix. Może platforma

znaczy dla nich tyle, co dla pana Langa ten przedmiot, który powiesił

sobie w kabinie cišgnika. Jest maskotkś, przynoszścś szczęście.

- Jak królicza łapka? Rozumiem, co ma pan na myli - stwier-

dziłem, podziwiając logikę jego słów. - To po prostu talizman, tyle

że większy niż zwykle. Martwię się jednak o tych ludzi. Czy mają

doć wody i żywnoci? Co się stanie, jeli wybuchnie wśród nich

epidemia? Jak można by ich powstrzymać, skłonić do powrotu do

domów?

- Nie sśdzę, żeby to się udało, sir. Radzś sobie jako ze zdoby-

waniem pożywienia. Nikt nie pójdzie dalej, niż będzie mógł. To

każdemu wystarcza.

Następowała w ten sposób migracja miejscowej ludnoci, mie-

szanie się rodzin, genów i obyczajów. Może miało to swoje dobre

strony, ale stanowiło dla nas cholerny problem. A gdyby tak idścym

za nami ludziom przydarzyło się jakie nieszczęście? Czy nie uzna-

liby dawnego talizmanu za wcielenie zła i nie doszli wspólnie do

przekonania, że należy co z nim zrobić, a przy okazji także z nami?

Przypomniały mi się rozmaite krucjaty. Nie zawsze uczestniczyli

w nich zbrojni i ubrani w kolczugi żołnierze. Była również krucjata

chłopska, pod wodzś Piotra z Amiens\* oraz krucjata dziecięca. O ile

dobrze pamiętałem z historii, podczas tej ostatniej działały się straszne rzeczy. Zresztą szczury i dzieci z Hamelin też nie skończyły najlepiej.

Nie bardzo odpowiadała mi rola dwudziestowiecznego Piotra, prowadzącego donikąd szaleńczą krucjatę. Mogło zginąć przez to wielu ludzi. Myśl o atakującej tłum tubylców kolumnie pancерnej mroziła mi krew w żyłach.

Następne starcie z Burnsem było nieuniknione i stanowiło jakby podniesienie kurtyny przed właściwym dramatem, który zaczął się później. Na platformach wiertniczych pracują twardzi ludzie i rzadziej nimi trzeba być gotowym do walki. Może należało potraktować Burnsa łagodniej, może traciłem wyczucie, ale stało się. Groziłem mu i miałem niemal pewność, że mi tego nie daruje.

Był to jednak problem na przyszłość. Na razie musieliśmy przygotować skład bawełny, żeby następnego dnia doktor Kat mógł się tam wprowadzić. Ustawiliśmy platformę w pobliżu, aby poprowadzić do budynku przewód z generatora. Ben Hammond dostarczał, jak zwykle, pomysłów i niezbędnego sprzętu. Miał w skrzynce długą zwój kabla i kilka lamp o dużej mocy.

Kiedy trwały przygotowania, rozejrzałem się po magazynie.

Przypominał po prostu ogromną stodołę, której czwartą część wypełniały leżące w głębi stosy bawełny. Na dole uległa ona sprasowaniu, ale górne warstwy były miękkie i miały zapewnić wkrótce wszystkim, również mnie, wygodne legowisko. Zamierzałem spędzić tam noc. Był to największy materac wiata, należało tylko

pamiętać, by nie palić przed spaniem.

Wieczorem zobaczyłem, że Harry Zimmerman siedzi w pobliżu Land Rovera na odwróconej skrzyni z papierosem i kubkiem herbaty. Wyczułem, że na mnie czeka, choć zaczął rozmowę dość zdawkowo.

- Pracowity dzień - stwierdził.

- Owszem. A przed nami jeszcze ciężka noc. Jak tylko będziesz gotowy, mam dla ciebie następne zadanie. - Usiadłem obok niego. -

Może podzielisz się ze mną tym "ogniem armatnim", Harry?

\* Piotr z Amiens (ok. 1050-1115), wędrowny kaznodzieja, eremita; w 1096r. zorganizował krucjatę chłopską, która uszczuplona podczas przemarszu przez kraje europejskie, gdzie atakowało ją miejscowe rycerstwo, została rozbita przez Turków pod Niceš.

- Co dostanę w zamian? - zapytał, podając mi kubek. Oddałem mu go po chwili, wypijwszy tylko łyk herbaty.

- Będziesz dzisiaj spał na dobrym, miękkim łóżku.

- To już co. A z kim?

- Niestety, tylko ze mną i pewnie z całą resztą załogi. Możemy przespać się wygodnie jedną noc, póki nie przekazemy magazynu personelowi szpitala.

Milczał przez chwilę, po czym zapytał: , ,

- Nie natknęło się na Russa?

- Nie. A o co chodzi?

- Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec. On szuka zaczepki.

Kiedy się zaperzy, może być niebezpieczny.

Nie powiem, żeby Harry szczególnie mnie zaskoczył. Podziękowawszy mu skinieniem głowy, podszedłem do Land Rovera. Harry jednak jakby oczekiwał, że co się zdarzy. I rzeczywiście. Kiedy otworzyłem drzwiczki wozu, z siedzenia stoczył się jakiś przedmiot, rozbijając się u moich stóp. Rozpoznałem swoją butelkę whisky. Była pusta.

- Harry, czy to sprawa Russa?

- Niestety.

Zostawił butelkę w takim miejscu, żebym ją znalazł. Była to jawna prowokacja. Wypił akurat tyle, żeby zaostrzyć sobie apetyt na kolację... albo na rozróbę.

- Gdzie on jest?

- Russ to twardy facet. Uważaj, Neil.

- Nic mi nie zrobi - powiedziałem. - Dam temu twojemu kumpłowi nauczkę.

- On nie jest moim kumplem, do cholery - zaprotestował Zimmerman, a jego zwykle spokojny głos zabrzmiał ostro. - Po prostu razem pracujemy. Widywałem już, jak się bije i nie mam ochoty więcej tego oglądać. Teraz gra właśnie w pokera z twoimi ludmi.

Pozbierałem kawałki szkła i wyrzuciłem je, zachowując tylko największy, na którym była nalepka. Gdy zamknąłem drzwiczki samochodu, Zimmerman dodał:

- Uwaga na jego lewy sierpowy. Jest dość skuteczny.

- Dziękuję - odrzekłem.

Wiedziałem, gdzie szukać Burnsa. Jedna z lamp zasilanych kablem z generatora wisiała na drzewie, pod którym siedziało pięciu mężczyzn. Grali w karty, używając walizki jako stolika. Nie przyglądałem im się. Miałem wzrok utkwiony w Burnsa. Zrzucał karty na pozór swobodnie, bez wstąpienia jednak już mnie zauważył i był spięty.

Przystanawszy na granicy wietlnego kręgu powiedziałem:

- Burns, podejd tu. Chcę z tobś pogadać.

Podniósł wzrok, zasłaniając oczy od wiatła.

- A, to nasz szef - odrzekł. - Czym mogę służyć, panie Mannix?

Wszyscy odłożyli karty.

- Podejd tu -powtórzyłem.

- Jasne. Czemu nie. - Jego pałskowata postać podniosła się z ziemi.

Patrzyłem, jak idzie w moim kierunku. Był młodszy, wyższy, cięższy i zapewne szybszy niż ja, musiałem więc zaatakować pierwszy. Tylko głupiec zaczyna walkę nie oceniwszy swoich szans.

Burns też to wiedział. Rwał się do bójki, jak ostrzegał mnie Zimmerman, wybrawszy sobie na niś czas i miejsce. Podczas gdy ja od lat walczyłem tylko na słowa, on niewstępliwie był ciśnie w dobrej formie.

Zdawałem sobie sprawę, że gromadzi się wokół nas ludzie, ale nie mogłem spuścić z oka Burnsa. Widownia byłaby zresztś raczej po mojej stronie, przynajmniej dopóki bym się jako trzymał.



- Wypiłe moją whisky? - zapytałem, pokazując Burnswi kawałek rozbitej butelki.

- Pewnie. Nie można pożyczyć sobie odrobiny alkoholu? Szkoda, że nie zostało go więcej.

Z trudem opanowałem gniew. Byłem w takim napięciu, że kiedy nam przerwano, nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Kto położył mi rękę na ramieniu i odebrał kawałek szkła, który trzymałem w ręce.

- Mogę to obejrzeć? - usłyszałem.

Stał przy mnie McGrath, przyglądając się etykietce z butelki.

Wszyscy wokół znieruchomieli.

- Wygląda znajomo. Czy to nie ta whisky, która miała służyć jako lekarstwo?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, McGrath wyrzucił Burnsa wolną ręką w szczękę. Teksasczyk jęknął, zachwiał się i padł jak rażony piorunem. Dopiero wtedy zobaczyłem u Irlandczyka pałkę.

- Do diabła, McGrath, mówiłem ci, żeby nie postępował pochopnie! - powiedziałem, chwytając go za ramię.

- Obaj dobrze wiemy, że nie poradziłby pan sobie z tym typem - odparł na tyle cicho, abym tylko ja mógł go usłyszeć. - Rozszarpałby pana na strzępy. Miałem go na oku. Jest niebezpieczny. -

W ustach McGratha brzmiało to absurdalnie. - Jeli go nie powstrzymam, będzie próbował zemścić się na nas obu i wtedy może już mieć broń. Trzeba faceta unieszkodliwić. Zgadza się pan?

- Nie, do cholery! - zaprotestowałem. - Nie wolno ci nikogo zabijać!

- Nie zabiję go, tylko unieszkodliwię. Zgoda?

Nie miałem wielkiego wyboru.

- Tylko niech mu się nic nie stanie - powiedziałem.

- Za bardzo nie ucierpi - odparł McGrath. Przecisnął się przez tłum mężczyzn, którzy otaczali Burnsa. Natychmiast zeszli mu z drogi, najszybciej Jones i Bob Pitman. Nie było tam Wingsteada ani Kempa.

McGrath chwycił Burnsa z przodu za koszulę, postawił na nogi i potrząsnął nim.

- Nic ci nie jest, Teksaszczyku? - zapytał.

Burns miał zamglony wzrok. Złapał się za podbródek i wymamrotał:

- Złamałe mi szczękę, ty sukinsynu!

- Bynajmniej - odparł McGrath. - Gdyby tak było, nie mógłby mówić. Przecież wcale mocno cię nie uderzyłem, prawda? A poza tym człowiek na twoim stanowisku nie powinien się w ten sposób wyrażać.

Ręka trzymająca przedtem pałkę znowu się uniosła, tym razem uzbrojona w nóż. McGrath był chodzącym składem broni. Przytknął Burnsowi ostrze do gardła i Teksaszczykowi pocięła po szyi strużka krwi. Potem pchnął go tak, że tamten oparł się plecami o ciężarówkę.

- Teraz posłuchaj - odezwał się Irlandczyk rzeczowym tonem. -

Mogę ci poderżnąć gardło szybko, powoli albo wcale tego nie zrobić. Wybieraj.

- Nie rób tego - wykrztusił Burns.

- W porządku. Zadam ci więc parę pytań, a jeśli dobrze na nie odpowiesz, w nagrodę nie stracisz życia. Jeste gotowy?

- Tak - wyszeptał Burns.

- Dobrze - powiedział McGrath. - Oto pierwsze pytanie. Kto tu jest szefem?

- T...ty.

- Błęd - odparł McGrath uprzejmym tonem. - Tracisz punkty, synu. Ale dam ci szansę. Zgaduj jeszcze raz.

Burns milczał. Ostrze noża poruszyło się i w koszulę Teksasianka wsiąkły kolejne krople krwi.

- Mannix? - powiedział z wahaniem.

- Tak. Pan Mannix. Będ łaskaw mówić o nim z większym szacunkiem. Pora na następne pytanie. Jeste gotowy?

- Chryste, tak! - Po twarzy Burnsa spływały strugi potu.

- Proszę bardzo. Podaj nazwisko drugiego szefa.

- Wing... Pan Wingstead.

- O, znakomicie! Widzisz, jak dobrze ci idzie, kiedy się starasz?

Więc od tej chwili masz robić to, co ci każe pan Mannix albo pan Wingstead. Jasne?

- Tak.

- A gdyby przysparzał im kłopotów, wiesz co się stanie? Czekał na trzeciś odpowied.

- Ty sukinsynu!...

Ręka McGratha znowu się poruszyła.

- Nie sprawię wam żadnych kłopotów! - Burns z trudem łapał oddech. - Puć mnie, do cholery!

McGrath rozlunił ucisk. Burns oparł się ciężko o ciężarówkę.

Ręka, którś dotknął szyi, była zbroczona krwiś. Popatrzył na

McGratha, po czym krzyknął:

- To wariat! Trzymajcie go ode mnie z daleka!

- Nigdy więcej cię nie tknie. O ile tylko będziesz posłuszny - powiedziałem, postanawiajśc dać mu nauczkę. - Podobno pożyczyle sobie tylko mojś butelkę szkockiej. Chcę dostać jś z powrotem.

Wlepił we mnie wzrok.

- Jest pan tak samo szalony jak on! Wie pan, że to niemożliwe.

- O ile mi wiadomo człowiek, który co zabiera, a potem tego nie zwraca, jest złodziejem.

Burns nic nie odpowiedział. Postanawiajśc na tym poprzestać, zwróciłem się do otaczajścych nas ludzi:

- W porzśdku, przedstawienie skończone. Nie ma...

Przerwał mi dobiegajścycy z oddali zgiełk głosów.

- Mannix! Hammond! Jestecie tam?

Wołał nas Kemp.

- Jesteśmy tu obaj! - odkrzyknął Ben. - O co chodzi?

Kemp wybiegł z mroku, wyrwanie zdenerwowany. W obliczu

nowych kłopotów przestaliśmy zajmować się Burnsem.

- Podejdźcie do platformy - powiedział Kemp. - Geoff chce z wami mówić.

- Co się dzieje, do diabła?

- Chodzi o Maxa. Dostał konwulsji. Chyba umiera.

Wokół nas rozległ się szmer głosów. Większość załogi nie znała dobrze Ottermana, wiadano jednak, że człowiek ten - ryzykując własnym życiem - ocalił Wingsteda. Wszyscy interesowali się bardzo jego losem i w tym momencie byli równie przesądni, jak podszajscy za swoim talizmanem Nyalańczycy. Nagłe pogorszenie się stanu zdrowia Ottermana stanowiło złą wróżbę. Mnie osobicie przekazana przez Kempa wiadomość ogromnie zabolęła. Latałem z Maxem i lubiłem go.

W chwilę później spokój wieczoru został ponownie zakłócony.

Na wschodzie rozległ się grzmot, a po nim nastąpiły wybuchy, brzmiały jak salwa sztucznych ogni z okazji święta Czwartego Lipca. Były to odgłosy ciężkich dział i broni ręcznej. Ziemia zadrżała nam pod nogami. Dopadła nas w końcu wojna.

18

Wszystko zaczęło się rozgrywać w błyskawicznym tempie.

Żołnierze biegli z obozu w kierunku magazynu. Ludzie uwijali się w ciemnościach, wykrzykując do siebie jakie pytania. Otaczających mnie mężczyzn ogarniał niepokój, który mógł przerodzić się w panikę.

Przywołałem ich krzykiem do porządku.

- To były odgłosy dział - wyjaśniłem. - Trzymajcie się razem

i bądźcie cicho. Niech żołnierze robią swoje. Hammond, jesteście tam?

- Tak.

- Wystaw strażę przy wszystkich pojazdach, zwłaszcza przy ciężarówkach i samochodach. Platformy nie można ruszyć, więc jest w miarę bezpieczna. Basil, powiedz lekarzom i pielęgniarkom, żeby bez względu na wszystko zostali na miejscu. Przykro mi z powodu Maxa, ale przekaż Geoffowi, że go tu natychmiast potrzebuję.

Kemp ruszył biegiem, a ja ciągnąłem dalej:

- Zimmerman, jeśli Russ Burns le się czuje, zaprowadź go do lekarza. Ja idę poszukać kapitana.

Odwracając się usłyszałem jeszcze, jak Burns mamrocząc: "Nic mi nie jest, Harry". Zastanawiało mnie, gdzie zniknął McGrath. Rozpłynął się w mroku jak kot, gdy tylko rozgorzała bitwa. Szedłem w kierunku obozu wojskowego, potykając się o siebie. Zanim odnalazłem kapitana Sadiq, ponownie rozbrzmiała kanonada.

Sadiq siedział w wozie sztabowym, oczywiście przy radiu. Był wyraźnie zdenerwowany. Przez chwilę mówił coś do mikrofonu, po czym szybkim ruchem ciągnął z głowy słuchawkę.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Ze wschodu, z Kodowy, nadciągają jacy żołnierze. Natknęli się na mój patrol i zaczęli strzelać.

- Słyszeliśmy huk dział.

- Myślę, że ostrzelali ciężarówkę.

- To na pewno rebelianci.

- Możliwe, panie Mannix. W ciemnościach ludzie stajš się nerwowi.

- Ilu ich jest?

- Jeszcze nie wiem. Kapral zdšżył zameldować, że nadcišga z tamtego kierunku kolumna pojazdów. Prawie cały batalion. Potem urwała się łączność.

A więc ludzie z plutonu Sadiqa prawdopodobnie zginęli. Zapytałem, czy wie, jak daleko jest kolumna wojska.

- O jakie dziesięć kilometrów stšd. Mogš się zjawić za niecałe pół godziny. #

Sytuacja wyglšdała paskudnie. Tłum Nyalańczyków cišgnšł się aż do mostu, mieliśmy ze sobš chorych i rannych, a nieliczna obsługa platformy była praktycznie bezbronna. Mogło dojć do masakry. Nie zdołałaby jej zapobiec garstka żołnierzy, uzbrojonych w karabiny i jedno czy dwa lekkie działka.

- Stawianie oporu byłoby bezcelowe - stwierdził Sadiq. - Nie pokonalibyśmy nawet kompanii, a co dopiero takiej siły. Sierżancie! Przygotujcie ludzi do odwrotu. W żadnym wypadku nie wolno strzelać. Pojedziemy tamtędy. - Wskazał w kierunku przeciwnym do Markary. Mówił dotšd po angielsku, abym wszystko rozumiał, dokończył jednak w języku nyalańskim. Sierżant oddalił się biegiem.

- Więc wycofujecie się? - zapytałem. - Zostawiacie nas? Jak, do

diabła, mamy sobie sami poradzić?

Podniósł rękę, aby mnie uciszyć. Sytuacja zagrożenia umacniała jego władzę i był tego wiadomy.

- Nie uciekamy, panie Mannix. Za magazynami są drogi, które prowadzi w busz. Ukryję tam swoich ludzi. Jeli mamy się do czego przydać, musimy działać przez zaskoczenie. Uważam, że powinnicie wyglądać na zupełnie bezbronnych. Trzeba schować wszelką broń, także pańską strzelbę. I to, co może mieć McGrath.

- A więc pan wie?

- Nie jestem głupcem, panie Mannix. Odebrał mu pan pistolet, ale możliwe, że ma co jeszcze. Kiedy nadejdą żołnierze, proszę zachowywać się spokojnie. I jak najszybciej niech mi pan da sygnał.

Jeli to oddziały lojalne wobec rządu, proszę z tego wystrzelić.

Wręczył mi raketnicę i dwa naboje.

- Biała raca oznacza, że wszystko w porządku. W razie niebezpieczeństwa wystrzeli pan czerwony. Proszę starać się ich nie prowokować.

Sadiq mógł po prostu zniknąć w buszu i zostawić nas samych, ale czułem, że nie zrobiłby tego.

- Dziękuję, kapitanie - powiedziałem. - i powodzenia.

Zasalutował, wskoczył do samochodu i odjechał w mrok.

- Niezwykły człowiek - usłyszałem za plecami. Wiadkiem naszej rozmowy był Wingstead. Skinąłem głową, po czym zawołałem do Binga:



- Wracaj na platformę, Sandy. Powiedz ludziom, żeby spokojnie się tam zbrali i czekali na nas. I odwołaj strażników, którzy są przy ciężarówkach. Powiedz panu Hammondowi, że poleciłem ci to zrobić. - Zastanawiałem się, czy nie kazać unieruchomić pojazdów, ale doszedłem do wniosku, że mogłoby to przynieść nam tyle samo szkody, co działania nieprzyjaciela.

- Sprowad pana Kempa - powiedziałem do Zimmermana, który stał obok mnie. - Jest na pewno w pobliżu platformy. Popro też doktora Kata. Powiedz mu, żeby zostawił na parę minut swoich pacjentów.

- Domyłam się, że nie mamy pewności, czy ta nadciśnająca jednostka to przyjaciele czy wrogowie, prawda? - zapytał Wingstead.

- Włanie. Musimy więc zachować zimną krew. Co z Ottermanem?

- Dostał drgawek. Bóg raczy wiedzieć, co to było. Lekarze nie mają go czym znieczulić. Czuję się za niego odpowiedzialny, ale nie jestem w stanie mu pomóc. Nie zdarzyło się dotąd, żeby umarł mój pracownik.

- On jeszcze żyje. Uratuj go, jeśli tylko będziesz mogli - powiedziałem, ale nie zabrzmiało to zbyt pocieszająco. Pospieszylimy w kierunku platformy. Zauważyłem, że nyalanścy uchodcy gdzie zniknęli.

Rozproszyli się w buszu, podobnie jak żołnierze. Nie trzeba było nikogo informować, co się dzieje. Wszyscy słyszeli i rozpoznali huk dział.

Hammond, otrzymawszy moje instrukcje, zebrał ludzi przy plat-

formie.

- Wojsko się wycofuje - oznajmił jaki głos.

- Kto tam strzela? - zapytał kto inny.

- Cisza! - powiedziałem. - Zamknijcie się i słuchajcie. Harry, tłumacz wszystko naszym rosyjskim kolegom. Sytuacja wygląda w tej chwili następująco. Od strony Kodowy nadchodzą jacy żołnierze. Natknęli się na jeden z patroli Sadiq'a i prawdopodobnie zabili jego ludzi, możliwe więc, że to rebelianci. Ale nie mamy na razie pewności. W nocy łatwo o pomyłkę.

W dzień zresztą też, pomyślałem przypominając sobie bombardowanie Kodowy.

- Jeli to rebelianci - kontynuowałem - Sadiq nie byłby w stanie ich pokonać, więc ukrył na razie swoich ludzi. Damy mu znak rakietś, czy to sojusznicy, czy nie. Gdyby pytali o Sadiq'a, mamy mówić, że odjechał. Ważne, żeby wszyscy odpowiadali tak samo. Opucił nas, jak tylko tu dotarlimy. Jasne?

- Po co te kombinacje? - zapytał Kemp. - Przecież powinien tu zostać i pilnować platformy, prawda?

Nie pierwszy raz ograniczonoć Kempa wprawiła mnie w rozpacz.

- Póniej ci to wyjanę - odparłem, odwracając się do pozostałych. - Kiedy zjawi się tu wojsko, chcę, żeby wszystko w obozie wyglądało normalnie. Pamiętajcie, że ich polityczne rozgrywki zupełnie nas nie obchodzą. Zapłacono nam za transportowanie platformy, i na tym koniec. Jesteśmy grupą cudzoziemców, którzy

znaleli się przypadkiem w kraju ogarniętym wojną. Staramy się do niczego nie wtrącać i mamy cholernego stracha.

- Żaden z nas nie musi być Laurence'em Olivierem, żeby to dobrze zagrać - stwierdził któryś z ludzi. ^

- Pan Wingstead i ja będziemy odpowiadać na ich pytania. Co-  
kolwiek by się działo, nie używajcie siły i nie stawiajcie oporu. -  
Mogły być z tym problemy. Tacy ludzie nie pozwalali, by nimi  
pomiatano. Miało to jednak podstawowe znaczenie. Opór musiałby  
spowodować represje.

- Po co mamy tu zostawać? - zapytał któryś z mężczyzn. - Mo-  
że bymy przysnęli i schowali się w buszu, tak samo jak żołnierze  
kapitana, dopóki tamci sobie nie pójdą.

- Nie zostawię swoich pacjentów - rzucił ostro doktor Kat.

- Nie sądzę, żeby to było dobre rozwiązanie - wtrącił się Wing-  
stead. - W przeciwnym razie sam bym tak postąpił. Jeli ci żołnie-  
rze nikogo tu nie znajdą, staną się podejrzliwi i zaczną nas szukać.

Potrzebowalimy jego opanowania i stanowczoci. Ten człowiek  
cieszył się powszechnym szacunkiem.

- W porządku, niech w obozie panuje spokój - zarządziłem.

Wingstead został na miejscu, aby wszystko zorganizować, a ja po-  
szedłem do Land Rovera po strzelbę i naboje. Zabrałem broń do  
magazynu i ukryłem głęboko między belami bawełny, mając nadzieję,  
że nikt mnie nie obserwuje. Potem dołączyłem do Wingsteada.

Geoff przekonał lekarzy i siostrę Urszulę, że musimy wprowa-

dzić przeciwnika w błęd i poprosił, by poinformowali o tym pielęgniarki. Rzuciwszy okiem na Ottermana nie poczułem się spokojniejszy. Max wyglądał na ciężko chorego.

Wspólnie z Geoffem obeszlimy szybko obóz, upewniając się, czy wszystko jest na swoim miejscu. Po Nyalańczykach nie było ladu. Sadiq ewakuował cały swój pluton, łącznie z pojazdami. Ogniska zostały wygaszone i nic nie wskazywało na to, by wyjeżdżali w popiechu.

Zdenerwowani i spięci rozlokowaliśmy się wokół platformy, oczekując przybyszów. Dotarli do nas dopiero po godzinie. Chyba jeszcze nigdy czekanie nie dłużyło nam się tak bardzo.

19

Usłyszeliśmy ich zanim wyłonili się zza wzgórza.

Burt Proctor nadstawił uszu w kierunku, z którego dochodziło odległe dudnienie, po czym siadł przy stoliku i wziął do ręki karty.

- Gramy dalej - powiedział ze spokojem.

Ron Jones podniósł się z miejsca.

- Odpadam, Bert - oznajmił. - Jestem za bardzo zdenerwowany.

- Zagram za ciebie - powiedziałem. - We się w garć, Ron. Bez paniki.

Kiedy Proctor rozdawał karty, zauważyłem, że jednym z graczy jest Russ Burns. Byłem zaskoczony, gdy się do mnie odezwał.

- Cholernie ostro pan sobie poczyna, Mannix - rzekł, nie bacząc

na konwenansie. - Skąd się wziął ten typ, którego pan na mnie  
nasłał?

- Dostałem go w spadku - odparłem. - To jeden z najlepszych  
fachowców firmy Wyvern. \*

Nie oczekiwałem, że Burns będzie do mnie przyjaźnie nastawio-  
ny, ale prowadził rozmowę w dość beztruskim tonie.

- Naprawdę myślałem, że ten facet poderżnie mi gardło -  
stwierdził. - Jest niebezpieczny.

- Postaram się mieć go na oku - powiedziałem jakby od niechce-  
nia. - A tak przy okazji: czy kto nie widział Micka?

Wszyscy pokręcili głowami.

Burns spojrział w karty i zakłśł.

- Kiedy skończy się ta cała historia - dodał po chwili - będzie-  
my musieli wyjanić sobie parę spraw. Ale gdyby teraz były jakie  
kłopoty, niech pan wie, że można na mnie liczyć. OK?

- W porzřdku.

Rozegralimy niezbyt uważnie jednř albo dwie partie. Dudnienie  
silników stawało się coraz głoniejsze, słycać było również jakie  
okrzyki. Wkrótce, ujrzawszy nadjeżdżajřcř kolumnę, odłozylimy  
karty.

Najpierw pojawiło się kilku motocyklistów. Wjechali z hałasem  
na szczyt wzgřrza, którego zbocze opadało w kierunku Makary  
i naszego obozu. Za nimi podřzały następane pojazdy, widoczne na  
tle wieczornej powiaty. Żołnierze przeczesywali busz po obu stro-

nach drogi. Miałem nadzieję, że nie zapuszczę się na tyle daleko, by napotkać ludzi Sadiq.

Upływały powoli kolejne minuty. Słyszeliśmy szelest kroków idących przez zarola żołnierzy. Byli ostrożni, bo nie wiedzieli, na co mogli się natknąć, a zdenerwowani ludzie reagują czasem w bezmyślny sposób. Kiedy otaczali obóz, staliśmy w pełnym wietle, czując się przerażająco bezbronni.

- Idę spać - powiedział głośno Wingstead. - Czeka nas pracowity dzień. Dobranoc wszystkim.

- Ja też się położę - oznajmiłem, idąc za jego przykładem. - Starczy tego pokera na dzisiejszy wieczór.

Hammond, wczuwając się w sytuację, rzekł równie głośno:

- Co się tam dzieje, panie Wingstead? Czy to nas dotyczy?

- Nie przypuszczam - odparł Geoff. - Domylam się, że odbywają ćwiczenia. Nie będę nas niepokoić.

Ze wzgórza zjeżdżały w naszym kierunku kolejne ciężarówki, których reflektory oświetlały rzeszycie cały obóz. Nie widziałem żadnych czołgów. Uzbrojeni żołnierze stanęli kołem wokół obozowiska i wiedzieliśmy, że jesteśmy otoczeni.

- Mamy towarzystwo! - zawołałem, starając się przekrzyczeć ryk silników. - Może dostaniemy trochę żywności i lekarstw!

Na oświetlonym terenie pojawił się wóz sztabowy. Z tyłu siedział kapitan. Był w identycznym mundurze co Sadiq, ale na prawym ramieniu nosił czerwony opaskę. Wyglądał poza tym zupełnie ina-

czej. Sadiq miał wyranie arabskie rysy i jasną karnację, natomiast ten człowiek był niewiarygodnie czarny. Widzieliśmy przed sobą potężnego, krzepkiego mężczyznę, którego twarz przesłaniały ogromne, ciemne okulary. W połączeniu z jego czarną skórą i mrokiem nocy robiły one niesamowite wrażenie.

Kapitan podniósł się z miejsca i spojrzawszy na nas, a potem na platformę, zapytał po angielsku:

- Kim jesteście?

- Pracujemy dla firmy przewozowej Wyvern Transport - odparłem. - A kim pan jest?

Mój kontrakt, jak mogłem przypuszczać, nie powiódł się.

- Pan za to odpowiada? - pytał dalej kapitan, wskazując na platformę.

- Nie - odrzekłem. - Pan Wingstead. Jestem jego współpracownikiem. Wielimy transformator na pola naftowe. Ale teraz musimy jechać z powrotem na zachód.

- Gdzie jest kapitan Sadiq? - zapytał znienacka.

Spodziewałem się tego pytania.

- Powinien być w drodze do Fort Pirie - odparłem. - Wyjechał ze swoimi ludmi o wicie.

- Kłamie pan - rzucił kapitan. - Gdzie on jest?

Jeden z jego ludzi uniósł raptownie lufę karabinu. Byliśmy w rękach żołnierzy, w dodatku wrogo do nas usposobionych. Po raz pierwszy od długiego czasu kto dawał mi do zrozumienia, że mam

się zamknąć. Nie było to przyjemne uczucie.

- Chwileczkę, kapitanie - powiedziałem stanowczo. - Nie mówi pan do żołnierzy. Zanim zacznie pan rozkazywać cywilom, radzę skonsultować to z kim wyższym rangą. Powiedziałem, że kapitan Sadiq dzi rano wyruszył w drogę. Dostał nowe zadanie. Nie wiem, gdzie teraz jest i mało mnie to obchodzi. Zostawił nas na pastwę losu. Spłynęło to po nim jak woda po kacze.

- Nie wierzę panu - oznajmił. - Dzieje się tu wiele dziwnych rzeczy. Kim są ci wszyscy ludzie, których mijaliśmy po drodze?

- Kobiety i dzieci? To tubylcy, którzy idą za nami w poszukiwaniu żywności. Są w ciężkiej sytuacji. Powinien im pan pomóc.

Kapitan spojrzał znowu na platformę.

- Co jest tam, na górze? - zapytał, zauważając dziwne baldachy z palmowych lici.

- To długa historia - odpowiedziałem. - Był pan ostatnio w Kodowie? Więc wie pan, że miasto zostało zniszczone. Szpital nie nadawał się do użytku, dlatego zamieniliśmy platformę w ruchomy lazaret. Staramy się przewieźć pacjentów do Fort Pirie. Może chciałby pan nam pomóc, kapitanie?

Przyglądał mi się nieufnie.

- Dlaczego nie zabralicie tych ludzi do Kandży? Do tamtejszego szpitala macie o wiele bliżej.

- Próbowaliśmy - wyjaśniłem. - Ale po drodze jest zwalony most.



Kapitan najwyraźniej nic o tym nie wiedział, bo zasypał mnie pytaniami, a następnie wezwał dwóch kurierów i wydał im pospieszne rozkazy. Potem oznajmił szorstko:

- Będziecie pod straż. Macie zostać na miejscu do mojego powrotu albo do przyjazdu pułkownika.

- Nigdzie się nie wybieramy, kapitanie - zapewniłem. - W każdym razie nie przed witem. A potem mógłby nam pan pomóc przeprowadzić platformę przez most.

Kapitan wydał kolejny rozkaz. Samochód zawrócił i odjechał.

Wokół nas stali żołnierze z gotowymi do strzału Karabinami.

Odetchnąłem głęboko i usiadłem.

- Dobrze się spisało - stwierdził Wingstead. - Niezły z ciebie łgarz.

- Cicho bądź, Geoff. Diabli wiesz, ilu z nich rozumie po angielsku.

Wkrótce zdaliśmy sobie sprawę, że żołnierze nie mieli jedynie nas pilnować. Sierżant i kaprale zrobili to, co do nich należało: przekazali rozkazy swoim podwładnym, którzy zaczęli przetrząsać obóz i pojazdy. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła.

- Chwileczkę! Co robicie? - zapytał gniewnie Kemp.

- Wykonujemy rozkazy - padła posępna odpowiedź. - Niech pan się cofnie.

- Kto jest waszym dowódcą? - spytałem sierżanta.

Zawahał się, czy powinien mi odpowiadać, ale po chwili rzekł:

- Pułkownik Maksa. Zaraz tu będzie. Proszę się cofnąć.

Odsunęliśmy się niechętnie od pojazdów. Miałem nadzieję, że żołnierze nie będą próbowali wchodzić na platformę i uszanujść lekarzy oraz pielęgniarki.

Czulimy się zupełnie bezradni.

- Czego oni chcą, do diabła? - spytał ze złości Kemp.

- Mogłby zapytać o to pułkownika Maksę, kiedy tu przyjedzie, ale nie radzę. Założę się, że to jeszcze jeden facet, który zadaje pytania, a nie udziela odpowiedzi. Jestem prawie pewien, że to rebelianci. Żołnierze regularnej armii okazywaliby nam więcej szacunku.

Przypomniawszy sobie Husseina nabrałem jednak wątpliwoci, czy się nie mylę.

- Masz zamiar wystrzelić raketę?

- Jeszcze nie. Zachowajmy nasze atuty na czarną godzinę.

- Przekłęci terroryci! - denerwował się Kemp. - Nie zdajś sobie sprawy, że nie mogą wygrać?

- Nie byłbym tego taki pewny - stwierdził Wingstead. - I nie nadużywałbym słowa "terroryci". Dla niektórych są bojownikami o wolność. Bez wątplenia uważajś się za wyzwolicieli narodu.

Przez otworzone nagle drzwi magazynu popłynął strumień wiatła. Żołnierze wypychali na zewnątrz dwóch mężczyzn. Byli to Dan Atheridge i Antoine Dufour, którzy zdźżyli już ułożyć się do snu na belach bawełny. Atheridge jęczał z bólu, gdyż kto wyszarp-

nął mu z temblaka złamaną rękę.

- Mój Boże, co oni z nimi robiś? - zapytał z przerażeniem

Kemp.

- Sam chciałbym wiedzieć - stwierdziłem ponuro. - To najspokojniejsi faceci w całej ekipie.

Zastanawiałem się, czy nie chodzi o strzelbę, którą ukryłem w magazynie.

W tym momencie nadjechały dwa wozy sztabowe. W jednym siedział czarnoskóry kapitan w ciemnych okularach, a w drugim potężnie zbudowany mężczyzna - z pewnością pułkownik Maksa. Miał arabskie rysy, jak wielu jego rodaków, szpeciła mu jednak twarz wyrana, głęboka blizna. Mundur pułkownika wyglądał tak, jakby przyniesiono go właśnie od krawca, kontrastując wyranie z niechlujnym strojem kapitana i pozostałych żołnierzy. Gdy samochód stanął, Maksa podniósł się z miejsca i zmierzył nas chłodnym wzrokiem.

Próbowałem przejść inicjatywę.

- Muszę oficjalnie zaprotestować, pułkowniku Maksa - oznajmiłem.

- Doprawdy? - Ten człowiek był bardziej inteligentny niż kapitan. Jego lakoniczna odpowiedź ostrzegła mnie, że może się okazać bardzo niebezpieczny.

- Reprezentujemy cywilną firmę transportową - mówiłem dalej. - Pańscy żołnierze przetrzsnęli nasz obóz i poturbowali ludzi.

Wyrażam stanowczy protest!

- Naprawdę to zrobili? - zapytał obojętnym tonem, wysiadł z samochodu i minšwszy mnie poszedł obejrzeć platformę. Potem zamienił kilka słów z kapitanem, a w końcu zwrócił się do nas.

- Ustawić wszystkich w szeregu - rozkazał. Wingstead dał znak rękš i cała załoga stanęła nierównym rzędem obok niego. Żołnierze wepchnęli między nas Dufoura i Atheridge'a, którzy wydawali się oszołomieni. Rzuciłem okiem, czy nikogo nie brakuje. Dostrzegłem w szeregu obu pracowników spółki Lat-Am. Zdenerwowany Zimmerman uspokajał nader wojowniczo usposobionego Burnsa. Zauważyłem też obu Rosjan. Miałem nadzieję, że Zimmerman pamięta o ich kłopotach z językiem, ocišgajšc się z wykonywaniem poleceń mogli wpać w tarapaty. Zakrawałoby to na ironię losu, gdyby zastrzelono ich z rosyjskiej broni.

Nie brakowało żadnego z naszych ludzi oprócz Micka McGratha, z którym zacząłem wišzać nieuzasadnione nadzieje. Nie było natomiast nikogo z personelu medycznego. Przed sobš i za sobš mieliśmy żołnierzy. Paradoksalne, ale właśnie fakt, że stali również za naszymi plecami poprawiał mi nieco samopoczucie, bo w przeciwnym razie przypominaliby za bardzo pluton egzekucyjny.

Maksa powiedział co do kapitana, który rozkazał nam ostrym tonem:

- Wejć do magazynu!

- Chwileczkę, u licha... - próbował zaprotestować Wingstead.

W tym momencie zobaczył z niepokojąco bliskiej odległości czarną twarz w ciemnych okularach.

- Nie radzę się opierać - rzekł kapitan. - Niech pan wypełnia polecenia pułkownika. On nie lubi dyskusji.

Nie wiedziałem, czy jest to ostrzeżenie, czy groba. Minąwszy szpaler żołnierzy, weszliśmy do magazynu.

Stłoczyliśmy się pod tylną cianę, gdzie leżały stosy bawełny.

Atheridge upadł na ziemię. Dufour był jeszcze oszołomiony, ale trzymał się na nogach. Zamknięto drzwi, a ludzie Maksy stanęli wewnątrz w szeregu tuż przy wejściu z automatami w rękach.

Musiałem sprawdzić, czy broń jest na miejscu. Powiedziałem półgłosem do Hammonda:

- Przesuwaj się powoli w lewo, do kšta. I niech parę innych osób robi to samo. Chcę, żeby przy drzwiach powstało zamieszanie.

Muszę na kilka sekund odwrócić ich uwagę od tego narożnika.

- Ja to zrobię - zaproponował cicho Burns.

- W porządku. Zagadał ich przez chwilę.

Skinął lekko głową i oddalił się. Zmierzając powoli w kierunku narożnika, poprosiłem po drodze Bishopa:

- Brad, postaraj się zabrać stąd Sandy'ego.

Wziąwszy Binga pod ramię, Bishop poprowadził go w przeciwną stronę. Zimmerman, którego trzymali się uporczywie dwaj Rosjanie, podszedł za Burnsem. Byliśmy rozproszeni i pięciu strażników nie mogło mieć nas wszystkich na oku.

Burns podszedł do żołnierzy i zaczął co mówić. Skoncentrowali na nim uwagę, podnosząc głosy i wyranie mu grożąc. Kiedy wszyscy się temu przyglądali, przemknąłem do narożnika, osłonięty przez grupkę mężczyzn, którzy otaczali Bena Hammonda.

Grzebałem w bawelnie, szukając schowka, ale nic nie znalazłem.

Na czoło wystąpił mi zimny pot. Strzelba zniknęła. Gdy dołączyłem do pozostałych, drzwi magazynu ponownie się otworzyły.

Wprowadzono cały personel szpitala. Wszyscy byli zdenerwowani i li, a siostra Urszula i doktor Kat kipieli wręcz z wściekłości.

- Co się tam dzieje? - zapytał Wingstead.

- Kazali nam zostawić pacjentów - stwierdził ochrypłym głosem doktor Kat. - Grozili nam bronią. Bronią, rozumie pan? Jesteśmy pracownikami szpitala, a nie żołnierzami! Musimy wrócić do chorych.

- To barbarzyńcy! - wybuchnęła siostra Urszula, marszcząc gronie czarne brwi. - Muszę pozwolić nam tam wrócić, panie Mannix. Jedno z niemowląt potrzebuje pomocy, a pan Otterman jest w ciężkim stanie.

- Gdzie siostra Maria? - padło pytanie.

- Też zachorowała - odparła siostra Urszula, wyglądając na jeszcze bardziej zagniewaną. - Musimy przemówić do rozszukanego dowódcy!

Mogliśmy jedynie czekać na pojawienie się pułkownika. Zastanawiały mnie dwie sprawy: zniknięcie McGratha i rutówki. Mu-

siałem je ze sobą łczyć. Ukrywajc broń zakładaem, że nikt mnie nie obserwuje, ale nie mogłem mieć pewności, co wie McGrath.

Działał zwykle na własną "rękę, czasem okazywał się niebezpieczny i potrafił zabijać. Miałem nadzieję, że nie pozwoli sobie na żadną brawurę: jeden niewłaciwy ruch i mogliśmy wszyscy zginąć.

Byłem pogrżony w myłach, gdy otworzyły się drzwi i do magazynu wszedł pułkownik Maksa. Zobaczywszy w jego rękach rutówkę, miałem uczucie jakby kto kopnął mnie w twarz.

Przyjrzał się nam, po czym owiadczył:

- Chcę z wami porozmawiać. Ustawić się w szeregu.

Uniesiona lufa strzelby stanowiła przekonywajcy argument. Na rozkaz pułkownika wszyscy żołnierze, z wyjątkiem jednego sierżanta, wyszli na zewnątrz, zamykajc za sobą drzwi. Stańlimy w rzędzie twarzami do naszego przeladowcy.

- Jestem pułkownik Maksa - oznajmił. - Dowódca Piętnastego Batalionu Piechoty Nyalańskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej. ci-gam wrogi oddział, dowodzony przez kapitana Sadiqą. Mam powody przypuszczać, że osłaniacie tych ludzi, występujśc przeciwko Ludowej Republice Nyali i zamierzam dowiedzieć się od was prawdy.

- Pułkowniku, my... - zaczął Wingstead.

- Milczeć! Odpowiedcie na pytania w stosownym czasie. Najpierw chcę znać wasze nazwiska i wiedzieć, czym się zajmujecie.

Zacniemy od ciebie. - Wskazał lufą rutówki w kierunku Ritchie-

go Thorpea, który stał na końcu szeregu.

- Hmm... panie Wingstead?

Wingstead skinął lekko głową.

- Wykonaj polecenie pułkownika, Ritch. Powiedz, jak się nazywasz.

- Jestem Richard Thorpe. Pracuję dla obecnego tu pana Wingsteda. W firmie Wyvern Transport.

Lufa została skierowana na kolejnego mężczyznę.

- A ty?

- Nazywam się Bert Proctor. Kieruję platformą. Jestem Anglikiem.

- Ja też. Derek Grafton, z Wyvern Transport.

- Sam Wilson. Kierowca.

Przedstawiali się wszyscy po kolei. Niektórzy mieli ponure miny, inni byli wyrażenie przerażenia, dwóch ludzi udawało bohaterów, ale nikt nie odmawiał odpowiedzi. Zbite w gromadkę pielęgniarki mówiły po nualańsku, natomiast doktor Kat używał wyłącznie angielskiego, próbując wtrącić co na temat swoich pacjentów. Maks zignorował go, przechodząc do następnych osób w szeregu. Kiedy zaległo milczenie, pułkownik zapytał lodowatym tonem:

- No? Czyżby kto nie chciał się przedstawić?

- Pułkowniku, oni pana nie rozumieją - powiedział głośno Zimmerman. - Nie mówisz po angielsku.

- Co to za ludzie?



- Rosjanie. Kierowcy ciężarówek. Nazywajś się... - Wymienił

dwa nazwiska, których nikt z nas nie był w stanie zapamiętać.

Maksa ciśgnął brwi, mówiąc:

- Rosjanie? To bardzo ciekawe. A więc mówisz po rosyjsku?

- Tak, trochę.

- Jak się nazywasz?

- Harry Zimmerman. Pracuję jako strzałowyy w spółce Lat-Am Oil. Jestem Amerykaninem. I nie mam nic wspólnego z tś waszś wojńś ani z kapitanem, którego pan szuka.

Maksa zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- Doć! Kto następny?

W tym momencie sierżant powiedział do niego co szeptem.

Następny w szeregu był Russ Burns.

- Jestem Russell Burns, z Lat-Am Oil. Jako dumny Tekszańczyk nie lubię, kiedy kto mnś pomiata. I co pan na to powie? ^

Burns znowu szukał guza.

- Sierżant twierdzi, że miał już z tobś kłopoty - rzekł Maksa. -

Obrażałe moich żołnierzy. Czy to prawda?

- Oczywiście, do cholery!:- odpowiedział Russ, występując

z szeregu. - Nie zniosę, żeby mi rozkazywała banda takich sukin-synów jak wy!

- Burns, przestań! - krzyknął.

- Na litoć boskś, Russ, uspokój się! - dodał Zimmerman.

Pułkownik uniósł broń, celując wprost w Tekszańczyka. Burns

cofnął się, ale było już za późno. Pułkownik wystąpił naprzód, przytknął Russowi pod brodę wylot lufy rutówki i odchylił mu do tyłu głowę.

- Nie okazujesz mi specjalnego szacunku - stwierdził Maks. -

Co to, kto próbował cię już zabić?

Lufa otarła się o obandażowaną szyję Burnsa. Russ przełknął nerwowo linę, ale co go podkusiło, żeby powiedzieć:

- Nie pańska sprawa. Zaciłem się przy goleniu.

- Facet z poczuciem humoru - rzekł Maks i jowialnie się umiechając nacisnął spust.

Pocisk rozerwał Burnsowi tył głowy. Jego ciało leżało teraz rozciśnięte na ziemi w kałuży krwi. Stojący w szeregu ludzie doznali szoku. Maks cofnął się do drzwi, a sierżant ubezpieczał go, trzymając gotową broń. Ktoś głośno wymiotował, a jedna z pielęgniarek padła zemdlna na podłogę. Okropności wojny stały się naszym udziałem.

20

Przerażenie zamieniło się w gniew i ludzie zaczęli głośno protestować. Spojrzałem na ciało Burnsa. Dziewięć ommilimetrowych ołowianych kulek, ważących łącznie trzydzieci gramów i wystrzelonych z potężną siłą z niewielkiej odległości, miało niszczycielską moc. Zgon nastąpił szybko i bezbolesnie. My odczuwaliśmy jednak paralizujący strach, jaki wzbudza widok czyjej nagłej śmierci.

- Milczeć! - zawołał Maks, przekrzykując zgłęb głoś. Pod-

niósł rutówkę i zmierzył nas wzrokiem. - Do kogo to należy?

Wszyscy milczeli.

- Czyja jest ta broń? - zapytał ponownie.

Zastanawiałem się, co robić, ale Maksa nie pozostawił mi większego wyboru. Wystąpił naprzód, przyglądając się nam, po czym powiedział:

- Ty - chod tutaj!

Osobą, którą wskazał, była Helen Chula. Gdy po chwili wahania podeszła do niego powoli, chwycił ją za rękę, obrócił twarz do nas i przytknął jej do pleców lufę strzelby.

- Pytam po raz trzeci i ostatni. Do kogo należy ta broń?

Przemoc nigdy nie przydawała mi się do rozwiązywania problemów, ale w przypadku Maksy najwyraźniej było inaczej. McGrath mógłby uczyć się od niego zasad terroryzmu.

- To moja rutówka - powiedziałem, wychodząc z szeregu.

Maksa odepchnął Helen na bok. Słyszałem jej szlochanie, ale nie widziałem niczego oprócz wycelowanej w mój brzuch lufy strzelby.

Wydawała mi się wielka jak działo okrętowe.

- No proszę - rzekł Maksa. - Amerykański cywil chodzi z bronią w czasie zbrojnego konfliktu. Nie uważa pan, że to niebezpieczne?

- To broń sportowa - powiedziałem, czując suchość w gardle.

- Ma pan pozwolenie?

- Nie - odparłem, z trudem przełknąwszy linę.

- I pewnie będzie mi pan też wmawiał, że nie pracuje pan

dla CIA.

- Bo to prawda. Pracuję dla brytyjskiej spółki i dla nikogo więcej.

- Wspierając skorumpowanych urzędników naszego tak zwanego rządu?

- Wcale nie.

- Człowiek może służyć dwóm panom - powiedział zamyślony.

- Wy, Amerykanie i Brytyjczycy, zawsze ze sobą trzymaliście.

Imperialiści muszą się popierać, prawda? Rezygnujecie z kolonii i przekonujecie ONZ, że Nyała odzyskała niepodległość. Ale wcale nie zostawiacie mojego kraju w spokoju.

Nie odzywałem się. Pułkownik ci sięgnął dalej.

- Twierdzicie, że jesteśmy wolni, ale uzależniamy nas finansowo.

Dusicie nas długami, a sami zagarniacie zyski. Przekupujecie naszych polityków. Ograbiacie nas z surowców i sprzedajecie nam w zamian tak zwane dobra zachodniej cywilizacji, aby odzyskać swoje pieniądze. A teraz dołączyły do was jeszcze te rosyjskie psy.

Potomkowie carskiego imperium sprzymierzają się z wami, rozkradając naszą ropę i rujnując kraj.

Głęboko wciśniętym powietrzem, aby opanować wzburzenie, po czym zmienił temat.

- Wracając do kapitana Sadiqa: gdzie jest i jakie ma plany?

- Pułkownikowi Maksowi - odparłem. - Kapitan zabrał o wicie swoich żołnierzy i odjechał. Nic poza tym nie wiemy.

- Nie mam ochoty dłużej z panem rozmawiać - stwierdził. -

Męczy mnie pan. Dowiem się więcej od innych.

Stałem jak skamieniały. Maksa przesunął rękę wzdłuż lufy ru-  
tówki i w tym momencie usłyszałem za plecami, gdzie wysoko  
w górze, niezbyt głośne, ale stanowcze ostrzeżenie:

- Jeli podniesie pan broń, pułkowniku, przeszyję pana na  
wylot.

Maksa spojrział mi przez ramię. Okręciwszy się na pięcie zoba-  
czyłem, że mierzy do niego z automatu rosły mężczyzna o ciemnej  
twarzy. Odwróciłem się błyskawicznie i odebrałem pułkownikowi  
strzelbę.

Stojący na beli bawełny człowiek przesunął płynnie lufę automa-  
tu, celując w czarnoskórego sierżanta. Żołnierz bez słowa odłożył  
broń i cofnął się. Hammond podniósł jego karabin. Trzymaliśmy  
obu mężczyzn na muszce. Człowiek o ciemnej twarzy zeskoczył na  
ziemię i wszyscy natychmiast rozpoznali w nim McGratha. Towa-  
rzyszył temu szmer ulgi, zaraz jednak znów zapadła cisza. Choć  
u naszych stóp leżały nadal zwłoki Burnsa, nastrój radykalnie się  
zmienił.

- Widział pan, pułkowniku, co może działać ta broń - powie-  
działem. - Jeden ruch, a przestrelę panu kręgosłup.

- W ten sposób zaalarmuje pan żołnierzy - stwierdził Maksa. -  
Zabijś was wszystkich.

- Nieprawda - rzekł Hammond. - Nie weszli tu, kiedy zastrzelił

pan Russa.

McGrath, którego twarz i dłonie posmarowane były czarną pastą, przewiesił broń przez ramię.

- Niech pan podniesie ręce i odwróci się, pułkowniku - rozkazał. Trzęsąc się ze złości, Maksa wykonał jego polecenie. McGrath wyszedł z kieszeni pałkę i uderzył pułkownika za uchem. Oficer osunął się ciężko na ziemię.

- Teraz twoja kolej, synu - powiedział McGrath do sierżanta. - Odwróć się!

Sierżant posłuchał go, aczkolwiek niechętnie. Ludzie znów zaczęli szemrać, więc McGrath odezwał się gniewnie:

- Ciszej, durnie! ciśgniecie nam na głowy strażników, jeśli usłyszysz, co się tu dzieje. Ma być spokój!

- Gdzie się, u diabła, podziewała, McGrath? - zapytał napaśtliwym tonem, nie odczuwając już strachu.

- Byłem w okolicy - odparł. Zaczął ciśgać z pułkownika bluzę z czerwonym opaską na rękawie. - Niech mi pan pomoże. Proszę go zwiśzać i wrzucić między bele bawełny. Sierżanta też.

- Cholernie ryzykujemy, McGrath. Mogliśmy go przekonać i wyjść cało z opresji, a teraz nie mamy już szans.

- Niewiele zdłżyłby pan powiedzieć, panie Mannix - odparł cicho. Nie mylił się, ale niechętnie przyznawał mu rację. Człowiekowi trudno pogodzić się z faktem, że stoi oko w oko ze mierzwiem. - Wie pan, co robiś żołnierze? - mówił dalej McGrath, ciśgając

Maksie spodnie. - Gromadzś beczki z benzynś. Zamierzajś spalić magazyn.

- Z nami w rodku? - zapytał z przerażeniem Kemp.

- Na litoć boskś, musimy się stśd wydostać! - odezwał się jaki głos.

- Tylko spokojnie - odparł McGrath. - Nie podłóżś ognia, dopóki nie wyjdzie stśd pułkownik. - Zaczśł wkładać mundur Maksy. - Kto założy ten drugi komplet? Na kogo pasuje?

Kiedy się nad tym zastanawialimy, mówił dalej:

- Niestety, mam jeszcze inne złe wiadomoci.

- Co znowu?

- Max Otterman nie żyje.

- Powinienem był przy nim zostać - stwierdził doktor Kat.

- Został zamordowany - oznajmił cicho McGrath.

Stalimy w bezruchu, zaszokowani tś wiadomociś.

- Kiedy żołnierze was tu sprowadzili, zaczęli przeszukiwać platformę. Traktowali wszystkich doć brutalnie, nawet chorych tubylców. Max dostał nagle drgawek i krzyczał co, jak to mu się zdarzało, i wtedy... No cóż, żołnierze zepchnęli go z platformy. Mylę, że skręcił kark.

- O Boże! - szepnśł Wingstead.

- Mógł zginść wskutek upadku - rzekł McGrath. - Ale na dodatek jeden z żołnierzy wpakował w niego kulę. Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć.

W ludziach zaszła niemal wyczuwalna zmiana. Wybuch wojny, zbombardowanie Kodowy, pojmanie nas przez wrogów, ani śmierć Burnsa nie wywarły na nich równie silnego wrażenia. Byli już mocno wzburzeni wiadomością o planach spalenia magazynu, ale brutalne zamordowanie naszego pilota przepełniło czarę goryczy.

Wszyscy pałali żądzą odwetu.

- McGrath, masz obmyślony jakiś plan, prawda? - zapytał

Wingstead.

- Zachowujcie się tak, jakby pułkownik nadal tu był - odparł

McGrath, poprawiając bluzę. Drugi mundur zakładał Sam Wilson.

Doktor Kat pochylił się nad ciałem Burnsa.

- Proszę go nie ruszać - ostrzegł McGrath. - Gdyby kto wszedł, powinien zobaczyć ciało. Żołnierze słyszeli strzały. - Wziął do ręki

Uzi sierżanta. - Czy kto potrafi się z tym obchodzić?

- Ja! - odpowiedzieli równocześnie Wilson i Zimmerman.

McGrath rzucił broń Wilsonowi. - W porządku. Pasuje ci. Masz jeszcze to. - Dołożył mu pudełeczko z czarną pastą. - Trochę mierzwi, ale się przyda. - Wilson zaczął sobie smarować twarz i ręce<sup>^</sup>

Zatrzymałem rutówkę, a Wingstead wziął pistolet pułkownika.

Mielimy w ten sposób cztery sztuki broni plus pałkę McGratha, o ile nie chował on jeszcze w zanadrzu noży i innych mierniczych narzędzi. Nie bardzo było z czym wyruszać na wojnę.

- Mick, jak się tu dostała? - zapytał Wingstead.

- Złatwociś - odparł McGrath, wskazując ręką w górę. - Przez



dach. Jest zrobiony z blachy, miejscami tak starej i przerdzewiałej, że kruszy się pod ręką. Nie będziemy jednak wychodzić tś samś drogś. Z tyłu budynku sś drzwi. Nie mogłem otworzyć ich z zew- nętrz, bo były zaryglowane. Od rodka zasłaniajś je bele bawełny, ale da się tamtędy wyjć.

- No to chodmy - podchwycił skwapliwie Hammond.

- Jeszcze nie teraz, Ben. Najpierw zwiększymy trochę nasze szansę. Posłuchajcie. Kiedy zobaczyłem, na co się zanosi, wziłem nogi za pas. Nie miałem ochoty czekać, aż zostaniemy otoczeni.

Poszedłem w busz poszukać Sadiq. Jego ludzie o mało mnie nie zabili. Cholernie lubiś sobie postrzelać.

- Jak daleko stśd jest Sadiq? - spytał Wingstead.

- Niedaleko. Wysłał patrole, żeby zorientować się w sytuacji.

Piętnasty Batalion brał udział w walce, prawdopodobnie przeciwko wiernej prezydentowi Siódmej Brygadzie i poniósł duże straty. Zo- stało im około dwustu ludzi, jedna czwarta pierwotnego stanu.

- To cholernie dużo, jak na nasze możliwości - stwierdził Zimmerman.

- Jednś chwileczkę! - powiedział z rozdrażnieniem McGrath. -

Maksa wysłał większość swoich ludzi za rzekę, zostawiajśc po tej stronie tylko około pięćdziesięciu żołnierzy i kilka pojazdów. Ma wielu rannych. W pobliżu jest tylko dwóch oficerów. Sadiq może w każdej chwili zaatakować. Kiedy dostanie sygnał, pociski z modzierzy posypiś się na ludzi Maksy jak konfetti.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałem.

- Mam następujący plan. Załatwimy najpierw oficerów. W ten sposób żołnierzami nikt nie będzie dowodził, więc uciekną albo się poddadzą.

- Jak to zorganizujemy? - spytał Hammond.

- Widzicie, że pożyczyłem od kapitana trochę pasty do butów.

Wyglądam teraz w mundurze pułkownika jak prawdziwy czarnuch. Jeli założę jego czapkę, przypuszczam, że uda mi się przywołać tu jednego po drugim tych oficerów.

- Nic z tego - stwierdził Zimmerman. - Nie masz odpowiedniego głosu.

- Ale jest tu doktor Kat - podpowiedział Lang.

McGrath wyszł ze swojej starej kurtki wistek papieru.

- Większość oficerów jest po drugiej stronie rzeki. Tutaj został kapitan Mosira - to ten w ciemnych okularach - i porucznik Chawa. ciśgniemy ich do magazynu i załatwimy. Potem wyjdziemy tylnymi drzwiami i przeprowadzimy pielęgniarki z powrotem na platformę. Są tam strażnicy, ale nie powinniśmy mieć z nimi problemu. Na koniec damy sygnał Sadiqowi, żeby przystąpił do akcji.

Wingstead musiał długo przekonywać doktora Katabisira, który uważał, że jako lekarz nie powinien brać udziału w walce.

- Na litość boską, doktorze, nie prosimy, żeby pan kogokolwiek zabijał - stwierdził McGrath. - Niech pan tylko ich przywoła.

W końcu doktor Kat uległ naszym perswazjom.

- Co robimy, kiedy pozbędziemy się oficerów? - spytałem

McGratha.

McGrath wyjął nóż i przykucnął na ziemi.

- Przystępując do ataku Sadiq chciałby uniknąć interwencji wojska z za rzeki. Mamy więc za zadanie opanować most. - Wyrysował na klepisku prowizoryczną mapkę. - Tu, po jego drugiej stronie, stoi transporter opancerzony typu Saracen. Nie możemy dopuścić, żeby przejechał przez rzekę. Trzeba jakoś zablokować most.

- Jakie uzbrojenie ma ten transporter?

- Czekam w wieży i dwa lekkie karabiny maszynowe.

Hammond wydoł policzki.

- Jak, u diabła, mamy go zatrzymać? Ruszy z miejsca, gdy tylko Sadiq zaatakuje. Kule będą się odbijały od pancerza.

- Ja go zatrzymam - owiadczył McGrath. - Barry Lang mi pomoże.

Lang przyglądał mu się zdziwiony.

- Spójrzcie. Tu jest platforma, gotowa do przeprawy przez rzekę.

Są do niej doczepione wszystkie ciągniki, z wyjątkiem jednego, który stoi tutaj, w pobliżu mostu. Starujemy nim ten cholerny transporter.

- Nie macie szans, Mick - powiedział Wingstead ostrym tonem. - Czekam rozerwie was na strzępy.

- Pojedziemy tyłem - stwierdził McGrath.

Twarz Langa rozjaśniła się.

- Za kabinę jest osadzona w cementie stalowa płyta o wadze dwudziestu ton. Ten ciężnik ma pancerz jak czołg. Nie są w stanie go przebić. I waży o wiele więcej niż Saracen, Potrzebujemy tylko osłony ogniowej. Kabina nie ma pancernych szyb, a w dodatku jadąc do tyłu musimy wyglądać na zewnątrz. Rebelianci z tej strony rzeki będą cholernie zajęci, ale może dojść do strzelaniny i wtedy powinniście nas osłaniać.

- Czym? - zapytał Kemp.

- Mamy trzy karabiny i pistolet, a zdobędziemy jeszcze broń na oficerach. Zabierzemy też automaty czterech czy pięciu strażników. Chyba pora już skończyć dyskusję.

- Słusznie - stwierdził krótko McGrath, wyprostowując się. -

Niech wszyscy staną znowu w szeregu. Tylko dwóch ludzi zostanie przy drzwiach.

- A ja? - zapytał.

- Wchodzący do rodka oficer powinien zobaczyć Maksę, pana i pana Wingsteada, bo jesteście szefami. Macie więc stać w szeregu, trzymać na muszce. - Podał nóż Langowi, a Bert Proctor dostał pałkę. - Zajmiecie się każdym, kto wejdzie przez te drzwi, ale dopiero, gdy będą zamknięte. Harry, we drugi automat i stań u góry, tam gdzie ja byłem. Gdyby zjawili się wartownicy, możesz strzelać nad naszymi głowami. W takim przypadku wszyscy rzucimy się na ziemię. Doktorze Kat, niech pan też stanie w szeregu.

Będzie pana słyszeć na zewnątrz?

Doktor niechętnie skinął głową.

- Panie Mannix, wezmę rutówkę, jeśli pan pozwoli - oznajmił McGrath. Podałem mu ją z pewnym wahaniem. Potrzebował broni, aby odegrać swoją rolę, znów poczułem się jednak z tego powodu niezbyt pewnie.

Staliśmy jak aktorzy, czekający na podniesienie kurtyny. Miałem przed sobą McGratha, który nawet z bliskiej odległości przypominał do złudzenia Maksę. Przejść ode mnie dowodzenie równie łatwo, jak ja w krytycznej sytuacji zastąpiłem Kempa i Wingsteada. Miał do tego naturalne predyspozycje i w przyszłości mógł sprawić cholerne kłopoty. O ile mieliśmy przed sobą jaką przyszłość.

21

McGrath podszedł do drzwi i otworzywszy je, wsunął ramię w wąską szparę, trzymając w pogotowiu broń. Doktor Kat stał ukryty tuż za nim, aby użyć głosu rzekomemu pułkownikowi. McGrath miał odwróconą głowę, jakby nie chciał spuścić z oka swych więniów, ale w świetle widać było dystynkcje i opaskę na ręce. Doktor Kat przywołał oficerów, nie nładując wcale dobrze głosu Maksy. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że żołnierze nie będą się nad tym zastanawiać. McGrath zamknął drzwi i odetchnął z ulgą.

- W porządku - oznajmił. - Idź tu. Jesteście gotowi?

Członkowie "grupy szturmowej" skinęli w milczeniu głowami, a Zimmerman pomachał automatem z tyłu magazynu, znikając za leżącą najwyżej belką bawełny. McGrath podszedł do ciała Burnsa

i zatrzymał się przy nim, odwrócony plecami do drzwi. Stał w rozkroku, trzymając lufę strzelby wymierzoną w kierunku roztrzaskanej głowy Russa. Było to dobrze zainscenizowane. Uwagę każdego, kto wchodził do magazynu, musiał przyciągnąć natychmiast odraźający widok zwłok Burnsa, a nie odwrócona postać pułkownika.

McGrath uznał, że jest nienaturalnie cicho.

- Niech pan co powie, panie Mannix - rzekł. - Proszę rozmawiać dalej z pułkownikiem.

- Nie potrzebuję waszej przeklętej ropy! - improwizowałem. -

Nie jestem naciągaczem. Pracuję dla firmy inżynierskiej. - Stojący za McGrathem Proctor nasłuchiwał u drzwi, trzymając uniesioną pałkę. Ciągnął dalej: - Nie możemy odpowiadać za to, jak rządzą swoim krajem... Otworzyły się drzwi i weszli dwaj oficerowie. Mosira był nadal w ciemnych okularach. Za nim podszedł o wiele młodszy porucznik.

- Pułkownik Maks - nie przestawałem mówić. - Żdam, żeby zezwolił pan personelowi szpitala zająć się...

Proctor uderzył porucznika silnie pałką i ten upadł na ziemię.

Kapitan Mosira zaczął stawiać opór i próbował sięgnąć po pistolet.

Lang zaciskał mu rękę na szyi, bezładnie machając w powietrzu nożem. Mosira nie mógł krzyknąć, ale został opanowany dopiero przez McGratha, który grzmotnął go w głowę kolbą karabinu.

Na zewnątrz panowała cisza i w magazynie również nikt się nie odzywał. McGrath spojrzał na Langa, wyciągając rękę po nóż.

- Mówiłem, żeby nie silić się na delikatność - stwierdził chłodno.

Barry Lang oddał mu nóż.

- Przepraszam, Mick. Ja po prostu...

- Kto potrafi się tym posługiwać? - zapytał McGrath.

- Ja - odparł Hammond.

McGrath natychmiast rzucił mu nóż.

- W porządku, chłopaki. Zbierzmy łupy i pozbądźmy się ba-  
lastu.

Obaj oficerowie uzbrojeni byli w pistolety, z których jeden przy-  
padł mi w udziale. Porucznik miał ponadto zawieszony u pasa  
granat. Czekaliśmy na instrukcje McGratha.

- Zawołajmy wartowników - powiedział. - Jest ich tylko sze-  
ściu albo siedmiu. Nie powinno być problemów.

McGrath sprawował nad wszystkim kontrolę. Dzięki jego energii  
i opanowaniu realizowaliśmy ryzykowny plan. Pomogła nam jed-  
nak również, choć brzmi to paradoksalnie, osobowość Maksy. Był  
najwidoczniej służbistą i żaden żołnierz nie odważyłby się kwestio-  
nować jego rozkazów. Wartownicy przyszli na wezwanie i bez wię-  
kszego trudu daliśmy sobie z nimi radę.

Rozejrzeliśmy się po magazynie. Żołnierze leżeli rzędem za be-  
lami bawełny, obok ciała Burnsa. Otworzywszy z łatwości drzwi  
z tyłu budynku, bylimy gotowi do wyjścia.

- Musimy jak najszybciej wysłać sygnał - stwierdził McGrath. -

Wie pan, co robić, panie Mannix?

Skinšłem głowš. Aby dotrzeć do obozu, należało obejć maga-  
zyn, mogliemy więc w kaŹdej chwili natknšć się na wojsko. Częć  
ludzi miała dopilnować, aby personel szpitala i Dan Atheridge do-  
tarli do platformy, a potem dołšczyć do nas, ukrytych w bezpored-  
nim sšsiedztwie mostu. Osłaniajšc się wzajemnie zamierzalimy  
zajšć odpowiednie stanowiska, aby móc ubezpieczać McGratha i je-  
go towarzysza w kabinie cišgnika. Nie wiedzielimy jeszcze tak  
naprawdę, kto nim będzie.

McGrath spoglšdał z namysłem na Langa. Nie był pewien, czy  
moŹe na niego liczyć, skoro Barry zawahał się, gdy miał zasztyle-  
tować Mosirę. Zwykle jednak pracowali razem, a poniewaŹ bez-  
pieczniej jest mieć przy sobie człowieka, którego się zna, McGrath  
powiedział:

- W porzšdku, Barry, wsiadamy razem do kabiny. Trzymaj się  
blisko mnie, słyszysz?

- Kiedy Sadiq zaatakuje? - zapytałem. - Gdy wystrzelimy ra-  
kietę?

- Tak, czerwoniš racę, zgodnie z pańskim planem.

- Raketnica jest nadal w walizce koło platformy. Chyba Źe jš  
znaleli.

McGrath wyszczerzył zęby w umiechu i wspišwszy się na bele  
bawełny wrócił z raketnicš w ręce.

- Cišgle sprawiam niespodzianki, prawda? - rzekł.

Nie zapytałem, skšd wiedział, gdzie jej szukać. Najwidoczniej



musiał mnie ledzić. Mógł także widzieć, gdzie ukryłem strzelbę.

Znów zacząłem się zastanawiać, jak Maksa na niego trafił.

- Proszę to wziąć - powiedział McGrath, podając mi raketnicę. -

Będzie pan odpowiedzialny za wysłanie sygnału, panie Mannix.

- Co właściwie zamierzasz zrobić? - zapytałem.

McGrath umiechnął się.

- Wyjdę stąd, trzymając Barriego na muszce. Będę dalej udawał

pułkownika, a Sam - mojego sierżanta. Poprowadzimy Langa

w kierunku mostu, a gdy zajdziemy dostatecznie daleko, podbieg-

niemy do cišgnika. Sam gdzie się ukryje i zaczeka na was, o ile

jeszcze nie będziecie na miejscu.

Był to zuchwały plan, ale mógł się powieć.

- Zwróćcie na siebie uwagę - stwierdził Wingstead.

- No cóż, przyznaję, że jest pewne ryzyko. Ale uda nam się

chyba dotrzeć do cišgnika. Kiedy tylko zaczniemy biec, odpalicie

raketę i Sadiq nie pozwoli tym facetom zastanawiać się nad czym-

kolwiek.

Możliwie najciszej zabarykadowaliśmy belami bawełny wejście

od frontu, szykując się do opuszczenia magazynu. Otworzyłem

ostrożnie tylne drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. wiecił księżyc, co

powinno pomóc później McGrathowi podczas jazdy cišgnikiem.

Nic nie zakłócało spokoju nocy. Wyszliśmy, uważnie się rozglądając.

Okršżywszy magazyn, zobaczyliśmy ogniska w obozie rebelian-

tów i janiejsze wiatła wokół platformy. Dostrzegłem w jej pobliżu

żołnierzy, nie było ich jednak wielu. W drodze na most, zgodnie z naszymi przewidywaniami, nie brakowało osłoniętych miejsc.

- W porządku, Mick - szepnąłem. - Ruszaj!

Oddalaliśmy się od magazynu zgodnie z planem. McGrath i jego grupa szli przodem: najpierw Lang, z przytkniętą do pleców lufą automatu, a za nim Wilson w naciśniętej na oczy czapce sierżanta.

McGrath trzymał w ręku strzelbę. Wyglądało to dość przekonująco. Nie przyspieszałem kroku, aby nie wychodzić za bardzo przed Micka. Pozostali ludzie minęli mnie, idąc do przodu.

Maszerujący byli niemal naprzeciwko platformy, gdy jeden z rebeliantów co do nich zawołał. Usłyszałem niezrozumiałą odpowiedź McGratha i ostrą replikę żołnierza, po której podniósł on broń. Nie zaczął strzelać, ale był najwyraźniej zaniepokojony.

Nagle zza platformy rozległa się seria wystrzałów z Uzi. Zauważono któregoś z naszych ludzi. Żołnierz odwrócił się niepewnie i wtedy McGrath wypalił do niego ze rutówki, po czym pobiegł razem z Langiem w kierunku ciśnieńnika. Wilson ukrył się gdzieś na poboczu drogi. Usłyszałem ponownie huk strzelby, a potem rozbrzmiała wokół nas kanonada wystrzałów, rozjaniając błyskami ciemność nocy. Wycelowałem w niebo raketnicę i zanim w górze wykwitła kolorowa raca, rzuciłem się do ucieczki. Koło mnie biegł Bert Proctor.

Wszędzie padali żołnierze i ze wszystkich stron słychać było strzelaninę. Nagle zagrzmiął ogłuszający łoskot uruchamianych sil-

ników. Zapalały się chaotycznie wiatła reflektorów. Noc rozdzierały eksplozje, spadających na obóz rebeliantów, pocisków z morderczy.

Porzuciwszy naszą kryjówkę w krzakach, ruszyliśmy biegiem w kierunku konwoju, chowając się za ustawionym najbliżej Land Roverem Kempa. Usłyszałem łoskot nadjeżdżającego pojazdu, a zobaczywszy go głośno jęknąłem. Był to Saracen. Ludzie Maksy zdążyli już ruszyć nim z mostu. Sunął powoli, a wieża cekaemu obracała się niepewnie na boki w poszukiwaniu celu.

- Jedzie tutaj! - wydusił z siebie Proctor.

Za naszymi plecami zadudnił głośno, uruchomiony przez McGratha, ciężnik. Saracen zmierzał w jego kierunku. Musieliśmy coś zrobić, aby się zatrzymał. Strzały z Uzi nie przebiłyby pancerza, ale uderzająca o wieżę raca mogła przynajmniej przestraszyć i dezorientować kierowcę. Gdy Saracen mijał nas, ostrzeliwując już ciężnik, wymierzyłem raketnicę i nacisnąłem spust. Pocisk musnął obrotową wieżę i uderzył w znajdującą się za nią pancerną osłonę, powodując pożar. Musiałem dobrze trafić. Pojawił się błysk i nastąpiła potężna eksplozja, która odrzuciła nas na bok i wstrząsnęła Land Roverem. Kiedy się pozbieraliśmy, Saracen płonął, a w jego wnętrzu ktoś krzychał.

Sięgnąłem po pistolet, ale nie mogłem go znaleźć. Zobaczyłem, że płonący Saracen zjeżdża z drogi w krzaki, a ciężnik mija go i zmierza w naszym kierunku. McGrath wychylił głowę, krzyząc

do mnie:

- Lang oberwał! Niech pan go stąd zabierze!

Podbiegłem do kabiny z prawej strony. Wokół płonącego Saracena paliły się krzaki i wyciągając Langa z fotela w jaskrawym świetle pożaru zobaczyłem na jego piersi krew. Proctor odebrał go ode mnie, biegnąc równoległe obok ciężnika.

- Proszę ze mną zostać! - krzyknął McGrath. - Niech pan wskazuje!

Uchwyciłem się rozkołysanych drzwi i przełożywszy nogę przez fotel, rzuciłem się do wnętrza kabiny.

- Witam na pokładzie - mruknął McGrath. - Proszę patrzeć do tyłu i mówić mi, gdyby były jakie przeszkody. Wychylił głowę z kabiny. Ja zrobiłem to samo.

Jazda do tyłu bywa ryzykowna nawet na peryferiach miasta w spokojny niedzielny poranek. W tych warunkach napawała przeżeniem. Ciężnik kołysał się na boki, sunąc drogą w kierunku mostu. Widziałem we wstecznym lusterku drugiego Saracena, który zdecydował się na odwrót. Osłony ciężnika wstrząsały silne uderzenia. Strzelano do nas z cofającego się transportera, którego kierowca uznał, że zjechawszy z mostu będzie miał większe pole manewru i lepszą pozycję do walki. Chcieliśmy go dopaść, zanim zdąży uciec. Udało nam się to w ostatniej chwili.

Kierujący Saracenem le ocenił odległość i wjechał tyłem na krawęznik. Naprawiając błąd stracił cenne sekundy. Ciężnik grzmotnął

z potężną siłą w przód transportera, z którego poleciał snop iskier.

Nasz silnik o mało się nie zablokował, ale McGrath dodał gazu, taranując Saracena.

- No dalej, ruszaj się, sukiny! - Twarz McGratha emanowała złością, gdy zmagając się z kierownicą i pedałem gazu.

Nie ulegało wątpliwości, że odnieśli zwycięstwo. Opancerzony transporter był masywną bryłą metalu, ale ważył niewiele ponad dziesięć ton, a nasz ciągnik czterdzieści. Wstrząs musiał obezwładnić załogę Saracena, ponieważ strzelanina od razu ustała. Wieżyczka była powyginana i bezużyteczna.

McGrath naciskał równomiernie na gaz i ciągnik sunął do tyłu, popychając bezlitośnie transporter w starannie wytyczonym kierunku. Rozległ się zgrzyt metalu, gdy pojazd został przyparty do bariery mostu. Ponieważ nie chcieliśmy jej zdemolować, McGrath nie zepchnął Saracena do rzeki.

Silnik transportera zamienił się w kupę złomu i był niezdatny do użytku. Most został skutecznie zablokowany i Sadiq mógł swobodnie wykonywać swoje zadanie.

McGrath wrzucił ostrożnie pierwszy bieg. Wracając przez most nie napotkaliśmy żadnego oporu, a zatrzymawszy się przy wjeździe, utworzyliśmy tam dodatkową blokadę. Powitano nas entuzjastycznie.

- Gdzie jest Barry? - zapytałem.

- Na platformie - odparł Proctor. - Zajęli się nim lekarze.

McGrath rozprostował się i przeciśgnął.

- Znakomicie prowadziłeś, Mick - stwierdziłem.

- Pan też niele sobie poradził - odrzekł. - Czym pan, do cholery, załatwił ten pierwszy transporter, miotaczem ognia?

- Wystrzeliłem z raketnicy. Przypadkowo się udało.

Rozejrzawszy się dostrzegliśmy zmierzające w kierunku rzeki postacie. Słychać było pojedyncze strzały. Niedobitki oddziału Maksy myślały tylko o ucieczce do swoich. Spadło jeszcze parę pocisków z modzierz i strzelanina ucichła.

Nasłuchiwalimy w napięciu tych nowych odgłosów walki, ale na szczęście dochodziły one z bardzo daleka.

- Mam już tego dość - stwierdził stojący przy mnie Geoff Wingstead. - To wojna Sadiq. Niech już sobie dalej prowadzi. Ja tam wolałbym siedzieć znowu za kierownicą ciężarówki.

- A ja za swoim biurkiem - dodałem.

- Co do mnie, poczułbym się lepiej, gdyby był tu oddział wojska - oznajmił McGrath. - Sadiq nie ma w pobliżu, a tamci mogą jeszcze zaatakować most. Trzeba by się bronić.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - rzekłem. - Wystarczy, że straciliśmy już jednego człowieka.

- Niestety, jest więcej ofiar - owiadczył Wingstead.

- Kto jeszcze? - zapytałem.

Wskazał na grupę mężczyzn, stojących przy cysternie z wodą.

Byli tam: Harry Zimmerman, Brad Bishop oraz jeden z Rosjan.

- Ten drugi Rosjanin oberwał - wyjanił Wingstead. Podeszliśmy razem do Zimmermana, który przyglądał się smętnie, leżącym na ziemi, skulonym zwłokom.

- Przykro mi, przyjacielu - wyraziłem współczucie rodakowi zabitego, a potem zapytałem Zimmermana: - Który to był, Breżniew czy Kosygin?

Nigdy ich nie rozróżniałem.

Zimmerman westchnął.

- Nazywał się Andriej Tamanskij i pochodził z Rostowa nad Donem. Był naprawdę sympatycznym facetem.

Ostatnie dwie godziny przed witem upłynęły spokojnie. Dołączył do nas Sadiq i siedzieliśmy ukryci za pojazdami, oczekując poranka. Nie przypuszczaliśmy, żeby ludzie Maksy co knuli. Jedyne przejście przez rzekę było zablokowane, a zdecydowana akcja Sadiqa i naszych ludzi musiała osłabić ich wolę walki.

O wschodzie słońca nie dostrzegliśmy za mostem żadnego ruchu.

Wszędzie były ludy zniszczeń. Nadal tliła się wypalona rolnia, w miejscu obozowiska poniewierały się rozrzucone szczątki, a w rowie leżał wrak pierwszego Saracena. Znaleliśmy obok niego zwłoki trzech ludzi. Jeden zginął od kuli, a dwaj zmarli wskutek oparzeń.

W obozie wojskowym na wzgórzu było więcej zwłok, ale zajęli się już nimi żołnierze Sadiqa. Nie mieliśmy ochoty oglądać tego poboju.

Nasz ciężarówka zablokował wjazd na most, po którego drugiej stronie stał ukonnie do osi drogi przygnieciony do bariery Saracen.

Za nim nie było żadnych ludzi ani pojazdów.

- Co dalej, kapitanie? - zapytałem Sadiq.

Obserwował uważnie drugi brzeg rzeki przez lornetkę, trzymając ją w prawej ręce, gdyż lewą miał na temblaku. Przestał być nienagannie ubranym oficerem w wyprasowanych spodniach z kantem i lniścych butach. Swoją pastę do obuwia oddał McGrathowi, a mundur miał osmalony i wymięty.

- Zaczekamy godzinę albo dwie - oznajmił. Zauważyłem jego podkrążone oczy i zmarszczki wokół ust. - Jeli będzie nadal spokojnie, wylę za rzekę patrol.

- To ryzykowne.

- A czego spodziewa się pan na wojnie, panie Mannix?

- Dobrze wam wczoraj poszło, kapitanie. To była bardzo skuteczna operacja.

Pokiwał smętnie głową.

- Tak, wiele sobie poradziliśmy. Ale panowie także, zwłaszcza pan McGrath. Jest bardzo kompetentny. Bez niego mogło się nam nie udać.

Wiedziałem, że ma rację, ale nie chciałem się nad tym rozwodzić.

Mimo najszczerzych chęci nie byłem w stanie podziwiać McGratha. Ucieszyła mnie wiadomość, że Sadiq nie poniósł poważnych strat.

Gorzej było z nami.

Jeden z Rosjan zginął, a Lang odniósł poważne obrażenia i dok-



tor Kat właśnie go operował. Proctora kula drasnęła w nogę, a Kempa w ramię. Inni mieli rozmaite siniaki i skaleczenia. Okazało się jednak, że kogo brakuje. Po niedługich poszukiwaniach znaleźliśmy ciało Rona Jonesa. Pociski z broni maszynowej ugodziły go w głowę i żołądek.

22

Przed dziesięć Sadiq nie odważył się wjechać na most. Chciał najpierw usunąć ciśnień, aby w razie potrzeby móc przerzucić szybko żołnierzy na drugi brzeg, baliśmy się jednak obarczać kogośkolwiek tym zadaniem, nie mając pewności, na ile jest bezpieczne. Sadiq nie zaryzykował wysłania za rzekę patrolu. Zamierzał przede wszystkim dostać się najpierw przez most w czołgu typu Skorpion, co wymagało odwagi, gdyż nawet pojedynczy żołnierz piechoty uzbrojony w bazookę mógł stanowić dla niego zagrożenie. Kapitan zabrał ze sobą trzech ludzi: kierowcę, strzelca i radiooperatora, przykazując, by nikt nie ruszał się z miejsca, dopóki nie wróci albo nie wyle zaszyfrowanego sygnału, że mamy wolną drogę.

Wcześniej doprowadziliśmy do porządku obóz, naprawiając co się dało i ustalając, co należałoby zreperować w wolnej chwili. Na szczęście ludzie Maksy nie spowodowali poważniejszych szkód.

Mielimy rozbite dwie szyby w samochodach, a tu i ówdzie poniszczono różne przedmioty. Bishop i Bing, z pomocą innych, rozdzielali żywność, a na platformie pracowali nieustannie lekarze i pielę-

niarki.

Ciało Maxa Ottermanna znaleziono obok platformy. Miał kulę w plecach i dwa złamane żebra, prawdopodobnie z powodu upadku, choć przyczyną tych obrażeń mogły być również kopniaki. Jego śmierć wstrząsnęła nami. Wykopawszy przy drodze dół, zorganizowaliśmy zbiorowy pogrzeb. Rodezyjczyk Otterman, Amerykanin Burns, Roń Jones z Walii i Andriej Tamanskij z Rosji spoczęli we wspólnym grobie, dalimy jednak każdemu osobną tabliczkę.

W oddzielnej mogile pochowano dwóch ludzi Sadiqą i czterech rebeliantów - wszyscy byli w końcu Nyalańczykami.

Zarówno wstę niemowlę, jak i ciężko chora siostra Maria przeżyli noc. Dwójce lekarzy i pielęgniarkom dawało się jednak we znaki potworne napięcie. Pilnie należało odpowiedzieć na pytanie: co dalej?

Ku naszemu zdziwieniu o wicie mieliśmy gości.

Sandy Bing, niosąc w kierunku platformy wiadro z gorącą wodą, zatrzymał się nagle i zawołał:

- A niech mnie diabli, panie Wingstead! Proszę tylko spojrzeć!

W oddali zaczęły pojawiać się znowu niewielkie grupki milczących i jakby oniemionych Nyalańczyków. Były to głównie kobiety i dzieci, składające z szacunkiem i obawą hołd swemu ruchomeму talizmanowi. Niektórzy tubylcy rozmawiali z żołnierzami. Doktor Kat oraz dwie nyalańskie pielęgniarki podeszli do nich i wrócili z wiadomością, że większość ludzi uciekła na tyle daleko, żeby

nie znajdować się w rejonie walk, ale i na tyle blisko, by móc wrócić, gdy minie zagrożenie. Było to doprawdy zdumiewające.

- Możemy chyba zakładać, że tamci żołnierze się wycofali - stwierdził doktor Kat. - Tubylcy uważajś ich za złoczyńców i nie wróciliby tu, gdyby wróg był jeszcze w pobliżu.

- Ale skąd mogś wiedzieć, doktorze Kat, czy ludzi Maksy nie ma po drugiej stronie rzeki?

Lekarz umiechnął się, po raz pierwszy od długiego czasu.

- Nazywacie to chyba "ustnym przekazem informacji". Na-  
prawdę niele funkcjonuje. Zobaczy pan: kapitan wróci z wiadomo-  
ciś, że mamy wolnś drogę. Na razie zajmę się pracś. Przyprowa-  
dzono mi kobietę, która wczoraj złamała nogę.

Poszedłem obejrzeć spalony transporter. Byłem ciekaw, dlaczego zaczął płonś. Wóz pancerny to nie papierowa torba, żeby zapalał się od racy.

Łatwo znalelimy wyjanienie. Kiedy zaczęła się strzelanina, musiano włanie tankować paliwo do transportera i w popiechu kto zapomniał dokręcić korek baku. Gdy wypaliła rakietka, iskra wpadła zapewne prosto do zbiornika, wysadzajśc cały transporter w powietrze. Korek wlewu paliwa, zamocowany w sposób typowy dla wojskowych pojazdów, trzymał się nadal na zawiasach, ale wisiał zupełnie luno.

Czekało mnie jeszcze nieprzyjemne zadanie. Musiałem porozma-  
wiać w cztery oczy z McGrathem. Powiedziałem mu najpierw o Sa-

racenie. Umiechnął się z zadowoleniem.

- Mielimy cholerne szczęście - stwierdził. - Też nam się czasem należy.

- Wiesz, McGrath - rzekłem - dręczy mnie pewna sprawa.

- No to pogadajmy - owiadczył spokojnie.

- Powiedziały w magazynie, że Maksa zamierza żywcem nas tam spalić. Ale nigdzie w pobliżu nie znalazłem beczek z benzyną. Po tej stronie rzeki rebelianci nie zostawili w ogóle żadnych zapasów paliwa.

Nasza cysterna jest nadal zamknięta, a kluczy nikt nie zabrał.

- Cóż, może planowali zrobić to inaczej - odparł swobodnie.

- Nie zadzieraj ze mną, McGrath - ostrzegłem. - Naprawdę słyszały, że co takiego mówili?

- Och, na litość boską! - zachnął się, tracąc zwykłe opanowanie. - Musiałem co powiedzieć, żeby wami wstrząsnąć! Inaczej stalibyście tam dalej, godząc się z losem albo licząc na to, że przekonacie ich swoim gadaniem.

- Udało ci się uciec, byłeś uzbrojony i w miarę bezpieczny. Dlaczego, u diabła, zawracały sobie nami głowę?

- Gdybym uznał, Mannix, że dam radę przebrnąć sam przez ten parszywy kraj, na pewno bym to zrobił. Ale niestety, jesteście mi potrzebni. - Uzupełnił tę przepojoną egoizmem uwagę jeszcze bardziej szokującym stwierdzeniem. - Muszę przyznać, że morderca Ottermana była mi bardzo na rękę. Ta wiadomość naprawdę wszystkich poruszyła.

Poczułem do niego odrazę. Nagle przyszło mi do głowy jeszcze jedno straszliwe podejrzenie.

- McGrath, czy to ty zabiłeś Rona Jonesa?

Wydawał się bardziej rozbawiony niż przestraszony.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Dobrze wiesz. I miało doć czasu, żeby to zrobić. Na Boga, jak mogę ci wierzyć, nawet gdyby zaprzeczał.

- Nie może pan, Mannix, więc na pańskim miejscu przestałbym się tym zamartwiać. Mała strata, że zginął, ale go nie zabiłem.

Prawdę mówiąc, stanowił dla pana większe zagrożenie niż ja.

- Co masz na myśli? - zapytałem, zaintrygowany tą uwagą.

- Był z niego trochę mięczak, prawda? Paplał panu o sprawach, które powinien zachować dla siebie. To on widział, jak chował pan w magazynie strzelbę i powiedział o tym pułkownikowi. Sam sły-  
szałem.

Uwierzyłem mu natychmiast. Przypomniałem sobie przestraszony  
twarz Jonesa, który zareagował na pojawienie się w magazynie  
Maksy tak, jak reagował zawsze na obecność McGratha. Może  
obawiał się, że pułkownikowi sprawi przyjemność zdemaskowanie  
go przed nami. Przestałem żałować, że nie żyje, zauważając z nie-  
pokojem, iż jakby wbrew sobie usprawiedliwiam bezwzględność  
McGratha. Wymusił na nas podstępem zgodę na walkę i zabijanie,  
bo to potrafił robić najlepiej. Kierowały nim czysto egoistyczne  
pobudki. Nie miał żadnych skrupułów. Był jednak odważny, kom-

petentny i bardzo nam pomagał, a pewne okolicznoci mogły

usprawiedliwiać jego postępowanie.

Opuciłem McGratha w milczeniu. Nie miałem się nigdy dowiedzieć, czy zabił Rona Jonesa, ale co najgorsze wcale mnie to nie obchodziło. Odczuwałem pogardę dla siebie i dla niego, prosząc niebiosy, abym nie stał się podobny do tego człowieka.

McGrath był samotnikiem - inteligentnym, nieustraszonym i umiejścym prowadzić walkę. Wiedziałem, że podczas wojny może się bardzo przydać, ale w dzień po jej zakończeniu należałoby go bez litoci rozstrzelać. Była to cholernie szokujšca konkluzja.

Sadiq postanowił, że czas ruszyć w drogę.

- Panie Mannix - oznajmił - gdybym nie wrócił, mój sierżant ma przejść dowództwo. Żołnierze zostaną z panami, o ile kto wyższy rangš nie przekaze im osobicie innych rozkazów.

- Dziękuję - odparłem. - Życzę powodzenia.

Kapitan zasalutował, wspił się na czołg i zajęwszy miejsce dla dowódcy, zatrzasnął za sobą właz. Nie chciał ryzykować. Skorpion potoczył się powoli po mocie. Sadiq zakładał, że wrak Saracena nie powinien mu przeszkodzić, być może jednak będzie trzeba zepchnąć go na bok. Nie mylił się. Minšwszy transporter, Skorpion nabrał szybkości. Kierowca nie próbował nawet omijać rozrzuconych wszędzie zwłok. Przypomniałem sobie, jak mówiono mi kiedyś w Korei, że na polu bitwy nigdy nie należy udawać nieboszczyka, jeli w pobliżu sš czołgi.

Nie padł ani jeden strzał. Skorpion zjechał z mostu i zaczął piść się na pobliskie wzgórze, a potem skręcił w busz, znikajśc nam z oczu.

Czekaliśmy z nadziejš, że nie usłyszemy żadnych niepokojścych odgłosów. Dopiero godzinę póniej czołg wtoczył się z powrotem po zboczu w naszym kierunku. Sadiq, wyszedłszy z włazu, oznajmił:

- Nikogo tam nie ma. Wycofali się.

Żołnierze i cywile powitali tę wiadomość radosnymi okrzykami.

- Jak pan myli, dokšd mogli pojechać? - zapytał Wingstead.

- Pewnie dalej po szosie. - Nie była to dobra wiadomość, ponieważ my też się tam wybieraliśmy. - Znalelimy przy drodze dwa uszkodzone pojazdy - mówił dalej Sadiq - i wiele porzuconych mundurów.

Moim zdaniem Piętnasty Batalion przestał istnieć. Gonili już i tak resztkami sił, a walka z nami zupełnie ich wykończyła. Teraz, skoro mam pewność, że most jest w porzšdku, wylę na zwiad patrol.

Dopóki nie postanowimy, co robić dalej, moi ludzie zabezpieczš teren.

Tak więc następnym punktem programu była narada wojenna.

Sadiqowi zostało dwudziestu dwóch ludzi. Nasza ekipa liczyła szesnacie osób, a personel medyczny dziewięć, w tym trzy niewykwalifikowane pielęgniarki. Na platformie było piętnacioro Nyłańczyków, łšcznie z chorym dzieckiem i jego matkš. Dawało to w sumie grupę ponad szećdziesięciu ludzi, z których część wymagała opieki. Nie mogliśmy pozostać na miejscu ani zawrócić, nasuwał się więc oczywisty wniosek. Skoro nie wchodziła w grę podróż do Port Luard, należało jechać dalej w kierunku jeziora Pirie i szu-

kać ocalenia w Manzu.

Zaczynało brakować żywności i leków, kurczyły się też szybko zapasy paliwa. Jedynie wody było pod dostatkiem. Żołnierze mieli za mało amunicji, a wszystkie pociski do modzierz zostały już wystrzelone. Byliśmy obdarci, zmęczeni i pozbawieni wygod, panowały jednak optymistyczne nastroje.

Zakładaliśmy, że dotrzemy do Fort Pirie najpóźniej za trzy dni.

Mielimy jechać cały czas z góry, mijając po drodze liczne wioski.

Dyskutowaliśmy jeszcze, czy nie zostawić platformy, ale w innych pojazdach trzeba by wtedy ulokować zbyt wielu chorych. Ogromny talizman Nyalańczyków zaczął mieć także dla nas magiczne znaczenie. Skoro dojechalimy już tak daleko, powinniśmy pokonać i resztę drogi.

Kemp i Hammond poszli obejrzeć most. Obawiali się o jego stan, bo choć był solidnie zbudowany, mógł ucierpieć w czasie walk.

Stwierdzili, że powinien wytrzymać przejazd platformy, ale bez pasażerów. Trzeba więc było przenieść chorych na drugą stronę rzeki. Doktor Kat zlecił to zadanie siostrze Urszuli, która zabrała się do pracy z właściwą sobie energią. Przez resztę dnia niewiele mieliśmy czasu na odpoczynek. W końcu, wystawiwszy warty, położyliśmy się spać. Miała to być nasza ostatnia noc w obozie pod Markarš. O wicie zamierzaliśmy wyruszyć w drogę.

Kemp i Hammond kierowali platformą, McGrath odpowiadał za holujący ją ciągnik, a Thorpe i Bob Pitman obsługiwali ciężarówkę



z generatorami powietrza, zapewniając funkcjonowanie niezbędnych podnoników. Mielimy sporš widownię, gdyż powolny przejazd platformy wzbudził zainteresowanie tubylców. Saracena cišgnięto z mostu i wydobyto ze rodka okaleczone zwłoki. Gdy po pełnej napięcia godzinie platforma była już za rzekš, zaczęło się przenoszenie chorych na prowizorycznych noszach.

Wyruszyliśmy naprawdę dopiero pónym rankiem. Piętnasty Batalion zostawił nam w spadku sporo pojazdów i mielimy w czym wybierać. Pomimo ewentualnych problemów z paliwem, Sadiq nalegał, żeby zabrać ocalały transporter, porzuciliśmy natomiast kilka ciężarówek. Zostawiliśmy również rosyjskš cysterne, zabierajšc tylko samochód Dufoura, gdyż Francuz bardzo na to nalegał. Brad Bishop stwierdził, że kuchni polowej też moglibyśmy się pozbyć, bo i tak nie ma czego gotować, ale nie mówił tego serio.

Ranny w ramię Kemp, przesiadłszy się z platformy do Land Rovera, był teraz z Wingsteadem i ze mnš. Atheridge i Dufour jechali razem. Zbliżyły ich do siebie cierpienia, jakich doznali wspólnie z ršk ludzi Maksy. Harry Zimmerman i Wasilij Kirilenko także się zaprzyjaniłi. Od mierci jednego z Rosjan zapomniano o nadanych im przydomkach.

- Ben Hammond może poprowadzić konwój - oznajmił Wingstead. - Jedmy naprzód. Musimy porozmawiać na temat McGratha. Myle, że jest psychopatš. Neil, ostatnio przebywał najczęściej z tobš. Co o nim mylisz?

- To pozbawiony skrupułów drań - wtrścił się Kemp. - I ja go zatrudniłem. Jeli uważacie, że popełniłem błąd, nie milczcie, na litość boską!

- Nie bierz tego do siebie - rzekł Wingstead. - Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie miałe tak cholernie dobrego kierowcy. Potrafi dokonywać cudów z tym ciężnikiem.

- Amen - podsumowałem.

Kemp nadal się usprawiedliwiał.

- Cóż, wiedziałem o tym. Musiałem go przyjąć, Geoff. Potrzebowaliśmy do tej pracy najlepszych ludzi. Ale jego papiery nie były w porządku. Dałem ogłoszenie; że poszukujemy kierowców wielkich ciężarówek i wtedy się zjawił. Znał się na tej robocie i miał potrzebne zawiadzenia, co mi jednak nie pasowało. Myle, że używa fałszywego paszportu.

Kemp zdołał dojść samodzielnie do bardzo ciekawych wniosków. Powiedziałem im, co wiem, przedstawiając fakty i domysły. Gdy skończyłem, zaległo na chwilę milczenie.

- On zabił Sisleya? - odezwał się w końcu Kemp, - Po co miałby to robić?

- Bo rozwiązuje problemy tylko w jeden sposób: stosując przemoc. Myle, że to ukrywający się irlandzki terrorysta. Jest niebezpieczny. A wygląda na dobrodusznego Irlandczyka prosto z bagien. Stara się sprawiać takie wrażenie.

- Mylisz, że mógł zabić również Burke'a? - zapytał Wingstead.

- Nie tak, jak opowiadał Jones.

- Jego mierć też wydaje ci się podejrzana.

- To tylko domysły. Ale Sisley został zastrzelony w obecności czterech ludzi. Burkę uciekł i zapewne już nie żyje. Jones zginął.

Lang jest ciężko ranny, ale dzięki Bogu, wiem na pewno, że to nie sprawka McGratha. Zostaje jeszcze Bob Pitman i na jego miejscu byłbym teraz bardzo ostrożny. Jeli o cokolwiek McGratha podejrzewamy, proponuję zachować to w tajemnicy, bo możemy mieć poważne kłopoty.

Zajęliśmy się planami na przyszłość.

- W Manzu, tuż za granicą, jest dość duże miasto, Batanda - oznajmił Wingstead. - Nie znalazłem nikogo, kto je zna, ale sytuacja w całym kraju wydaje się względnie stabilna. Z Batandy musi prowadzić droga do jeziora Pirie, ponieważ w tym rejonie kwitnie handel. Jeli dostaniemy się na prom do Manzu i dotrzemy do Batandy, powinniśmy być bezpieczni.

- Jak wygląda Fort Pirie? - zapytał Kemp.

- Jest podobny do Makary. Nic szczególnego. Możliwe, że toczyły się w nim walki, więc nie wiadomo, co tam zastaniemy.

- Jakie plany ma Sadiq? - pytał dalej Kemp.

- Będzie nas eskortował aż do Fort Pirie i pomoże nam przeprawić się przez jezioro, gdyby droga do Lasulu nie była wolna. Sam, oczywiście, nie wsiądzie na prom. Zostanie z ludmi we własnym kraju. Ale myślę, że nasz wyjazd sprawi mu ulgę.

- Na pewno nie większ niż mnie - oznajmił z pełnym przekonaniem Kemp.

Zostawiwszy za sobą obszar buszu zagłębiliśmy się w lasy tropikalne, przytłaczajšce masš zieleni. Bujna rolinnoć niszczyła nawierzchnię drogi, korzenie przebijały się przez asfalt. Rosnšce przyszosie drzewa były bardzo wysokie, a ich gałęzie tworzyły w górze łukowate sklepienie, przypominało to więc jazdę w tunelu. Widzielimy więcej ptaków, ale nie było w ogóle, pojawiajšcej się przedtem z rzadka, zwierzyny.

Zanim Maro Ofanwe uzdrowił sytuację w kraju, miejsce tej drogi zajmował leny trakt, tak wšski, że na dystansie wielu kilometrów nie mogły się tam minšć dwa samochody. W poniedziałki, rody i pištki ruch odbywał się w jednym kierunku, a we wtorki, czwartki i soboty - w drugim. W niedzielę należało siedzieć w domu, albo podróżowało się z duszš na ramieniu. W Nyali było jeszcze wiele takich dróg.

Od czasu do czasu natrafialimy na wydartš dzungli polanę, gdzie stało zwykle kilka prymitywnych chat, skupionych wokół budynku magazynu. Były to składy bawełny, kawy i ziarna kakao-wego z wyršbanych w lesie plantacji. Mieszkali tam ludzie, brakowało jednak żywnoci i towarów, prawie nikt nie mówił też po angielsku. Próbowaliśmy się czego dowiedzieć, ale tubylcy nie byli w stanie udzielić nam rzeczowych informacji.

Napotkalimy ze dwie większe wioski, w których udało nam się

opróżnić zbiorniki i dystrybutory z zapasów paliwa. Fakt, że było ono dostępne, stanowił dobry znak. Wynikało z tego, iż na szosie nie ma dużego ruchu. Zdobyliśmy też wystarczającą ilość jedzenia, które okazało się jednak wyjątkowo niesmaczne. Ciśgle otaczał nas tłum Nyalańczyków. Raz było ich więcej, raz mniej, gdyż tubylcy przyłączali się do procesji, szli z nami kilka kilometrów, a potem zostawali po drodze, zastępowani przez innych. W sumie jednak ich liczba rosła. Sadiq twierdził, że towarzyszy nam już kilkaset osób. Ciśgnęli nieubłaganie naprzód, jak chmara szarańczy, powodując w okolicy nie mniej katastrofalne spustoszenia niż owe grone szkodniki. Nie mogliśmy temu zaradzić.

Przez dwa dni nie wydarzyło się nic szczególnego. Tylko Lang był w coraz gorszym stanie, a jeden z żołnierzy zmarł z powodu odniesionych ran. Siostra Urszula opiekowała się wszystkimi z poświęceniem, sprawdzając regularnie, czy jesteśmy zdrowi i zmuszając nas do zachowywania w czystości całego ciała. Gdyby mogła, dałaby każdemu rodki na przeczyszczenie.

Margretta Marriot także robiła obchód, zmieniając opatrunki i pilnując, by u chorych nie doszło do infekcji. Poza pielęgnowaniem pacjentów nie miała teraz na platformie innych zajęć, przesiadała się więc z niej czasem do któregoś z samochodów. Pomyślałem, że musiała być zawsze bardzo oschła. Teraz, ogarnięta głęboką rozpaczą, tylko w pracy znajdowała pociechę. Siostra Urszula, choć despotyczna, stanowiła przyjemniejsze towarzystwo.

Rankiem trzeciego dnia zwiadowcy Sadiq wrócili z wiadomości, że dotarli do rzeki Katali i widzieli lnińce w słońcu jezioro Pirie. Znajdowało się zaledwie dwie godziny jazdy od miejsca naszego postoju. Podniosło nas to na duchu. Cokolwiek miało się tam zdarzyć, docieraliśmy do kolejnego celu podróży bez uszczerbku dla konwoju.

Przez większą część poprzedniego dnia jechałem z Samem Wilsonem w kabinie cysterny z wodą; w Land Roverze siedziało się stosunkowo najwygodniej, więc zajmowaliśmy w nim miejsca na zmianę. Kiedy Sadiq przysłał po mnie kuriera, byłem właśnie z Thorpem w ciężarówce z narzędziami.

- Jadę naprzód, panie Mannix - oznajmił kapitan. - Chcę sam zobaczyć, jak wygląda sytuacja. W wiosce przed nami jest stacja benzynowa. Czy pan i pan Kemp możecie pojechać za mną i rzucić na nią okiem?

- Harry Zimmerman wspominał, że jego firma ma w tej okolicy skład paliwa - powiedziałem. - Powinien zabrać się z nami. Zimmerman, Kemp i ja ruszyliśmy w ład za żołnierzami, zadowoleni z tego, że możemy oderwać się od konwoju. Wkrótce ujrzeliśmy upragniony widok: przewitując między drzewami ciemnozieloną płaszczyznę. Droga prowadziła w dół, na brzeg dużego jeziora. Po niekończącej się wędrówce przez busz i las, jego obraz zdumiewał i działał niewiarygodnie kojąco. Rozpocierała się przed nami spokojna tafla wody, lnińce w blasku słońca.

Nacieszywszy oczy tym krajobrazem, pojechalimy jeszcze kilka kilometrów wzdłuż brzegu jeziora i dotarlimy w końcu do jako tako cywilizowanego miejsca. Była to przydrożna stacja paliw z dużym, wypłowiełym szyldem firmy Lat-Am. Zajmowano się tam najwyraźniej dystrybucją benzyny i ropy. Z tyłu zauważyliśmy obszerny, ogrodzony plac, na którym stały stosy beczek. Domylałem się, że przywożone cysternami paliwo było przetaczane do podziemnych zbiorników, a następnie tankowane do beczek, w których sprzedawano je plantatorom i farmerom.

W takim miejscu najprędzej mogliśmy spotkać kogo, kto mówił po angielsku. Przeklinałem mój brak przezornoci, bo trzeba było zabrać ze sobą tłumacza. Okazało się to jednak zbędne.

Początkowo nikogo nie dostrzegliśmy. Panowała też niemal kompletna cisza. Słyszeć było tylko pompę przy studni, dziobiące ziemię chude kurczęta i jednostajne kwilenie jakiego dzikiego ptaka. Spojrzawszy z namysłem na kurczaki, nacisnąłem klakson. Rozpierzchnęły się, ale nie uciekły daleko. Były przyzwyczajone do samochodów. Z jednego z konarów poderwał się leniwie nosoróg i przysiadł na sąsiednim drzewie. Przekrzywiwszy głowę spoglądał w dół podobnymi do paciorków oczami, zachowując tak samo obojętność jak kurczęta. Dopiero gdy zatrząbiłem po raz szósty, w domku za dystrybutorami paliwa otworzyły się drzwi i przez szparę wyjrzała ostrożnie niada twarz.

Nieraz już tubylcy traktowali nas z rezerwą, o co nie mogliśmy

mieć do nich pretensji, ale widok cywilnego samochodu i cywilnych ubrań powinien był tego człowieka uspokoić.

- Dzień dobry! - zawołałem wesoło. - Czy stacja jest czynna?

Drzwi otworzyły się szerzej i z cienia wyszedł jaki Nyalańczyk.

Miał na sobie zużyty kombinezon z wydrukowanym napisem "Lat-

Am" - namiastkę służbowego uniformu, noszonego przez pracow-

ników co lepszych stacji benzynowych.

- Zamknięte - oznajmił. - Nie ma klient.

Wysiadłem z samochodu w poranną spiekotę.

- Włanie potrzebuję paliwa - oznajmiłem, a zobaczywszy

przez otwarte drzwi wymalowany na lodówce znajomy czerwony

napis, zapytałem: - Masz tam zimną Coca-Colę?

- Ile dać? - zapytał ostrożnie.

- Wypiłbym dwie. Po dwie na głowę - razem sześć. Zapłacę. -

Wyciągnąłem garść monet, zastanawiając się, jak działa u tego faceta

lodówka. Pomyślał chwilę, po czym wszedł do rodka i przyniósł

cudownie chłodną colę w wąskich butelkach, których używano nadal

w tym rejonie wiatu. - Spokojnie tu, prawda? - zapytałem, wypiwszy

jednym haustem połowę zawartości pierwszej butelki.

Nyalańczyk wzruszył ramionami.

- Ie się dzieć. Przyjć kłopoty i ludzie już nie przyjeżdżać.

- Kłopoty to znaczy wojna?

Pokręcił głową.

- Ja nie wiedzieć, czy wojna. Ale być dużo żołnierza.



- Żołnierze? - zaniepokoił się Kemp. - Gdzie? Tutaj? - Zupełnie nic na to nie wskazywało. Po chwili nasz nieoceniony informator wydusił z siebie kolejną rewelację.

- Nie tu. Oni być w Fort Pirie.

Wciśnięciem głęboko powietrze. Jeli to byli rebelianci, ich obecność w Fort Pirie mogła oznaczać poważne problemy. Zastanawiałem się, jak radzi sobie Sadiq.

- Czy były tu jakie walki? - zapytał Kemp.

- Tutaj nie - odparł Nyalańczyk, potrząsając głową.

- Więc gdzie?

Odpowiedział znów wzruszeniem ramion.

- Gdzie indziej. Nie wiem.

Wydobywanie z niego informacji przypominało wyrywanie obcęgami zębów. Dopijałem w milczeniu colę, starając się opanować niecierpliwienie. Nieoczekiwanie Nyalańczyk zaczął sam mówić dalej.

- Z Fort Pirie przyjechać dwa dni temu dwa czołgi. Potem tam wrócić. Nic nie kupować.

- Grozili ci? To znaczy, czy to byli li ludzie?

- Chyba nie tacy li. Rzśdowi.

Mógł się mylić, ale brzmiało to już nieco lepiej. Przynajmniej nie niszczyli wszystkiego, jak ci, których napotkalimy ostatnio.

Nyalańczyk wszedł nagle do swojego kantoru i wróciwszy z kolejną otwartą butelką coli zaczął z niej popijać. Zrozumiałem, co to

znaczy. Musiał uznać, że nie stanowimy dla niego zagrożenia i zrezygnowawszy z nadmiernej czujności, postanowił napić się z nami.

Byłem ciekaw, ile butelek opróżnił w ten sposób i jak to później rozliczał. Jeszcze go wtedy nie znałem.

- Żołnierze być tu pół godziny temu - cišgnšł dalej. - Niewielu.

Pojechać tam. Jechać tam też dzi rano, a potem wracać. Tutaj nie stawać.

Wskazywał rękš w kierunku rzeki. Zrozumiałem, że mówi o Sadiqu, ale nie miałem szczególnej ochoty wyjaniać mu naszych powišzań z armiš. Wymieniliśmy jeszcze parę ogólnych uwag, po czym, zauważywszy przewody poprowadzone do kantoru od słupa po drugiej stronie drogi, zapytałem:

- Czy moglibyśmy skorzystać z telefonu?

- On nie działać. Głucha linia.

Można się było tego spodziewać.

- Pewnie wszystko przez wojnę - stwierdziłem. - A co z radiem?

- Grać muzyka taneczna - odparł. - Długi czas tylko muzyka.

Czasem nic. - Uznawszy, że pora też się czego dowiedzieć, zapytał: - Wy panowie skšd?

- Jedziemy z Kodowy.

- Człowiek mówić, że Kodowy już nie być. Zburzona i spalona.

To prawda?

- Tak. Ale Makara ocalała. Czy Fort Pirie zbombardowano?

Teraz już wymienialimy informacje.

- Tam nie spadać bomby - wyjaśnił Nyalańczyk. - Człowiek mówić, że tam nikt nie walczyć, tylko dużo żołnierzy. Wy dokąd jechać?

- Do Fort Pirie - odparłem. - O ile jest tam bezpiecznie. Jedzie z nami większa grupa ludzi, mężczyzn i kobiet. Jestemy cywilami.

- Białe kobiety? - zapytał z niepokojem. - Bardzo le. Powinny być w miecie. Tutaj niebezpiecznie. - Wydawał się szczerze zaskany.

- Uwierz mi, przyjacielu, że one niczego bardziej nie pragnę, niż powrotu do miasta - zapewniłem go. - Pojedziemy powiedzieć naszym ludziom, że nic im tu nie grozi. Wracając chcielibyśmy kupić paliwo, dobrze?

- Ja nie sprzedawać paliwo.

- Przepraszam, miałem na myśli benzynę. Interesuj się nas też inne rzeczy, którymi handlujesz. A przy okazji, ile jest jeszcze w lodówce butelek coli?

- Dużo. Dwadzieścia, może dwadzieścia cztery.

- Biorę wszystkie. Daj nam jakie pudło, a gdyby znalazł tej coli więcej, niech się chłodzi. Kupimy już od ciebie, jak tu wrócimy.

Wydawał się tym zaskoczony, ale wcale nie odmawiał współpracy, zwłaszcza że od razu pokazałem mu pieniądze.

- Dużo ludzi tu mieszka? - zapytał Kemp. - Moglibyśmy dostać żywność dla naszej ekipy?

Nyalańczyk musiał chwilę pomyleć, zanim odpowiedział:

- Ludzi mało. Wiele uciec, bo wojna, ale chyba wy móc dostać jedzenie.

Kemp zauważył kurczaki, dostrzegł też znajdujące się za kantonem niewielkie pole kukurydzy. Mimo że jego umysł zaprzętało głównie mylenie o paliwie, stanie drogi i podobnych technicznych detalach, znalazł chwilę, aby zatroszczyć się o nasze puste żołądki.

Obsługujący stację Nyalańczyk przyniósł w kartonie około dwudziestu wyjętych z lodówki butelek. Przyjawszy z powagą pieniądze, przeliczył je i wsadził do niewielkiej kasy. Zimmerman, który przez cały czas milczał, przyglądał się z zainteresowaniem, jak tamten napełnia bak naszego wozu i znów kasuje należność. Kiedy odjeżdżaliśmy, Harry stwierdził:

- To solidny gość. Dobrze wiedzieć. Pracuje przecież w mojej firmie. Musimy być wobec niego uczciwi, kiedy wrócimy tu z konwojem.

Zatrudniony w spółce Lat-Am Zimmerman traktował stację niemal jak swoją własność.

- Nie martw się, Harry - powiedziałem do niego, czując wpływ nieuzasadnionego optymizmu. - Obiecuję, że go nie orzniemy. - Poklepałem pudło z butelkami coli. - To poprawi ludziom humor, prawda? Mam przeczucie, że od tej chwili pójdzie nam już łatwo.

Trochę się jednak myliłem.

Nasz powrót z wiadomościami i chłodnš jeszcze colš powitano w obozie pojedynczymi okrzykami radoci. Geoff Wingstead postanowił, że jeli w cišgu godziny nie otrzymamy od Sadiqą nowych informacji, podjedzie platformš až do stacji, żeby nie tracić cennego czasu. Zaproponowałem, by zlecił to zadanie Kempowi i wybrał się ze mnš na kolejny rekonesans. Chciałem sprawdzić parę rzeczy.

Zgodził się, wyruszyliśmy więc w drogę, zabierajšc jeszcze do Land Rovera Zimmermana i Bena Hammonda, którego na tak ławnej trasie mógł zastšpić Proctor. Minšłem tym razem stację benzynowš i pojechalimy dalej. Gęsty las stopniowo rzedniał i w końcu między szosš a lnišcym w słońcu lustrem wody rosły juź tylko pojedyncze drzewa. Kiedy jezioro Pirie stało się wyranie widoczne, zjechałem na bok i zatrzymałem samochód. W tym miejscu miało ono około omiu kilometrów szerokoci, a na prawo od nas jeszcze bardziej się rozlewało. Słyszeliśmy, że prom pokonywał odległość około trzech kilometrów. Z przystani widać było podobno drugi brzeg, nie wiedziałem jednak, jak daleko znajduje się ona od szosy. Miejscowe mapy nie grzeszyły dokładnociš, o czym często mieliśmy juź okazję się przekonać.

- Nie wyglšda mi to na rzekę - stwierdził Wingstead.

Anglik, dla którego Tamiza była "matkš wód", rzeczywiście mógł mieć takie zdanie, ale przypomniawszy sobie Missisipi umiechnšłem się w duchu.

- To odcinek rzeki Katali - wyjanilem. - Nie powinni go nazywać jeziorem. Raczej rozlewiskiem.

Było to faktycznie długie rozlewisko. Koryto rzeki rozszerzało się w pewnym miejscu, a po czterdziestu paru kilometrach gwałtownie zwężało. W warunkach afrykańskich taki zbiornik wodny mógł uchodzić za sadzawkę, zajmował jednak całkiem rozległy obszar.

- Szkoda, że ten szlak nie nadaje się do żeglugi, jak większość europejskich rzek - stwierdził Kemp, myślący nieustannie o problemach transportu.

- Tak jest prawie w całej Afryce - odrzekłem. - Wszędzie pełno wodospadów, katarakt, mielizn, skał i krokodyli, które nie są zbyt przyjazne nastawione.

immerman zamięł się głono. Posiedziawszy przez jakiś czas, usłyszeliśmy warkot silnika i zobaczyliśmy po chwili, że od strony rzeki zmierza w naszym kierunku Saracen. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że to ludzie Sadiqa. Na szczęście tak było. Pomachało do nas dwóch żołnierzy. Transporter podjechał bliżej i stanął.

- Szukaliśmy pana, sir - oznajmił jeden z mężczyzn. - Trzeba zatrzymać konwój.

- Co się stało?

Przywozili nam złe nowiny. Przystań promu, która znajdowała się o jakieś pięć kilometrów w dół rzeki, i prowadząca do niej droga opanowali rebelianci. Była to niewielka jednostka, mająca zapewne strzec przeprawy. Prom w ogóle nie kursował. To wszy-

stko Sadiq zdołał zaobserwować z daleka. Dzięki umiejętnościom Binga podsłuchał także prowadzone przez radio rozmowy, których treść okazała się dla nas jeszcze bardziej niepokojąca. Najwyraźniej Kigonde nie wyjawiał mu całej prawdy. Opozycja była silniejsza niż przypuszczaliśmy. Wielu żołnierzy zdezerterowało i rebelianci kontrolowali okolice Fort Pirie, a może nawet obszar aż do Lasulu. To, co powiedzieli nam ludzie Sadiq, skłaniało do wstąpienia, czy buntowników nie należałoby już nazywać zbrojnym ramieniem nowego rządu. Z Port Luard nie docierały żadne informacje. Nie było wiadomo, po czyjej stronie walczy lotnictwo, bez względu jednak na to, kogo popierali początkowo jego dowódcy, przyłączył się w końcu do zwycięzców.

- Dziękuję za wiadomości - powiedziałem, choć wcale nie byłem za nie wdzięczny. - Proszę przekazać kapitanowi Sadiqowi, że konwój podjedzie tylko do stacji benzynowej. Zaczekamy tam na dalsze instrukcje.

Sadiq uznałby pewnie, że i tak zbliżamy się niebezpiecznie do wroga. Saracen zawrócił i my także ruszyliśmy z powrotem, zmierzając z posępными minami w kierunku stacji benzynowej.

- Chryste, czy musi nas ciągle przeladować pech? - odezwał się Wingstead. Nie popadał zwykle w depresję i miałem nadzieję, że jest po prostu przemęczony.

- Dlaczego to nie są oddziały rządowe? - zapytał rozżalonym tonem immerman.

- Mylisz, że to by wiele zmieniło? Podczas wojny domowej obcokrajowcy powinni unikać wszelkich kontaktów z wojskiem. Takich sukinsynów jak Maksa nie brakuje po obu stronach. Gdy dotarlimy do stacji, wjechałem za domek, aby Land Rover nie był widoczny z drogi. Nyalańczyk wyskoczył z kantoru, okazując niezadowolenie, ale zobaczywszy nas uspokoił się.

- Ja chłodzić jeszcze colę, jak pan powiedziec - obwiecił z dumą.

- Wiesz, przyjacielu, że możesz wkrótce mieć kłopoty, o których rozmawialimy? Na przystani promu są żołnierze, nie nastawieni przyjaźnie do twojego rządu.

immerman, Kemp i Hammond wysiedli z samochodu, dołączając do mnie.

- Chcielibyśmy się tu rozejrzeć - owiadczyłem. - Mylę, że to nie koniec kłopotów. Wojna może dotrzeć i tutaj. Na twoim miejscu poradziłbym mieszkańcom wioski, żeby się stąd wynieśli, dopóki nie będzie po wszystkim. To dotyczy także ciebie.

- Inni ludzie już uciec - powiedział Nyalańczyk. - Ale ja nie.

- Dlaczego?

- Jak ja wyjechać, pan Obukwe mnie zabić - oznajmił z przekonaniem.

- Kto to jest?

- Mój szef z Fort Pirie.

Pomyślałem, że z pana Obukwe musi być grony facet, skoro potrafił wpoić swoim pracownikom takie poczucie lojalności wobec



firmy. Umiechnšłem się znaczšco do Harry'ego Zimmermana, który podszedł bliżej i zapytał Nyalańczyka:

- Jak się nazywasz?

- Sam Kironji - odparł tamten po namyle. immerman wyciśgnął rękę.

- Miło mi cię poznać, Sam. Jestem Harry immerman. Mów mi Harry. Pracuję w firmie Lat-Am, tak jak ty. Spójrz.

Otworzywszy portfel pokazał mu plastikowš plakietkę. Kironji był zachwycony.

- Bardzo dobrze, że ty przyjechać. Ty powiedzieć panu Obukwe, że ja nie mieć żaden handel. Ja sprzedawać tylko Coca-Cola.

- Jasne, że mu powiem. Ale jeli chcesz stšd wyjechać, Sam, zrób to. Neil ma rację, może tu być goršco.

Kironji zastanawiał się chwilę, po czym odparł z promiennym umiechem:

- Ja tu zostać. To moje miejsce, ja się nim zajmować. I nie bać się żołnierzy, jak tamci. - Machnął pogardliwie rękš, wyrażajšc swoje zdanie na temat ludzi, którzy uciekli z wioski. -Jak wy chceć colę, inne towary, może ja je mieć.

- Pewnie - odparłem. - Potrzebujemy coli, żywnoci i wielu innych rzeczy. Wkrótce przyjadš tu nasze ciężarówki, więc będziemy musieli kupić mnóstwo benzyny. - Pomylałem, że pewnie więcej, niż sprzedaje jej normalnie w cišgu całego roku. Wskazałem rękš na odchodžscy od szosy trakt o utwardzonej nawierzchni. - Po-

wiedz mi, Sam, dokąd prowadzi ta droga?

- Do rzeki.

- Przecież rzeka jest bardzo blisko.

- Tam dalej być magazyn - wyjanił, machając ręką w nieokreślonym kierunku.

- Jak daleko stąd?

- Niedaleko. Może pół godziny marszu.

- Pojedziemy się tam rozejrzeć - oznajmiłem. - Gdyby zjawili się tu jacy biali ludzie, powiedz im, żeby na nas poczekali.

- Chwileczkę! - zaprotestował. - To własność firmy. Nie wolno tam jechać!

Spojrzałem na niego rozbawiony, zastanawiając się, czy spółka Lat-Am wie, jaki ma skarb.

Harry musiał przyjąć mi z pomocą. Przekonał go, że załatwimy sprawy firmy i Kironji w końcu ustąpił.

Droga miała lepszą nawierzchnię niż się spodziewałem i najwyraźniej często z niej korzystano. Pojawiające się tu i ówdzie koleiny zasypywano żużlem. Robiono to solidnie. Zapewne pan Obukwe ze spółki Lat-Am Oil potrzebował tej drogi. Zastanawiałimy się, po co.

Nie była ona szczególnie szeroka: umożliwiała przejazd przez las dużej ciężarówki. Z prawej strony drzewa tworzyły zwarty gęszcz, natomiast z lewej przewitywało między nimi lustro wody. Najwidoczniej musiano ciśnień odrzucać wyrastające nad drogę pnie

i gałęzie. Na drzewach były zablinitone lady siekiery i wieże nacięcia, z których sšczyła się jeszcze żywica.

Droga biegła w kierunku jeziora, równolegle do głównej szosy.

Wyjechawszy na polanę zobaczyliśmy skrzšć się w promieniach słońca tafłę wody i jeszcze jeden ogrodzony plac z mnóstwem beczek. Była tam również prymitywnie skonstruowana przystań.

Umocowany do pustych beczek po paliwie drewniany pomost tworzył co w rodzaju pływajšcego moła o szerokoci trzech metrów i długoci dwudziestu czterech.

Zobaczyliśmy nawet łód, która nie wydawała się specjalnie godna uwagi. Była to niewielka, długa na kilka metrów motorówka z doczepionym silnikiem. Wszedłem na kołyszšcy się z lekka pomost, aby jš dokładniej obejrzeć. Miała juź swoje lata i trochę przeciekała, ale silnik był chyba w dobrym stanie. Przeniosłem wzrok na jezioro.

Miało ono w tym miejscu około szeciu kilometrów szerokoci.

Zdawało mi się, że widzę przez lornetkę drugi brzeg i wstęgę prowadzšcej w głšb lšdu drogi. Biegła juź na terytorium Manzu, kraju upragnionego jak raj, bo nie ogarniętego wojnš domowš. Dla nas był on jednak równie odległy jak druga strona Księżycy. Na ironię zakrawał fakt, że gdyby nie troska o innych, wszyscy czterej moglibyśmy w krótkim czasie przepłynšć bezpiecznie przez jezioro.

- Piękny widok - mruknł Wingstead, przejšwszy ode mnie

lornetkę. Najwyraniej myślał to samo, co ja. \*

Wróciłem na polanę. Rozumiałem już teraz, dlaczego do rzeki jest tak dobry dojazd. Paliwo dostarczano tu - i do innych położonych wzdłuż brzegu składów - drogą wodną, prawdopodobnie z Fort Pirie. Łatwiej było to zorganizować niż transport łądowy, zwłaszcza gdy przewoziło się wszystko w beczkach.

W pobliżu stała zamknięta drewniana szopa. Zglądając przez szpary między deskami zobaczyliśmy, że jest w niej warsztat i skład narzędzi. Wyglądało na to, że dokonywano tam regularnie jakichś napraw, choć wewnątrz panował idealny porządek. Przeszedłszy obok przystani, zacząłem obchodzić wokół ogrodzony teren. Natrafiłem na zamkniętą furtkę, za którą była kryta palmowymi liśćmi chata. Przemknęło mi przez myśl, że na przestronnej polanie można ukryć platformę i resztę konwoju. Dojazd tam był trudny, ale nauczyłem się już od Kempa wystarczająco dużo, by ocenić, że droga wytrzymałaby takie obciążenie. Wingstead przyznał mi rację.

- To niezły pomysł - stwierdził, wysłuchawszy mojej propozycji. - Będziemy już tylko o krok od celu naszej podróży.

Na drugim brzegu dostrzegaliśmy jakieś zabudowania. Znajdowała się tam zapewne przystań promu. Nie widzieliśmy nigdzie pływających łodzi. Może jezioro Pirie nie należało po prostu do ruchliwych miejsc, a może przyczyną zastoju był wybuch wojny.

Wróciwszy na stację poprosiliśmy Kironji, aby załadował cołą i inne rzeczy do naszego samochodu. Jego kantor nie był właściwie sklepem, miał tam jednak na sprzedaż trochę konserw i narzędzi,

które mogły okazać się przydatne. Dysponował też niewielką apteczką, nie zawierała ona jednak nic godnego uwagi. Gdy Kironji zamykał lodówkę, wyjśwszy z niej ostatnie butelki coli, zobaczyłem że jest tam co jeszcze.

- Masz piwo, Sam? - zapytałem.

- Tylko dla siebie - odparł, zatraskując zdecydowanie wieko chłodziarki.

- W porządku, nie gorączkuj się - rzekłem, po czym pomyślałem sobie, że w taki upał brzmi to idiotycznie i machinalnie otarłem pot z czoła. Kironji spojrzał na mnie, zawahał się i po chwili zapytał:

- Pan chce piwo?

- Byłby aniołem, Sam - odparłem.

Umiechnął się i podał mi zimną puszkę.

- Ja mieć kilka - oznajmił. - Dać tylko panu i kolegom. Ja ich nie sprzedawać.

Piwo smakowało wspaniale. Nasze już dawno się skończyło.

Pijąc rozglądałem się wokół. Wnętrze kantoru było czyste i schludne. Stanowiło ono połączenie biura i sklepu. Na stelażach wisiało kilka opon, a na półkach leżały części zamienne. Pomyślałem, że Hammond mógłby znaleźć wśród nich co dla siebie.

W istocie już wcześniej się tam rozglądał. Drzwi z tyłu sklepu prowadziły do mieszkania Kironji. Był kawalerem i wolał mieszkać w miejscu pracy, zapewne po to, by strzec bezcennego mienia spółki

Lat-Am. Miał tu również skład narzędzi i niewielki warsztat.

- Czy sam wszystko naprawiasz? - zapytałem.

- Ja mieć dużo narzędzi, sir, i dobre wykszolenie - odrzekł. -

Ale ja pracować głównie koło jeziora.

Mówił o szopie, którą tam widzieliśmy. Miecił się w niej znakomicie wyposażony warsztat, umożliwiając naprawianie zarówno łodzi, jak i pojazdów.

- Czyja jest ta motorówka? - spytałem.

- Moja - wyjął. - Ja czasem łowić ryby.

- Chciałbym ją wynająć. Muszę rozejrzeć się po jeziorze.

Pokręcił głową na moje zachcianki, ale zgodził się wypożyczyć mi łód, dopisując zaraz uzgodnioną cenę do coraz wyższego rachunku. Był skrupulatny co do grosza, i wtedy gdy chodziło o finanse firmy, i w prywatnych rozliczeniach.

Wingstead nie ukrywał zachwytu, gdy dołączywszy do nas dostał od Kironji puszkę piwa. Opróżnił ją dwoma haustami.

- Panowie mówić, że za wami idą inni ludzie - powiedział Nyalańczyk. - Co wy tu robicie?

- Wielimy do Bir Oassa wyposażenie dla pól naftowych - wyjął Wingstead. - Wybuchła wojna, więc musimy zawrócić.

Teraz próbujemy dostać się z powrotem do Lasulu. - Nie wspominał ani słowem o planach dotarcia przez granicę do Manzu.

Kironji zastanawiał się chwilę, po czym spytał:

- Wy znacie ten szpital?

- Jaki szpital? - odrzekłem, sǔdzǔc, że musi się on znajdować gdzie w pobliżu. Odpowied Nyalańczyka potwierdziła jednak tylko raz jeszcze, jak skutecznie rozchodź się przekazywane z ust do ust informacje.

- Ja słyszeć, że on jechać. Wielka ciężarówka, dużo chorych ludzi. Inni ić za niś, przez cały kraj.

- Dobry Boże! - zawołał Wingstead. - Nasza platforma robi się sławna! Skoro Sam o niej słyszał, pewnie wieźś już wszyscy. Wst-  
pię, czy jest się z czego cieszyć.

- Wieziemy pacjentów, Sam - powiedziałem. - Transportujemy ich na wielkiej przyczepie z Kodowy, ze szpitala doktora Katabisirua. Twarz Kironji rozjaśniła się.

- Doktor Kat! Ja go znać. On bardzo dobry doktor. Kiedy leczyć mój brat, kiedy on złamać nogę.

To była pomylna wiadomoć. Skoro nasz lekarz cieszył się dobrś opiniś, jego nazwisko dawało rekomendację całej ekipie.

- Doktor tu dzisiaj przyjedzie, Sam - stwierdził Wingstead. \*

Kironji okazał tylko lekkie niedowierzanie.

W drzwiach pojawił się Hammond.

- Panie Mannix, szuka pana kapitan.

Rzuciłem mu dwie puszki piwa.

- To dla ciebie i dla Harry'ego - powiedziałem. - Tylko nie chwalcie się przed innymi. Więcej już nie mam.

- Pan powiedzieć: sami cywile - rzekł z wyrzutem Kironji, gdy

go mijalem.

- Jest z nami grupa żołnierzy. To przyjaciele. Doktor Kat o nich wie.

Sadiq czekał na zewnątrz. Podziękowawszy mu za informacje, powiedziałem:

- Pan Wingstead zaakceptował moją propozycję, żeby się tutaj zatrzymać. Do jeziora prowadzi dość dobra, mało widoczna droga.

Możemy tam ukryć cały konwój, łącznie z platformą, a także pańskich ludzi, jeśli pan zechce.

Sadiq uznał, że to dobry pomysł i poszedł rozejrzeć się w terenie.

Kironji obserwował go, stojąc w drzwiach swego biura.

- Sam, korzystałeś kiedy z promu? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Po co? Ja nie jedź do Manzu, ja pracować tutaj.

- Kto z niego korzysta?

- Wiele ciężarówek z Manzu jedzie na pola naftowe - odrzekł po namyśle. - Farmerzy, ludzie z reszdy. Różne osoby pływać na promie.

W czasie pokoju istniało z pewnością w tym miejscu uczęszczane przejście graniczne. Wiódł tędy jedyny szlak do Bir Oassa z krajów położonych na północ od Nyali. Skoro, jak wynikało ze słów Kironji, prom przewoził ciężarówki, musiał być większy, niż przypuszczałem. Była to pocieszająca wiadomość.

Geoff Wingstead skinął na mnie ręką.



- Kiedy dotrze tu platforma, zjedziemy z szosy - oznajmił. -

Jestemy trochę za blisko Fort Pirie, żeby czuć się bezpiecznie. Nie ma sensu ryzykować. Nad jeziorem jest sporo miejsca i platforma nie będzie tam widoczna. Musimy tylko poszerzyć drogę.

Przez następną godzinę Wingstead, Zimmerman, Hammond i ja ciężko pracowaliśmy. Poszerzanie drogi dla platformy nie wymagało zbyt wielu zabiegów. Usunęliśmy na bok głązy i sprzęt, powyrównaliśmy krzaki, i wycięliśmy niewielki zagajnik ciernistych krzewów. Najogólniej mówiąc, zdewastowaliśmy starannie utrzymane królestwo Sama Kironji. Gdyby nie fakt, że Zimmerman pracował dla spółki Lat-Am, Kironji nigdy by na to nie pozwolił. W zaistniałej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak nam pomóc.

Cztery godziny później platforma stanęła na polanie nad jeziorem. Spoczywała teraz całym ciężarem na ziemi, a nie na podwoziu. Pozostałe pojazdy znajdowały się w pobliżu. Te, dla których zabrakło miejsca na polanie, rozmieszczono przy drodze, skąd można je było szybko ewakuować lub wykorzystać w celu zablokowania dojazdu do platformy. Moglibyśmy pozostać zupełnie nie zauważeni, gdyby nie podszajscy wciśz za nami Nyalańczycy. Biwakowali wśród drzew, zajęci bez przerwy rozmowami i gotowaniem. Ich wędrówki nie miały końca. Sam Kironji twierdził, że wielu z tych ludzi mieszka w okolicy, ale wolą przebywać w naszym towarzystwie niż siedzieć w domu.

Żołnierze Sadiqą próbowali nakłonić tubylców, aby zostawili

nas w spokoju, ale bez skutku. Platforma przycisnęła ich silniej niż mogliśmy sobie wyobrazić i uczestnicy dziwacznej procesji grzecznie, ale stanowczo odmawiali zrezygnowania z dalszej wędrówki. Okolicę ogoławano stopniowo z wszelkiej żywności. Sam Kironji stracił swoje kurczaki, zanim zdążyliśmy poprosić, by nam je sprzedał.

Zobaczyłem, że siostra Urszula drze na wżskie paski znalezione u Sama przecieradła, aby zrobić z nich bandaż.

- Ja to zrobię - powiedziałem. - Siostra ma ważniejsze obowiązki.

- Dziękuję - odparła. Była bez czepka i jej krótko obcięte włosy lniły od potu.

- Jak wyglądasz sprawy, siostrze? - zapytałem.

- Nie najgorzej - odparła z przekonaniem. - Nie straciliśmy już więcej pacjentów i myślę, że dziecko też przeżyje, dzięki Bogu.

Martwimy się tylko o pana Langa. - Po mierci Maxa Ottermana był on najciężej chorym pacjentem. - Doktor Marriot twierdzi, że siostrze Marii trochę się polepszyło. Musi jednak unikać wszelkiego wysiłku. Tak czy inaczej, powinniśmy dotrzeć jak najszybciej do szpitala. Jakie mamy szanse? - zapytała.

Zapoznałem ją z sytuacją, a potem spytałem:

- Czy wie pani o jakim szpitalu w Manzu?

Pokręciła głowę. Nie słyszała również, że zamierzamy przedostać się do sąsiedniego kraju. Ze względów bezpieczeństwa pra-

wie nikomu jeszcze o tym nie mówiliśmy, teraz jednak wspomnia-  
łem jej o naszych planach.

- Dobry pomysł - stwierdziła. - Włanie tego nam trzeba. Ci  
nieszczęńcy, którzy za nami idą, potrzebują spokojnego miejsca,  
żeby znowu się gdzie osiedlić.

- Ale to Nyalańczycy - przypomniałem. - Znaleziliby się bez  
dokumentów w obcym kraju.

Siostra Urszula wybuchnęła miechem.

- Naiwnie pan rozumuje, panie Mannix. Dla tych ludzi krajem  
jest cała Afryka. Nie znają właściwie pojęcia patriotyzmu. Przekra-  
czają granice, nie bacząc na urzędników, bo ci mają ważniejsze  
sprawy na głowie niż zajmowanie się tubylcami. Idą po prostu tam,  
gdzie są dobre warunki do wypasania bydła i polowań.

Chciałem, żeby dla nas okazało się to równie proste. Przedtem  
mielimo jednak sporo do zrobienia. Pozostawiwszy siostrę z ban-  
dazami, poszedłem odszukać Hammonda, McGratha i Sama Wil-  
sona.

Stalimo razem na molo, wpatrując się w przeciwległy brzeg  
jeziora.

- Nie widzę zbyt wielu możliwości - stwierdził Hammond. -  
Gdyby był tu most, moglibyśmy przynajmniej o niego powalczyć.

- Na przystani promu roi się od rebeliantów - powiedziałem. -  
Nie sądzę, żebymy dysponowali odpowiednimi siłami.

- Wie pan, zaczynałem się już poważnie martwić o paliwo -

oznajmił Hammond. - To zakrawa na ironię, że teraz, gdy nie możemy się nigdzie ruszyć, mamy go aż za dużo.

- Myślałem o tym - odezwał się McGrath. - Moglibyśmy rozlać benzynę, żeby popłynęła w kierunku przystani promu i podpalić ją. Powstałoby coś w rodzaju okrętu-pochodni.

- Masz sympatyczne pomysły, Mick - stwierdził Wilson. Rozpoznałem w jego głosie znajomy ton. On także nie ufał Irlandczykowi.

- W tej łódce moglibyśmy przewozić na drugi brzeg po trzy, cztery osoby - stwierdził Hammond. - A może i nie - dodał, przyjrzawszy się jej dokładniej. Podskoczył parę razy, by rozkołysać pomost, po czym wrócił zamyślony na brzeg.

- Zastanawiam się, dlaczego zbudowali pływające moło zamiast stałego - rzekł.

- Czy to ma jakie znaczenie? - zapytałem. Nie będąc żeglarzem nie zwracałem uwagi na takie rzeczy, Wilson wiedział jednak, o co Hammondowi chodzi.

- Stałe moło łatwiej jest zbudować - wyjanił. - Ale w razie występowania przypliwów pomost powinien być ruchomy. Tu ich jednak nie ma.

- Widać, że poziom wody trochę się zmienia - stwierdził Hammond, wskazując na jakie znaki, które nic dla mnie nie znaczyły.

Wilson przyznał mu rację.

- Więc jak to się dzieje? - zapytałem. - Teraz jest pora suszy.

Kiedy zaczyna padać, rzeka na pewno wzbiera. Czy o to chodzi?

- Chyba nie tylko. Moim zdaniem, obok jeziora jest tama - rzekł Hammond. McGrath uważnie go słuchał i domyślałem się, co kombinuje. Skoro w pobliżu była jaka zaporą, należało jš wysadzić. Nie słyszałem jednak nigdy o jej istnieniu, nie przypominałem sobie również, by figurowała na naszych - niedokładnych co prawda - mapach.

Ale Hammond myślał o czym zupełnie innym.

- Kontrolujš poziom wody w jeziorze, ponieważ ulega on okresowym zmianom - mówił. - Dlatego jest im potrzebne ruchome molo.

- Do czego zmierzasz?

- Ono przypomina tratwę - odparł, po czym wskazał na motorówkę. - Ta łód nie nadaje się do przeprawy, ale mogłaby holować pomost, na którym przewieziemy ludzi na drugi brzeg.

Zaczynało mi co witać.

- Zmieci się na nim tylko parę osób - stwierdziłem.

- Ale moglibyśmy zbudować większą tratwę - cišgnšł Hammond, coraz bardziej zapalony do swojego pomysłu. - Może znajdziemy więcej silników.

- Przypućmy, że to się uda - powiedziałem. - A co zrobimy po drugiej stronie, nie majšc rodków transportu? Do Batandy daleka droga.

- Do tego jeszcze nie doszedłem - przyznał z posepnš minš.

Rozejrzałem się wokół. Motorówka, pływajšcy pomost, doczepia-

ny silnik, mnóstwo paliwa, warsztat, wiele ręk do pracy, materiały...

W głowie kłębiły mi się myśli i czułem narastające podniecenie.

- Niech wszyscy się nad tym zastanowisz - powiedziałem. - Ale na razie nie dzielcie się z nikim swoimi pomysłami.

Wsiadłem do Land Rovera i popędziłem do stacji benzynowej.

Drzwi kantoru były zamknięte. Sam Kironji wpucił mnie do rodka z wyranš niechęcią.

- Pan przyjechać, a teraz przychodzić oni wszyscy - stwierdził z goryczą. - Złodzieje! Pan mi nie powiedziec, że ic wielki tłum. Oni krać wszystko, co ja mieć. Krać nawet co ja nie mieć. - Był rozżalony i zły.

- Spokojnie, Sam. Mymy ich tu nie przyprowadzili. Po prostu przyszli za nami. Słyszałe, że wędrujący szpital ma magiczną moc.

- To nie magia - stwierdził. - To złodziejstwo. Jak ja być spokojny? Jak ja to wytłumaczyć panu Obukwe?

- Nie martw się. Pan Zimmerman wszystko wyjani, a spółka Lat-Am Oil będzie z ciebie bardzo zadowolona - zapewniłem go. - Dostaniesz chyba premię. Masz jeszcze piwo?

Kiedy otwierałem pustš lodówkę, wpatrywał się w blat biurka.

Spojrzałem na ogołoczone z towarów półki. Kironji podniósł wzrok.

- Złodzieje! Ja to panu mówić! - oznajmił szyderczym tonem.

Sięgnšwszy pod blat biurka wyjšł stamtšd puszkę piwa i mówišc

"proszę" rzucił mi jš, jakby zawstydzony swš hojnociš. Podziękowałem mu i rzekłem:

- Masz tu jeszcze sporo towaru, Sam.

- Kto jeć opony? - stwierdził z wyrzutem. - Albo akumulatory? Pan mi powiedzieć.

Przysiadłem na skraju biurka.

- Posłuchaj, Sam. Interesujś mnie te beczki na paliwo, które magazynujesz tu obok stacji i nad jeziorem.

- Pan chceć je ukrać?

- Oczywiście, że nie. Jakś majś pojemność?

Znowu wlepił wzrok w blat biurka.

- Czterdzieci dwa galony.

- Brytyjskie?

- Jak to? - zdziwił się. - Po prostu galony.

Czterdzieci dwa galony brytyjskie, bo zapewne o nich mówił, równały się około pięćdziesięciu amerykańskim, czyli stu dziewięćdziesięciu litrom. Próbowałem odczytać napisy na jednej z beczek, ale była zbyt zardzewiała.

- Sam, mam do ciebie wielkś próbę - powiedziałem. - Daj mi papier i co do pisania, a potem wyjd na chwilę z biura. Muszę wyliczyć i zaplanować parę rzeczy. Będę ci bardzo wdzięczny.

Podał mi niechętnie blok firmowego papieru spółki Lat-Am i długopis.

- Potem pan mi go oddać - owiadczył stanowczym tonem i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałem. - Ile waży pusta beczka?

- Ja nie wiedzieć - odparł wzruszając ramionami. - Ona być doć ciężka.

Na razie nie miało to większego znaczenia.

- Ile ich tu masz?

Znów wzruszył ramionami.

- Za dużo. Nie przychodzić dostawy, ja wszystko zużywać.

Teraz wiele pustych.

- Na Boga, Sam! - zachnłem się. - Za dużo mówisz! Ile ich jest?

- Może tysiśc, może więcej - odparł. - Ja nigdy nie liczyć.

- Dzięki - powiedziałem, robiąc pospieszne notatki. - A ta lodówka, Sam? Jak jest zasilana?

- Ciśle pytania. Pan za wiele pytać. - Wskazał kciukiem za siebie. - Pan nie słyszeć? To pršdnica!

Przyzwyczailem się tak bardzo do jednostajnego warkotu generatora na platformie, że nie zwróciłem uwagi na ten, który wydawał nieco inny odgłos.

- O, więc masz pršdnicę.

- No i co? Pan chcieć jš ukrać? - Machnł zrezygnowany ręką. - Pan jš wziść. Pan Obukwe i tak już być na mnie wciekły.

- Nie martw się - powiedziałem. - Nikt ci niczego nie ukradnie.

Ale gdybym chciał jš kupić to co innego, prawda? Pracuję dla firmy British Electric. Może odsprzedałby nam tę pršdnicę.

- Pan płacić gotówkę?

Rozemiałem się głono.



- Niezupełnie, ale w końcu dostaniesz swoje pieniądze - odrze-

kłem. - A teraz zostaw mnie na chwilę samego, dobrze?

Zanim wyszedł, dopisał jeszcze do mojego rachunku jednš pu-  
szkę piwa.

24

Musiałem dokonać paru obliczeń. Chociaż my, Amerykanie,  
uważamy, że robimy zawsze wszystko najlepiej, stosowany w Eu-  
ropie system metryczny jest w istocie o wiele doskonalszy niż nasze  
skomplikowane jednostki miar. Przyjęli go nawet konserwatywni  
Brytyjczycy. O dziwo, również brytyjski galon jest wygodniejszy  
w użyciu niż amerykański, bo jest to dokładnie tyle co dziesięć  
funtów czystej wody, czyli cztery i pół litra. Wyliczyłem szybko, że  
w beczce zmieciłoby się jej około dwustu litrów.

Przeprowadzałem wytrwale dalsze kalkulacje, wycinając nawet  
zardzewiałymi nożyczkami makietę z papieru. W końcu przeciśg-  
nłem się i odłożywszy do szuflady pożyczony od Sama długopis,  
zajrzałem z nadziejš do lodówki, niczego tam jednak nie znalazłem.  
Potem ruszyłem pieszo nad jezioro. Znajdowało się niedaleko, a po  
drodze mogłem jeszcze trochę pomyleć. Poszedłem prosto na molo,  
aby ponownie mu się przyjrzeć.

Była to chybotliwa konstrukcja. Do kilku unoszących się na wo-  
dzie pustych beczek po nafcie przymocowano prymitywny pomost  
z pni. Wyglšdał na bardzo sfatygowany i choć najwyraniej prze-  
trwał próbę czasu, wydawał się równie stabilny, jak wirujący bšk,

który traci włanie rozpęd. Nie chciałbym przepływać na czym

takim nawet przez staw w Central Parku.

Na moje wołanie odpowiedział Bob Pitman.

- Bob, odszukaj mi paru ludzi, dobrze? - poprosiłem. - Chcę, żeby tu przyszli Kemp, Hammond i Geoff Wingstead. Aha, jeszcze Mick McGrath.

- W porzřdku - odparł, oddalajřc się bez popiechu.

Kiedy wszyscy byli już na miejscu, zauważyłem, że również Zimmerman dowiedział się o zebraniu i postanowił wziřć w nim udział. Nie towarzyszył mu tym razem jego kolega Rosjanin. Przyjr

rz

ałem się obecnym, biorřc głębokı oddech.

- Mam pewien szalony pomysł - zacząłem.

Skomentowano to wulgarnymi docinkami. Zaczekałem, aż wszyscy umilkniř i dopiero wtedy kontynuowałem.

- Plan jest szaleńczy i niebezpieczny, ale może się udać. Musimy przecieř wybrnęć jako z opresji. Ben i Mick podsunęli mi rozwiř-zanie.

- My? - zdziwił się Hammond.

- Włanie. Zbudujemy tratwę.

- Faktycznie o tym wspominałem, ale pan natychmiast zaoponował, i miał pan rację.

- Udoskonalilem twój pomysł. Nie skorzystamy z pomostu, tylko zbudujemy co nowego. Z moich wyliczeń wynika, że powinno

się udać. Kłopot polega na tym, że jezioro to nie kartka papieru. -

Wyjaniłem pozostałym, o co chodzi. - Ben zaproponował, że gdybyśmy wzięli pomost na hol, mógłby posłużyć jako tratwa, na której ludzie przedostaliby się do Manzu. Nie jest on jednak dostatecznie duży ani stabilny, poza tym potrzebowalibyśmy jakiegoś rodzaju transportu na drugim brzegu. Ale wiem chyba, co zrobimy.

- Zbudujemy większą tratwę? - zapytał Wingstead.

- Jaki będzie miała napęd? - dopytywał się ktoś inny.

- Z czego ją zrobimy?

- Myli pan, że mamy tu stocznię?

- Chwileczkę - powiedziałem, unosząc dłoń. - Pozwólcie mi wszystko wyjanić. - Mój plan składał się z dwóch części. Pomyślałem, że rozsądniej będzie omówić je po kolei, zacząłem więc najpierw konstrukcję samej tratwy. - Zaczniemy od tego, że każda z kilkuset stojących na placu pustych beczek ma wyporność stu osiemdziesięciu kilogramów. Do zrealizowania mojego planu wystarczy ich około setki.

- To idiotyczny pomysł - stwierdził Kemp. - Tratwa zbudowana ze stu takich beczek będzie za mała, żeby cokolwiek na niej przewieźć

Wiedziałem, że próbuje sobie wyobrazić - równie bezskutecznie jak ja - platformę pływającą przez jezioro na pomoce naszej konstrukcji.

- Budowa tratwy stanowi pierwszą część mojego planu - wyja-

niłem. - I należy od tego zacząć, o ile kto nie ma lepszego pomysłu. Nie możemy tkwić tu w nieskończoność.

- Zdaje się, że szykujesz jakąś dużą akcję - stwierdził Wingstead mało zachęcającym tonem. - Posłuchajmy.

- Pomylcie najpierw o tratwie. Aby ją zbudować, potrzebujemy materiałów i siły roboczej. Trzeba też trochę ruszyć głowę, a to chyba potrafimy. Wokół leży od cholery potrzebnych nam materiałów. Skoro mowa o sile roboczej, nawet piramidy i chiński mur zbudowano wysiłkiem ludzkich mięśni. Bóg mi świadkiem, że mamy dość ręk do pracy.

- Mówi pan o Nyalańczykach? - zapytał Hammond, zapalając się wyranie do mojego pomysłu. Chciałem, żeby wszyscy okazali podobne zainteresowanie.

- Musimy zatrudnić tych ludzi. Kobiety będą pleć powrozy z lian, a mężczyźni przenosić materiały. Mam tu ogólny plan - powiedziałem, pokazując kartkę papieru.

Zimmerman i Hammond gotowi byli podjąć każde wyzwanie.

Kemp zaciskał usta z wyrazem nieustępliwości. Wiedziałem, że swoim zwyczajem myli wyłącznie o platformie i sprzeciwi się wszelkim planom, nie uwzględniającym jej ocalenia.

Rozczarował mnie Geoff Wingstead, wykazując dziwny brak entuzjazmu. Liczyłem przede wszystkim na niego i nie mogłem zrozumieć, dlaczego milczy. McGrath również nic nie mówił, tylko stojąc z tyłu uważnie słuchał. Jakby wbrew sobie odnosiłem czasem

wrażenie, że istnieje między nami dziwna nić porozumienia. Irlandczyk wyczuwał, że mam jeszcze do zaproponowania coś bardziej ryzykownego i czekał na to.

- W jaki sposób skłonimy Nyalańczyków do współpracy? - zapytał Hammond. - Nie możemy im zapłacić.

-- Siostra Urszula podsunęła mi odpowiedź na to pytanie - odrzekłem. - Zabierzemy tych, którzy będą chcieli, do Manzu. Po zakończeniu wojny zapewne tu wrócisz, ale teraz narażeni jesteś na niebezpieczeństwo tak samo jak my. Myślę, że nam pomożesz.

- Posłuchaj, Neil - odezwał się Kemp, który dotychczas rysował coś na piasku. - To absurd. Już sam pomysł budowania tratwy, która byłaby dostatecznie duża, aby zabrać kilkuset ludzi, jest czystym szaleństwem, a przewożenie takich pojazdów w ogóle nie wchodzi w rachubę. Na litość boską, każdy z ciężników waży czterdzieści ton. A w jaki sposób je załadować?

- Błędnie rozumiesz - powiedziałem. - Zgadzam się z twoimi zastrzeżeniami i mam całkiem inne zamiary. Nie zbudujemy tratwy po to, żeby przewieźć ludzi do Manzu - wyjaniłem, przystępując do ofensywy.

- Nie? - zdziwił się Kemp. - Więc do czego ma służyć?

- Do przechwycenia promu - odparłem.

Wszyscy przyglądali mi się w milczeniu. Twarz McGratha rozjaśnił pełen zadowolenia uśmiech.

- Zupełnie oszalałe, Neil - odezwał się w końcu Wingstead.

- A co mamy robić, do cholery? - wybuchnąłem. - Siedzieć tu i jeć mrówki, dopóki nie skończy się wojna? Trzeba działać. Po spotkaniu z Maksš nie możemy już nawet liczyć na nietykalność jako cudzoziemcy i cywile, bo zabawialiśmy się w żołnierzy. Mam złe przeczucia, jeli chodzi o tę wojnę. Gdyby siły rządowe miały zwyciężyć, już by do tego doszło. Rebelianci umacniają swe pozycje, a gdy przejmą władzę, nie będą zbyt pobłażliwi.

- Masz rację - przyznał Wingstead. - Ale twój plan wydaje mi się po prostu mało realny.

- Wcale nie - stwierdził McGrath. - Jest wietny, panie Mannix.

Wspaniały. Czy mogę spytać, co takiego powiedziałem, że wpadł pan na ten pomysł?

- Wspomniałem o statku-pochodni - wyjaśniłem krótko. McGrath był mi cholernie potrzebny, ale nie miałem najmniejszej ochoty się z nim spoufalać. - Zaatakujemy prom na jeziorze i w ten sposób ich zaskoczymy.

Irlandczyk oczywiście mnie popierał. Przypuszczałem, że Hammond także. Zdawał sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa, był jednak zajęty problemami technicznymi. Kemp mógł mieć obiekcje, ale nie oparł się pokusie, żeby uczestniczyć w przygotowaniach.

- Myślę, że na tym etapie wolałby pan utrzymać wszystko w tajemnicy, prawda, panie Mannix? - zapytał Hammond.

- Tak. A o co chodzi?

- Chciałbym, żeby Burt Proctor od razu się do nas przyłączył.

Ma głowę na karku, często razem pracowaliśmy...

- Oczywiście - odparłem. - Id po niego.

Hammond szybko się oddalił.

- Tworząc naprawdę niezły zespół - stwierdził z umiechem Wingstead. Niepokoił mnie nadal jego brak entuzjazmu. Był najważniejszą osobą w ekipie i wszyscy oczekiwali od niego wskazówek.

Proctor, jak zawsze poważny i skupiony, wysłuchał mojej relacji, przyjmując ze spokojem wiadomość, że pracownicy firmy Wyvern Transport mają wystąpić w roli piratów. Rozumiałem, dlaczego Hammond życzył sobie jego współpracy.

Wyjaśniłem wszystkim, jak wyobrażam sobie konstrukcję tratwy.

Nie wyliczyłem jeszcze jej obciążenia, zakładałem jednak, że wemieniemy tylu ludzi, ilu tylko uda się zebrać, przynajmniej jedną lub dwie ciężarówki i wszelką dostępną broń. Brzmiało to gronie. Moi rozmówcy mieli wątpliwości, ale byli zafascynowani pomysłem. Obecnie w grupie inżynierowie uznali projekt za teoretycznie wykonalny.

Przed rozważeniem dalszej części planu musieliśmy zbudować tratwę.

- Myślałem też o platformie, Basil - powiedziałem do Kempa. -

Wiem, jakie ma znaczenie. Później o niej pomówimy.

Był to wykręt. Platforma mnie nie obchodziła, o czym jednak

Kemp nie mógł się dowiedzieć.

- Ilu będziemy mieli ludzi? - zapytał McGrath.

- Jednostka Sadiqa liczy dwudziestu trzech żołnierzy - odrze-

kłem. - Nikogo z naszej załogi nie możemy zmuszać, ale nie przy-

puszczam, żeby kto odmówił. Zakładam, że jest nas szesnastu.

W sumie daje to trzydzieci dziewięć osób.

- Powiedzmy, że trzydzieci pięć, bo zdarzają się wypadki -  
stwierdził McGrath.

- Zgoda.

- Co mówił Sadiq na temat przystani promu?

- Strzeże jej niewielka jednostka rebeliantów. Nie wiemy do-  
kładnie, ilu ludzi, ale nie brzmi to zbyt gronie. Jeli wypadniemy  
na nich z ciemności krzycząc wniebogłosy, rozpierzchną się pewnie  
na wszystkie strony.

Na twarzach ludzi było teraz więcej optymizmu. Sytuacja nie  
wyglądała wcale tak le.

- Będą nam potrzebne o wiele dokładniejsze informacje, Man-  
nix - powiedział McGrath.

- Och, zgadzam się - odparłem. - Nawiasem mówiąc, nie roz-  
mawiałem jeszcze z Sadiqiem, ale wkrótce to zrobię. Chcę skorzy-  
stać z motorówki Sama i zorganizować małą wyprawę. Będziemy  
tylko we czterech: ty, McGrath, Geoff, Sadiq i ja. Nikt więcej się nie  
zmieci. Popłyniemy nocą w dół rzeki.

- O Boże, Neil! - przeraził się Wingstead. - Chyba nie powinni-  
my tego robić.

Byłem zdumiony.

- Geoff, co się z tobą dzieje, u diabła? - zapytałem. - Na ciebie  
najbardziej liczyłem. Przestań wreszcie być takim cholernym pe-



symistš!

Nigdy dotšd nie potraktowałem w ten sposób żadnego z szefów w obecności jego podwładnych. Musiałem jednak dbać o morale załogi, a niezdecydowana postawa kogo, kto miał kierować ludmi, mogła zniweczyć wszystkie nasze plany.

Wingstead wykonał dziwnie apatyczny gest, mówiąc:

- Przepraszam cię, Neil. Oczywiście, że możesz na mnie liczyć.

Chyba jestem po prostu przemęczony.

Zapanowało niezręczne milczenie, które przerwał Zimmerman.

- Uważam, Neil, że i tak Geoff nie powinien nigdzie płynąć. Ma już dość obowišzków. Ja go zastšpię.

Odetchnšłem z ulgš. Chciałem, do diabła, mieć Wingsteda przy sobie, ale będc w takim nastroju mógł okazać się dla nas ciężarem.

Nie pojmowałem, co go gryzie.

- Załóżmy, że uda nam się przejść prom. I co wtedy? - zapytał

Hammond. - Czy nie dowiedzs się o tym inni rebelianci?

- Bardzo możliwe - odparłem - ale ich główne siły stacjonujš w Fort Pirie. Zniszczymy nadajniki i dopilnujemy, by żaden z żołnierzy nie zdołał uciec. Trzeba się tylko modlić, żeby prom był na chodzie. Sšdzšc z tego, co mówił Kironji, w ostatnim czasie regularnie z niego korzystano, więc powinien działać.

- A co potem? - zapytał Wingstead.

- cišgniemy tu platformę, załadujemy na prom wszystkich rannych, zapełnimy go ludmi i wylemy do Manzu. Kiedy wróci,

przetransportujemy jak najwięcej pojazdów, najlepiej ciężarówek i pozostałych pasażerów. W Manzu sprawa będzie już prosta. Do-  
trzymamy do Batandy, zaalarmujemy władze i wylemy samochody po maruderów. Założę się, że będzie tam zimne piwo.

Przez chwilę wszyscy mieli o czym rozmyślać. Wiedziałem, że nie uwierzę do końca w optymistyczne prognozy, które przed nimi roztoczyłem, istotne było jednak, by uwierzyli w szansę powodzenia całej akcji.

Hammond wstał i zmasał nogi rysunki na piasku.

- No dobrze, od czego zaczynamy? - spytał rzeczowo.

Wingstead podniósł wzrok, dziwnie zaniepokojony. Jego ogorzała twarz była blada i przemknęło mi przez myśl, że on po prostu się boi. A przecież w Makarze nie brakowało mu odwagi.

- Sam nie wiem - powiedział niepewnie. - Chciałbym się przez chwilę zastanowić, zanim cokolwiek zaczniemy. To jest po prostu zbyt...

Jego brak zdecydowania i ospałość były dla mnie czym zupełnie nowym. Kiełkujący w ludziach entuzjazm zaczął ustępować miejsca wstpliwociom. Geoff miał spore doświadczenie w rozwiązywaniu problemów technicznych, z którymi musieliśmy sobie poradzić i leżało mu na sercu bezpieczeństwo załogi. Oczekiwałem od niego pełnego poparcia.

Niebawem wszystko się wyjaśniło. Wingstead nagle wstał, kręcąc głową jakby, z niedowierzaniem, zrobił parę kroków i upadł na

ziemię.

Rzuciliśmy się wszyscy w jego kierunku.

- Wezwać lekarza! - krzyknął Kemp. Proctor pobiegł po pomoc.

Kemp uniósł ostrożnie głowę nieprzytomnego Wingsteada, którego twarz była ziemistoszara, spocona i znękana. Staliśmy wokół w pełnej napięcia ciszy, dopóki nie przybyli doktor Kat i doktor Marriot. Badający Kempa lekarz wyprostował się po kilku minutach i zauważyłem ze zdziwieniem, że to, co stwierdził, musiało go uspokoić.

- Będą potrzebne nosze - powiedział uprzejmym tonem, ale okazało się, że dostarczono je już wcześniej. Nie zabrakło też ochotników, którzy zanieli Wingsteada do ruchomego szpitala. Towarzyszyła mu doktor Marriot, natomiast doktor Kat został z nami.

- Powinienem był to przewidzieć - stwierdził. - Ale mogę panów uspokoić. Pan Wingstead szybko wróci do zdrowia. To nie poważnego.

- Więc co się z nim dzieje, do cholery? - zapytałem.

- Jest przemęczony i przepracowany, a do tego był przecież ranny w katastrofie samolotu. Nie powinien się tak forsować. Czy nie zauważylicie panowie, że co mu dolega?

- Owszem - odrzekłem, wciekły na samego siebie. - Widziałem, jak opuszcza go zapal i energia. I byłem na tyle głupi, że jeszcze wywierałem na niego presję. Bardzo mi przykro...

- Nie mów tak - przerwał mi raptownie Kemp. - Ja też to

widziałem, a znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Musielimy stracić rozum, żeby pozwolić mu na taki wysiłek. Czy naprawdę nic mu nie grozi?

- Potrzebuje tylko snu, odpoczynku i dobrego odżywiania.

Z tym ostatnim będzie najtrudniej, ale zapewniam panów, że tym razem nie pozwolę mu za szybko wstać z łóżka. Jedno mnie pociesza. Obawiałem się jakiej zarazy: cholery, tyfusu, której z wielu groźszych nam plag. Kiedy usłyszałem, że pan Wingstead zasłabł, myślałem już o najgorszym. Odczuwam wielką ulgę, że moje obawy się nie potwierdziły.

Raport o stanie zdrowia Wingsteada dotarł do wszystkich, kładąc kres zdenerwowaniu, które jak rozniecany przez wiatr pożar ogarnęło cały obóz.

Odszukawszy Hammonda powiedziałem do niego:

- Chcę porozmawiać wieczorem z całą załogą. Niech przyjdzie też personel medyczny. Zapoznamy wszystkich z naszym planem.

Jest ryzykowny, ale ludzie muszą wiedzieć, co ich czeka.

Potem poszedłem porozmawiać z Samem.

- Co jest w tej chacie za ogrodzeniem? - zapytałem go.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Zauważył już, że prowadząca na ogrodzony teren brama była otwarta, a Harry Zimmerman i dwaj inni ludzie liczyli puste beczki. Nie był tym zachwycony.

- Czemu pan pytać? - odparł.

Starłem się nie stracić cierpliwości.

- Po prostu mi odpowiedz, Sam.

W chacie były jedynie rozmaite połamane narzędzia, powrozy, parę rzeczy, które mogły się nam przydać i różnego rodzaju szpargały. Kironji składał tam wszystko, co przeszkadzało mu gdzie indziej.

Uprzątnąłem miejsce na rodku chaty i kazałem wnieść do niej biurko Sama. Powstało w ten sposób centrum dowodzenia akcji.

Dom przy drodze był zbyt daleko od obozu i zanadto rzucał się w oczy. Jaki dowcipni zabrał Samowi z biura kalendarz z dziewczynami i powiesił go w chacie. Kironji chyba nad niczym bardziej nie ubolewał.

- Złodzieje! - powiedział pełnym tragizmu tonem. - Wy zabierać teraz moje kobiety!

- Tylko po to, żeby na nie popatrzeć, tak samo jak ty - stwierdziłem. - Obiecuję, że dostaniesz je z powrotem. Dziękuję za biurko i krzesło, Sam.

Machnął obojętnie ręką.

- Pan wziść wszystko - rzekł zrezygnowany. - Mnie to obojętne. Pan Obukwe, on mnie wylać.

Hammond słuchał go rozbawiony.

- Nie przejmuj się, Sam. Jeli stracisz pracę, ja cię zatrudnię - przyrzekłem, wypychając go za drzwi. Hammond przysiadł na blacie biurka, a ja na krześle. Każdy z nas miał przed sobą kartkę.

- W porządku, Ben. Spójrz, co wymyśliłem.

Zaczęłam szkicować mu wszystko<sup>^</sup> na papierze. Te rysunki zachowałam do dziś. Nie są arcydziełami, ale dla mnie mają większą wartość niż zbiory Tate Gallery.

Oto, na czym polegał mój pomysł. Należało wziąć pustą beczkę i ustawić wokół niej sześć innych, upewniwszy się, czy wszystkie są dokładnie zamknięte. Potem trzeba było obudować je z omiustron - od góry, od dołu i po bokach - drewnianym rusztowaniem, tworząc w ten sposób szeciobok. Boki nie wymagały dokładnego wypełniania, chodziło tylko o to, by beczki trzymały się razem, umieszczone jakby w klatce. Nazwałam tę konstrukcję "heksagonem typu A". Stanowił on podstawowy element składowy tratwy. Miała tę zaletę, że w beczkach nie trzeba było wiercić żadnych otworów, co oznaczało oszczędność czasu i wysiłku oraz eliminowało ryzyko przecieków.

Jaki ciężar mógł udźwignąć "heksagon A"?

Wkrótce uzyskaliśmy odpowiedź na to pytanie. W trakcie naszej rozmowy zjawił się w biurze zasapany Sandy Bigs. Ociekał wodą, ale był wyranie rad z przeprowadzonego eksperymentu.

- Panie Mannix? W beczce mieści się sto sześćdziesiąt pięć litrów.

- Dziękuję, Sandy. Zobacz, ile pustych beczek znalazł Zimmerman. - Harry i jego zespół chodzili po placu, brudni od paliw i smarów.

Beczki miały teoretycznie pojemność niecałych stu sześćdziesięciu litrów, ale nigdy nie napełniano ich po brzegi, co okazało się

teraz bardzo przydatne. Oszacowaliśmy, że naturalna zdolność drewnianej klatki do unoszenia się na wodzie zrównoważy nieco ciężar stali, a teraz Bing dawał mi jeszcze w prezencie kilka dodatkowych kilogramów wypornoci. Ustaliliśmy, że mój "heksagon A" powinien unieść ciężar trzech tysięcy funtów, czyli półtorej tony.

Miał on jednak za małą powierzchnię, a poza tym pływajšca platforma o wymiarach półtora na dwa metry byłaby bardzo niestabilna. Tak więc moje następne obliczenia dotyczyły jej powiększenia.

Budowa tratwy musiała zająć nieco czasu, ale nie powinna nastręczać większych trudności. Sprawdzenie gotowej konstrukcji dostarczy z pewnością wielu emocji, a znalezienie sposobu, żeby poruszała się ona po wodzie, wymagać będzie kilku tęgich głów, nie wątpiłem jednak, że uda się to osiągnąć. Powstała w efekcie platforma o dziwnym kształcie i wyglądzie nie zostanie z pewnością nagrodzona za elegancję. Przejrzałem szybko listę niezbędnych materiałów. Niektóre z nich będzie trudno zdobyć, o ile w ogóle okaże się to możliwe. W sumie nie bardzo mogłem zrozumieć dlaczego, do diabła, byłem taki pewny, że mój plan się powiedzie.

- Musimy przejść do następnego etapu, Ben - oznajmiłem, wykonujšc kolejny szkic. - Spójrz tylko.

Szeciobok jest bardzo użyteczną figurą - potwierdzi to każda pszczoła - wątpię jednak, czy wykorzystywano go kiedykolwiek przy budowie okrętów.

- Załóżmy, że skonstruowaliśmy już "A-gon" - powiedziałem do Bena. Dzięki takim określeniom język wzbogaca się pewnie o nowe słowa, ale nie przypuszczałem, by mój neologizm zdołał trafić do słownika Webstera. Ben umiechnął się pod nosem, rozumiejąc, co mam na myśli. - Teraz posłuchaj dalszego ciśgu - dodałem.

Trzeba było zepchnąć A-gon na mieliznę, tak by stojący w wodzie człowiek miał do niego łatwy dostęp. Dołączony po bokach sześć analogicznych heksagonalnych konstrukcji, należało zwiśzać je na obwodzie. Wewnętrzny szeciobok nie wymagał mocowania, gdyż, podobnie jak usytuowana w jego centrum beczka, był obudowany ze wszystkich stron, dzięki czemu utrzymywał się w miejscu. Powstawał w ten sposób "heksagon typu B", czyli - zgodnie z naszym nowym nazewnictwem - B-gon, o wypornoci przekraczającej dziesięć ton, co wystarczało do przewiezienia ponad setki ludzi lub redniej wielkości ciężarówki. Postanowiliśmy skonstruować dwie takie platformy i dlatego potrzebowaliśmy około stu beczek.

Hammond był olniony i zafascynowany tym projektem.

- W jaki sposób zbudujemy klatki? - zapytał.

- Trzeba będzie znaleźć drewno i przycić je do odpowiednich rozmiarów - odparłem. - Z tym nie powinno być problemów. Martwię się bardziej, skąd wziść deski na pokrycie platformy. Jeli ich nie zdobędziemy, chodzenie po tratwie będzie niebezpieczne. Nyalanki robiś mocne powrozy, którymi możemy zwiśzać A-gony,



zaoszczędzając gwóźdź. Ale B-gony są większe i to mnie niepokoi. Sznury i powrozy na nic się tu nie przydadzą. Potrzebujemy stalowej liny.

- Powinienem jakś mieć - stwierdził Hammond z pewną niechęcią. \*

- Na razie wolałbym jej nie używać. Spróbujemy wymyślić coś innego. Jest dopiero czwarta - powiedziałem wstając. - Przydałoby mi się trochę ruchu. Do zmroku zostały jeszcze dwie godziny.

Zbudujemy sobie jeden A-gon.

Wychodziliśmy właśnie z biura, gdy wrócił Bing.

- Pan Zimmerman mówi, że znaleźli tylko sześćdziesiąt siedem beczek - oznajmił.

Zimmerman, Kirilenko i Derek Grafton, których zastaliśmy na placu, byli ubabrani naftą i nieco rozdrażnieni. Wyglądało na to, że nie natrafili na zbyt wiele pustych beczek. Kironji rzadko je odzyskiwał, a te, które wróciły na plac, stały w różnych miejscach, nie oddzielone od pełnych, W tym przypadku Sam nie popisał się zamiłowaniem do porządku, nad czym bardzo ubolewaliśmy.

W dodatku ani Grafton, ani Kirilenko nie wiedzieli, po co mają szukać pustych beczek. Jedyne Rosjanin gotów był wykonywać polecenia, nie oczekując żadnych wyjaśnień.

Wyraziwszy im współczucie, zaproponowałem, żeby trochę odpoczęli, przedtem jednak przetoczyliśmy nad jezioro osiem lub dziewięć beczek. Zimmerman został z nami. Hammond zamierzał

cinać drzewa na budowę klatki, poszedł więc szukać Kironji, aby ten otworzył mu warsztat. Postanowiliśmy zwiŝzać prototyp A-gonu linami, których nie brakowało.

- Nie wiem, jak znajdziemy odpowiedniŝ iloć pustych beczek - narzekał Zimmerman.

- Słyszałe o facecie, który przyszedł do sklepu kupować jajka? - zapytałem. - Zobaczył napis: "Pęknięte jajka za pół ceny", więc poprosił, ŝeby rozbili mu ich tuzin.

Zimmerman umiechnął się słabo.

- Czyżby chciał opróżniać beczki?

- Czemu nie? Na poczŝtek napelnimy ropš i benzynš wszystkie baki i zapasowe kanistry. Jeli nadal będzie nam brakowało beczek, wykopujemy gdzie z daleka od obozu duży rów, zrobimy tam zbiornik i postawimy tablicę: "Zakaz palenia".

Zimmerman zdał sobie sprawę, ŝe wcale nie żartuję. Pewnie jako nafciarz był bardziej przyzwyczajony do wydobywania paliwa z ziemi niŝ do wlewania go z powrotem. Naszŝ rozmowę przerwał nagle Sam Kironji.

- Wy cinać drzewa! - powiedział z właciwym sobie wietym oburzeniem. - I używać mojej piły! Wy ciŝgle tylko sprawiać kłopoty.

Rzuciłem pytajŝce spojrzenie Bingowi, który przybiegł tuŝ za Samem.

- To prawda, panie Mannix - potwierdził. - Pan Hammond zna-

łaź w warsztacie piłę łańcuchowš. Ale nie na wiele się przyda. Jest zużyta, a nie ma do niej zapasowych części.

Kironji pokręcił smętnie głowš.

- Wy korzystać z mojej piły, proszę bardzo. Ale jak wy cinać drzewa, pan Nyama się bardzo gniewać.

- Kto to jest, Sam?

- Wszyscy znać pan Nyama. On wielki człowiek rzšdu od drzew. cinać ich tu dužo, ogromnš maszynš.

- Chcesz powiedzieć, że jest tu w pobliżu państwowy tartak? - spytałem zaskoczony.

- Oczywiście.

- Gdzie, na Boga?

Sam wskazał w kierunku jeziora.

- Dwa, trzy kilometry stšd. Oni korzystać z naszej drogi.

Przypomniałem sobie, że za ogrodzonym terenem droga biegła dalej, ale nie zastanawiałem się, dokšd prowadzi. Było to z mojej strony poważne przeoczenie.

- Piły łańcuchowe! - zapiał z zachwytu Zimmerman. - Siekiery, topory, maczety, przycinarki!

- Fantastycznie - stwierdziłem. - Pojed tam natychmiast. Bez czek na razie mamy doć. Zabierz paru ludzi. We żołnierzy Sadiqa, jeli będziesz musiał. Załatwię to z nim. Ograb ten tartak z czego się da, Harry. Kiedy za wszystko zapłacimy. Włam się, gdyby było to konieczne. Idę o zakład, że nikogo tam teraz nie ma.

Zimmerman oddalił się pospiesznie, a Kironji stwierdził płaczliwym tonem:

- Wy okradać rzǳd, okradać wszystkich!

Hammond ucieszył się z dobrych wiadomoci. On także miał nam co do przekazania.

- Znalazłem w warsztacie palnik acetylenowo-tlenowy i kilka butli z gazem - oznajmił. - Jest tam też trzyipółcalowa tokarka.

Może się przydać.

- Nie za mała trochę?

- Zrobię z niej użytek. Odkryłem poza tym jeszcze jeden silnik do łodzi i parę innych praktycznych przedmiotów.

- Pan je wziść! - owiadczył Kironji histerycznym tonem. - Nie trzeba krać. Ja je wam dać.

Stłumiłem miech. Gdyby zobaczył, jak wlewamy jego bezcenne paliwo do dziury w ziemi, zupełnie by się załamał.

- Chodmy zbudować ten nasz A-gon - powiedziałem.

Pracowaliśmy w szóstkę nad jego prototypem przez prawie dwie godziny, ale też musieliśmy wymyślać wiele rzeczy na poczekaniu.

Nyalańczycy przyglǳdali się temu ciekawie z pewnej odległoci.

Nasi ludzie przyszli popatrzeć, co robimy i rzucali różne uw<sup>^</sup>gi.

W końcu zepchnęliśmy gotowś konstrukcję na wodę, stwierdzajśc z ulgś, że unosi się na powierzchni i jest tylko nieco przechylona.

Gdy wciśgaliśmy jś z powrotem na brzeg, zapadał już zmrok. Bing przyszedł powiedzieć, że czas na kolację. Czułem się zmęczony, ale

i dziwnie zadowolony. To był owocny dzień. Wolałem nie zastanawiać się za bardzo, co może wyniknąć z moich planów.

Po niezbyt smacznym posiłku wszyscy zebrali się wokół Hammonda i mnie. We dwóch wyjaniliśmy pokrótce, na czym polega nasz plan. Niewiele mówiliśmy o wojskowym aspekcie całej operacji, nie zachęcając nikogo do zadawania pytań. Skoncentrowaliśmy uwagę na najpilniejszym zadaniu, jakim była budowa B-gonów.

Grafton odniósł się sceptycznie do naszego projektu, być może dlatego, że miał dowiadczynie w tego typu pracy.

- Skonstruowanie tej platformy zajęło wam dwie godziny - stwierdził. - Ile ich potrzebujecie?

- Czternacie, żeby zbudować dwa B-gony - odparłem. - Może więcej.

Wydawał się wstrząśnięty.

- W tym tempie potrwa to wiele dni - rzekł.

- Pamiętasz, jaki był najsłynniejszy wynalazek Henry'ego Forda? - zapytałem.

- Model T?

- Nie, co większego. Tama montażowa.

- Ford tego nie wymyślił - sprostował od razu Hammond. - Już w 1795 roku Królewska Marynarka montowała w ten sposób okręty w Chatham.

- Myślę, że co podobnego widać też na egipskich freskach - wtrącił Atheridge.

- Nie będziemy się o to spierać - stwierdziłem. - Ale skorzystamy z pomysłu. Zbudujemy prosty szkielet A-gonu - wystarczy wbić w piasek żerdzie, wyznaczające kształt konstrukcji. Ludzie będą przechodzili od jednego do drugiego stanowiska. Na tym polega różnica między naszymi liniami montażowymi, a tymi w Cowley lub Chicago. Każdy będzie wykonywał tylko jedno zadanie. Najpierw trzeba ułożyć deski i postawić na nich beczki, potem wsunąć między żerdzie boczne cianki, dobrze je mocując, a na końcu przytwierdzić górną pokrywę.

Wszyscy uważnie słuchali. Nieoczekiwanie zabrał głos Antoine Dufour. Mówił dobrze po angielsku, ale z wyranym obcym akcentem.

- Pracowałem w tym systemie - oznajmił. - Myślę, że lepiej będzie zastosować model japoński. Nie da się tu pracować na akord. Kiedy zbyt wielu ludzi będzie przechodziło z miejsca na miejsce, może powstać zamieszanie. Każdy zespół powinien zająć swoje stanowisko.

Wystarczyło tylko chwilę pomyleć, żeby stwierdzić, że ma rację.

- Wspaniale, Antoine - pochwaliłem go. - Tak będzie lepiej.

Każdy zespół buduje cały A-gon, od początku do końca. Oddzielna ekipa zajmie się dostarczaniem materiałów, a jeszcze inna przetańczeniem beczek. Kilku naprawdę silnych ludzi będzie transportować gotowe A-gony nad jezioro, prawdopodobnie ciągnąc je na matach. Może przydadzą się do tego gumowe wycieraczki, które

mamy w ciężarówkach.

Spojrzałem na Dufoura.

- Mówisz, że znasz się trochę na tej robocie. Może by pokierował ludmi, wspólnie z Danem?

Pomyślał chwilę, po czym odparł:

- Dobrze. Zajmę się tym.

Wyrażając zgodę potwierdził swoją wiarę w powodzenie planu i bardzo mi pomógł przekonać do niego pozostałych członków ekipy. Zadawano pytania, podsuwano różne pomysły. Robiłem notatki, a w końcu podniosłem rękę, aby wszystkich uciszyć.

- Wystarczy - powiedziałem. - Wysłuchajmy teraz doktora Kata.

Doktor przekazał nam krótki raport o stanie zdrowia Langa oraz Wingsteada, który teraz mocno spał, a po kilkudniowym odpoczynku powinien szybko odzyskać siły.

- Siostra Maria czuje się o wiele lepiej - stwierdził - a opiekowanie się panem Wingsteadem stanowi dla niej doskonałe zajęcie.

Potrafi o niego zadbać.

Nie poznałem bliżej starszej zakonnicy, ale jeli była podobna do siostry Urszuli, Geoff Wingstead będzie musiał z pewnością się zamknąć i słuchać jej poleceń.

Doktor powiedział też, że w miejsce wyleczonych pacjentów zjawiali się natychmiast nowi, wymagający pomocy z powodu wycieńczenia, chorób lub wypadków. W krytym palmowymi lićmi szpi-

talu panował cięży ruch.

- Harry ma dla nas w zanadrzu dobre wiadomości - powiedziałem, odwracając się do Zimmermana.

- Znalelimy tartak - oznajmił radonie. - Przywieźliśmy dwie ciężarówki sprzętu i materiałów. Piły łańcuchowe, siekiery, młotki, gwóźdź i rudy, całe mnóstwo rzeczy. Mają tam też duże piły maszynowe, ale są im potrzebne.

- Ale załatwił co jeszcze, prawda? - podpowiedziałem.

- Tak. Deski - stwierdził z zadowoleniem.

- Przywieziemy je rano. Mamy więc z głowy jeden istotny problem. Będziemy też mogli przyciąć szybko do dokładnych wymiarów wsporniki do klatek. - Zebrani przyjęli tę wiadomość z większym entuzjazmem niż mogłem oczekiwać, zważywszy jak bardzo byli zmęczeni.

- Zdumiewająca historia - powiedziała doktor Marriot. - Widziałam ten pański A-gon. To bardzo krucha konstrukcja.

- Podobnie jak skorupka jajka - odparłem. - Ale jajko, zanurzone na głębokość stu dwudziestu metrów, w torbie przywiązanej do łodzi podwodnej, wcale nie pęka. A-gon wytrzyma bardzo duże obciążenie.

- Musimy myśleć także o pańskiej wytrzymałości - stwierdziła, wywołując salwę śmiechu. Nastrój załogi wyrażnie się poprawił.

Byłem rad, że zakończymy zebranie, nie omawiając w ogóle planów zaatakowania promu, choć wszystkie nasze przygotowania



zmierzały do tego celu. Ludzie, którzy mieli towarzyszyć mi w wyprawie motorówkš, zostali, aby jeszcze się naradzić. Postanowiliśmy wyruszyć o wicie i po powrocie jak najszybciej przystšpić do pracy. Sadiq został o wszystkim poinformowany i zgodził się, choć bez entuzjazmu, popłynšć z nami, by popatrzeć sobie z bliska na nieprzyjaciół.

Położywszy się jaki czas póniej, spoglšdałem na majaczšcy nam nad głowami ciemny kształt platformy - ledwo widoczny w słabym wietle, groteskowy kontur. Zastanawiałem się, co my do cholery z niš zrobimy. Miałem do przemylenia wystarczajšco dušo spraw, by nie zmrużyć oka przez całš noc.

W końcu jednak zmorzył mnie sen i ocknšłem się dopiero trzy godziny przed witem, obudzony delikatnie przez Hammonda.

25

Spotkaliśmy się w rodku nocy na moło, trzymajšc w rękach osłonięte latarki i starajšc się minšć bezszelestnie polanę poroniętsz krzakami. Nie mogliśmy przejć zupełnie nie zauważeni, była to jednak próba przed póniejszš, wymagajšcš zachowania ciszy, akcjš.

Hammond wylał wczesniej wodę z motorówki i sprawdził silnik, który funkcjonował z właciwš tym urzšdzeniom precyzjš, to znaczy miał swoje kaprysy i od czasu do czasu dławił się i zacinał, przyprawiajšc nas o szybsze bicie serc. Dysponowaliśmy zapasem paliwa, dwiema kotwicami, z których jedna mogła w razie potrzeby

posłużyć do zaczepienia łodzi o brzeg, kilkoma pojemnikami na wodę i paroma długimi zwojami lin.

Znalelimy wiosła, ale mieliśmy tylko jednš dulkę, kto wytoczył więc drugš z kawałka żelaza. Aby nie skrzypiały, owinęlimy je obie - tę mniej i tę bardziej kształtnš - w szmaty. Do wylewania wody najlepiej nadawały się obcięte u góry puste puszki po piwie.

W piškę z trudem mieciliśmy się w łodzi. Hammond

i McGrath usiedli na rodku przy wiosłach, gdyż silnik zamierzaliśmy uruchomić dopiero po odpłynięciu od brzegu, ja jako najlżejszy siedziałem z przodu, a Zimmerman i Sadiq cisnęli się na ławce z tyłu. Nie miała to być wycieczka dla przyjemności.

- Co z krokodylami? - zainteresował się Hammond.

Zimmerman, który spędził w Afryce wiele lat, prychnšł pogardliwie.

- Nie ma o czym mówić, Ben. One lubiš mielizny, zresztš

i tak nie ruszš się przed witem. To leniwe bestie. Po co miałyby zawracać sobie głowę jakš łodziš, skoro na brzegu roi się od pożywienia?

- Nie musimy obawiać się krokodyli, panie Hammond - powiedział poważnym tonem Sadiq. - One rzadko atakujš motorówki.

- Należałoby pomyśleć raczej o hipopotamach - stwierdził

z umiechem McGrath, dajšc Hammondowi następny powód do zmartwienia. Kazałem mu się zamknšć. Wołałem nie mówić głośno, iż nie majšc żadnego dowiadczania w pływaniu choćby łódkš po

stawie odnosiłem nieodparte wrażenie, że ta krucha łajba w każdej chwili może się wywrócić, topiąc nas wszystkich. Kiedy odbiliśmy od brzegu i usłyszałem plusk uderzającej o burty zimnej wody, nabrałem przekonania, że tak właśnie się stanie.

Nie utonęliśmy, oczywiście, mieliśmy jednak mokre nogi i twarze. Po pewnym czasie Hammond zaproponował, żeby uruchomić silnik. Udało się to osiągnąć po kilku zaledwie nieudanych próbach, którym towarzyszyły siarczyste przekleństwa. Niewielka motorówka zakołysała się niebezpiecznie, nabierając szybkości dopiero wtedy, gdy silnik zaczął równomiernie pracować. Płynęliśmy wzdłuż brzegu, lecz niezbyt blisko, w obawie przed trzcunami. Mrok rzędniał i można już było co nieco dostrzec.

Płynąc z prądem, szybko posuwalimy się naprzód. Hammond obliczył, że powinniśmy zobaczyć prom około piątej, czyli godzinę przed witem. Mieliśmy wtedy wyłączyć silnik i powiosłować w kierunku przystani, a zlokalizowawszy ją - wrócić w górę rzeki i znaleźć jakie dobre miejsce do zejścia na ląd.

- Co będzie, jeżeli prom stoi po drugiej stronie jeziora? - zapytał Zimmerman.

- Możemy popłynąć tam po niego motorówką. Nic się nie martw - stwierdził Hammond. - Bardziej w prawo, Mick - powiedział do McGratha.

- A co z obsługą promu? - spytałem. - Ci ludzie nie zechcą chyba tak po prostu nam go pożyczyć, prawda?

- Nie, raczej sami nas przewiozł, za odpowiedniś opłatš.

Zastanawiałem się włanie, kto będzie obsługiwał prom. Poza umiejętnośc kierowania nim niezbędna była znajomoć terenu.

- Masz rację - przyznałem. - Kiedy zajmiemy przystań, prom znowu zacznie kursować, tylko dla nas.

- No cóż, to się może udać - stwierdził bez przekonania

McGrath. Zapewne najchętniej zapłaciłby sternikowi, przytykając mu do brzucha lufę pistoletu.

- Najpierw opanujemy przystań - stwierdziłem. Istniało prawdopodobieństwo, że strzegło jej zaledwie pięciu ludzi, których mogliśmy schwytać lub rozpedzić bez większego problemu, miałem jednak wštpliwoci, czy okaże się to takie proste.

Płynąc dalej w milczeniu, zobaczyliśmy wreszcie na brzegu kontury zabudowań. Byliśmy na miejscu, a do witu brakowało jeszcze pół godziny,

- To tam - szepnąłem, wskazując rękš kierunek. Zimmerman natychmiast wyłączył silnik i musieliśmy wiosłować, aby nie zniósł nas pršd. W mroku majaczyły tylko jakie niewyrane kształty.

O sto metrów od brzegu wyłaniała się z wody ogromna, ciemna bryła, której nie mogliśmy na razie zidentyfikować. Może była to wyspa? Hammond i McGrath utrzymywali łód w miejscu, a my obserwowaliśmy uważnie brzeg, próbując dostrzec tam jakiś ruch. Wit, jak zawsze w rodkowej Afryce, nastał w cišgu kilku minut. Powietrze zrobiło się szare i mgliste, a nad jeziorem, jakby zza

podniesionej nagle kurtyny, zalśniły wczesne promienie słońca. Kilka głosów wyszeptało równocześnie:

- To jest prom!

Kotwiczył z dala od brzegu, kołysząc się łagodnie na wodzie.

Stanowił dla nas wspaniały i upragniony widok. Był ogromny. Mogłem zapomnieć o dręczących mnie wizjach prymitywnej platformy, mieszczącej jeden samochód i popychanej drżącymi przy akompaniamencie monotonnego piewu załogi. W Afryce takie obrazki nie należały wcale do rzadkości. Kironji twierdził, że prom zabiera ciężarówkę, i nie mylił się. Był on z pewnością w stanie przewieźć za jednym razem kilka pojazdów. Gdy oglądałem jego profil w odbitym od wody wietle, uderzyło mnie coś jeszcze: miał niską, podłużną sylwetkę, uchylone wrota na dziobie i potężny pokład na rufie. Daleko mu było do eleganckich i nowoczesnych europejskich promów.

Wymknąwszy się spod jego dziobu popłynęliśmy szybko w kierunku lądu. Hammond powiosłował do miejsca, które nie było widoczne z przystani, skrętnie ukrywając łód na brzegu i rzucając obie kotwice. Zeszliśmy z pokładu w gęste zarola.

Spojrzałem na McGratha. On i Sadiq wiedzieli najlepiej, co należy teraz robić. Zastanawiałem się, który z nich przejmie dowodzenie. Nie było jednak wątpliwoci. Sadiq zaczął wydawać zdecydowane polecenia, a McGrath spokojnie mu się podporządkował. Myślałem, że szanował Sadiq jako żołnierza i gotów był akceptować jego

rozkazy.

- Panowie Mannix i Zimmerman pójdź ze mną - powiedział kapitan. - A pan McGrath z panem Hammondem. Idziemy w kierunku zabudowań. My trzej od tyłu, a pan McGrath od przodu. Niech nikt nie robi hałasu, ani niczego nie rusza. Proszę uważnie obserwować.

Musimy się dowiedzieć, ilu jest tu żołnierzy i oficerów, jak są uzbrojeni, gdzie mają radio i telefon, jakimi środkami transportu dysponują.

Trzeba zbadać konfigurację terenu, sprawdzić, czy są jakieś ludzie na promie i czy na przystani cumują inne łodzie.

Gwizdnąłem cicho. Sadiq sporo od nas oczekiwał. Chciał wiedzieć absolutnie wszystko.

- Jeśli ktoś zostanie schwytany - kontynuował - powinien narobić krzyku, żeby ostrzec pozostałych, nie zdradzając jednak ich obecności. Gdyby nadarzyła się okazja, możecie ukraść broń, ale jej nie używajcie.

Spojrzał wymownie na McGratha, który jednak nie zareagował.

Wydawał się wsłuchany w słowa kapitana.

- To chyba wszystko - zakończył Sadiq. - Życzę panom powodzenia.

O dziwo, jego plan powiódł się w stu procentach. Wyobrażałem sobie dziesiątki koszmarnych rzeczy: naszą niewolę, tortury, egzekucję, przystań opanowaną przez uzbrojonych po zęby żołnierzy, prom, który jest uszkodzony albo w ogóle go nie ma... wszelkie możliwe przeszkody na drodze do osiągnięcia celu. W istocie wszy-

stko okazało się banalnie proste. Kto wie, czy nie był to najbardziej udany rekonesans w historii wojen.

Dopomógł nam fakt, że przystani pilnowała tylko garstka ludzi.

My naliczyliśmy ich piętnastu, a McGrath siedemnastu. Najwyższy rangs żołnierz był w stopniu kaprała. Mieli karabiny i jeden lekki karabin maszynowy, ale nie zauważyliśmy żadnej innej broni. Udało nam się zlokalizować radionadajnik ze słuchawkami. Drugi leżał w samochodzie, ale był uszkodzony. Hammond widział jego części, walające się na przednim siedzeniu. Żołnierze mieli też dwie ciężarówki: napędzane na cztery koła Suzuki z rozbitš przedniš szybš i stare, zdezelowane Volvo.

Był to niewielki oddział, strzegšcy miejsca, które nikogo właściwie nie interesowało. Mieszkańcy Manzu nie pchaliby się przecież dobrowolnie w rejon walk, zwłaszcza że prom, który miałby ich przewieć, cumował po drugiej stronie jeziora. ^

Obie ekipy spotkały się półtorej godziny póniej przy motorówce, porównujšc swoje spostrzeżenia. Byliśmy bardzo z siebie zadowoleni, oddychajšc z ulgš, że zdołaliśmy ująć cało, wykonawszy wszystkie polecenia Sadiqą. Może tylko McGrath czuł się nieco zawiedziony, że wszystko poszło tak łatwo.

Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na prom, ale ponieważ był zakotwiczony z dala od brzegu, nie mogliśmy teraz podpłynšć do niego nie zauważeni. Cišgle co mnie w nim niepokoiło, musiałem jednak uzbroić się w cierpliwoć.

Przez jakiś czas wylewaliśmy energicznie z motorówki wodę puszkami po piwie, a potem popłynęliśmy w górę rzeki, trzymając się wciąż blisko brzegu i korzystając z wiosł, dopóki nie byliśmy dostatecznie daleko od przystani. Pod prąd trudniej się wiosłowało; ale uruchomivszy silnik, pokonaliśmy szybko resztę drogi. W południe wróciliśmy do obozu.

Zdobyte przez nas informacje wszystkich ogromnie ucieszyły.

Odkryliśmy, że przystań nazywa się Kanjali, ale ludzi bawiło nadal żartobliwe, trudne do wymówienia określenie "port Fort Pirie". Nie wiedzieliśmy tylko, czy sam prom jest w dobrym stanie. Należało się liczyć z sabotażem lub celowym unieruchomieniem go przez wrogów. Istotne było także, kto nim pokieruje.

Po lekkim posiłku poszliśmy zobaczyć, jak przebiega praca przy budowie tratwy.

Dufour wzbudzał respekt swym oschłym, apodyktycznym sposobem bycia, co rekompensowało jego brak znajomości miejscowego języka, który znał z kolei Atheridge. Przy udziale żołnierzy Sadiq, służących za tłumaczy, udało się zebrać grupę Nyalańczyków, skłonnych przyjąć nam z pomocą w zamian za możliwość przepłynięcia do Manzu oraz takich, którzy nie chcieli nawet tego rodzaju zapłaty. Ci ludzie byli wolni na swój własny, niezrozumiały dla nas sposób. Mogli w każdej chwili zniknąć w buszu, który dobrze znali i wrócić do swoich wiosł, gdzie musieli radzić sobie sami, pozbawieni jakiegokolwiek opieki ze strony rządu, ale i nie



skrepowani biurokratycznymi przepisami. Platforma miała dla nich jednak szczególne znaczenie i dlatego postanowili nam pomóc. Tak po prostu.

Pojawił się problem, w jaki sposób połączyć na obwodzie B-gony.

Nie mogliśmy wpaść na żaden pomysł, dopóki Hammond nie podsunął mi rozwiązań.

- Chyba znajdziemy jakiś sposób - owiadczył. - Mając tylu przyjaciół, którzy dla nas pracują...

- Słucham?

- Przypomniałem sobie właśnie zdanie z "Hamleta" - odparłem. - Poloniusz dawał Laertesowi rady na temat przyjani. - Byłem zadowolony z siebie. Nie tylko Brytyjczycy mogli bawić się cytatami z literatury. - Powiedział do niego: "Przyjaciół, których już wypróbowałeś, skuj z dusz swoich stalowych obręczów"\*.

Przydałyby mi się teraz takie obręcze.

- Czy wystarczyłaby miękka stal? - zapytał Hammond.

- Czyżbyś ją miał? - rzekłem z niedowierzaniem.

- Z tego można wyciąść tyle obręczów, ile się chce - odparł, wskazując na pustą beczkę.

- Mój Boże, faktycznie! - wykrzyknąłem. - Masz głowę na karaku, Ben. Czy przy palniku acetylenowo-tlenowym jest nasadka do cięcia gazem?

- Chwileczkę, Neil - powstrzymał mnie Hammond. - Te beczki są pełne oparów benzyny. Gdy zbliży się do nich płomień, eksplo-

dujš. Musimy zrobić to inaczej.

- Więc potrzebny nam będzie otwieracz do puszek.

- Załatwione - przyrzekł.

Spełnił swójś obietnicę w ciekawy sposób. Kiedy nie można korzystać z nowoczesnej techniki, trzeba liczyć na siłę mięni. Po godzinie, dwudziestu Nyalańczyków rozbijało puste beczki, używając wszelkich dostępnych narzędzi: starych dłut, pił do metalu, ostrych kamieni. Robili cholernie dużo hałasu, ale w końcu rozebrali je i pocięli dosłownie na paski.

Dufour zebrał cztery ekipy na placu budowy A-gonów. Montowanie jednego trwało około godziny. W fabryce robiono by to szybciej. Miejscowi robotnicy wykonywali przydzielone im zadania rozmawiając i piewając. Nie ociągali się właściwie, ale i nie spieszyli się, a Dufour wiedział, że nie należy ich ponaglać.

W dawnych szkolnych podręcznikach kazano uczniom rozwiązywać takie oto zadania: skoro jeden człowiek potrzebuje sześciu godzin, aby wykopać dół o długości dwóch metrów, głębokości metr osiemdziesiąt i szerokości sześćdziesięciu centymetrów, ile czasu zajmie to trzem osobom? Odpowied brzmi: dwie godziny, i jest całkowicie błędna. Osoby, które miały do czynienia z tś niewdzięczną pracą wiedzą, że musi ją wykonywać pojedynczy człowiek, ponieważ dwóch ludzi wchodzi sobie w drogę, a we trzech nie można w ogóle nic zrobić.

Dufour, zdając sobie z tego sprawę, pilnował, by nikt nikomu nie

przeszkadzał i by niczyje wysiłki nie poszły na marne. Niedowiad-

Cytat z "Hamleta" (akt I, sc. III) wg. przekładu Macieja Słomczyńskiego.

Pracownicy robotnicy dokonywali cudów i specjaliści od wydajności pracy mieliby powody do zadowolenia. W sumie była to zdumiewająca operacja. \*

Wszystko zaczynało się w tartaku, gdzie grupa ludzi cięła drewno na kawałki o ciele określonych wymiarach. Transportowano je potem na brzeg i przydzielano ekipom budowniczym, które rozlokowały się w pewnej od siebie odległości nad jeziorem. W skład każdej ekipy wchodził jeden pracownik spółki Wyvern, trzech Nyalańczyków i kilka kobiet, niektóre nawet z niemowlętami na plecach lub małymi dziećmi u boku.

Czterej mężczyźni kładli na ziemi belki, wsuwając je między wbite w piach żerdzie, aby znalazły się w ciele określonej pozycji. Inna ekipa przetaczała tymczasem z placu na brzeg dokładnie zaszpuntowane puste beczki, dostarczając po siedem z nich każdej grupie. Czterej mężczyźni ustawiali je na belkach w środku okręgu, wyznaczonego przez sterzysce pionowo żerdzie, które tworzyły prymitywny szkielet całej konstrukcji. Starsi Nyalańczycy strugali niewielkie kołki, które wkładano do wydrżonych na końcach belek dziur. Zatycki te miały łączyć podstawę A-gonu z prostopadłymi bocznymi ramami. W podobny sposób mocowano górny pokrywę, a całość uzupełniały, umieszczone w połowie wysokości klatki, poziome wsporniki.

Na tym etapie A-gon nie rozpadał się tylko dzięki kołkom i żerdziom, na których był osadzony. Teraz kobiety okręcały go powrozem. Ta operacja zajmowała najwięcej czasu, budowniczywie przechodzili więc do następnego stanowiska.

Kiedy A-gon był już gotowy, grupa silnych mężczyzn wydobywała go spomiędzy żerdzi. W tym momencie powrozy czasem puszczaly i trzeba było ponownie je wiśzać. A-gon kładziono na wyjętš z samochodu gumowš wykładzinę i cišgnięto nad znajdujŝce się niedaleko jezioro, aby wrzucić go do wody. Potem wszystko zaczynało od poczŝtku. Niejaki Taylor, pionier badań nad metodami organizacji pracy, byłby tym zachwycony.

W wodzie kilkunastoletni chłopcy, traktujŝcy zlecone im zadanie jako doskonałš zabawę, holowali A-gony do miejsca, gdzie montowano z nich B-gony. W cišgu godziny cztery ekipy wytwarzały podstawowe elementy potrzebne do budowy jednego B-gonu. Oceniałem więc, że obie nasze tratwy, plus kilka zapasowych A-gonów, powinny być gotowe przed zapadnięciem zmroku.

Wczesnym popołudniem poszedłem odwiedzić leżŝcego na platformie Wingsteada i zapoznałem go z postępem prac. Był wymizowany, ale pogodny. Ten sam opis pasował dokładnie do zajmujŝcej się nim siostry Marii, przed którŝ najwyraniej czuł respekt.

Zajrzałem również do Langa, stwierdzajŝc z przykrociš, że jego stan się pogorszył. Najlepsza nawet opieka nie zastŝpi braku niezbędnych rodków medycznych. Zobaczyłem na platformie takŝe

Graftona. Zwicznął sobie nogę w kostce, wpadając między dwie beczki A-gonu, co potwierdzało potrzebę zbudowania na naszej niezwyklej tratwie pokładu.

Problem ten rozwiązała wyprawa do tartaku. Mieli tam pnie wysokich, młodych drzew, które cięto na słupy telegraficzne. Nie-trudno było je przepołowić i uzyskać doskonałe deski na pokład.

Również dostarczenie ich na miejsce nie stanowiło problemu, skoro dysponowaliśmy tyłoma rękami do pracy. Za całą operację byli odpowiedzialni Zimmerman i Wasilij, którzy przedtem opróżniali z paliwa beczki na A-gony i żelazne obręcze. Zimmerman twierdził, że do końca życia nie chce już mieć nic wspólnego z ropš.

Mijał dzień. Myszkujejcy po okolicy Nyalańczycy zdobyli dla wszystkich trochę żywnoci. Pływacy wrzucali unoszące się w wodzie deski na pokład pierwszego gotowego B-gonu. Była to niezgrabna konstrukcja o dziwnie zaokršglonych krawędziach i nieobrobionych bokach, ale nie tonęła i trzymała się pewnie na powierzchni. Zmierzywszy tratwę stwierdziliśmy, że pomieci ona ciężarówkę o szerokoci nie większej niż dwa i pół metra, o ile znajdziemy sposób, żeby wjechać niš na pokład.

Zimmerman, przetrzšsajšcy nadal obóz w poszukiwaniu potrzebnych materiałów, przyszedł porozmawiać ze mnš w cztery oczy.

- Neil, chyba powiniene o czym wiedzieć - owiadczył. - Zajrzałem do wszystkich ciężarówek, także do tej, która jedzi żabo-

jad. - Dufour bardzo pilnował swego wozu. Zawsze sam go prowadził, a na postojach parkował daleko od innych. - Ten Francuz wiezie całe móstwo różnego sprzętu - kontynuował Zimmerman. - Ben ucieszy się, kiedy znajdzie u niego tlen i acetylen, a także pręty do spawania. Ale to nie wszystko. Ten facet narusza prawo. Przewozi sześć skrzyń czterdziestoprocentowego gelnitu, którego nie ma w wykazie. To nielegalne. Materiałów wybuchowych nie wolno wiec z innymi towarami.

- Nie powinien jechać dalej, ale co, do diabła, mamy zrobić z tym ładunkiem? - zapytałem. - Pozbyć się go?

- Czy to konieczne? - powiedział z zadumś Zimmerman. Materiały wybuchowe stanowiły jego specjalność.

- W porzřdku, jeszcze nie teraz - odparłem. - Ale niech Dufour nie wie, że go namierzyłe. Dopilnuj tylko, żeby nikt nie palił koło jego ciężarówki. Nic dziwnego, że parkuje jš z dala od innych. Dzięki wiedzy Zimmermana, wieziony przez Francuza ładunek mógł się stać naszš broniš.

Praca przy drugim B-gonie szybko posuwała się naprzód, kazałem jednak zrobić przerwę. Kiedy ludzie sš zmęczeni, najłatwiej o wypadek.

Należało odbyć naradę wojennš.

Po wieczornym posiłku cała załoga zebrała się w jednym miej- ^  
scu. Policzyłem wszystkich ludzi, oceniajśc ich przydatność do akcji. Grupa liczyła piętnastu mężczyzn, ale dwóch od razu wyklu-

czyłem.

- Geoff, ty zostajesz - rzekłem. Wingstead jadł z nami kolację

i pewnie wymknął się później pilniejszej go siostrze. Wyglądał mi-  
zernie, ale jego oczy odzyskiwały dawny blask i zaczynał przypo-  
minać człowieka, którym był wtedy, gdy się poznaliśmy.

- Nie jestem już takim idiotą jak kilka dni temu - stwierdził  
smętnie. - Ale mogę przysłuchiwać się waszej naradzie, Neil. Muszę  
wiedzieć, co planujecie. Niewykluczone, że w czym wam pomogę.

- W porządku - powiedziałem. Sama obecność Wingsteada  
mogła bardzo się przydać.

- Derek też odpada - stwierdził Geoff. - Nie może chodzić,  
noga spuchła mu w kostce jak balon. Jest wciekły.

- Niech mu pan powie, że chętnie się z nim zamienię - zapro-  
ponował Thorpe.

- Nie ma szans, Ritchie - owiadczyłem. - Już się nie wywiniesz.  
Nie powiniene być w Port Luard, kiedy szukałem drugiego kie-  
rowcy.

- Nie przepuciłbym w życiu takiej okazji - stwierdził od-  
ważnie.

- Dan, ty także się nie nadajesz - powiedziałem delikatnie do  
naszego kolejnego inwalidy.

Westchnął ciężko, spojrzawszy na swój złamaną rękę.

- Wiem - odparł. - Ale proszę dbać o Antoine'a, słyszy pan? -

Obaj umiechnęli się do siebie.

- Bert, jak twoja noga?

- W najlepszym porządku, panie Mannix - odparł Proctor. - Zapewniam, że nic mi nie dolega.

Odetchnąłem z ulgą. Proctor był silnym mężczyzną i potrzebowaliśmy go. Kempowi nie przeszkadzało nadwerężone ramię.

Nikt więcej nie odniósł ran.

- Sadiq ma dwudziestu jeden ludzi - oznajmiłem. - Jeden zachorował na dyzenterię. Nas jest dwunastu, dysponujemy więc trzydziestoma czterema ludmi przeciw siedemnastu rebeliantom.

Dwóch na jednego. Przy takim stosunku sił na pewno odniesiemy zwycięstwo.

Do naszego grona dołączył jaki człowiek. Zrobiłem mu miejsce obok siebie. Był to kapitan Sadiq.

- Mówisz z grubszą, plan jest następujący - powiedziałem. -

Popłyniemy w dół rzeki na tratwie z beczek. Dotrzemy na miejsce przed witem i spróbujemy pokonać rebeliantów bez walki. Mamy trochę broni, a działając przez zaskoczenie zdobędziemy jej więcej.

Najlepiej byłoby uniknąć w ogóle strzelaniny.

- Taki pan wrażliwy, panie Mannix? - odezwał się McGrath.

- Bynajmniej - odparłem chłodno. - Ale nie wiemy, jak blisko są inne jednostki. W miarę możliwości należy zachować ciszę.

Nasza wymiana zdań spowodowała pewne poruszenie wśród obecnych.

- Musimy pozbawić ich łączności radiowej, prawda? - zapytał



Bing.

Wbrew pierwotnym zamierzeniom zrezygnowałem z wyłączenia tego chłopaka z ekspedycji. Miał dziewiętnacie lat i zgodnie z obowiązującymi w redniowieczu kryteriami dojrzał już do walki, a tu mieliśmy właśnie do czynienia z czym w rodzaju redniowiecznej krucjaty. Był sprawny, inteligentny i w pełni wiadomy niebezpieczeństwa.

- Tak, ty się tym zajmiesz - odparłem. - Wasza ekipa ma przede wszystkim dopilnować, żeby nadajnik nie został uszkodzony i żeby rebelianci z niego nie skorzystali. Radio w samochodzie jest chyba zepsute, ale trzeba to sprawdzić. Brad, ty zabezpieczysz pole Sandy'emu, dobrze? - Brad nie musiał się znać na amerykańskim futbolu, ale skinął gorliwie głową, rozumiejąc oczywiście, co mam na myśli. Odpowiadał za Binga.

- Kapitanie? - powiedziałem, zwracając się do Sadiq'a.

- Moi ludzie pójdą pierwsi - oznajmił. - Mamy broń i dowiadczanie, którego panom brakuje. Powinnimy poradzić sobie bez większych trudności z całą grupą rebeliantów.

Zimmerman w popiechu tłumaczył wszystko szeptem Kiri-lence.

- Ty, Bert, Ben i Antoine macie unieruchomić wszelkie napotkane pojazdy - powiedziałem. - Tylko czasowo, ale niech to będzie co bardziej wymylnego niż włożony w przekładnię łom.

- Nie ma sprawy - odparł Bert, jak zwykle flegmatycznym

tonem.

- Mick, ty osłaniasz Binga w centrali łączności, a potem sprawdzasz skład broni. Zabierz, co będziesz mógł. We do pomocy... -

Chciałem przydzielić mu Pitmana, ale przypomniałem sobie, że Bob miał powody, aby nie ufać McGrathowi. - We Harry'ego i Kirilenkę. - Uznałem, że powinni stanowić dobry zespół.

Czekałem, czy McGrath wystąpi z własnymi propozycjami, nic jednak nie powiedział. Niepokoił mnie, jak zwykle zresztą.

Zwróciłem się do Pitmana.

- Posłuchaj, Bob. Zostaniesz ze mną i pomożesz mi przywiśzać tratwę. Potem będziemy osłaniać rampę przeładunkową promu - ty, ja i Kemp. Chcemy, Basil, żeby przyjrzał się jej z punktu widzenia naszych potrzeb transportowych. - Musiałby chyba stracić rozum, żeby pomyśleć choć przez chwilę, że zdoła wjechać platformą na pokład promu, należało jednak pozostawić mu choć iskry nadziei.

- Ritchie - powiedziałem, rozejrzawszy się wokół - potrzebuję gońca i ty będziesz tym szczęśliwcem. Zapewnisz łączność między mną, kapitanem Sadiqiem i pozostałymi ekipami. Zakładam, że dobrze biegasz.

- Ja? Biegać? Zawsze zajmowałem ostatnie miejsce w każdej konkurencji, panie Mannix - owiadczył z niekłamaną szczerością. - Ale kiedy tylko pan mi powie, będę uciekał jak najszybciej!

Wybuch miechu znów rozładował nieco napięcie. Byłem po-

twornie zmęczony i mój umysł przestał pracować. Jeli o czym zapomnielimy, należało z tym zaczekać do następnego dnia. Po skończonym zebraniu Sadiq i ja zostaliśmy sami przy ognisku.

- Sšdzi pan, że nam się uda, kapitanie? - zapytałem.

- Moim zdaniem to mało prawdopodobne, sir - odrzekł uprzej-

mie. - Ale z drugiej strony nie wiem, co innego możemy zrobić.

Karmienie kobiet, przetaczanie beczek i opiekowanie się chorymi to nie sš zajęcia dla żołnierzy. Dobrze, że będziemy mieli znowu okazję powalczyć.

Wstał i przeprosiwszy, że odchodzi, zniknął w mroku. Patrzyłem w ogień, rozmylając nad zawiłociami ludzkiej psychiki. Sadiq oczekiwał z przyjemnościš akcji, której ja się obawiałem. Przypomniałem sobie powiedzenie niezbyt znaczącej postaci wiatowej kultury, królika Bugsa: "Człowiek to najbardziej zwariowana ze wszystkich rozumnych istot".

26

Pónym popołudniem następnego dnia panowało nad jeziorem nieopisane zamieszanie. Pierwszy B-gon przyciśgnięto możliwie blisko brzegu, na takš jednak odległość, by nie opierał się o dno.

Utrzymywały go w miejscu prowizoryczne kotwice: przymocowane do zardzewiałych łańcuchów duże kamienie. Kładka z przepłowionych pni tworzyła pomost, po którym mogła wjechać na tratwę ciężarówka. Nieco dalej znajdował się ukończony właśnie drugi B-gon.

Zgromadzeni wokół Nyalańczycy byli dumni i podnieceni, że wykonana przez nich konstrukcja jest poddawana próbie. Kilku ochotników chciało z nami popłynąć, ale Sadiq słusznie się temu sprzeciwił. Przypuszczam, że nasz obecniś też nie był zachwycony, nie miał jednak wyboru.

Z platformy przyglądali się nam z zainteresowaniem pacjenci i pielęgniarki. Zamierzaliśmy wjechać ciężarówką od razu na tratwę, aby nie manewrować niś po ciemku przed witem następnego dnia.

- Po co jś w ogóle zabieracie? - dziwił się Wingstead. - Na przystani nie zabraknie rodków transportu. Poza tym nie będzie tam jak zjechać.

- To nasz koń trojański, Geoff - wyjaniłem. - Przede wszystkim umieszczę w ciężarówce ludzi, a inni schowajś się za niś. Gdyby rebelianci zauważyli, że płyniemy w ich kierunku, zobaczś tylko tratwę z samochodem ciężarowym i paru wyglądających niegronie ludzi, którzy machajś do nich rękami. Poza tym zabieram sporo sprzętu, broni, i tak dalej. Lepiej to wszystko ukryć. Na razie ciężarówka jest po prostu mostkiem kapitańskim.

Hammond przyznał mi rację. Miał największe z nas wszystkich dowiadczenie w żegludze, gdyż służył krótko na statku handlowym, mianowałem go więc kapitanem B-gonu.

- Z kabiny będę widział o wiele lepiej niż z pokładu tratwy - stwierdził.

Istniał jeszcze czwarty powód, którego jednak nie znał nawet

Hammond.

Kładka była gotowa. Odpowiedzialny za załadunek Kemp dał znak, by ciężarówka ruszyła z miejsca. Kierował nią Mick McGrath.

Wjechać na tratwę wymagało nie lada umiejętności, a on był - obok Hammonda - naszym najlepszym kierowcą. Zimmerman zniknął za ciężarówką, gdy McGrath zaczął zmierzać w kierunku brzegu.

Nagle w silniku coś przeraliwie zgrzytnęło i pojazd przechylił się na bok, szarpnął, a potem znieruchomiał. McGrath wyrzwał z kabiny, zaskoczony i zły. Rozległy się krzyki:

- Chryste, uważaj! Odpadło tylne koło!

McGrath zeskoczył na ziemię, aby obejrzeć uszkodzenie. Jedno koło zleciało z osi i ciężarówka stała ukosem, dosłownie wbita w piach.

- Przynieście podnożniki! - krzyknął Mick.

- Nie ma na to czasu - powiedziałem. - Wziemy inną ciężarówkę. Zimmerman, podjed tutaj! Biercie się do roboty i wyładujcie wszystko. - Nie dałem im czasu do namysłu. Kemp, spisujący się zawsze najlepiej w tego typu krytycznych sytuacjach, był cały czas pod ręką. wietnie sobie radził, zważywszy na fakt, że w przeciwieństwie do mnie nie przewidywał żadnego wypadku. Szybko oczyścił odcinek zamieconej plaży, aby druga ciężarówka mogła ominąć tę, która stała zagrzebana w piasku i wjechać na kładkę. Głony warkot silnika obwiecił powrót Zimmermana.

Antoine Dufour podbiegł do nas, blady jak ciana. t

- Nie! - krzyczał. - Tej nie zabierajcie! To moja ciężarówka!

Jego gwałtowna reakcja wszystkich zaskoczyła.

- Daj spokój, Francuziku - odezwał się kto. - Każda ciężarówka jest równie dobra.

- Ale nie ta! - zaprotestował.

- Przykro mi, Dufour. Pewnie była pod ręką - stwierdziłem lakonicznie. Dufour kipiał wciekłością, ale nie mógł zatrzymać ciężarówki, która minęła nas, stając dokładnie naprzeciw pomostu.

Zimmerman wyskoczył z kabiny, aby ustąpić miejsca McGrathowi.

Dufour natychmiast do niego podskoczył.

- Na Boga) nie zabieraj mojej ciężarówki! - krzyczał. Gdy próbował ominąć zastępującego mu drogę Zimmermana, z jego ust popłynął cały potok francuskich słów.

- Dość tego! - powiedział podniesionym głosem Kemp. - Uspokój się, Dufour. Ta ciężarówka należy teraz do konwoju i w razie potrzeby mamy prawo z niej korzystać, do cholery.

- McGrath, wsiadaj do kabiny i natychmiast ruszaj - ponagliłem go.

Spojrzał na mnie złowrogo.

- Słóż inne ciężarówki, Mannix. Zostawcie Francuza w spokoju.

- Na litość boską, słuchaj, co do ciebie mówię! - powiedziałem rozkazującym tonem. Oczekiwałem sprzeciwu tylko ze strony Dufoura. McGrath przeszył mnie wzrokiem, po czym minąłszy Francuza i Zimmermana wskoczył do kabiny i uruchomił silnik. Wrzu-

ciwszy ze złościś bieg, ruszył ostro na pomost. Potem rozsšdek nakazał mu zwolnić. Centymetr po centymetrze wjeżdżał ostrożnie ciężarówkš na tratwę o dziwnym, heksagonalnym kształcie. B-gon ugił się pod ciężarem, ale na szczęście nie zatonł i chociaż woda sięgała aż do kół wozu, niewštpliwie odniełimy sukces. Owacje były jednak umiarkowane. Widzów nadal niepokoiło agresywne zachowanie Dufoura.

Kemp kazał ludziom wsunšć klocki pod koła ciężarówki i mocno jš przywišzać. Załadowano sprzęt, a potem odholowano tratwę daleko od brzegu.

Spojrzałem na Dufoura. Uspokoił się, był jednak blady i wstrzšnięty. Minšłem Zimmermana, dziękujšc mu lekkim skinieniem głowy, po czym podszedłem do Francuza i wzišłem go pod ramię.

- Pozwól, Antoine - powiedziałem. - Chcę z tobš porozmawiać.

Kiedy odchodziliśmy na bok, oglšdał się za swojš ciężarówkš, która stała na dziwacznej tratwie z dala od brzegu, poza jego zasięgiem.

Stanęliśmy w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć.

- Przepraszam, Antoine - powiedziałem. - To była nieuczciwa zagrywka. >^

- Panie Mannix, nie wie pan, co pan zrobił - rzekł Dufour.

- Owszem. Masz na myli swój tajemniczy ładunek, prawda?

- Więć pan wie?

- Oczywiście. Powiedział mi Zimmerman. Nie zapominaj, że jest

zawodowcem. Wyczuwa pewnie gelignit na miłę.

Dufour był zdruzgotany. Musiałem od razu trochę go uspokoić.

- Posłuchaj, nie obchodzi mnie, po co wiesz te materiały, ani skąd je masz. Nie mój interes. Ale jest to teraz najlepsza broń w całym naszym arsenale i potrzebujemy jej, żeby wybrnąć z trudnej sytuacji.

- O, mój Boże - powiedział, spojrzawszy na mnie z gorzkim umiechem. - Gelignit. Chcecie wykorzystać moją ciężarówkę, żeby wysadzić w powietrze rebeliantów, czy tak?

- Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby. Ale to cholernie skuteczny straszak. Harry Zimmerman zawiadomi wszystkich i ludzie z grupy szturmowej będą wiedzieli, że w ciężarówce jest bomba. To tak, jakbyśmy wymierzyli w nieprzyjaciela działą. Rebelianci nie są w stanie nas dosięgnąć, a my dysponujemy bronią, która może ich zniszczyć. Dlatego zabieramy drugi B-gon. W razie potrzeby opucimy tratwę, skierujemy ją na przystań i spowodujemy eksplozję.

Teraz rozumiesz?

- A gdybym panu powiedział, że ten gelignit jest bezużyteczny?

- Nawet nie próbuj - odparłem. - Potrzebujemy go.

Usiadł, jakby ugięły się pod nim kolana. Po kilku minutach podniósł na mnie wzrok mówiąc:

- Tak, rozumiem. Sprytny z pana człowiek, panie Mannix. A poza tym kawał drania. Oby dopisało nam szczęście.

Wróciwszy do obozu uporządkowałem swoje sprawy. Napisałem



prywatny list, by zostawić go doktorowi, zredagowałem też na firmowym papierze British Electric bardzo oficjalne oświadczenie dla Sama Kironji, że moja spółka pokryje wszelkie poniesione przez niego koszty. Proponowałem przyznanie mu premii, dodając od siebie mały załącznik w gotówce, który zrobił na nim największe wrażenie.

Omówiłem z Wingsteadem sprawę platformy. Gdy opanujemy przystań, konwój podjedzie do Kańjali, aby pacjenci mogli przesiść się na prom. Platforma będzie musiała tam pozostać.

- Kemp może się nie zgodzić - ostrzegł Wingstead. - Ta platforma znaczy dla niego o wiele więcej niż dla mnie. To niezwykle.

Moim zdaniem ma na jej punkcie takiego samego bzika jak Nyalańczycy.

- Ciekawe, co oni zrobią, kiedy już porzucimy - powiedziałem od niechcenia.

- Rozejdź się do domów. A platforma trafi pewnie do ich mitologii.

- Co się z nią później stanie? - zapytałem.

- Ludzie, którzy dojdą do władzy, zaangażują pewnie kogo, żeby dowiózł ładunek do Bir Oassa. Ciekawe tylko, jak zdołają uporządkować wszystkie sprawy finansowe, rozliczenie kosztów i kwestie prawne. Ale jedno ci powiem, Neil: nie ja będę się tym zajmował. Mam już dość. Sprzedam platformę temu, kto zaoferuje najkorzystniejszą cenę.

- A co potem?

- Wrócę z Kempem i Hammondem do domu i zbudujemy lepszą platformę. Cholernie dużo się tu nauczyliśmy.

- Wolisz obsługiwać hydroelektrownie w Szkocji, prawda?

Wingstead rozemiał się,

- Teraz tak myślę. A co będzie w przyszłości, kto wie?

Drugi raz z rzędu wstaliśmy w rodku nocy, aby popłynąć w dół rzeki do Kańjali. Odczuwałem wyrany niepokój. Wczorajszy dzień dostarczył mocnych wrażeń każdemu, kto nie przeszedł szkolenia w walce partyzanckiej. To, co czekało nas dzisiaj, napawało przerażeniem.

Oba B-gony były prawie niewidoczne. Wykorzystaliśmy do transportu łódkę, pchając ją po ciemnej powierzchni wody w kierunku tratwy, nad którą majaczyła ciemniejsza jeszcze sylwetka pojazdu.

Wdrapawszy się na pokład, przekazaliśmy broń do ciężarówki.

Hammond i jego ekipa zwiśzali oba B-gony, dopasowując do siebie heksagonalne kształty, dodając tu i ówdzie kilka A-gonów i łącząc to wszystko jak dziecinną układankę.

Ciężarówka z trudem mieściła się z tyłu pokładu. Po bokach zostało najwyżej trzydziści centymetrów wolnej przestrzeni. Tra-twa wyglądała jak parodia promu z Kańjali: miała wysoką rufę i płaski dziób. Hammond przymocował z tyłu do belek dwa otrzymane od Sama silniki, jeden o mocy siedmiu koni, a drugi szeci.

Były na tyle zbliżone parametrami, że nie powinniśmy kręcić się

w kółko. Każdy z silników obsługiwał jeden człowiek, a Hammond miał kontrolować z kabiny ciężarówki prędkość i kierunek ruchu tratwy.

Wyruszałimy w zupełnej ciszy, pożegnawszy się przedtem ze wszystkimi. Miałem nadzieję, że nie na zawsze. Doktor Kat twierdził, że Lang może nie zobaczyć już Manzu. Zastanawiałem się, ilu z nas tam dotrze.

W czasie podróży doszło do ciekawej sytuacji. Nie zapomniałem, że McGrath zachowywał się na plaży wojowniczo i dwukrotnie kwestionował rozkazy, jakby go irytowały. Aby nasza misja się powiodła, jego udział był nie tylko ważny - miał wręcz podstawowe znaczenie. Musiałem ustalić, co go gnębi.

- McGrath, chcę z tobś porozmawiać - powiedziałem.

Odwrócił się w moim kierunku.

- Natychmiast! - dodałem. Odszedłem na bok, aby inni nas nie słyszeli i poczułem ulgę widząc, że idzie za mnś. Przykucnęliśmy w miejscu, gdzie rozbijały się o tratwę niewielkie fale, spryskując nam twarze zimnś wodś.

- Mick, co cię gryzie, do cholery? - zapytałem.

Wydawał się zasepiony.

- Nic. Nie wiem, o czym pan mówi - odparł, nie patrząc na mnie.

- Jeli co cię gnębi, wydu to z siebie, na litoć boskś.

- Nie służymy w wojsku, Mannix. Nie jest pan moim oficerem,

ani ja pańskim pieprzonym sierżantem.

- Chryste! - powiedziałem. - Ależ z ciebie primadonna! O co ci chodzi?

- Niech pan przestanie mi rozkazywać. Mam tego dość.

Wziłem głęboki oddech. Sytuacja była idiotyczna.

- Mick, jeste naszym najlepszym kierowcą - stwierdziłem. -

I najbardziej z nas wszystkich nadajesz się na żołnierza. Liczymy na twoje dowiadczanie. Nikt nie jest nam bardziej potrzebny niż ty, nawet Sadiq.

- Niech pan nie myli, Mannix, że dam się ugłaskać pochlebstwami - odparł. Ku mojemu zaskoczeniu w jego głosie pobrzmiewał ton urazy.

- W porządku, McGrath, żadnych pochlebstw. Ale co cię naprawdę gryzie?

- Nic - odrzekł, wzruszając ramionami.

- Więc dlaczego się na mnie wciekasz? Przedtem nie bałem się mówić, co mylisz.

Zacisnął pięć, uderzając nią o otwartą dłoń.

- Kiedy bylimy jakby przyjaciółmi - rzekł. - Niele się rozumielimy. Ale od czasu tej bójki przy moście w Makarze prawie się pan do mnie nie odzywa.

Patrzyłem na niego bezgranicznie zdumiony. Ten twardy, pozbawiony skrupułów facet zachowywał się jak uczeń, który dostał kosa od dziewczyny.

- Byłem ostatnio cholernie zajęty - powiedziałem.

- Chodzi o co więcej. Rzekłbym, że czuje pan do mnie odrazę.

Wiesz, co mam na myli, jankesie?

- Nie rozumiem, o czym mówisz, do diabła - zachnłem się. -

Skoro nie słuchasz rozkazów, nie mogę ci ufać i nie dopuszczę, żeby z powodu twojej urażonej ambicji cała operacja zakończyła się fiaskiem. Kiedy dotrzemy do Kanjali, zostaniesz na tratwie. Niech mnie diabli, jeli pozwolę, by życie Binga lub kogokolwiek innego \$ zależało od twoich kaprysów!

Podniosłem się raptownie, aby podejść z powrotem do ciężarówki. McGrath krzyknął za mną:

- Chwileczkę, panie Mannix

Znow przykucnłem, czekając co powie. Była to absurdalna pozycja do prowadzenia sprzeczki.

- Ma pan rację - rzekł. - Przepraszam. Będę wykonywał pańskie rozkazy. Nie zostawi mnie pan, prawda?

Na chwilę zaniemówiłem z wrażenia.

- W porządku - powiedziałem w końcu znużonym głosem. -

Idziesz zgodnie z planem. I słuchasz poleceń, McGrath. A teraz wracajmy do ciężarówki, bo obaj zamarzniemy.

Zastanawiałem się później nad tym dziwnym incydentem. Służąc w armii, a później zapewne także w IRA, McGrath nigdy nie awansował. Był człowiekiem wykonującym rozkazy i nie aż takim indywidualistą, na jakiego wyglądał. Ale słuchał tylko ludzi,

których darzył szacunkiem i nie miało to nic wspólnego z ich stopniem czy statusem społecznym. Nie szanował Kempa ani Wingsteada, przede mną czuł jednak pewien respekt, może dlatego, że nie bałem się rozmawiać z nim bez ogródek o zabójstwie Sisleya, na pewno za z powodu łączącej nas nici wzajemnego zrozumienia.

Ostatnio jednak McGrath został odtrącony. Rzeczywiście unikałem go od dnia, gdy znaleliśmy ciało Rona Jonesa, a on okazał się na tyle wrażliwy, by to odczuć.

Na Boga, Mannix! - pomyślałem. Psychopata znalazł w tobie ojca!

Znow zbliżaliśmy się do Kanjali w chwili, gdy zaczynało witać.

Niebo miało różowawy kolor, wiał chłodny poranny wiatr. Hammond polecił ludziom zmniejszyć obroty silników i płynęliśmy niewiele szybciej niż przed rzeki. Wkrótce wyłoniły się z mroku kontury promu i stojących na brzegu zabudowań. Sadiq wydał cicho rozkazy. Jego ludzie zaczęli wyjmować z ciężarówki karabiny.

Podpłynęliśmy blisko brzegu, trochę w górę rzeki od miejsca, gdzie Hammond zamierzał stanąć i tratwa zagłębiła się w przybrzeżne trzciny, zmniejszając prędkość. Kilkunastu ludzi zeskoczyło z pokładu i brnąc w wodzie, ciągnęło liny cumownicze. Holowali tratwę do brzegu, dopóki Hammond ich nie zatrzymał. Umiechnąłem się z przekśsem, przypominając sobie jego strach przed krokodylami. Powodowany przez nas hałas wystraszyłby każdą żywą

istotę i modliłem się tylko, żeby piścy na przystani żołnierze nie usłyszeli niczego.

Zacumowawszy dokładnie tratwę, przekazaliśmy na brzeg broń.

Hammond kazał ludziom rozdzielić dwa B-gony i zamontować oba silniki na tym bez ciężarówki. Miał on nam posłużyć do ewakuacji albo umożliwić przepłynięcie do Manzu w poszukiwaniu załogi promu.

Znalazłszy się na brzegu, skorzystałem z okazji, żeby powiedzieć Hammondowi na osobności, co Dufour wiezie w ciężarówce.

- Harry zauważył szec skrzyń tych materiałów i na wszelki wypadek jednś otworzył - poinformowałem go. - W razie potrzeby zagrozimy rebeliantom, że wysadzimy ich w powietrze. Harry ma odpowiedni detonator. Wróci tu, założy go i puci tratwę na wodę.

- Tratwa może minśc przystań, zanim nastłpi wybuch, Neil - stwierdził Hammond. Widzśc, jakim przerażeniem napawa go nasz amatorski plan, byłem zadowolony, że nie wspomniałem mu o tym wczniej. - Może za szybko przybić do brzegu - mówił dalej. -

Może zawieć detonator. Albo eksplozja rozwali ciężarówkę, nie uszkadzajśc w ogóle przystani!

- My to wiemy, ale oni niekoniecznie - stwierdziłem. - Nasze groby zabrzmis na tyle przekonujšco, że nie omiełš się w nie wštpić.

Był to doć desperacki plan, ale innego nie mieliśmy. Nie pomógł nam bynajmniej Antoine Dufour, który akurat w tym momencie

podszedł do nas i powiedział:

- Panie Mannix, proszę nie liczyć za bardzo na ładunek w mojej ciężarówce. Błagam pana.

Wydawał się bardzo strapiony.

- O co właściwie chodzi? - zapytałem opryskliwie. - Jeli te materiały sš stare i niebezpieczne, będziemy musieli zaryzykować.

- Och, nieważne - odparł, wzruszajšc ramionami z wyranš rezygnacjš. Czulem, że chciał co jeszcze powiedzieć, ale po niedawnej sprzeczce z McGrathem brakowało mi już cierpliwości do cudzych problemów. Miałem doć własnych.

Sadiq i jego ludzie poszli przodem, a my, zdenerwowani i spięci, ruszyliśmy za nimi. Posuwaliśmy się ostrożnie pod osłonš drzew, pozostajšc w takiej odległoci za żołnierzami Sadiqa, by mieć ich na oku aż do chwili, gdy zaatakujšc budynki. Zatrzymaliśmy się, w miejscu gdzie podczas budowy przystani powycinano zarola.

Miałem okazję zobaczyć po raz drugi stojšcy na kotwicy prom, który owietlały jak snop reflektora pierwsze promienie słońca.

Tym razem uwiadomiłem sobie, co uszło przedtem mojej uwadze.

Nie był to nowoczesny prom. Miał rysy i wgniecenia, i choć wielokrotnie go malowano, przegrywał walkę z wszechobecnš rdzš. Przypominał dzielnego starego rumaka, dozywajšcego swoich lat z daleka od domu. Była to długa na piętnacie metrów zmechanizowana łód desantowa, skonstruowana dla potrzeb transportu



morskiego podczas drugiej wojny, przed lądowaniem aliantów w Normandii w 1944 roku. Wzorowane na szerokich, płaskodennych barkach jednostki mogły podpływać blisko stromych europejskich wybrzeży, przewożąc po kilka czołgów, wiele mniejszych pojazdów i duże grupy żołnierzy. W różnych rejonach wiata nadal z nich korzystano.

Trudno było odgadnąć, skąd tego typu jednostka znalazła się na jeziorze, usytuowanym w głębi lądu, na niezeglownej rzece.

Skoncentrowałem uwagę na widocznej w dole przystani. Wokół nabrzeża przeładunkowego zgrupowanych było pięć budynków.

Odnoga drogi prowadzącej do Fort Pirie opadała stromo w kierunku portu. W wodę wchodziła betonowa rampa, po której wjeżdżały na pokład promu samochody. Na rampie stały dwa dwigi i solidnie wyglądające pachołki cumownicze, po jednym z każdej strony.

Z tyłu znajdował się garaż.

W największym budynku, mającym rozmiary przeciętnej stodoły, był prawdopodobnie posterunek celny. Za nim stał duży garaż, niewielki sklep i stacja benzynowa oraz drugi przypominający stodołę budynek, w którym miecił się zapewne magazyn.

Ludzie Sadiqa rozdzielili się, aby otoczyć posterunek celny, sklep i magazyn. Podszaliśmy niepewnie za nimi, nie bardzo wiedząc, dokąd iść. Kemp, Pitman i ja pobiegliśmy zająć nasze stanowisko na przystani i ukryliśmy się za garażem. Thorpe deptał mi po piętach, ale gdy kazałem mu dołączyć, do McGratha, oddalił się.

Nasłuchiwalimy w napięciu. Kemp zdążył już zlustrować fa-  
chowym okiem prowadząc do przystani drogę i znajdując się  
obok betonowe nabrzeże. Było stare i popękane. Musiano je wyko-  
rzystywać do załadunku i wyładunku towarów z mniejszych jed-  
nostek, w czasach gdy nie pływał jeszcze prom. Kemp zastanawiał  
się, czy ten położony z dala od drogi długi pas betonu nie stano-  
wiłby dobrego miejsca postoju dla platformy. Problemem mógł być  
tylko stromy dojazd.

Na razie nic nie zakłócało ciszy. Po kilku nieskończeniu długich  
minutach Pitman powiedział:

- Może pójde zobaczyć, co się dzieje?

Pokręciłem głowę.

- Jeszcze nie teraz, Bob.

W tym momencie kto krzyknął, a w odpowiedzi odezwał się  
drugi głos. Usłyszeliśmy tupot nóg i strzelaninę. Wyjrzałem ostroż-  
nie zza rogu garażu i nagle dobiegło mnie wołanie mężczyzny  
mającego wyrazie europejski akcent:

- Hej, co się tam dzieje?

Spojrzelimy na siebie. W górze było zabite deskami okno. Za-  
stukałem w nie ręką.

- Kto tam jest?

- Wypuście nas, na litość boską!

Rzuciłem w okno cegłę, tłukąc szyby, ale nie uszkodzając desek.

Z drzwiami powinno pójść łatwiej. Podbiegłszy do nich zobaczyli-

my jednak, że w stary rygiel wetknięto nową kłódkę. Plac wypełnił się nagle biegnącymi w różnych kierunkach postaciami. Słychać było kolejne wystrzały z karabinów.

Mocowałem się nadaremnie z zamkiem.

- Mój Boże, oni uciekaj! - oznajmił Kemp.

Nie mylił się. Kilku żołnierzy stało z podniesionymi do góry rękami, niektórzy siedzieli na ziemi, a jeszcze inni pędzili w kierunku drogi. Kto uruchomił Volvo, ale wóz skręcił raptownie, rozbijając się o cianę magazynu. Ludzie Sadiq otoczyli pojazd. Kierowca, ubrany po cywilnemu Nyalańczyk, wysiadł z niego na chwiejnych nogach i upadł. Drzwi do głównego budynku były otwarte. Dwóch naszych żołnierzy ubezpieczało grupę mężczyzn, którzy przebiegli przez polanę i wpadli do rodka. Byli to Bishop, Bing, McGrath i prawdopodobnie Kirilenko. Miałem nadzieję, że znajdę tam radio. Ludzie Sadiq cigali maruderów.

Kemp, Pitman i ja nie braliśmy bezpośrednio udziału w akcji.

Wszystko rozegrało się w cięgu pięciu minut, od chwili gdy usłyszeliśmy pierwszy krzyk. Było to niesamowite. Wcześniej nie miałbym odwagi nawet pomyśleć, że cała operacja może się skończyć tak pełnym sukcesem.

Hammond podszedł do nas, umiechając się szeroko i machając wymontowaną z jednej z ciężarówek głowicą rozdzielacza. Sadiq był wszędzie. Liczył swoich żołnierzy, rozstawiał wartowników i oczyszczał teren zgodnie z zasadami sztuki wojennej. Poszliśmy

dołączyć do reszty grupy, pozostawiając na razie zamkniętych

w garażu ludzi własnemu losowi.

- Boże, co za fantastyczna akcja! - powiedziałem. - Dobra robota, kapitanie! Ilu ich było?

- Chyba najwyżej czternastu - odparł Hammond. - Mniej niż się spodziewaliśmy.

- Sł jakie straty?

McGrath stał tuż obok mnie, umiechając się pogardliwie.

- Żadnych ofiar, ani po naszej, ani po ich stronie - oznajmił. -

Tylko parę guzów. Ci faceci byli na wpół upieni i nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Kilku uciekło, ale nie przypuszczam, żeby chcieli komu o nas opowiadać. Myleli chyba, że jesteśmy diabłami.

Rozejrzałem się wokół. Brakowało paru osób.

- Gdzie Bing? - zapytałem.

- Nic mu nie jest - odparł McGrath. - Zabawia się już tym ich licznym nadajnikiem. Sł z nim Brad i Ritchie.

- Volvo nie nadaje się do użytku - stwierdził Hammond - ale pozostałe wozy jak najbardziej. Możemy w każdej chwili z nich skorzystać. Nie były nawet pilnowane.

Szczególnie mnie to nie zdziwiło. Nie mieli powodów, żeby spodziewać się ataku, nie stał im nad głowś żaden oficer, a przede wszystkim rebeliantom brakowało zapewne wojskowego wyszkolenia.

- Odkryliśmy co ciekawego - oznajmiłem. - W garażu obok

przystani siedzą zamknięci jacy ludzie. Na drzwiach jest kłódka, ale możemy ją przestrzelić.

Gdy zatrzymaliśmy się przed wejściem do garażu, krzyknąłem:

- Hej tam, słyszycie nas?

- Jasne - zawołał ktoś stłumionym głosem. - Pomóżcie nam stąd wyjść!

- Przestrzelimy zamek. Cofnijcie się!

Jeden z ludzi Sadiq'a wystrzelił z karabinu, rozsadzając kłódkę wraz z kawałkiem drzwi. Garaż był otwarty.

Wyszli z niego dwaj biali mężczyźni - jeden potężnie zbudowany i trochę otyły, drugi szczupły, o niezdrowej cerze. Wydali nam się wychudzeni i brudni, choć pewnie my w ich oczach wyglądaliśmy tak samo. Nosili niechlujne, podarte ubrania i obaj byli ranni.

Olbrzym miał owiniętą zabrudzonym bandażem lewą rękę, a jego towarzysz paskudną, nie opatrzoną szramę na policzku. Szczupły mężczyzna przeszedł dwa kroki, zachwiał się i osunął na kolana.

Pospieszylimy mu z pomocą.

- Zaprowadcie go do cienia - polecił Kemp. - Przynieście trochę wody. A pan dobrze się czuje?

Rosły mężczyzna skinął głową, idąc o własnych siłach. Pomyślałem, że gdyby upadł, musielibyśmy nieść go we czterech.

Zostawiłem Kempa przez chwilę samego, odchodząc z Sadiqiem na bok.

- Czy naprawdę panuje pan nad sytuacją? - zapytałem. - Co

z tymi zbiegami?

- Najprawdopodobniej zdezerterujesz i nie doniosz nikomu, co się stało. Ale gdyby nawet to zrobili, minie chyba sporo czasu, zanim dotrą tu inni żołnierze.

- Myli pan, że byłoby bezpiecznie sprowadzić konwój na przystań? Jeli uruchomimy prom, nie będzie czasu do stracenia.

Zaczynała już kiełkować we mnie nadzieja. Sadiq musiał się jak zwykle zastanowić, zanim odpowiedział:

- Chyba warto zaryzykować.

- Basil, we ludzi i wracajcie do stacji benzynowej - krzyknąłem do Kempa. - Niech konwój ruszy z miejsca. Zostawcie cysternę z paliwem i kuchnię polową. Sprowadźcie platformę i ciśnieńki. Cały sprzęt trzeba załadować do jednej, najwyżej dwóch ciężarówek.

Uwolnionym z garażu mężczyznom udzielono prowizorycznej pierwszej pomocy. Bishop odkrył magazyny z żywnością i przygotowywał dla wszystkich posiłki, co było bardzo pomysłowe.

Podszedłem z powrotem do oswobodzonych przez nas jeńców i przykucnąłem obok nich.

- Jestem Neil Mannix z firmy British Electric, a ci ludzie pracują dla Wyvern Transport - oznajmiłem. - Wieziemy sprzęt na pola naftowe... albo raczej wielimy, kiedy wybuchła wojna. Towarzy-

szęcy nam żołnierze sš wierni rzšdowi Ousemane. Zdaje się, że  
jestemy w tarapatach.

Rosły mężczyzna obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

- Ma pan więtsz rację. Cholerni idioci! Po tym wszystkim, co dla  
nich zrobiłem. Pan jest Amerykaninem, prawda? Miło mi pana  
poznać... i całš ekipę. Wywiadczylicie nam wielkš przysługę. Na-  
zywam się Pete Bailey. Jestem teraz daleko od mojego rodzinnego  
Southampton. - Wycišgnšł do mnie swš potężnš dłoń. Emanował  
dobrym humorem. - A to mój kumpel, Luigi Sperrini - dodał, kła-  
dšc rękę na ramieniu kolegi. - Mówi wiele po angielsku, chociaż  
sam uważa inaczej. Bšd tak dobry, Luigi i przywitaj się.

Sperrini odczuwał dotkliwy ból i nie miał najwyraniej tak nie-  
wyczerpanych zasobów energii, jak jego przyjaciel, skinšł jednak  
uprzejmie głowš.

- Jestem Sperrini. Dobrze, że panowie przyjechali - owiadczył  
i zamknšł oczy. Musiał być bardzo wyczerpany.

- Powiedz chłopakom, żeby pospieszyli się z tym jedzeniem -  
krzyknšłem do Bishopa, a potem zwróciłem się znów do Bailey'a: -  
Jak długo siedzielicie zamknięci?

- Jakie cztery doby. Albo i dłużej, bo nie bylimy nawet w sta-  
nie sprawdzać, czy jest dzień, czy noc. Skończyła nam się woda. Ci  
cholerni głupcy bardziej chyba dbajš o swoje bydło. - Nie wydawał  
się jednak szczególnie wrogo nastawiony do tubylców, choć niewie-  
le brakowało, by i on, i jego towarzysz zostali w bezwzględny spo-

sób zagłodzeni na śmierć.

Zdecydowałem się zadać pytanie, które najbardziej mnie nurtowało.

- Kim właściwie jesteście? Co tu robicie?

Otrzymałem odpowiedź, na którą czekałem z utęsknieniem:

- A jak pan myśli, mój drogi? Obsługujemy ten cholerny prom!

27

- Czy prom popłynie?

Bailey był niemal oburzony, usłyszawszy to pytanie.

- Oczywiście, że tak - odparł. - Luigi i ja nie po to pracujemy przy tej łajbie po dwanaście godzin dziennie, żeby tylko dobrze wyglądała. "Katie Lou" jest równie cudowna jak dziewczyna, której imieniem ją ochrzciłem, ale o wiele dłużej dochowuje mi wierności.

Czas, który upłynął między opanowaniem przez nas przystani a przybyciem konwoju, nie został zmarnowany. Znaleliśmy przyzwoite zapasy żywności i zaczęliśmy się przygotowywać na przyjęcie platformy. Zdążyliśmy napełnić wodą kanistry, podrzeć przecieradła na bandaż oraz sprawdzić zapasy broni i innych rzeczy.

Wyglądało na to, że trafiliśmy na prawdziwy skarbiec.

Radio do niczego się nie nadawało. Bing nie zdołał go naprawić nawet po wymontowaniu części z drugiego nadajnika. Byliśmy coraz bardziej spragnieni wiadomości. Bailey i Sperrini niewiele nam mogli powiedzieć. Mielimy aktualniejsze informacje niż oni. Zafa-



scynował nas jednak fakt, że słyszeli o platformie.

- Szpital, który przemierza cały kraj - rzekł Bailey. - A więc on istnieje. Ssdziliśmy, że to znowu jakie bajki. Podobno uleczono tam w cudowny sposób setki ludzi, lekarze posługują się czarami i tak dalej. Nie przypuszczam, żeby tak było naprawdę.

- Niezupełnie - odparłem lakonicznie, wyjaniając im sytuację.

Bailey ucieszył się, że jadę w naszym kierunku prawdziwi lekarze.

Nie myślał o sobie, lecz o Sperrinim, którego twarz była spuchnięta i zaogniona. Ranę na policzku miał najwyraźniej zainfekowaną.

- Jeden z tych facetów uderzył go rewolwerem - powiedział

Bailey. - Przedtem postrzelili mnie w rękę, sukinsyny. Gdyby okazali się trochę bardziej uprzejmi, mogliby liczyć na naszą współpracę. No bo niech mi pan powie: dokąd miałbym uciekać tym promem? Przecież nigdzie nie popłynę, prawda?

- Chyba że do Manzu - stwierdziłem, mówiąc mu od razu

o naszych zamierzeniach. - Dziwne, że sami na to nie wpadlicie.

- Jasne, że mogliśmy przedostać się na drugi brzeg - powiedział wyrozumiałym tonem - ale nie przyszło mi do głowy, żeby przed kimkolwiek uciekać, a potem było już za późno. Nie przejmowaliśmy się specjalnie wojną. W pewnej chwili, podczas wyładunku promu, na przystani zaroilo się od facetów udających żołnierzy. Ich dowódca zażądał poddania promu. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Ssdziłem, że pomylił angielskie słowa. Tubylcom często się to zdarza. Zaraz potem mnie postrzelili, a biedny Luigi został pobity.

Na koniec zamknęli nas w garażu.

Swobodny ton jego wypowiedzi nie pasował do dramatyzmu opisywanych wydarzeń.

- Próbowaliśmy, oczywiście, się uwolnić. Ale sam budowałem ten garaż i na swój własny zgubę zabezpieczyłem go przed włamaniem. "Cioci Bess" nie ruszyli, ale nie miałem kluczyków i nie mogłem jej uruchomić. Próbowalem zewrzeć przewody, ale nic z tego nie wyszło. Muszę przyznać, że czułem się wtedy trochę głupio.

- Co to za ciocia Bess? - zapytałem. Nie zaglądaliśmy jeszcze do garażu, w którym Bailey był więziony.

- Pokażę panu, ale najpierw muszę znaleźć kluczyki. Zresztą, szczerze mówiąc, wolałbym zacząć od ciśnięcia tu "Katie Lou".

Uruchomienie promu okazało się prostą sprawą. Bailey podpłynął do niego niewielką łódką, godząc się, by zamiast Sperriniego towarzyszyli mu Dufour, Zimmerman i Kirilenko.

- Zgodnie z prawem Parkinsona - stwierdził rozbawiony. -

Panów trzech za niego jednego. Do obsługi promu potrzeba tak naprawdę tylko dwóch ludzi, ale dobrze jest mieć parę dodatkowych rąk do pracy.

Dotarłszy ze swoją nową załogą na pokład "Katie Lou" Bailey podniósł sprawnie kotwice, ocenił dokładnie pozycję statku i podpłynął nim do rampy, opuszczając z głuchym brzękiem na beton wrota ładowni. Kierował cumowaniem promu, a potem sprawdzał

przez jakiś czas, czy nie ma żadnych uszkodzeń. Niczego nie znalazł.

Sperrini czekał na niego zrezygnowany.

- On bardzo dobry marynarz - stwierdził. - Nigdy nie popełnia błędów. Dla mnie pierwsza klasa partner.

Bailey, podobnie jak Wingstead, wzbudzał od razu szacunek i sympatię. Mnie nigdy się to nie udawało. Potrafiłem rządzić i kierować ludmi, ale nie umiałem pobudzać ich do działania, z wyjątkiem może McGratha, co wcale nie sprawiało mi satysfakcji. Przedtem nie zwracałem na ten fakt uwagi. Wspólna podróż w trudnych warunkach otworzyła mi oczy na pewne aspekty ludzkiej natury, nie liczące się dotąd za bardzo w mojej życiowej filozofii. W sumie nie było to przyjemne dowiadczenie.

Bailey rozpromienił się, gdy pochwaliłem jego "Katie Lou".

- Jest trochę zardzewiała, ale, na Boga, wietnie się spisuje - stwierdził. - Wiedziałem od początku, że nas nie zawiedzie.

- Skąd, u licha, w ogóle się tu wzięła? - zapytałem. ^

- Luigi i ja obsługiwaliśmy stary prom. Pracujemy w tej branży od lat. Poprzedni prom był nieruchawy i miał ograniczone możliwości. Przewoził ładunki tylko na pokładzie i zabierał niewielu pasażerów. Kiedy rozwinął się tu handel i zaczęto wydobywać naftę, zauważyłem, że istnieje zapotrzebowanie na przewóz samochodów i ciężarówek. W Manzu nie ma ropy, ale w tamtejszym porcie są o niebo lepsze warunki do wyładunku

ciężkiego sprzętu.

Zapamiętałem tę informację na przyszłość, zakładając, że pożyczymy dostatecznie długo, by ją wykorzystać.

- Oba kraje podpisały z nami umowę. Oczywiście, za odpowiednią cenę. Zaczęliśmy się rozglądać za lepszym statkiem. Zawsze imponowały mi te stare łodzie desantowe z opuszczanym dziobem, które widziałem w akcji podczas lądowania aliantów w Normandii. Proszę nie zapominać, że siedzę w tej robocie całe życie. Zaczynałem jako chłopak w porcie w Southampton.

- Ja też - wtrącił się Sperrini. - Od dziecka pływałem z ojcem.

- Niech pan nie pyta, w jaki sposób sprowadziliśmy ten prom do Nyali. To długa historia. Opowiem ją panu kiedy przy kuflu zimnego piwa. Krótko mówiąc, dowiedziałem się, że na północnym wybrzeżu Afryki leży wrak łodzi desantowej i kupiłem go za psie pieniądze. Właściwie, wcale nie była taka tania. Potem popłynęliśmy nim wzdłuż wybrzeża do Manzu, planując przetransportować go drogą lądową nad jezioro Pirie.

Gwizdnąłem z podziwu. Dzięki zdobytej ostatnio praktycznej wiedzy na temat przewozu ciężkich ładunków zdawałem sobie sprawę, że zadanie takie jest wykonalne, lecz cholernie trudne. Gdy powiedziałem to głośno, Bailey napuszył się jak paw.

- Mogę pana zapewnić, że wszystko poszło wspaniale - rzekł. -

Statek nie był nawet zarysowany. W każdym razie nie za bardzo.

Okazał się znakomitym nabytkiem! Luigi i ja niele sobie radzimy. -

Zamylił się przez chwilę, dodając: - Przynajmniej dotąd tak było.

Ale kiedy znowu zapanuje spokój, rozejrzemy się może za większym promem.

Sandy Bing kursował tam i z powrotem między przystaniś i głównš drogš. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Był zdenerwowany i zły, że nie udało mu się naprawić radia. Nagle podbiegł do nas i przerwał Baileyowi w pół słowa, żeby przekazać najnowsš wiadomość. Konwój był już w drodze.

- Zaczniemy od załadowania na prom rannych oraz Nyalańczyków, którzy zechcš popłynšć - powiedziałem do Bailey'a. - Chciałbym, żeby zabrał pan też jeden z pojazdów. Powiedzmy Land Rover.

- Nie ma problemu.

- Ile potrzebuje pan czasu na wyładunek i powrót? - zapytałem. - Za drugim razem chcemy przetransportować dwie ciężarówki. Im więcej będziemy mieli pojazdów, tym lepiej. Zdšży pan popłynšć trzykrotnie?

- Zwykle prom kursuje dwa razy dziennie - odparł - ale wtedy nigdzie się nie spieszę. Przy odrobinie szczęcia mogę zdšżyć z powrotem za dwie godziny. Wštpię, żeby po tamtej stronie można było liczyć na czyjś pomoc, więc wyładunek pańskich pacjentów musi trochę potrwać. Ale postaramy się wrócić jak najszybciej.

Sperrini wtargnił między nas, owiadczając stanowczo:

- Ja też płynę. Nie za bardzo mogę pracować, ale dopilnuję, czy wszystko w porządku.

- Oczywiście, że popłyniesz, stary - powiedział Bailey. - Bez ciebie nie dałbym sobie rady. Będziemy potrzebowali kilku pańskich ludzi, Neil.

- Dostanie ich pan.

- Co zrobicie, gdybycie przed moim powrotem znaleli się w niebezpieczeństwie? - zapytał.

- Mamy tratwę, na której tu przyplłynęliśmy - odparłem. - Ale na Boga, Pete, trzeba już zobaczyć, żeby uwierzyć, że co takiego istnieje! - Miałem jednak wątpliwości, czy w krytycznej sytuacji B-gon na cokolwiek by się nam przydał. Był zacumowany zbyt daleko. Bailey obdarzył mnie znów swym wspaniałym umiechem.

- Mam akurat co w sam raz dla pana - oznajmił. - Prawdę mówiąc byłbym nawet wdzięczny, gdyby "Ciocia Bess" znalazła się po drugiej stronie jeziora.

- Cóż to takiego?

- Kaczka\* - odrzekł, wybuchając śmiechem na widok wyrazu mojej twarzy.

- Kaczka? - Wyobraziłem sobie nagle ogromny łód Lohengrina w kształcie łabędzia. - Mamy przepływać jezioro na grzbiecie jakiego wielkiego ptaka?

- Proszę zobaczyć - zaproponował Bailey. - Na pewno będzie pan zachwycony.

Zimmerman, Kirilenko i ja podszliśmy za nim do garażu.

Otworzywszy na ocieź podwójne drzwi zajrzeliśmy do mrocznego wnętrza. W rodku stał jaki niski, podłużny wehikuł. W pierwszej

\* DUKW, a właściwie DUKW 1942 (potoczna nazwa "duck", czyli kaczką) to pojazd-amfibia, stosowany podczas II wojny do transportu jednostek desantowych.

chwili byłem zdezorientowany, lecz nagle wszystko stało się cudownie i zachwycająco oczywiste.

- Kaczucha!!! - zawołałem.

Bailey poklepał czule maskę pojazdu. \*

- Przedstawiam panom "Ciocię Bess". Nosi imię najbardziej przebojowej damy, jakś znałem w życiu. Nic nie było w stanie jej powstrzymać. Znalazłem już kluczyki, więc można w każdej chwili wyruszyć w drogę.

Otoczyliśmy "Ciocię Bess", zafascynowani i zaintrygowani. Stał przed nami niski, pozbawiony dachu wehikuł o długości około dziewięciu metrów. Z przodu miał dwa koła, a z tyłu cztery. Te ostatnie były nieco przesunięte ku rodkowi pojazdu, gdyż za nimi znajdowała się osłonięta metalowymi płytami ruba. Na wysuniętej ku przodowi masce, przypominającej kształtem dziób łodzi, wisiały stare opony. Przywiśzono je w miejscu, które na statku nazywałoby się nadburciem. Korpus pojazdu zrobiony był ze wzmocnionego metalu, a reflektory chroniła gęsta druciana siatka. Kierowcę zabezpieczała jedynie, na lądzie i w wodzie, wyglądjająca staromodnie przednia szyba, po bokach znajdowały się jednak otwory na zain-

stalowanie wsporników, umożliwiających rozciśnięcie u góry brezentowej plandeki.

Resztę sprzętu, potrzebnego podczas podróży amfibiś, poprzywiśzywano w różnych miejscach. Była tam kotwica na linie, pas ratunkowy, kilka kanistrów, podnionik samochodowy, saperka i zapasowe opony. Podobnie jak "Katie Lou" pojazd nosił lady rdzy, ale wyglądał na dobrze zakonserwowany. Bailey wsunął się za kierownicę i wyprowadził go z mrocznego garażu. Silnik terkotał równomiernie. Bailey mocno poklepał rękš bok amfibii, wyranie z siebie zadowolony.

- Mylałem, żeby nazwać jš "Molly Brown" - stwierdził - ale w końcu którego dnia może przecież zatonšć. Nabiera trochę wody. Tyle razy jednak przepływała juź przez to jezioro, że i was nie zawiedzie. Obiecuję.

W amfibii było tyle miejsca, że przewiezienie kilkunastu ludzi nie stanowiło żadnego problemu.

- Czy trudno jest niš kierować? - zapytałem.

- Jedziłem kiedy czym takim - odezwał się Zimmerman. -

Nic wielkiego. Nie wiem tylko, jak zachowuje się na wodzie.

- Pokażę panu - zaproponował Bailey.

Zimmerman wskoczył do rodka i na oczach zachwyconych widzów "kaczucha" zaczęła zjeźdzać z hałasem do wody. Pete Bailey obchodził się delikatnie z "Katie Lou", natomiast amfibiś kierował trochę jak kowboj. "Ciocia Bess" oddaliła się z łoskotem od brzegu,



prujść dziobem wodę i zataczajść duże koło na powierzchni jeziora.

Kiedy szlimy kręťš, bocznš drogš z przystani promu, nadjechała włanie platforma. Kemp i Hammond zatrzymali jš na głównej szosie, w miejscu, skšd widać było Kanjali. Zaczęlimy lokować rannych w ciężarówkach, aby przewieć ich na pokład promu. Bailey i Sperrini przyszli obejrzeć platformę i skorzystać z pomocy lekarskiej. \

Platforma prezentowała się jak zawsze imponujšco. Potężny ładunek nadal spoczywał ciężko na dwóch przyczepach. Cztery cišgniki, doczepione parami z przodu i z tyłu, potęgowały jeszcze bardziej wrażenie ogromu całej konstrukcji. Wprowadzone przez nas modyfikacje nadawały platformie doć dziwaczny wyglšd. Poszarpane wiatrem zadaszenie z palmowych lici musiano tak często naprawiać, że było już całe w łatach. Miejsce do przeprowadzania operacji osłonięto co prawda solidnš plandekš, ale widoczne na brezencie plamy z pleni sprawiały, że przypominał on materiał stosowany podczas wojny do maskowania stanowisk dział. Z każdego poziomu platformy zwisały mocne drabinki sznurowe, a ze słomianych legowisk wychylały się twarze pacjentów.

- Niech mnie diabli - powiedział z podziwem Bailey. - Warto było przejć się kawałek, żeby to zobaczyć. Niezły cyrk. A to kto? Jego pytanie dotyczyło Nyalańczyków, którzy podšzajść nadal za swoim fetyszem pojawili się tłumnie na drodze i wlepiali teraz oczy w przystań promu. Sperrini wyraził słowami odczucia, które

ten dziwny korowód od dawna w nas wzbudzał.

- To processione sacra - rzekł uroczystym tonem. - W ten sposób czci się świętych.

Powiedziałem Kempowi i Hammondowi o "Cioci Bess". Hammond był zachwycony i żałował, że nie starczy mu zapewne czasu, żeby samemu pobawić się amfibiś.

- Możemy jej potrzebować do ewakuacji - stwierdziłem.

- A co z tratwś i ciężarówkś Dufoura?

- Nie wykluczam, że w przypadku zagrożenia jeszcze nam się przyda - odparłem. - Ben, mógłby razem z Harrym i Kirilenkś sprowadzić tratwę bliżej przystani. Powinna być ukryta, ale w takim miejscu, żebyśmy w razie potrzeby natychmiast z niej skorzystali. To zadanie dla ochotników. Co powiesz?

- Zajmę się tym - odparł Hammond. - Szkoda by było nie mieć na wszelki wypadek pod rękś takiej broni.

Zimmerman powiedział co szybko do Kirilenki, po czym rzekł:

- Zgadzą się obaj.

- Więc ruszajcie. Zapewnię wam osłonę. Spróbujcie się pospieszyć.

- Zabawny jeste, Neil - stwierdził Zimmerman. Umiechnśłem się, zostawiajśc ich samych.

Rozpoczęto wyładunek. Wingstead i cała reszta wiedzieli już od Kempa o zajęciu przystani, zaskoczył ich jednak widok majestatycznej sylwetki zacumowanego przy nabrzeżu promu. Spuszczona

rampa wyglądała jak dywan, rozcielony na powitanie dostojnych gości. Bishop i Bing byli już na pokładzie, rozdając żywność i wodę.

Rannych układano na słomianych matach.

Doktor Kat kontrolował ciele racjonowanie żywności.

- Kiedy przepłyniemy na drugą stronę, ci ludzie będą mogli jeść przez cały miesiąc - mówił. - Ale nie mogą jeść za dużo naraz. To niebezpieczne. Siostrze, proszę im powiedzieć, że na promie nie będzie trzęsło tak, jak na platformie i że nic im tam nie grozi.

Niektórzy tubylcy nigdy nie płynęli łodzi. Niech im też pani powie, że w Manzu dostaną przyzwoite jedzenie i posłanie. Siostrze Mario, po co siostra niesie tę dziewczynkę! Proszę ją zostawić!

Helena, zajmij się nią, z łaski swojej. - Doktor Kat doglądał wszystkiego, zwracając uwagę na każdy drobiazg. Wyczuwalne wokół gorączkowe podniecenie i bliska już perspektywa końca naszych kłopotów sprawiały, że był w lepszym humorze niż kiedykolwiek.

- Co pan czuje, opuszczając Nyalę? - zapytałem go w wolnej chwili. Popatrzył na mnie zdumiony.

- A jak pan myśli? Odczuwam jedynie ulgę, panie Mannix.

Widzę w końcu nadzieję ocalenia tych biednych ludzi. Jestem zmęczony, boleję z powodu naszych strat i doprowadza mnie do wściekłości ta bezsensowna, wyniszczająca mój kraj wojna. Ale wkrótce tu wrócę. Zamierzam odbudować szpital w Kodowie.

Ten człowiek miał w sobie powołanie.

- Otrzyma pan z mojej strony wszelką możliwą pomoc - przy-

rzekłem. - Nie rzucam słów na wiatr.

Doktor Kat milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Obawiam się, że pan Lang nie przeżyje.

- Ocalenie jest już tak blisko... - stwierdziłem.

Doktor pokręcił tylko głową.

- Jesteśmy wszyscy pańskimi dłużnikami, doktorze Katabi-

sirua - rzekłem, chwytając go odruchowo za rękę. - Mam nadzieję,

że pewnego dnia zostanie to oficjalnie uznane.

Moje słowa najwyraźniej sprawiły mu przyjemność. Odszedł

zwawym krokiem, nadzorować dalej przeładunek.

Siostra Urszula zganiła mnie, że włączyłem Binga do akcji, a Pro-

ctorowi pozwoliłem zaniedbać do tego stopnia ranę od kuli w no-

dze, że groziło mu poważne zakażenie. Tej kobiecie nikt nie potrafił

dogodzić. Opatrzyła skutecznie twarz Sperriniemu, nie mogła jed-

nak podejść na tyle blisko do Bailey'a, by obandażować mu rękę.

Obracał wszystko w żart i po prostu nie dopuszczał jej do siebie.

Zastanawiałem się, dlaczego dała w końcu za wygraną.

Wszystkich chorych i Land Rover załadowano tymczasem na

prom. Ostatni Nyalańczycy pragnący przedostać się na drugi brzeg,

spieszyli podnieceni na pokład. Tubylcy, którzy znali już prom,

objaniali co trzeba pozostałym.

Hammond, Thorpe i Kemp, a także McGrath, Zimmerman, Kiri-

lenko i Dufour zostali na przystani. Bishop oraz Bing popłynęli

z pierwszym transportem ludzi i sprzętu, podobnie jak Pitman,

Atheridge i Proctor, którzy mieli stanąć załogę promu i pomóc przy jego wyładunku na drugim brzegu. Wystarczyło pozostawić na miejscu tylko dwóch ludzi do kierowania ciężarówkami, ale myśleliśmy z niechęcią o porzuceniu platformy, dopóki nie było to konieczne.

Rampa na dziobie "Katie Lou" została podniesiona i patrzyliśmy, jak prom wyrusza z przystani, odpychany od nabrzeża przez swą tymczasową załogę, którą wspomagały pracujące powoli na wstępnym biegu turbiny. Kiedy wciśnięto kotwicę, przed rzeki obrócił statek. Wirujące rury nabrały rozpędu, prom zakręcił się leniwie na wodzie i zaczął odpływać. Bailey pomachał nam z mostku. "Katie Lou" podjechała powoli na radek jeziora, wywożąc uchodźców z rejonu zagrożenia ku czekającej ich na drugim brzegu wolności. Także przynajmniej mieliśmy nadzieję.

Kamień spadł nam z serca. Cokolwiek by się teraz nie wydarzyło, odpowiadaliśmy już tylko za siebie. Dalimy upust naszym uczuciom, radonie wiwatując.

Nagle powietrzem wstrząsnęła eksplozja. Rozległ się przeraźliwy wist i w dość znacznej odległości od rufy "Katie Lou" wpadł do jeziora pocisk. Fontanna wody wytrysnęła wysoko w górę, a zaraz potem druga, niewiele bliżej. Kolejny pocisk uderzył z głuchym łoskotem w ziemię tuż obok przystani, wzniesając tuman kurzu i rozrzucając wokół gruz. Za nami rozlegał się coraz głośniejszy terkot broni maszynowej, a na drodze słychać było czyj krzyk.

- Chryste, prom! - zawołał z przejęciem Thorpe.

- Nic mu się nie stanie - odpowiedziałem ostro. - Jest poza ich zasięgiem.

Zza platformy wysypali się żołnierze, biegnąc wzdłuż stromej drogi. Inni, tak jak przedtem my, wyskoczyli z zaroli za budynkami. Ludzie Sadiqa mieli przeciwko sobie przeważające siły wroga.

- Tratwa! - krzyknął Zimmerman. - To nasza jedyna szansa.

Popędził razem z Kirilenką wzdłuż betonowej rampy. Wskoczyli do jeziora, zanurzając się w zmśconej przez prom wodzie. Hammond zniknął w zarolach na brzegu. McGrath wykorzystał powstały przy trzeciej eksplozji tuman kurzu i pod jego osłoną wliźnął się za garaż, w którym była zaparkowana "Ciocia Bess". Dufour, Kemp, Ritchie Thorpe i ja nie ruszyliśmy się z miejsca. Rebelianci biegli w naszym kierunku. Czekanie na nich z podniesionym czołem wymagało nie lada opanowania. Po chwili zostaliśmy otoczeni.

28

Żołnierze byli wszędzie. Zaglądali do magazynów i garaży, rewidowali platformę i inne pojazdy konwoju, przetrzśali zarola w poszukiwaniu zbiegów. Z boku placu stali pod strażą otoczeni przez nich ludzie Sadiqa. Naszej czwórki pilnowali inni rebelianci.

Usiedliśmy na skrzyniach, aby sprawiać wrażenie przypadkowych uczestników wydarzeń. Ulżyło mi, że żołnierze nie wyprowadzili z garażu "Cioci Bess", choć się niś interesowali. Kluczyki od stacyjki

niał zapewne Zimmerman.

Cieszyło nas, że prom bezpiecznie odpłynął. Rebelianci nie byli w stanie ostrzeliwać jeziora. "Katie Lou" zniknęła nam z oczu i dotarła już prawdopodobnie do celu podróży. Miałem nadzieję, że Bailey nie wróci. Przewidywalimy taki rozwój sytuacji i zgodził się, aczkolwiek niechętnie, że gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót, ma zostać na drugim brzegu.

Byłem zły na siebie, bo gdybym nie nalegał na przewożenie drugiego transportu ciężarówek, nie groziłoby nam już żadne niebezpieczeństwo.

Nie widziałem nigdzie Zimmermana, Kirilenki ani Hammonda.

McGrath także gdzie przepadł. Jego zniknięcie było typowe. Cokolwiek planował, mogłem tylko życzyć mu powodzenia. Nie przypuszczałem, żeby chciał pozostawić nas własnemu losowi, dopóki istniała szansa ucieczki amfibiś.

Po denerwującym wyczekiwaniu zobaczyliśmy kolejnych rebeliantów. Jak było do przewidzenia, na prowadzącej ku przystani stromej drodze pojawił się wóz sztabowy, a za nim dwa inne samochody, eskorta na motocyklach i wypełniona żołnierzami ciężarówka z zamontowanym działem kalibru 76 mm. Wstaliśmy powoli, gdy prowadzący kolumnę wóz zatrzymał się w pobliżu rampy.

Wysiadł z niego wysoki oficer w eleganckim mundurze z insygniami pułkownika, które potrafiłem już rozpoznać. Miał, podobnie jak Sadiq, arabskie rysy, przypominał mi jednak bardziej prowadzą-

cych koczowniczy tryb życia Tuaregów, których widywałem w północnej Afryce. Byli to szczupli ludzie o smukłych twarzach i nieznośnie hardym spojrzeniu. Pułkownik nosił u boku broń, a w osłoniętych rękawiczkami dłoniach trzymał krótką laseczkę. Przywodził mi nieodparcie na myl oficera, który był moim zwierzchnikiem, gdy służyłem w wojsku. Tamtego sukinsyna też nie znosiłem.

- Kim jesteście? - rzucił ostrym tonem.

Spojrzawszy na Kempa zdecydowałem się wystąpić w imieniu całej grupy.

- Jestem Neil Mannix z firmy British Electric - owiadczyłem.

Stwierdziłem z ulgą, że najwyraniej nie miał na nasz temat dokładnych informacji, chociaż krążyły już wszędzie opowieści o platformie.

- A pozostali? - warknął, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Panowie Kemp i Thorpe ze spółki Wyvern Transport oraz monsieur Antoine Dufour, nasz znajomy. A kim pan jest?

- Co?

- Teraz niech pan się nam przedstawi.

Obrzucił mnie złowrogim spojrzeniem, nie miałem jednak zamiaru pokornie mu potakiwać. Postanowiłem upomnieć się o nasze prawa. Byliśmy w końcu cywilami, cudzoziemcami zatrudnionymi przez jego kraj.

Pokiwał głową w zamyleniu.

- Jest pan wciekły. No cóż, panie... Mannix, na pańskim miejscu



pewnie też bym był. Do panów osobicie nie mam żadnych pretensji. Zostaliście oszukani i wykorzystani przez skorumpowany, poddany wojskowej tyranii rząd, ponieważ jednak nie wiecie, do czego zmierza ten kraj i nie ponosicie za jego los moralnej odpowiedzialności, można usprawiedliwić wasze nierozsądne zachowanie.

Wskażę panom bardziej pożyteczny i efektywny kierunek działania. Powinnicie panowie w swoim najlepiej pojętym interesie okazać wolę współpracy.

Czułem się jak rażony piorunem i pewnie było to widać. Inni dzielali najwyraźniej moje zdumienie. Ten człowiek traktował nas zupełnie inaczej niż Maksa.

- Mówi pan ciekawe rzeczy, pułkowniku - stwierdziłem. - Co to konkretnie oznacza?

- W panów przypadku nic szczególnego - odparł. - Oczekujemy, że wykonacie dla nas pracę, nie wykraczając poza wasze możliwości. Tamtemu człowiekowi grożą jednak bardziej poważne konsekwencje. - Wskazał na jeden ze stojących za nim samochodów. Stwierdziłem z przerażeniem, że jest to wóz sztabowy Sadiq. On sam siedział z tyłu między dwoma strażnikami. Na rękach miał kajdanki.

- Nie może pan traktować w ten sposób jeńca! - zaprotestowałem stanowczo. - Co pan sobie, do diabła, wyobraża?

Sadiq był dobrym żołnierzem i okazał się wobec nas lojalny.

Musielimy go teraz bronić.

Oficer zignorował mój protest.

- Jestem pułkownik Wadzi - oznajmił. - Reprezentuję armię

Wyzwolonej Ludowej Republiki Nyali. Mam dla pana pewne in- \*  
strukcje. Czy to wszyscy pańscy ludzie?

- Proszę uwolnić kapitana Sadiq, to porozmawiamy o nas -  
powiedziałem.

Pułkownik wydał krótki rozkaz i samochód, w którym trzymano  
Sadiq, wyjechał z kolumny, ruszył drogą prowadzącą w górę od  
przystani i zatrzymał się na szczycie zbocza.

- Na ten temat nie będziemy dyskutować. Kapitan Sadiq zosta-  
nie oszczędzony za swoje czyny - stwierdził Wadzi. - Który z panów  
odpowiada za ten transporter?

Kemp wystąpił naprzód, blady jak ciana.

- Nie ważcie się uszkodzić platformy - powiedział odważnie,  
jakby bronił świętej sprawy.

Wadzi umiechnął się nieszczercze.

- Nie przyszłoby mi to do głowy. Zapewniam, że moi przełożeni  
są wiadomi wartości pańskiego sprzętu. Prawdę mówiąc, panie  
Kemp, proponujemy panu godziwe honorarium w zamian za spro-  
wadzenie platformy z powrotem do stolicy. Chcemy wynegocjować  
z pańską spółką możliwość korzystania z niej w najbliższej przy-  
szłości. Pragniemy kontynuować budowę elektrowni w Bir Oassa i,  
rzecz jasna, fachowa pomoc ze strony pana i pańskiej firmy ma dla  
nas podstawowe znaczenie.

Gdy to powiedział, wyraz twarzy Kempa uległ zmianie. Uwierzył, o dziwo, w obietnice pułkownika. Platforma miała zostać cudownie uratowana. Przewiezie się jż triumfalnie z powrotem do Port Luard, odremontuje i zabierze znów na pola naftowe. Będzie całkowicie bezpieczna i otoczona finansowš opiekš dzięki łaskawoci nowych, prawowitych władz Nyali. On, Basil Kemp, miał wszystkiego dopilnować. Spełniało się to, o czym marzył i nikt nie mógł w tym momencie pozbawić go złudzeń.

Cholera, że też nie było z nami Wingsteda! Tylko on potrafiłby przemówić Kempowi do rozumu. Mnie Basil zlekceważy, a innych potraktuje z góry. Poza tym tylko cień podejrzenia kazał mi nie ufać pięknym słówkom i obietnicom pułkownika. Możliwe, że Wadzi mówił prawdę. Był jedynie pionkiem w politycznej grze. Nie wierzyłem mu jednak za grosz. Zbyt wiele już widzieliśmy. Nasz los był przesšdzony.

Kemp miał wypieki na twarzy.

- Tak, to ja odpowiadam za platformę - oznajmił.

- Możecie panowie przewieć jż z powrotem do Port Luard?

Kemp rozejrzał się za Hammondem i McGrathem. Wstrzymałem oddech w obawie, czy przez swoje szaleństwo ich nie zdradzi.

- Oczywiście, że możemy - odparł. - Musimy dostać paliwo;

potrzebujemy ropy, benzyny, no i wody. Trzeba będzie sprawdzić, w jakim stanie jest droga. Silnik rozruchowy wymaga konserwacji, może nawet generalnego remontu. Mylę, że będzie nam po-

trzebny...

Koncentrował całą uwagę na priorytetowych, jego zdaniem, sprawach. Thorpe chciał coś powiedzieć, ale napotkawszy moje spojrzenie zrezygnował. Dopóki Kemp mówił o platformie, można było mieć nadzieję, że nie wspomni o istotnym fakcie braku kierowców.

- Wszystko to da się załatwić - przerwał mu Wadzi. - Rad jestem, że chce pan nam pomóc. A pan Mannix nie okazuje gotowości do współpracy?

Była to oczywista groba. Poczulem przyspieszone bicie serca.

- Nie, do cholery, bynajmniej - odparłem szorstko. - Wie pan, pułkowniku Wadzi, kto płynął na tym promie?

- Zdaje się, że uwolnilicie jego załogę i bylicie na tyle nierozsądni, żeby wysłać do Manzu grupę Nyalańczyków, w tym także lekarzy, których bardzo potrzebujemy w naszym kraju. Musimy ciśgnąć ich tu z powrotem. Będzie to kłopotliwa sprawa. Nie mam powodów do zadowolenia.

- A więc pan wie, że prom przewoził chorych - powiedziałem. - Ostrzeliwalicie statek, na którym znajdowali się ranni, kobiety i dzieci. Jest pan zbrodniarzem wojennym, pułkowniku Wadzi, niegodnym stśpać po ziemi. Hańbi pan wojskowy mundur.

Moi towarzysze słuchali przerażeni, jak prowokuję lekkomyślnie człowieka, od którego zależał nasz los, ale tylko w ten sposób mogłem skupić na sobie jego uwagę. Ludzie na tratwie musieli mieć

możliwość dotarcia do przystani z jedyną bronią, która nam jeszcze pozostała, chociaż nie bardzo wiedziałem, w jaki sposób mogliśmy ją wykorzystać. Wadzi był próżnym człowiekiem i podjął moje wyzwanie, próbując się usprawiedliwić. Pułkownik Maksa w takiej sytuacji po prostu strzeliłby mi w głowę.

- Pan się zapomina, Mannix! - rzekł. - Nie wolno panu wysuwać takich oskarżeń, ani kwestionować mojej władzy. Utrudniając mi wykonanie zadania bardzo pan sobie szkodzi. Będzie to pana drogo kosztowało.

- Nie wstąpię - odparłem z posępną miną.

- Mam prawo postawić pana przed plutonem egzekucyjnym, Mannix - stwierdził Wadzi. Poczulem mdłoci na myśl, że może on wcale nie różni się tak bardzo od Maksy.

Ritchie Thorpe odważnie zaprotestował.

- Na litość boską, pułkowniku, nie może pan tego człowieka tak po prostu zastrzelić!

Dwóch żołnierzy wystąpiło naprzód z uniesionymi gronami lufami karabinów i przemknęło mi przez głowę, że posunąłem się w końcu za daleko. Pułkownik powstrzymał jednak swoich ludzi, \* wykonując stanowczy ruch łaseczką, rzucił Thorpe'owi gronę spojrzenie, po czym zapytał Kempa:

- Czy ten Mannix jest panu potrzebny do obsługi platformy? -

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: - Panie Kemp! Mówię do pana!

Kemp był myłami gdzie daleko, czyniŝc juŝ przygotowania do podróŝy. Usłyszawszy swoje nazwisko, wzdrygnł się i popatrzył zaskoczony najpierw na pułkownika, a potem na mnie. Poczułem, ŝe mam kłopoty z oddychaniem.

- O co chodzi? Ach, Neil? Oczywiście, ŝe go potrzebuję - powiedział jakby z roztargnieniem. - Okazał się nam bardzo przydatny. Potrzebni mi sã wszyscy - ciŝgnł dalej, rozglądajŝc się po placu. - Thorpe, gdzie jest Ben Hammond? Muszę z nim natychmiast pomówić.

Wybawiajŝc mnie z opresji naraził nas na nowy kłopot.

- Hammond? Kto to taki? - zapytał Wadzi, wyranie zaniepokojony.

- Pan Kemp dokŝd go posłał - odparł Thorpe. Była to pierwsza odpowiedź, jaka przysłała mu do głowy.

W tej samej chwili, słyszŝc podniesione głosy, spojrzeliśmy wszyscy na jezioro. W kierunku przystani płynęły bardzo wolno dwa złączone ze sobŝ, obmywane wodŝ i przechylone pod ostrym kątem B-gony. Na pierwszym z nich stała niepewnie ciężarówka Dufoura. Nie była juŝ przywiŝzana, miała jedynie klocki pod kołami. Zimmerman i Kirilenko obsługiwali silniki na rufie, a Hammond kierował tratwŝ, wydajŝc odpowiednie polecenia.

Krzyki ŝołnierzy umilkły. Wadzi obserwował w milczeniu, co się dzieje.

Kierowana z wielkŝ ostroŝnościŝ i precyzyjŝ tratwa podpływała

do rampy, a dwie obracające się ruby popychały ją nieubłaganie naprzód. Usłyszeliśmy zgrzyt metalu i pierwszy B-gon wysunął się do połowy z wody, osiadając mocno na betonie. Nasza pływająca bomba przybyła na miejsce.

Kemp wydawał się równie zdumiony jak pułkownik.

- Neil, co to znaczy, do diabła? - zapytał z rozdrażnieniem. -

Wiesz, że nie potrzebujemy już tratwy.

- A, jeste, Hammond! - zawołałem w kierunku nowo przybyłych, zagłuszając słowa Kempa. - Dobra robota! To ostatnia ciężarówka, prawda? Jak widzisz, mamy towarzystwo. To pułkownik Wadzi, który przy naszej pomocy chce zabrać platformę z powrotem do Port Luard. Poprosił pana Kempa, żeby kierował tą operacją, a pan Kemp chętnie się zgodził.

Próbowałem przekazać Hammondowi jak najwięcej informacji, a równocześnie nie dopuścić do tego, by Kemp powiedział co, co mogłoby wzbudzić podejrzenia pułkownika. Wadzi wystąpił naprzód, szturchając mnie mocno w ramię.

- O co tu chodzi? - zapytał ostrym tonem.

- Uzupełniamy skład konwoju - odparłem pospiesznie. - To ostatnia z naszych ciężarówek. Czekaliśmy właśnie na jej przybycie.

- Jak to: czekalście?

- Po prostu kupiliśmy ich kilka w dole rzeki...

Hammond zszedł na brzeg i przywiśzywał spokojnie tratwę, jakby obecność uzbrojonych żołnierzy była czym zupełnie normal-

nym. Po chwili włączył się do rozmowy, mówiąc swobodnie:

- Oszczędzamy paliwo, pułkowniku. Przy pokonywaniu dużych odległości dwa silniki o mocy siedmiu koni zużywają go o wiele mniej niż jadłosa droższa ciężarówka. Korzystamy więc z traw. Czy mam dołączyć ten wóz do konwoju, panie Mannix?

Ogarnęło mnie przerażenie. Hammond zamierzał wjechać wypełnionym materiałami wybuchowymi ciężarówką między żołnierzy i zapewne wysadzić ją w takim miejscu, by wybuch spowodował jak najwięcej zamieszania i zniszczeń. Nie wiadomo, czy uratowałoby nam to życie, ale on na pewno by zginął.

Czekał na moją zgodę.

- Jeszcze nie teraz, Ben - odparłem. - Pomów najpierw z panem Kempem o platformie. On... potrzebuje twojej rady.

Hammond spojrzał na Kempa i dostrzegłszy natychmiast, jak bardzo jest spięty i rozgorączkowany, skinął ze zrozumieniem głową.

- Panie Kemp, musimy obliczyć na nowo odległości, prawda? - zapytał opanowanym głosem.

- Szukałem cię - stwierdził krótko Kemp. - Gdzie są mapy?

Zaczęli rozmawiać, nie zważając na obecność uzbrojonych żołnierzy. Miałem nadzieję, że Hammond zdoła zająć Kempa, który był nadmiernie podekscytowany i gdyby wypuścić go spod kontroli, mógł się okazać równie niebezpieczny jak nasi wrogowie.

Zimmerman i Kirilenko zeszli ostrożnie na brzeg, nic nie mó-



wiść. Zimmerman wykonał rękami dziwny gest, jakby przekręcał klucz w zamku, a potem, niby od niechcienia, przesunął dłoń po zegarku. Zrozumiałem, co chce mi powiedzieć: nastawił mechanizm zegarowy w ciężarówce ze mierciononym ładunkiem.

- Ile czasu, Harry? - zapytałem głono. - Ile czasu płynęlicie?

- Tylko kwadrans, Neil - odparł.

Chryste! Mielimy piętnacie minut, żeby oddalić się na bezpieczną odległość, zanim ciężarówka Dufoura wyleci w powietrze. Powiedzmy raczej: dziesięć, ponieważ żaden sklecony naprędce mechanizm zegarowy nie jest zbyt dokładny. Mógł zresztś wcale nie \* zadziałać. Rozwazałem gorśczkowo różne ewentualności, rozmawiając równoczenie z pułkownikiem.

Był zaniepokojony zmianś mojej postawy. Przedtem mu uršgałem, a teraz okazywałem gotowoć do współpracy.

- Panie Mannix, czy to już wszyscy pańscy ludzie? - zapytał.

- Tak - odparłem, odliczając w myłach McGratha.

- Pojedziecie panowie z nami do Fort Pirie. Tam ustalimy, co robić dalej - stwierdził energicznie. - Pan nie jest zawodowym kierowcś, prawda?

Zastanawiałem się, co jeszcze o nas wie.

- Nie, pułkowniku - odparłem. - Ale mogę, oczywiście, poprowadzić którś z ciężarówek.

Rozejrzałem się wokół, szukając wyjcia z sytuacji. Plac obok przystani promu był pełen wojska i pojazdów. Stojścś na głównej

drodze platformę otaczali żołnierze. Wadzi rozstawił też wartowników przy naszych pozostałych pojazdach. Sadiq siedział nadal z tyłu swego wozu, zaparkowanego na szczycie wzgórza. "Ciocia Bess" była ukryta w garażu, a prom dawno zniknął nam z oczu.

Hammond poprowadził Kempa na drugi koniec rampy, nie podchodząc jednak zbyt blisko tratwy, wyszedł z kieszeni mapę i rozłożył ją na ziemi. Kemp musiał przykucnąć i dzięki temu nie miał nas na oku, ale równocześnie zostaliśmy pozbawieni pomocy ze strony Hammonda.

Zimmerman sterczał z rękami w kieszeniach w pobliżu załadowanej na tratwę ciężarówki. Za jego plecami był niewzruszony jak zwykle Kirilenko. Obok siebie widziałem wyprostowanego sztywno Thorpe'a, a za nim stał spięty i zmęczony Dufour. Dawał mi wzrokiem jakie niezrozumiałe sygnały, patrząc raz na mnie, raz na ciężarówkę.

- "To powinno być proste" - pomyślałem. - "Wystarczy wsiść do ciężarówki, wjechać nią między żołnierzy, unieruchomić silnik i udawać, że się go naprawia, dopóki wszystko nie wyleci w powietrze. Powstanie zamieszanie, przy odrobinie szczęścia zginie wielu rebeliantów, łącznie z ich dzielnym dowódcą, a nasi ludzie popędzą do amfibii i odpłyną nią w stronę dal."

Nic prostszego. Jedynym drobnym problemem było to, że nasz dzielny przywódca z całą pewnością również nie przeżyłby tej akcji. Czuję, jak nogi przyrastają mi do ziemi i myślałem z roz-

paczś, czy nie jest to objaw tchórzostwa. Może najrozsądniej było zaczekać na rozegranie karty, którą nadal trzymaliśmy w rękawie?

Może McGrath znów okaże się naszym atutem?

Miał na to najwyżej dziesięć minut. Przełknęłam z trudem linę i wziwszy się w garć podszedłam dwa kroki w kierunku ciężarówki Dufoura.

- Dołączę jś do konwoju, dobrze? - zapytał pułkownika.

Wśród naszych ludzi zapanowało poruszenie. Słysząc było wyranie przyspieszony oddech Dufoura. Wadzi natychmiast na to zareagował. Wyjśwszy z kabury rewolwer wycelował go we mnie.

- Niech pan się nie rusza! - rozkazał ostro.

Stałam jak skamieniały.

- Gdzie sś klucze od ciężarówki? - zapytał. Zimmerman odruchowo zacisnął pięć. Wadzi wbił w niego wzrok, zauważywszy ten gest. - Proszę mi je dać - powiedział, wyciśgajśc rękę i strzelajśc palcami.

- Zrób to - zażśdałem.

Zimmerman oddał pułkownikowi klucze. Nie spuszczałśc mnie z oka Wadzi przekazał je jednemu ze swoich ludzi i polecił mu sprowadzić ciężarówkę na brzeg. Mówił po nyalańsku, ale sens jego słów był aż nadto oczywisty. Żołnierz zbiegł po rampie i wskoczył do kabiny wozu. Zamknęłam oczy. Nieumiejętne prowadzenie ciężarówki mogło okazać się fatalne w skutkach.

Dwaj żołnierze usunęli klocki spod kół i ciężarówka zaczęła jechać powoli wzdłuż rampy, pozostawiając za sobą rozchybotaną, zanurzoną w wodzie i coraz bardziej rozpadającą się tratwę. Z całą pewnością nie posłużyłaby nam już do ucieczki. Mogliśmy teraz liczyć tylko na amfibię.

Ciężarówka wjeżdżała powoli na zbocze. Wadzi wetknął rewolwer z powrotem do kabury.

- Radzę bardzo uważać, panie Mannix - ostrzegł. - Niech pan nie robi nic bez mojego zezwolenia... Co się dzieje? - zapytał nagle.

Żaden z nas już go nie słuchał. Pułkownik odwrócił się na pięcie, żeby zobaczyć, co przykuło naszą uwagę.

- Chryste, to Mick! - krzyknął Thorpe.

Spoza jednego z budynków wyskoczył jakiś człowiek i biegł zryzami między żołnierzami, strzelając na wszystkie strony z trzymanego w rękach erkaemu. Znalazł się błyskawicznie obok jadącej powoli ciężarówki. Zaskoczeni żołnierze nie zdążyli nawet zareagować.

Rozgorzała strzelanina. Sadiq podniósł się z tylnego siedzenia stojącego wysoko na zboczu wozu sztabowego i zakutymi w kajdanki rękami pochwycił karabin. Jeden z pilniejszych go strażników wypadł tyłem z samochodu. Sadiq wystrzelił ponownie w kierunku otaczających McGratha żołnierzy. Cofnęli się w popłochu, a jeden z nich upadł na ziemię.

- Nie, Mick, nie wsiadaj do tej ciężarówki! - wrzasnął Zim-

merman. Obezwładnił jednego z żołnierzy i w tym samym momencie Kirilenko rzucił się na drugiego, powalając go na ziemię \* potężnym kopniakiem w krocze. Spoglądałem z przerażeniem na ciężarówkę Dufoura. Dobiegłszy do niej McGrath potknął się i upuścił erkaem.

- On jest ranny! - zawołałem.

McGrath wsunął się do kabiny i wypchnął z niej brutalnie siedzącego za kierownicę mężczyznę. Ciężarówka nabrała szybkości i popędziła drogą po zboczu w kierunku platformy.

Stojący obok mnie pułkownik Wadzi otworzył usta, aby wydać jakiś rozkaz. Rzuciłem się na niego i upadliśmy obaj, spleceni w mocnym ucisku. Thorpe przytrzymał pułkownikowi nogi, a ja sięgnąłem po jego rewolwer. Podwignąwszy się z ziemi zobaczyłem, jak Sadiq wypada ze swego samochodu, wypuszczając z ręki karabin. Ciało kapitana uderzyło z całej siły o asfalt.

Tymczasem Kirilenko kopnął pułkownika w pier i Wadzi przestał stawiać opór, kaszląc i wijąc się z bólu. Jego ludzie gdzie zniknęli.

- Harry, czy Mick wie? - zapytałem, ciężko dysząc.

- Tak, powiedziałem mu! - odparł. - O Boże, w każdej chwili może nastąpić wybuch!

W tym momencie Dufour chwycił mnie za ramię i ciskając mi rękę jak w imadle gwałtownie niś potrzęsł.

- Cały czas próbowałem to panu powiedzieć, Mannix! - oznaj-

mił. - Naprawdę próbowałem! Ta ciężarówka nie eksploduje.

- Chyba jednak - stwierdził szorstko Zimmerman. - Podłszy-  
łem przewody.

- Tam sš tylko cztery butle gelignitu... na samym przedzie... -  
powiedział Dufour, jškajšc się.

- Co takiego?

Kiedy rozmawialimy, ciężarówka pędziła po zboczu, ostrzeliwa-  
na ze wszystkich stron. Gdyby mechanizm zegarowy zawiódł, kule  
i tak powinny załatwić sprawę. Ale co, u licha, chciał nam powie-  
dzieć Dufour?

- To nie jest... materiał wybuchowy - mówił dalej. - Na Boga,  
panie Mannix, to dżin!

Nagle mnie olniło. W Bir Oassa, miecie zdominowanym przez  
społeczność arabskš, sprzedaż napojów wyskokowych była zabro-  
niona, handel nimi przynosił więc duże zyski. Dufour zastosował  
podwójny blef. Przewoził rzekomo gelignit, aby celnicy nie kontro-  
lowali jego nielegalnego ładunku. Mało kto lubi grzebać w materia-  
łach wybuchowych. W rzeczywistości Francuz przemycił na pola  
naftowe alkohol.

I teraz, zamiast oczekiwanej przez nas z nadziejš potężnej eks-  
plozji, nastšpic miał najwyzej niewielki wybuch. Uszkodzona zosta-  
nie tylko ciężarówka. Bohaterski, szalony wyczyn McGratha na nic  
się nie przyda.

- O mój Boże! - wyszeptałem.

Staliśmy jak skamieniali. Pułkownik Wadzi był ranny, ale żył i lada chwila mógł podnieć się z ziemi. Otaczali nas nadal uzbrojeni żołnierze, a nie mieliśmy dokąd uciekać. Rewolwer zwisał mi luno w ręce. Byłem oszołomiony i odczuwałem mdłoci. Zaryzykowaliśmy i spotkała nas klęska.

Ciężarówka zboczyła z drogi, przedzierając się przez piaszczyste pobocze. Znajdowała się teraz obok platformy. Fakt, że jechała zygzakiem, musiał oznaczać, iż McGrath jest poważnie ranny, albo nawet nie żyje. Nagle ciężarówka zakołysała się i stanęła w miejscu. W porównaniu z ogromną platformą robiła bardzo niepozorne wrażenie. Wystawała poza pobocze, zwisając nad krawędzią urwiska, pod którym znajdowała się przystań. Zobaczywszy w kabinie jakąś postać poczułem, że serce wali mi jak młotem. Po raz ostatni patrzyłem na Micka McGratha

Potem nastąpiła eksplozja.

Nie wyglądało to właściwie zbyt groźnie. Ciężarówka stanęła w płomieniach, ale ludzi i znajdujące się w pobliżu pojazdy ocaliła platforma, zbyt masywna, aby wybuch mógł ją uszkodzić.

Pod kołami ciężarówki była jednak droga: stara, zaniedbana, kruszejśca i pełna dziur. W tym miejscu prowadziła wzdłuż zbocza po wyschniętej na popiół, spękanej ziemi, którą spajała tylko płytko zakorzeniona rolinność. Podłoże drogi było równie stabilne jak piaszczysta wydma.

Eksplozja ciężarówki zniszczyła tę delikatną konstrukcję niczym

pajęczs sieć.

Na starej, asfaltowej nawierzchni, i tak już niebezpiecznie obciś-  
zonej, pojawiły się pęknięcia, a po chwili pod naporem straszliwego  
ciężaru osunęło się z potwornym łoskotem i wród tumanów kurzu  
całe zbocze.

Platforma, wraz z waższym trzysta ton transformatorem  
i szepionymi ze sobš cišgnikami, zaczęła staczać się ze wzgórza  
w kierunku przystani. Był to zatrważajšcy widok. Po zboczu  
spadały jak lawina ogromne kawałki asfaltu, ziemia, głazy i gruz.  
Platforma pędziła w dół z ogłuszajšcym hukiem, nabierajšc  
szybkoci. Słychać było przeraliwy zgrzyt metalu i łoskot osu-  
wajšcej się ziemi.

Ludzie rozbiegli się jak mrówki, uciekajšc w popłochu przed  
pędzšcym w ich kierunku potworem. Ryknęły uruchamiane pospie-  
sznie silniki samochodów. Umykajšcy co sił w nogach żołnierze  
rzucali na ziemię karabiny. Platforma uderzyła z potwornš siłš  
w najbliższe budynki, rozbijajšc je w drzazgi. Ucierpiała również  
znacznie brukowana nawierzchnia placu. \*

Bylimy wstrzšnięci i przerażeni, widzšc jak oswojone przez  
nas zwierzę okazało się drapieżnš, dzikš bestiš. Nagle usłyszeliśmy  
nieprawdopodobnie przejmujšcy krzyk.

- Nie! Zatrzymajcie jš! Nie pozwólcie, żeby to się stało!

Kemp wpadł między nas z grymasem na twarzy i wytrzeszczo-  
nymi z przerażenia oczami, biegnšc prosto w kierunku platformy.



Próbowaliśmy go zatrzymać, ale nie mogliśmy już zapobiec temu, co zamierzał zrobić.

Podczas gdy wszyscy uciekali przed zbliżającym się potworem, Kemp stanął mu na drodze, wyciągając ręce w daremnym, tragicznym geście. Fetysz winien był mierci wielu ludzi, ale ten człowiek oddał mu swe życie dobrowolnie.

U podnóża zbocza platforma straciła impet i nagle znieruchomiała. Spomiędzy połamanych i trudnych do zidentyfikowania kawałków żelastwa wystawała pocięta, ale dająca się rozpoznać bryła transformatora. Łady masakry przesłoniła litociwie chmura pyłu. Jeden z budynków stał przechylony i całkowicie zdemolowany.

Czułem, że mam nogi jak z waty, a moja twarz była boleśnie napięta. Hammond szlochał, jakby z trudem chwytając powietrze. Kirilenko osunął się na kolana, z taką siłą ciskając w obu rękach karabin, że wygiął lufę.

Zimmerman ukrył twarz w dłoniach. Miał ranę od odłamka, z której spływała strużka krwi. Dufour i Thorpe stali pogrążeni w milczeniu. Francuz ciskał mocno Ritchiego za ramiona. Wszyscy byliśmy bladzi i zaszokowani.

Słyszeliśmy wokół siebie krzyki i jęki, wołania o pomoc, odgłosy wyginanego metalu i łamanego drewna, nas jednak otaczała oaza ciszy. W pobliżu nie było żołnierzy, z wyjątkiem chwiejącego się lekko na nogach pułkownika Wadzi. Miał podarty, zabrudzony

mundur i najwyraźniej nie otrząsnął się jeszcze z szoku.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, mówiąc:

- Wynomymy się stąd do wszystkich diabłów.

Wadzi spojrzał mi z bliska w twarz oszołomionym wzrokiem.

- Moi ludzie... - zaczął niepewnie, po czym dodał bardziej zdecydowanym głosem: - Mam wiele do zrobienia. Musicie stąd odjechać. Nie jesteście nam tu potrzebni.

Powiedział to tonem pozbawionym jakiegokolwiek emocji. Byliśmy zwiastunami nieszczęścia. Nie chciał mieć już z nami nic wspólnego.

- Mój Boże, biedny sukinsyn... - powiedział Hammond.

Wiedziałem, że chodzi mu o Kempa, ja jednak myślałem cięgle o McGrathie.

- Nic nas już tu teraz nie zatrzymuje - stwierdził cicho Thorpe.

Pokiwałem głową z zrozumieniem. Amfibia, nie zagrożona przez spadającą platformę, stała spokojnie w garażu na przystani.

- "Ciocia Bess" czeka - powiedziałem. - Dołączmy do naszych ludzi.

KONIEC